

Zofia
Mossakowska
**KOBIETY
Z PTASICH
WYSP**



mg

blaski & cienie

Ptasie Wyspy to okruchy stałego lądu, rozproszone wybuchem wulkanu, jak samotne kobiety. Z zamkiem renesansowej Celesty, uwięzionej w gorsecie szlachectwa... Jej wyspa to magiczny świat portretowych komnat, skrzydlatych tancerzy oraz nieobecnego Korsarza, który odplywając zostawił ją na pastwę piasku i krzyku ptaków.

Ze szkołą nauczycielki Tiny, poprawiaczki świata... Która na swoją wyspę przygarnia zranione dzieci, zwierzęta i zamorskie prostytutki. Toczy z góry przegraną wojnę, by jej świata nie zmieniono w kolejną kopię kiczowatego resortu.

Z kuchnią i ogrodem Gospodyni, łagodzącej obyczaje gotowaniem, sprząaniem i modlitwą. Ptasie Wyspy to ekscytujący archipelag dusz samotnych kobiet - śledzonych i podglądanych, pożądanych i gnębionych. Namiętnych, pełnych tajemnic.

W książce tej urzekają nierzeczywiste klimaty, jakie można nieraz znaleźć w prozie zaliczanej do realizmu magicznego lub w literaturze, która choć fantastyką nie jest, bywa przez nią zawłaszczana, jak na przykład moja ukochana „Kraina Chichów”.

Dorota Grupińska

Zofia Mossakowska, autorka powieści „Tęsknoty wasze bez granic”, „że cię nie opuszczę aż do śmierci”, „Portrety na porcelanie”, „Ich dwoje i Julia”, „Dziesięć kroków od Calehm” (ta ostatnia wydana w wydawnictwie MG) oraz licznych opowiadań, zamieszczanych w zbiorach opowiadań współczesnych. Z wykształcenia filolog francuski, z pasji podróżnik, z temperamentu pisarka kierująca swe mądre powieści głównie do kobiet.

www.wydawnictwomg.pl

granice.pl
wortal literacki

Cena 34,90



Zofia
Mossakowska

**KOBIETY
Z PTASICH
WYSP**



*Pamięci Profesora Kazimierza Kupisza, wybitnego literaturoznawcy,
który nie tylko cenił to, co tworzyły kobiety, ale także je same*

Niemal od początku było wiadomo, że ta jej - czy też, jak kto woli, ich - historia nie może się dobrze skończyć. W każdym razie nie u nas, na Ptasich Wyspach, w ograniczonym, zagrożonym świecie, w którym rzeczy rozpoczynają się łagodnie, jednak rozwijają zupełnie inaczej - nieoczekiwanie, zatrważająco i bez jasnego celu.

Gdyby wiatr kiedyś nie przywiał jej - zgoda, ich! - do nas, istniałaby może szansa na inne zakończenie jej historii. Może zdarzyłoby się coś w rodzaju finału na kontynencie: akt sprawiedliwości na sądowej sali, cudowne uzdrowienie w szpitalu czy nawet, ostatecznie, cisza luksusowego wariatkowa... Winni zostaliby ukarani, niewinni docenieni, obojętni rozgrzeszeni. Obojętni - czyli my: przyjaciele, sąsiedzi, podopieczni, opiekunowie, wszyscy, którzy mimo postępowania w imię odwiecznych zasad wyspiarskiego życia czuli się później karygodnie winni. Wszystko toczyło się przecież na naszych oczach! Powtarzaliśmy sobie, że nie mamy wyboru. Albo że nikt nie pyta nas o zdanie. Brakowało nam wiary... Nigdy przedtem nie interesowano się naszymi opiniami, naszymi obawami, naszymi prognozami na przyszłość. Mogliśmy co najwyżej rozmawiać między sobą po cichu albo czasami, kiedy wydarzenia nabierały rozmachu, rosło nasze podniecenie, jakby tamto rzeczywiście nas dotyczyło. A przecież... wszystko dotyczyło nas tylko z daleka, jak krajobraz, który nigdy nie zbliżył się na dostateczną odległość, albo jak statki liniowe, widoczne z daleka i zbyt wielkie, by do nas zawitać. Zbyt luksusowe, byśmy mogli być dla nich atrakcyjni.

My nie byliśmy ślepi, nie byliśmy głusi. Ani aż tak bardzo obojętni, jak nam później zarzucano i wmawiano tak długo, że nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko w to uwierzyć.

1.

Czasami morze podchodzi do gardła domowi Celesty. Dzieje się tak pod wpływem księżyca, więc właściwie to księżyc mu zagraża, nie morze, z którym jest zaprzyjaźniony. Dom jest otwarty na morze, przejrzystością widnych okien i jawnością tarasu, uśmiechnięty do niego na szerokość drewnianej balustrady. Jedynym, co oddziela dom od morza, jest kilka drzew, niezbędnych jako schronienie dla ptaków. Nie zasłaniają jednak widoku i są prawdziwie dyskretne, kiedy, znalazłszy się na linii wzroku, same usuwają się na bok.

Przed domem Celesty nic nie tkwi w bezruchu. Poruszają się liście drzew, łagodnie kołysząc wysmukłymi gałęziami, a wiatr, czasem żartem, a czasem z nudów, zastawia wśród nich pułapki na żółte ptaki. One, wszechobecne skrzydlate stworzenia, są prawdziwym sensem obrazu, w który wmalowany jest dom Celesty. Są małe i z daleka wydają się pozbawione znaczenia, zwłaszcza na spektakularnym tle piaskowej pustyni, rozwiniętej jak bela jedwabiu w stronę morza. Albo morza zajmującego połacie przestrzeni, w której zmieściłyby się setki pustyni. Nawet na tle drzew. A jednak... To ptaki, one oraz hałas, który wydają z siebie ich tak ruchliwe, że aż niewidoczne skrzydła, dominują nad wszystkim, co wiąże się z domem Celesty. Są jedynymi wolnymi elementami krajobrazu, nie posiadają korzeni, fundamentów, ciężkości nóg, nie ogranicza ich siła przyciągania. Nadpływają, kiedy chcą, i równie samowolnie odlatują, a jest ich tyle, że Celesta nigdy nie wie, który z nich gości u niej dłużej, a który dopiero co powrócił z dalekiego świata.

Dom Celesty to najprawdziwszy *castillo*¹, mocny i bezpieczny na wzniesieniu, które czyni go niedostępnym. Z jedyne go okna, w które

¹ Zamek.

wyposażono strych, można zajrzeć za linię horyzontu. Niestety nie zawsze jest to możliwe, ponieważ zdarzają się dni, podczas których morze burzy się jak złe myśli, chmury wiszą nad nim nadąsane i powietrze przybiera kolor mgły. Celesta woli czas, w którym nic poza ptakami nie oddziela jej od najdalszego punktu na horyzoncie i ukrytego za nim świata, istniejącego jeszcze dalej. Zgadza się na to, że ptaki zasnuwają niebo jak ogromne latające mrowisko, chociaż czasami ma ochotę rozgarnąć je ramionami, tak jak odsuwa się kłopotliwie furkoczącą zasłonę. Jednak szybko porzuca ten zamiar, bo ptasi taniec odwraca jej uwagę. Zastyga wówczas, zwolniona z obowiązku ruchu, którego wokół tyle, że każde ludzkie poruszenie wydaje się zbędne.

Celesta wypatruje Korsarza, co nie jest łatwe, gdy przestrzeń stanowiąca przedśrodek horyzontu zaklejona jest stadami wirujących ptaków. Jednak ona godzi się na nie, wiedząc, że są nie tylko częścią nieba, ale także wyspy. Bierze ptaki na świadków swego oczekiwania, a one, jakby rozumiały jej nielekkie brzemię, starają się umilić jej czas. Absorbują ją sobą, aby towarzyszyła im wzrokiem, przynajmniej pośrednio uczestniczyła w ich tańcu po niebie. Celesta wyobraża sobie, że jest jednym ze skrzydlatych stworzeń i nie posiada innych tęsknot ponad wznoszenie, opadanie i obroty. Istnieje po to, by składać i rozpościerać skrzydła, gonić inne ptaki i uciekać przed nimi w zabawie.

Gdyby Celesta nie pozwalała ptakom zapraszać się do tańca, musiałyby martwić się o Korsarza. Gdyby nie one, przebijałyby wzrokiem przestrzenie i liczyła morskie mile. Gdyby nie one, mnożyłaby dni przez domysły, cały swój umysł skupiając na chwili, w której statek Korsarza pojawi się na horyzoncie. Na takim bolesnym czekaniu upłynęło jej już zbyt wiele lat, monotonnych jak uderzenia fal o brzeg, natrętnych jak szum morza sączący się przez zamknięte okna. Żadna z nieprzespanych nocy nie przybliżyła jej godziny powrotu Korsarza, żadne wypatrywanie nie ściągnęło go, niby sieć zarzucona w morze, na brzeg.

Celesta zamieniła się w wytrwałość równą powadze żagla, popychanego cierpliwie oddechem wieczornej bryzy. I podobnie jak

żagiel, który raz rozpostarty na wiatr nie zmienia kierunku niczym humorzysta dziewczka, tak Celesta pilnuje swego spokoju. Nigdy się nie śpieszy, ani podczas spaceru po plaży lub ogrodzie, ani wówczas, gdy we wnętrzu *castillo* przemierza kamienne posadzki komnat unosząc rąbek brokatowej sukni. Kiedy wspina się po schodach, odwiedza krużganki i taras, cierpliwie okrąża trawniki wokół domu. Od chwili, w której usta Korsarza dotknęły ją w ostatnim, pożegnalnym pocałunku, nieczęsto opuszcza dom. Niezmiernie rzadko zbliża się do morza, zadowolając się dystansem kilku metrów plaży. Robi wyjątek jeden raz w roku - w rocznicę dnia, w którym jego statek odpłynął. Wówczas, smutno świętując chwilę pożegnania, z własnej woli, zanurza stopy w słonej wodzie.

Dumna w swej sztywnej jak zbroja sukni, Celesta pozostaje wierna dalekiemu Korsarzowi. Oboje są dostojni, niedostępni dla krzykliwych emocji i banalnego nacisku chwili - on, przemierzający ocean w niebezpiecznej, ale pięknej królewskiej służbie, ona oczekująca go w domu na wyspie. Dobrowolnie wpleceni w czas zarządzany fazami księżycy nie śpieszą się do niczego, nawet do siebie.

Mimo całej jej tajemniczości i wszystkich rzeczy, które się z jej powodu zdarzały, pragnęliśmy uważać ją za... - jakby to powiedzieć? - za całkowicie realną osobę. Może niezupełnie taką jak my, jednak bliską nam, żyjącą pod tym samym niebem, związaną z nami prawem ziemi. Mówiącą naszym językiem.

Byliśmy z niej dumni na naszej nieważnej wyspie, którą wprawdzie nazywano klejnotem korony, jednak zapomnieli o niej i królowie, i cesarze, a nawet obcy biskupi, którzy bez przekonania wzywali nas do posłuszeństwa, nigdy nie fatygując się tu osobiście. Zapewne dawaliśmy im wszystkim zbyt mało powodów do tego, by musieli się o nas upominać. Żyliśmy cicho, zagłuszani nawet przez nasze - najgłośniejsze z żywych stworzeń - ptaki, wiedliśmy beznadziejnie regularne życie, pracując i pilnując się wzajemnie - w rodzinie, w domu, na ulicy, w miasteczku. Spotykaliśmy się w *bodegas* i w kościele, w porcie i na rynku, rozmawiając o cenach mięsa, ryb i owoców oraz o tym, kiedy nadleci następna szarańcza. Nie przynosiłiśmy profitów, ale też nie zagrażaliśmy nikomu... Chyba nie było

Zofia Mossakowska

potrzeby nas pilnować. Nigdy nie wydelegowano do nas jakichś szczególnie ważnych postaci. Żadna ważna postać nie przyjechała do nas dla przyjemności.

Oprócz niej. Przybyła do nas i została, choć istniały tysiące innych miejsc, które bardziej byłyby jej godne. Nawet jej mąż nie wytrzymał tu długo - dał się pokonać duchowi wyspy, nam... Nie zdążyliśmy go prawdziwie poznać; w czasie, w którym był tu z nami, interesowały go rzeczy o stokroć ważniejsze od tłumu miejscowych wieśniaków. Później, kiedy zniknął w niewyjaśniony sposób, pozostawił po sobie tysiące niedopowiedzeń, także na nasz temat. Jednak ona nie odeszła. Jakiś mądrała powiedział, że nie miała dokąd wracać! Nie dowierzaliśmy takiemu gadaniu. Została w miejscu, które pasowało do niej jak żadne inne. Dotrzymała mu wierności. A że zamknęła się przed nami, odgrodziła? To nie była całkowita prawda. Mur, za którym się schowała, przeszkadzający nam podglądać ją, czyhać na błysk słońca rozświetlający jej włosy, podsłuchiwać szelesty jej niezwykłych strojów i jej rozmowy ze zwierzętami, duchami i dziwnymi gośćmi, zjawiającymi się nie wiadomo kiedy i nie wiadomo skąd...

Ten mur wokół zamczyska, jej obrona przed nami, został - możecie mi wierzyć! - wzniesiony dużo wcześniej.

2.

Obładowana koszami wróciła z rynku prosto w wylewne kocio-
psie powitanie. Pięcioro zwierząt obskoczyło ją po domowemu,
zapominając o wzajemnych niegroźnych antypatiach, które ugasiła
doraźnie radość z jej powrotu i perspektywa smacznego południo-
wego posiłku. Łasząc się zgodnie i popiskując, tworzyły zgraną grupę
w systemie staroświeckiego matriarchatu, którego nie wstydził się
nawet najstarszy pies, wyliniały i utykający lekko na złamaną niegdyś
tylną łapę. I on poddawał się łagodnie, w goście pokory kładąc się
w kurzu dziedzińca i prezentując poznaczone bliznami podbrzu-
sze. Nie przeszkadzało mu nawet potrącanie przez smukłego, wiele
lat młodszego towarzysza, który jeszcze do niedawna śmiertelnie
wychudzony, wykazywał się teraz sporą energią. Jedyne suka, po
kobiecemu nieufna, okazywała pewną rezerwę. Nie było w niej jed-
nak mniej miłości, której dowodem było wylewne machanie ogonem
przez całą drogę do kuchni.

- Dzień dobry Leo, dzień dobry Tatu, dzień dobry Donna. Jestem,
wróciłam, przyniosłam wam jedzenie - powiedziała Gospodyni, od-
kładając przyniesione kosze na kuchenny stół.

W jednej chwili wskoczyły na niego dwa koty - szara, pręgowana
panna oraz czarnobiały adonis, którego jedno oko wyglądało tak,
jakby ktoś przestonił je klapką na rzemyku.

- Dzień dobry Lili, dzień dobry Piracie - pozdrowiła koty
Gospodyni.

Ulegając zmęczeniu, przysiadła na chwilę na skraju drewnianego
krzesła, przed wygasłym kominem, wokół którego suszyły się pęta
cebuli i czosnku. W ten sam sposób próbowała kiedyś konserwować
kiełbasę, jednak zrezygnowała z litości nad zwierzętami, których

nie chciała wodzić na pokuszenie. Wędliny wieszała więc w piwnicy, chłodnej i nieco wilgotnej, do której musiała zaglądać często, by sprawdzić, czy się nie psują.

- A wy, moje drogie kociska, mogłybyście kiedyś same zatroszczyć się o swoje posiłki - oświadczyła mruczącym niecierpliwie zwierzacom. - Ile razy mam wam tłumaczyć, że powinniście łapać ptaki? Przecież kiedyś całkiem dobrze wam to wychodziło. A teraz leniwe się zrobiłyście, oj, leniwe... Wszystko na mojej głowie - kupić, przydźwigać, ugotować. I kto to widział, żeby kociska jadły gotowane rzeczy?

Utyskująca pogodnie Gospodyni wiedziała doskonale, że koty i tak ponad wszystko przedkładają surowiznę; przekomarzała się z nimi, z góry ciesząc się na przyjemność z ich towarzystwa przy oporządzaniu drobiu. Kupiła dorodnego kurczaka, którego zapach niepokoił już zgłodniały domowy zwierzyniec; był przeznaczony na zupę, jednak wszystko, co nie było czystym mięsem, zwykle dostało się kotom. Obeznane z obyczajami Gospodyni, oczekiwały od niej haraczu już od chwili, gdy z koszem pojawiła się w kuchni.

- Tyle tu ptaków, tyle ptaków - perorowała Gospodyni do wysmukłej, rozpieszczonej Lili oraz jej nieco gburowatego męża Pirata - a wy, koty, nic, tylko się im przyglądacie, zupełnie jak ci leniwi turyści, których jeszcze większa plaga...

Pirat przeciągnął się ostentacyjnie, natomiast delikatniejsza Lili postawiła uszka na znak protestu. Przypomniała Gospodyni, że bardzo często poluje na ptaki, zakrada się i wyskakuje na nie znienacka, kiedy tylko przysiądą gdzieś w pobliżu. Ileż to razy ten czy inny ptak w ostatniej chwili uratował się przed jej pazurami?

- A nawet gdybyś go złapała - uśmiechnęła się do niej Gospodyni, głaszcząc wygięły koci grzbiet - to co byś z takim ptaszkiem zrobiła? Zabiła, a może nawet zjadła?

Na samą myśl roześmiała się głośno, aż dotknięta lekceważeniem Lili prychnęła na nią oburzona. Przysłuchujący się rozmowie, choć demonstracyjnie obojętny, Pirat zajął się oblizywaniem prawej łapki. Gdyby nie to, że na stole czekały smakowicie pachnące rzeczy, jego męska godność dawno nakazałaby mu opuścić kuchnię.

- Dobrze, że chociaż łapiecie myszy. Te ptaki są za szybkie, człowiek nawet nie nadąży za nimi wzrokiem, nie dostrzeże żadnego pojedynczo... Jedna chmara, jak muchy, jak szarańcza... Szum i krzyk - powiedziała ciszej Gospodyni, podnosząc obrażoną kotkę z podłogi i sadzając ją sobie na kolana. - Dobrze, że łapiecie myszy.

Sprawiała wrażenie oszczędnej domowej gospodyni. Kiedy przychodziła na rynek, pieszo, w prostych, wygodnych butach na płaskim obcasie, zachowywała się jak jedna z miejscowych kobiet. Była nawet... tak, była skromna i dość nieśmiała, nie targowała się jak inne. Spędzała sporo czasu na porównywaniu cen na różnych straganach, jednak dokonawszy wyboru, grzecznie płaciła sprzedawcy sumę, której zażądał. Odzywała się wyjątkowo cicho, jakby wstydziła się tego, że musi sama robić zakupy.

Nie rozumieliśmy tego skrzepowania. Wiadomo było, że jej dom musi sporo kosztować, natomiast ceny żywności były wspólnym problemem nas wszystkich. Jedzenie nieustannie drożało, a działo się tak z winy turystów, których z roku na rok więcej pojawiało się na naszej wyspie. Wprawdzie większość przyjezdnych korzystała z pełnego utrzymania w hotelach, które jak uporczywe chwasty zarastały kolejne fragmenty wybrzeża, jednak ceny na wyspie i tak szły bezlitośnie w górę. Nie miał znaczenia fakt, że żaden z turystów nie zaglądał nawet do naszych sklepów, a jeśli już zaplątał się na rynek, to jedynie w poszukiwaniu pamiątek z wakacji. Za wzrost cen żywności odpowiedzialni byli zaopatrzeniowcy gigantycznych kuchni, w których dla tych turystów gotowano - w nieuzasadnionych ilościach, z przepychem, w niemoralnie obfitym wyborze. To oni kupowali najwięcej i bez mrugnięcia powieką regulowali rachunki nieswoimi pieniędzmi.

Patrzącemu na nią, ocierającą się na rynku o inne, podobne do niej kobiety z koszami, mogło się wydawać, że woli nie wydawać pieniędzy na ubrania i zadowala się starymi rzeczami z szafy. Oraz że nie kupuje kosmetyków. Na jej twarzy nie było śladu makijażu, przez co mogła przypominać konserwatywną mieszkankę wyspy - jedną ze starszych, ponieważ młodsze mocno się malowały - natomiast zapach, który przynosiła ze sobą na rynek, zdradzał użycie szarego

mydła. Mówiono zresztą, że kupuje je w ogromnych ilościach, jakby poza nim nie uznawała innych środków czystości. Tak właśnie wyglądała i tak określiłby ktoś niedokładnie ją znający - nieskomplikowana, schludna, wymyta prostym mydłem.

Przywiązywała natomiast wielką wagę do dobrego i zdrowego jedzenia. Kupowała tylko najświeższe i wartościowe produkty - tak dla ludzi, jak i dla zwierząt - i nawet jeśli starała się kupować tanio, właśnie żywność pochłaniała lwią część jej dochodów. Na niewiele zdawała się oszczędność, w imię której pokonywała długą drogę na rynek w miasteczku, zbyt odległy dla leniwych turystów, dzięki czemu tańszy. A może po prostu znajdowała w tym pewną przyjemność... Przyglądaliśmy się jej uważnie, kiedy do domu na piaszczystym wybrzeżu wносиła świeże owoce, warzywa, mięso i ryby. Byliśmy ciekawi, co z nimi robi, w jakie potrawy przemienia oraz dla kogo właściwie pieczołowicie przechowuje je w chłodzie.

Po przeciwnej stronie wyspy istniał niegdyś inny dom, cały z kamieni, które ktoś pracowicie poukładał jeden na drugim i połączył zaprawą, kruszącą się później dostojnie, w rytm mijających pór letnich i zimowych. Wyburzono go brutalnie, nie pierwszy i nie ostatni, jako przestarzałą pamiątkę kłopotliwej historii.

Ludzie zdzierający ślady tego domu z powierzchni wyspy przygotowali się na kłopotliwą rozbiórkę, jednak nie na problemy z dachem, który, zmęczony wiatrami i powiewem niosącym sól z morza, trzymał się tylko resztką nadwyrężonych sił. Jego rozpaczliwe trwanie było jedynym głosem troski o zadomowione wśród desek i wikliny ptaki. Jednak burzący dom robotnicy nie przejmowali się ptakami w miejscu dawno opuszczonym przez ludzi. Zerwanie dachu było dla nich przyjemną przygrywką przed rozwaleniem ścian, które mimo sędziwego wieku nie zamierzały ustąpić bez walki. Kiedy uległy, na zawsze zniknął z wyspy kolejny pozbawiony szans na przeżycie dom, skazany na ustąpienie miejsca błyszczącym hotelom dla przybyszów z kontynentu. „Bo kto to widział - stwierdzili zagraniczni inwestorzy - chałupinka na takiej przestrzeni? Marnuje się najlepszy teren budowlany nad samym morzem”.

Policzyli, że miejsca zajmowanego niegdyś przez jedną wyspiar-ską rodzinę wystarczy na sporą turystyczną społeczność. Przybysze zapełnią pokoje, bary, lobby i restauracje, leżaki na plaży i basen ze słodką wodą. Zapłacą za szum morza, oszałamiającą piaskową przestrzeń oraz, chcąc nie chcąc, za specjalność wyspy - szelest ptasich skrzydeł.

Dla Gospodyni najważniejszym miejscem w domu była przestron-na kuchnia z zamarłym kominem i niewielkimi oknami w drewnianych framugach. Były zasłonięte białymi, płóciennymi firankami, uszytymi własnoręcznie, podobnie jak poduszki na stare wyplatane krzesła pamiętające poprzedni wiek. Pochodziły z rynku, dokąd zawieziono je hurtem niespełna kilka godzin przed wyburzeniem kamiennego domu, i należały kiedyś do mieszkających w nim ludzi. Wiedziała o nich, że mieli dwie izby dla siebie oraz jedną dla kozy i krowy. Spali na poddaszu, do którego wdrapywali się po drabinie, a kiedy najstarszy z rodziny - nazywał się Luiz - stracił władzę w nogach, dzieci przygotowały mu legowisko w pobliżu komina. Mówiono, że na noc wkradał się do domu jego pies, który, zaniedbując swoje obowiązki pilnowania domostwa, po kryjomu grzał swoim ciałem znieruchomiałe nogi chorego. Wymykał się przed świtem, unikając ciosów pogrzebacza, a najstarszy syn przyłapał go na lenistwie tylko jeden jedyny raz, o poranku, kiedy ptaki krzyczały jakby głośniejsz niż zwykle, a stary Luiz mimo nawoływań nie otwierał już swych przymglonych kataraktą oczu.

Stół i krzesła Gospodyni odkupiła na rynku od wnuka Luiza, bez targów, ponieważ nie zażądał wygórowanej ceny. Chciał jak najszybciej pozbyć się dobytku i, zaokrągliwszy kwotę uzyskaną ze sprzedaży domu i ziemi, ostatecznie wynieść się z wyspy. Zadowolony dołożył jej w prezencie nieszczelne drewniane wiadro, archaiczne w czasach, gdy tylko nieliczni wyspiarze zmuszeni byli czerpać wodę ze studni. Relikt przeszłości stanął w kuchni Gospodyni, przydatny do przechowywania szczap drewna, którymi od nastania jesiennych chłódów rozpalala ogień w kominie. Z drewnem na opał obchodziła się niemal tak oszczędnie, jak z jedzeniem, gdyż było cennym surowcem na wyspie skąpo obrośniętej przez

drzewa, które rosły na niej niechętnie niczym na pustyni. Teraz, w lecie, szczapy w drewnianym wiadrze nie były niczym innym jak dekoracją na tle drewnianej podłogi, surowo bielonych ścian, starych mebli oraz wielkiego komina z pogrzebaczem. Zdawały się ich nie widzieć - komina oraz broni, mającej za zadanie wepchnąć je w ogień w godzinę śmierci.

Całopalenie miało jednak nastąpić nie wcześniej niż przed upływem wielu ciepłych miesięcy.

- A czy wy w ogóle wiecie, jak się żyje innym zwierzętom na wyspie? - Gospodyni, rozbawiona podnieceniem zwierząt śledzących wzrokiem każdy ruch jej dłoni, wypakowywała zakupy z kosza. - Pamiętacie jeszcze, że psy są trzymane na łańcuchu, a koty jedzą tylko to, co uda im się upolować?

Zajęte oczekiwaniem na posiłek Lili i Pirat lekcewały jej zagadywanie, za co jak zwykle nie miała do nich żalu. Odniosła natomiast wrażenie, że psy, zwłaszcza Donna i Tatu, z szacunkiem przysłuchują się jej słowom. Rozciągnięty na podłodze stary Leo leniwie otworzył oczy - był tym z jej słuchaczy, który wysłuchiwał najwięcej jej historyjek.

- Ludzie w miasteczku na pewno nie są całkowicie źli, ale chyba nikt im nigdy nie wytłumaczył, że powinni lepiej traktować swoje zwierzęta...

Gospodyni przerwała rozpakowywanie i pochyliła się, by pogłaskać łeb najstarszego psa.

- Nie wystawiają psom wody i karmią je rzadko, bo uważają, że tylko głodny pies jest odpowiednio groźny. I dopiero wtedy może odpowiednio bronić domu. A przecież ty też umiałbyś obronić dom, prawda, Leo?

Tatu poruszył się niespokojnie, a zazdrosna Donna wydała z siebie stłumiony dźwięk.

- Wiem, wiem - uspokoiła je Gospodyni. - Wszystkie to umiecie. I to o wiele lepiej niż tamte zabiedzone stworzenia, które robią to z głodu i ze złości. Wcale nie chciałabym mieć psa, który ślepo rzucałby się na każdego, kto przechodzi obok. Wolę, że jesteście szczęśliwe i pilnujecie swojego domu z miłości.

KOBIETY Z PTASICH WYSP

Przygotowywanie rosółu było prawdziwą ceremonią, którą odprawiała w asyście kotów cicho snujących się w bliskości jej nóg i wspierana czujnością psów warujących na progu. Zaczynała przygotowywaniem naczyń oraz noży, potem formowała na stole równą tyralierę z zakupionych produktów oraz magazynowanych w domu dodatków. W języku francuskich kucharzy czynność ta nazywała się *mise en place* i nawet jeśli dotyczyła przedsięwzięć daleko poważniejszych niż gotowanie kurczaka, Gospodyni skrupulatnie stosowała się do jej zasad.

Kiedy wszystkie potrzebne sprzęty i produkty znalazły się na ustalonych miejscach, Gospodyni zaczęła oprawiać kurczaka. Pozbawiwszy go skóry i wyczyściwszy, oddała wnętrzności kotom, które, dopuszczone do uczyty, spożywały okrawki, dzieląc się sprawiedliwie. Były łakome, lecz ani na chwilę nie traciły swej niespiesznej, kociej elegancji. Nacieszywszy się ich widokiem, Gospodyni zanurzyła kurczaka w osolonej wodzie i zajęła się obieraniem warzyw. Oczyściwszy marchew, pietruszkę, seler, por i młode ziemniaki, włożyła je do wrzącej wody, dołożyła kurczaka oraz liście magi, jedynego zioła, które trzymała w doniczce na parapecie. Po wszystkie inne chodziła do ogrodu, pachnącego szaławą i lawendą, miętą i tymiankiem, rozmarynem i koriandrem. Rosły w nim także szumiące laurowe liście, zamasyżście przysłaniając całą południową ścianę domu i chroniąc ją od słońca. Ze wszystkich roślin Gospodyni to one najmniej robiły sobie z upału, kwitnąc tak obficie, że liści z jednego krzaka starczyłoby na przyprawienie zupy dla wszystkich mieszkańców Ptasich Wysp.

Flegmatyczne pykanie rosółu w garnku rozleniwiło koty, jednak nie Gospodynię, która wyszła na taras i zawołała psy, cierpliwie czekające na swoją kolej. Wystawiła im miski z jedzeniem, którym zajęły się hałaśliwie, inaczej niż Lili i Pirat, bezgłośnie spożywający swoje kąski. Na Gospodynię czekała kolejna praca - przygotowanie *empanadas*, jednak już bez kręcących się pod nogami kotów, które rozczarował zapach bezmięsnego ciasta oraz ostro przyprawionego nadzienia. Najedzona kocia para poszukała sobie miejsca do snu na podłodze i zajęła największą plamę słońca, które pomimo licz-

nych przeszkód uparcie wlewało się do wnętrza domu. Niezrażona niewdzięcznością Lili i Pirata Gospodyni nadal tłumaczyła im swoje gotowanie:

- Trzeba długo lepić ciasto, moje kociaki, aż pojawią się pęcherzyki powietrza - opowiadała zwierzętom, podczas gdy jej szczupłe ramiona obieliła mąka, a wysokie czoło oszroniło się kropelkami potu. - A potem wałkować, aż stanie się prawie przezroczyste. Musi być delikatne, jednak mocne, aby porządnie trzymało nadzienie i się nie rozgotowało. Potrzebuje soli i troszkę wody. Gotowe. Teraz musi poczekać.

Nie słuchały jej już ani koty, ani nawet psy, które - zaspokoivszy na krótko swój nienasycony głód - na dobre zniknęły z tarasu. Powróciły do swoich psich przyzwyczajzeń: Tatu położył się na progu domu, Leo zajął pozycję wartowniczą przy płocie, natomiast pracowita Donna, niedowierzająca nikomu jak przesadnie odpowiedzialna zarządczyni, wykonała kontrolną rundę pomiędzy nimi dwoma. Oddalwszy się w końcu i umościwszy w piasku przy wejściowej furtce, raz za razem budziła się z płytkiego snu i unosiła głowę rytmicznie, sprawdzając, czy nie dzieje się nic złego.

Poszatkowawszy pomidory, cebulę, paprykę i cukinię, Gospodyni ułożyła je w niewielkim garnuszku i zalała gorącą wodą. Po odparowaniu podlała nadzienie oliwą, wcisnęła czosnek oraz dodała świeżo pokrojone liście koriandru. Posoliła, jeszcze raz nawilżyła oliwą i, zadowolona z siebie, zestawiła naczynie z ognia.

- Niech wystygnie - wyjaśniła drzemiącym nieopodal kotom. - Żeby nie poparzyło mi ciasta. Ja tymczasem zrobię sos. Wiem, że wam by nie smakował, kociaki. Nawet Donna by go nie ruszyła, taki ostry. Ani Tatu, choć jeszcze niedawno chciał pożerać wszystko, włącznie z wami.

Kiedy wszystko było już gotowe, Gospodyni wyciągnęła spod stołu inny kosz. Był wiklinowy, o szerokiej podstawie, zamykany okrągłą przykrywką; choć niewygodny do noszenia, najlepiej mieściły się w nim naczynia. Gospodyni wstawiła do niego termos z przelanym z garnka rosółem, miskę z faserowanymi *empanadas*, dzbanuszek z ziołowym sosem do polania oraz zawinięty w płócienną serwetkę

świeży owczy ser. Umocowawszy wszystko bezpiecznie, dopełniła zawartość kłścią fioletowych winogron, a przed zamknięciem pokrywki dołożyła jeszcze czerwony lizak w kształcie serca.

Przed staroświeckim lustrem starannie przeczesła swe jasne, ściągnięte w koński ogon włosy i ostatni raz poprawiła kołnierzyk bawełnianej bluzki. Powróciła do kuchni, zabrała kosz ze stołu i opuściła dom. Koty, które łagodnie przegoniła na taras, pożegnały ją leniwym miauknięciem, natomiast wszystkie trzy psy odprowadziły ją do bramy i zostały tam tak długo, aż zniknęła na zakurzonej drodze prowadzącej do jedyne go w okolicy przystanku autobusu kursującego do miasteczka.

3.

Zabierając się za coś, co wbiła sobie do głowy, potrafiła być nieprawdopodobnie zacięta i zdeterminowana. Wdawała się w walkę, stosując środki, na które nie zdobyłby się żaden z nas, i nie liczyła się z nikim. Sięgała po broń, twierdząc, że robi to w naszej sprawie, jednak nigdy nie pytała nas o zdanie. Niezadowoleni twierdzili: „Robi to, bo jest obca”... To, iż znała dobrze nas wszystkich i żyła wśród nas dostatecznie długo, by nawet starzy ludzie zwracali się do niej po imieniu, przestawało odgrywać jakąkolwiek rolę. Nawet to, że uczyła nasze dzieci. „Potrzebujemy jej” - mówili ci, którzy stali po jej stronie.

Nasza wyspa nie kształciła podobnych do niej ludzi - nauczycieli, lekarzy, aptekarzy... Co najwyżej od czasu do czasu któryś z chłopaków zostawał wyświęcony na księdza. Wszyscy inni - ci, których określa się mianem inteligencji - zawsze przybywali do nas z kontynentu po to, abyśmy nie zapadli się ostatecznie w piasek naszej alienacji i zacofania... Przyjmowaliśmy ich, naszych niby-dobroczyńców, z konieczności, nie rezygnując jednak z naszej złości na świat, który ich nam podsyłał. To nic, że nasze antypatie były przesadzone, to nic, że kiepsko usiłowaliśmy je uwiarygodnić. Wiedzieliśmy, że bazują na naszych kompleksach.

Bo my chcieliśmy żyć u siebie, czyli tak, jak przyzwyczailiśmy się żyć, jednak w ulepszonej wersji - wyposażeni w wygody, ułatwienia i przyjemności wypracowane przez tamten inny, zamorski świat. Według ogólnej, choć niewypowiedzianej opinii, wszystko to powinniśmy otrzymywać za darmo, jak paczki z organizacji charytatywnej, bez żądania zapłaty czy obowiązku wywiązywania się z czegokolwiek.

Ona jedna miała inne zdanie i manifestowała je w bardzo męczący sposób. Głosiła mianowicie, że jeśli potrzebujemy od kontynentu owoców jego rozwoju, powinniśmy sprowadzać je według zamówienia. Uczciwy eksport-import, pertraktowany i wyceniany w międzynarodowej walucie. Potrafiła bez końca mówić o sprawiedliwości i rzetelnej wymianie dóbr, a także o tym, że Ptasię Wyspy mają nie mniej do zaoferowania światu niż świat może ofiarować nam.

Swoją naiwnością potrafiła nas rozśmieszyć.

Podręcznik francuskiego z hukiem pofrunął na podłogę. Pobladła z nieopanowanej wściekłości dołożyła mu dodatkowego kopniaka, przypadkiem, ponieważ miał pecha wylądować na jej drodze od katedry do pierwszego rzędu ławek.

- Co pan powiedział? Proszę to jeszcze raz powtórzyć. Głośno!

- Nie mam zamiaru pisać testu w przyszły poniedziałek, pani Nauczycielko - z arogancką uprzejmością oświadczył zapytany mężczyzna. - W imieniu klasy proponuję, by przełożyła go pani o dwa tygodnie.

Wzniósła do góry obie ręce - jej pięści były zaciśnięte w dwie nabrzmiące żyłami kule.

- W imieniu klasy! Świetnie to brzmi, naprawdę! Czyż dwie trzecie tej grupy to nie są przypadkiem pańscy podwładni?!

- Przecież nie w klasie... - zaśmiał się wysoki brunet, bawiąc się jej wściekłością. - Tu wszyscy jesteśmy tylko pani uczniami, Madame.

- Właśnie! - zawołała Nauczycielka. - I jako uczniowie jesteście państwo zobowiązani pisać test, kiedy ja uznam to za stosowne! Jak wszystkim wiadomo, test ten jest konieczny do zamknięcia zrealizowanej partii programu, jest też niezwykle ważny dla większości kursantów, ponieważ oni - zapewne w przeciwieństwie do pana, panie Soriano - zostali zobowiązani do ukończenia tego kursu, konkretnie przez swoich pracodawców. Oni muszą to zrobić, rozumie pan?

W pozbawionej klimatyzacji sali starego budynku było gorąco. Jeszcze nikt nie otworzył okien, co zwykle następowało po około

dwudziestu minutach, gdy w klasie zaczynało brakować powietrza. Jego powiew zza okna przynosił wówczas pewną ulgę, jednak również falę hałasu, który zmuszał uczniów do podwyższonej koncentracji, a Nauczycielkę do głośniejszego mówienia.

- Czy pani również chce przełożyć test? - gwałtownie stanęła przed tęgą kursantką zajmującą miejsce w rzędzie pod ścianą.

- J a ? - przestraszyła się dziewczyna i obejrzała do tyłu, jakby szukała pomocy.

- T a k , pani! Pan Soriano twierdzi, że przemawia w imieniu całej klasy!

Twarz dziewczyny oblała się krwistym rumieńcem, a ona sama skuliła się w sobie, nie tracąc przy tym wiele z objętości swego okazałego ciała.

- Właściwie jest mi obojętne, kiedy będzie test - wyszeptała niepewnie, udając, że nie zauważa kpiącego spojrzenia przedmówcy. - Za tydzień czy dwa tygodnie...

- Albo za trzy, albo za miesiąc, prawda? - wpadła jej w słowo Nauczycielka, odrzucając głowę do tyłu. - Równie obojętne jest pani to, czy i kiedy dostanie pani obiecywaną podwyżkę?

Kursantka spuściła głowę, aż jej okrągły podbródek wtopił się w powałkowaną linię, którą rozpoczynały różowo umalowane, z przerażenia otwarte usta, a kończył wyeksponowany niezdarne z kwiecistej sukienki dekolt. Tworzyła smutną bryłę, zbyt wielka za starym stolikiem z metalowymi nogami, przyciężka na plastikowe krzesło, przesadnie kolorowa na tle odrapanych ścian. Choć zbliżała się do trzydziestki, nadal jak dziecko mieszkała z rodzicami, siostrami i braćmi, jak ojciec rodziny zarabiając na wszystkich.

- A pan, panie Rosa? - Nauczycielka skierowała oskarżycielski palec na chłopaka z przylizanymi do tyłu kruczoczarnymi włosami. - Czy i panu jest obojętne, że jeśli w porę nie uzyska pan zaświadczenia o zaliczeniu kursu, pański pracodawca nie przedłuży panu okresu próbnego?

Siedzący pod oknem chłopak długo wytrzymał jej spojrzenie i, udając pewność siebie, wyciągnął pod stolikiem swe zbyt długie nogi w niezasnuowanych, o półtora numeru za dużych adidasach. Przez

cały czas poruszał mimowolnie stopami, ciesząc się ze swobody palców, na co dzień ściśniętych zamkniętymi półbutami. Czekwały już na niego w domu, wyczyszczone przez matkę, która czarną pastą cierpliwie zasmarowywała załamania na powierzchni skóry. Nawet jeśli służbowe buty dawno utraciły pierwotną sztywność i po setkach godzin kursowania po hotelowej restauracji zdążyły upodobnić się do rozdeptanych kapci, nadal skutecznie paliły stopy Manuela Rosy, wzbogacając je o coraz to nowe pęcherze.

- No, panie Rosa! - niecierpliwa Nauczycielka przypomniała o swojej obecności.

On jednak nie pozwolił się sprowokować; miesiące spędzone na usługiwaniu kapryśnym hotelowym gościom nauczyły go zastrzymywania na końcu języka każdej odpowiedzi, która mogłaby zabrzmieć inaczej niż „Tak, proszę pana” czy „Naturalnie, proszę pani. Do usług”.

- Madame - odpowiedział jej uprzejmie.

Manuel Rosa odwrócił wzrok w kierunku ziejącego upałem okna. Nie był dumny z siebie oraz ze sposobu ucieczki przed szyderczym wzrokiem Adama Soriano. Nie zamierzał jednak wdawać się w nie-swoje wojny, a w utarczkach, które go nie dotyczyły, stawać po niewłaściwej stronie. Nie widział w tym żadnych korzyści, a jedynym, co mogłoby skłonić go do opowiedzenia się w czyjeś przegranej sprawie, byłoby zagrożenie i słabość kobiety. Jednak Nauczycielka z całą pewnością nie była słabą kobietą. I nic poważnego chwilowo jej nie zagrażało, zresztą i tak wszystko, w co się pakowała, odbywało się na jej życzenie i wynikało z jej braku rozsądku. Poza tym Manuel nie wiedział nawet, czy ją lubi.

Na razie wydawało mu się, że nie.

W swojej szkole - właściwie była to państwowa szkoła, tak jak ona była państwową nauczycielką - organizowała różne rzeczy. Spotkania z przyjezdnymi artystami, wykłady, sprzedaż książek z biblioteki, konkursy czytania i deklamowania wierszy. Zwykle nikt nie chciał brać w tym udziału, jedynie jej uczniowie dawali się namówić, zawsze niechętnie, raczej po to, by się jej przypodobać. Albo ponieważ nie mieli serca jej odmówić...

Trudno powiedzieć, co za tym wszystkim stało. Miała dziwne relacje z uczniami, jednak wiadomo było, że są dla niej ważni. Sprowadzała dla nich książki, a dla szkoły załatwiła używaną kopiarkę. Korzystała z pomocy jakichś przyjaciół - często również nauczycieli - z kontynentu. Dziwiliśmy się głośno, trochę z pozy, a trochę z zazdrości, że gdzieś na świecie, z dala od nas, ma oddanych sobie ludzi.

Złośliwie uśmiechnięty Adam Soriano rozpierał się na szkolnym krześle, jakby sposobem używania awansował je na obrotowy fotel szefa. Był menedżerem, który nie poczuwał się do obowiązku szanowania nieswoich sprzętów i nie była to jedyna rzecz, która odróżniała go od pozostałych kursantów, w tym pielęgnującego swe służbowe buty Manuela Rosy.

- Wszystko wskazuje na to, że tracę czas - stwierdziła ostro Nauczycielka głosem, który odmawiał powrotu w spokojne rejestry.
- Skończmy więc temat na tym, że nie odwołuję testu. - Odwróciła się i poszła w stronę katedry. Wzięła z niej kredę i stanęła przed wiekową tablicą. Przybrała wyczekującą pozę, lecz mimo całej swej udrapowanej ostentacji nie potrafiła pozbyć się zdenerwowania.
- W związku z nim całe dzisiejsze zajęcia poświęcimy na powtórkę. Kursantów proszę o podanie mi tematów, które ciągle jeszcze sprawiają problemy.

Kreda, którą ścisnęła w palcach, kruszyła się i osypywała na jej spódnicę. Zauważywszy to, Nauczycielka ni z tego, ni z owego przypomniała sobie dobrych znajomych z kontynentu, jak ona nauczycieli. Opowiadali jej o swojej pracy: „Już rzadko kto posługuje się kredą - usłyszała - czarne tablice nadają się tylko do muzeum”. Nie mogła uwierzyć w marnotrawstwo pisania kosztownymi pisakami po plastikowej tablicy.

- Zacznijmy od gramatyki - oświadczyła głośniejszym głosem niż należało.

W jej przypadku kreda, pozostawiająca po sobie tylko lekki pył, była znacznie praktyczniejsza. „Wystarczy, że się otrzępię - wyjaśniła zaprzyjaźnionym nauczycielom - natomiast płamy z waszych pisaków zostałyby na mnie do końca życia”.

- Pan Soriano zaczyna.

Jednak trudny kursant wcale nie miał ochoty na powtórkę francuskiej gramatyki. Uniósł się z krzesła, odsuwając je tak hałaśliwie, że gdyby nie wąska przestrzeń między stolikami w rzędach, przewróciłoby się na podłogę. Plastikowy sprzęt oparł się o stojący z tyłu stół i wystawił przed siebie przednie nogi jak wychudzony, wierzgający żrebak. Zasłużył tym sobie na kopniaka, który choć dyskretniejszy od wymierzonego przez Nauczycielkę książeczce, był z pewnością celniejszy.

- Słucham pana - skomentowała pantomimę Nauczycielka, z ambiwalentną satysfakcją rejestrując przerwę w dopływie zimnej krwi u nielubianego ucznia. - Pańskie pytania.

Jednak on, zmiółszy z drogi przeszkodę, tylko na chwilę zatrzymał się przy stoliku, z którego zgarnął swą nieotwartą teczkę.

- Tak bardzo zajęliśmy się przesuwaniem testu, że zapomniałem o innych ważnych sprawach - oświadczył, patrząc jej prosto w oczy. - Niestety, muszę już iść.

Ruszył wąskim przejściem między rzędami, jakby szedł do tablicy, już nie uczeń, lecz zblazowany wizytator, który w połowie pokazowej lekcji aktywnie wyraża dezaprobatę. Pięć kroków przed katedrą, a zaledwie trzy przed miejscem, w którym czekała Nauczycielka, zatrzymał się w wyreżyserowanej pozie zawahania. Rzuciwszy ostatnie, ociekające kpinaż pożegnalne spojrzenie, niczym zręczny tancerz wykonał półobrót w kierunku drzwi - w napiętej ciszy był jedynym, który podczas trwania scenki nieźle się bawił - i wyszedł z sali, nawet się nie żegnając.

Dopiero gdy zamknęły się za nim drzwi, zwyczajnie i nie przesadnie głośno, ktoś z sali wstał i otworzył okno. Jak spiętrzona woda wlał się przez nie hałas, w którym odgłosy ulicy mieszały się z krzykiem ptaków zamieszkujących jedyne w okolicy stare drzewo. Obserwowana przez wszystkich Nauczycielka ocknęła się nagle, jakby ptasi wrzask spełnił funkcję gongu przywołującego ją do porządku. Nie wypuszczając z dłoni zduszonego do połowy objętości kawałka kredy, podbiegła do drzwi i wypadła na korytarz.

- Stop! - krzyknęła w ślad za odchodzącym mężczyzną. - Jeszcze nie skończyliśmy, panie Soriano!

Kiedys próbowała urządzać występy poświęcone miejscowej sztuce. Naszej... kulturze. Na początek zaprosiła gitarzystów, chłopaków, którzy właściwie chcieli zrobić karierę jako grupa rockowa, jednak, nie mając dość pieniędzy na komplet instrumentów i potrzebną oprawę, zarabiali ludowymi kawałkami granymi po hotelach. Mieli w repertuarze nie tylko muzykę z wyspy, ale właściwie wszystko, co mogło się podobać: obok *La cucaracha* lub *Para ballar la bamba* grali *O sole mio*, a nawet *My heart will go on*.

Na występy u Nauczycielki przewidziane było tylko to, co sami skomponowali. Kapeli miały towarzyszyć dziewczyny tańczące flamenco.

Adam Soriano zatrzymał się, choć dotarł do końca korytarza i sięgał już dłonią po klamkę u drzwi wejściowych. Wiedziała, że na nią czekał; oddalony o wiele metrów i odwrócony tyłem, cieszył się z sytuacji, która zmuszała ją do widoku jego obraźliwie szerokich pleców.

- Uważa pan, że wolno panu wychodzić z zajęć, kiedy się panu spodoba?

Okręcił się leniwie w jej stronę i w mrocznym korytarzu uwolnił twarz od nienaturalnego uśmiechu, którym dopiero co okraszał pyskówkę w klasie wypełnionej podwładnymi.

- O tak - odpowiedział arogancko - dokładnie tak uważam.

Znowu mimowolnie zacisnęła pięści, co zauważył z satysfakcją, nie zamierzając pozwolić jej dojść do głosu.

- Będę wychodził z tego kursu, ilekroć przyjdzie mi na to ochota. Gdybym jednak miał wychodzić, bo coś mi się nie podoba, musiałbym to robić za każdym razem, kiedy pani pojawia się w drzwiach, *seniora* - oświadczył uniesionym głosem.

W końcu mógł pozwolić sobie na szczerość - w dwuosobowej, bezpośredniej rozgrywce wolno mu było zrzucić z siebie rolę ironizującego twarziela z Hollywoodu.

- Bo to pani podoba mi się najmniej z wszystkiego! Jest pani żaloszna, pani nauczycielko, w tej swojej zaciekłości, z tym skrzeczącym, wściekłym głosem i francuskim akcentem, z wszystkimi pani pseudozasadami! Za kogo się pani uważa? Chce pani bronić tych ludzi przede

mną, bo jestem ich szefem? Więcej od nich zarabiam? Takie są reguły, pani nauczycielko: pies, który biegnie na przedzie, dostaje więcej jedzenia niż wszystkie biegnące z tyłu razem wzięte! I nikt nie musi go lubić, wystarczy, że będą mu zazdrościć, bać się i go naśladować.

- Jeśli chodzi o porównanie z psem... - spróbowała wpaść mu w zdanie, jednak bez powodzenia.

- Nic mnie nie obchodzą ich okresy próbne, mam gdzieś ich podwyżki. Dla mnie kończenie kolejnych kursów to rozrywka, wypełnianie teczki osobowej, udowadnianie moim szefom, że jestem świetny, rozwojowy, otwarty! Wcale nie muszę tego robić i nikt mnie nie rozlicza. Dlatego też mam gdzieś pani testy!

Wyrzucał z ust kolejne, nawilżone lepką śliną słowa, każde z nich odrobinę głośniej. Wpatrywała się w niego skrupulatnie, jakby był robakiem, który staje się coraz mniejszy. Jej oczy przypominały obiektyw przykręcony do lufy karabin snajpera, z krzyżykiem pośrodku.

- A ja mam gdzieś pana - wyrzuciła w końcu z siebie. Była pełna rozsierdzonej ulgi. - I może mi pan wierzyć, zamiast robić te cholerne francuskie testy z ludźmi, którymi pan tak pogardza, zamiast w ogóle uczyć ich obcego języka, ja również wolałabym skupić się na tym, jaka jestem świetna, rozwojowa i otwarta.

- Mógłbym rozejrzeć się za czymś dla pani - zaproponował ze skwapliwym szyderstwem.

- To doprawdy uprzejme z pana strony...

Zadarła do góry podbródek.

- Ja jednak pozostanę przy tym, co robię. Tyle tylko, że muszę zacząć się lepiej starać.

- Jestem tego samego zdania.

- Powinam mianowicie nauczyć tych ludzi - oprócz, oczywiście, języka francuskiego - jak postępować z takimi gnojkami jak pan!

Z tamtych pracowicie przez nią zaplanowanych występów muzyczno-tanecznych nic oszałamiającego nie wyszło.

Udało się jej namówić na ten wieczór wielu uczniów, którzy aby sprawić jej przyjemność, przyprowadzili nawet swoje rodziny. Ucieszyła się na ich widok, jakby zapowiadała wspólną fiestę obok części oficjalnej. Jednak to nie wystarczyło; publiczność nie

dopisała na miarę jej wyobrażeń i prócz uczniów oraz rodzin artystów niewielu miejscowych mogło docenić jej trudy. Byliśmy tym cokolwiek zażenowani, zwłaszcza jej siedząca w pierwszym rzędzie przyjaciółka, która zdobyła się nawet na przyniesienie kwiatów - co naprawdę nie należało do naszych obyczajów... Wszystko wypadło jakoś blado i ponuro.

Próbowaliśmy jej potem tłumaczyć, że miejscem dla tańców i śpiewów nie jest odrapany szkolny budynek, że my lubimy je na placu, na ulicy... Albo w lokalu, jednak jednym z naszych, w gospodzie, w barze lub jednej z *bodegas*, bez wystylizowanych dla turystów bzdur. Nasi artyści nie potrzebują sceny, bo jak my lubią czuć się wzajemnie, wachać się, dotykać. Włączać się do tańca, wspólnie śpiewać. Najlepiej pod gołym niebem.

Jednak ona nas nie zrozumiała. Nawet skrajnie nami rozczarowana nie zmieniła zdania i nadal nalegała, byśmy robili to w jej szkole.

4.

Nigdy nie przestała żałować czasów, w których ludzi szlachetnie urodzonych odgradzała od pospólstwa naturalna, zdrowa granica. Jedynymi, z którymi utrzymywano wówczas bezpośredni kontakt, byli służący.

Dla jej babki, doni Isabel Vaca y Peralta - Celeście wolno było nazywać ją Abuelą¹ - posiadanie służby było czymś zwyczajnym. Jej służebna nigdy nie odstępowała jej na krok i kładła się do snu w nogach łóżka dopiero wówczas, gdy chlebobawczyni spokojnie zasnęła. Celesta wysłuchiwała wielu zabawnych historyjek o często wymienianych służących kapryśnej doni Isabel; w jej świecie rozbudowana hierarchia przynależności była rzeczą tak naturalną, jak wznoszenie domu na silnych fundamentach i przykrywanie go solidnym dachem.

Nieodpowiednią rzeczą były natomiast eksperymenty i to nie tylko te dotyczące doboru służby, ale także kontaktów z wszystkimi innymi ludźmi.

Na honorowym miejscu w *castillo* wisiał niegdyś portret Abueli; wraz z ciężką, złożoną ramą przykrywał niemal całą ścianę na półpiętrze i natychmiast rzucał się w oczy każdemu, kto przekroczył próg domu. Królująca na nim dona Isabel Vaca y Peralta ma dopiero dwadzieścia lat i właśnie poślubiła dziadka Celesty, kapitana Felipe Reyes de Lausana. Wyznała wnuczce, że w czasie pozowania nosiła już w łonie jej ojca, swego jedynego i ubóstwianego syna, kawalera Ernesta Juana Reyes y Peralta². Kiedy się urodził, miał długie, czarne

¹ Babcia.

² Hiszpańskie nazwiska składają się z dwóch elementów - jednym jest pierwszy element nazwiska ojca, drugim - drugi człon nazwiska matki.

jak skrzydło kruka włosy, ku rozpaczy doni Isabel, która ubolewała, że podobieństwo do ojca przedłożył ponad złote loki matki. Były one bezcenną rzadkością wśród mieszkańców wyspy i dopiero przyjsie na świat Celesty - jej matka pochodziła ze skromniejszego, francuskiego rodu Boyer - przywróciło Abueli nadzieję w to, że jasne włosy nie zaginą w jej rodzinie przywiązującej znaczenie do rzeczy odróżniających ją od pospólstwa.

Któregoś lata - Celesta nie pamięta dokładnie, czy wydarzyło się to w tym samym roku, w którym Korsarz odpłynął z wyspy - w *castillo* stały się konieczne pewne zmiany polegające na przestawieniu mebli, spakowaniu niepotrzebnych rzeczy, pozbyciu się kilku sprzętów oraz odmalowaniu sieni. Portret Abueli przeniesiono wówczas do spokojnego, narożnego pokoju na piętrze, tak jak z pewnością życzyłaby sobie dama unikająca kontaktów z ludźmi niskiego pochodzenia. Przeprowadzka uchroniła ją od spojrzeń prostych mężczyzn, którzy, wchodząc do domu, nie ściągają kapelusza, a także od patrzenia na ich nieszczęśliwe kobiety, zmuszone przez los do zarabiania na życie pracą.

Wieczorami Celesta przechadza się po domu. W tajemniczej porze umykania dnia i nastawania nocy pogrąża się w rozmyślaniach, którym sprzyja pokonywanie schodów, odkrywanie korytarzy i krużganków, przypominanie sobie kształtu wysokich okien. Jedynym dźwiękiem, który towarzyszy jej w przechadzce, jest szum brokatowej sukni z trenem, postępującym za Celesta wiernie jak oddany kamerdyner. Czasami wyobraża sobie nawet, że, odwróciwszy się, napotka jego usługowe spojrzenie.

Swoją babkę odwiedza niemal każdego wieczoru. W jej oczach dona Isabel pozostała zjawiskowo piękną damą z portretu i nawet jeśli przybyło jej lat, a złote włosy utraciły blask na rzecz spopieliałej siwizny, nadal widzi w niej swój wzór oraz swą najbliższą, ubóstwianą przyjaciółkę. Celesta jest szczęśliwa, znajdując Abuelę w dobrym nastroju, chętną do wspomnień lub pogaduszek o sprawach poważnych i błahych. Wizyty u niej są nieustającym powodem do radości i nigdy nie nudzą jej, ponieważ dona Isabel jest uroczą osobą, której jasności umysłu nie zmatowiły upływające na wyspie lata. W jej otoczeniu

nie ma miejsca na przeciętność, banał, a także na malkontenctwo, jakże powszechne w opuszczonym przez nią świecie.

Podczas spotkań obu dam, które zasluchane w siebie gawędzą sobie o zmroku, wypowiedziane słowa posiadają głębokie znaczenie oraz urodę staroświeckich poematów. Ich łągodna wieloznaczność łamie kanony mody zaniedbującej ponadczasowe piękno, jednak nie jest to przedmiotem zmartwienia dam z rodu y Peralta. Ludzie, którzy temu hołdują, nie interesują ani doni Isabel, ani jej wnuczki Celesty. Bez nich świat - według zgodnej opinii obydwu - znakomicie by się obył.

Bywa jednak i tak, że wiekowa dama jest znużona, śpi albo nie ma ochoty na rozmowę. Niekiedy miewa też, niestety, migrenę, która to nieznośna przypadłość znana jest również Celeście. Pełna współczucia dla Abueli nie niepokoi jej wówczas swoją osobą, ale wymyka się cichutko przez drewniane drzwi i podejmuje wędrówkę po domu. Czasami wychodzi przed dom, jednak rzadko opuszcza teren ogrodu, zadowolając się przechadzką wzdłuż linii ogrodzenia, które chroni *castillo* przed obcymi.

Celesta kocha zmierzch, miękko opadający na krzewy, ścieżki i pachnące ziołami zagony. Jest to pora, w której ptaki wykrzykują swe ostatnie ptasie życzenia i, wytańcowując w powietrzu pożegnalne ukłony, umawiają się hałaśliwie na następny dzień. Celesta uważnie obserwuje i śledzi ich cwieczorne rytuały. Zazdrości im swobody gromadnego życia oraz ich pojedynczej wolności. Kocha ich taniec i jest trochę o niego zazdrosna. Czasami próbuje go naśladować, co jednak okazuje się niewypowiedzianie skomplikowane, ponieważ maleńkie ptaki krążące nad domem Celesty są szybkie i w zastanawiający sposób nerwowe. Trudno jest wybrać pojedynczy egzemplarz i wydzielić go z tętniącej ptasiej chmury jako swego nauczyciela. Nazbyt często zdarza się, że gdy Celesta upatrzy już sobie wzór do naśladowania, stworzenie umyka jej gwałtownie z pola widzenia i wtapia się w grupę, której taneczna dynamika rządzi się zbiorowymi regułami. Wtedy Celesta smutnieje, pojmując, że nigdy nie uda się jej naśladować całego stada.

Któregoś lata, długo po tym, jak okręt Korsarza zniknął ostatecznie we mgle horyzontu, na wyspę Celesty przyleciały nowe ptaki.

Za jakiś czas całe nasze wybrzeże zamieni się całkowicie w królestwo rozrywek na wodzie. Zamiast spacerów po miękkiej promenadzie zaoferuje pływanie i nurkowanie, gimnastykę wodną za dnia oraz zbiorowe bieganie brzegiem morza o świcie i o zachodzie słońca. Zaopatry się w najlepsze łodzie, kajaki i katamarany. Udoskonali skutery i rowery wodne oraz spadochrony wirujące nad falami.

Nasza wyspa posiada doskonałe warunki do wszystkich tych ekstrawagancji, jednak do niektórych dziedzin jest po prostu wymarzona. Jest tak, ponieważ poziom morza przy większości plaż jest niespotykanie niski - czarodziejska sprawka przyptyków i odpływów - i na odległość setek metrów w głąb morza woda nie sięga wyżej niż do pasa przeciętnego mężczyzny. Nasze morze jest za dnia tak płytkie, że, pozostając wodą, potrafi zmienić się w pas startowy dla pojazdu, który przy pomocy siły wiatru uniesie się pod niebiosa.

Dzięki tym niezwykłym właściwościom Ptasia Wyspa jest rajem dla tych, którzy równie mocno kochają zmagać się z wodą, jak z powietrzem. Ściągają na nią wszyscy zwolennicy nowych rywalizacji: jednych zadowala ujeżdżanie fal na desce, drudzy pasjonują się jego bardziej spektakularną formą, czyli mariażem deski z latawcem.

Nowe ptaki, które pojawiły się na wyspie, były inne od wszystkich, które poznała dotychczas Celesta. Były wielkie i szerokoskrzydłe, zwykle czarne lub siwoszare, choć czasami również czerwone lub niebieskie. Oceniając ptaki po obyczajach, Celesta uznała je za wodne, żyjące pojedynczo lub w niewielkiej grupie, gnieźdzące się na wybrzeżu i chętnie kołyszące się na falach.

Ptaki, zrazu nieliczne, pojawiały się na plaży w coraz większych grupach. Po ich zachowaniu i umiejętnościach nietrudno było określić czas spędzony przez nie na wyspie, na której dopiero uczyły się latania. Ich nauka przebiegała pod okiem współplemieńców; wedle domysłów Celesty ptaki, choć duże i wyposażone w solidne skrzydła, przybywały na wyspę jako ponadwymiarowe, niezręczne pisklaki. Od podniebnych sukcesów dzieliła je skomplikowana ptasia edukacja, pełna trudnych ćwiczeń i naznaczona niepowodzeniami. Jakże często Celesta bała się o nie, kiedy spadały do wody i mozolnie wygrzebywały z niej potem swe wielkie, nadwyrężone skrzydła! Dziwiła się

wówczas, że uniknęły połamania i, jakimś sposobem poskładawszy je na nowo, cierpliwie stawiają je na wiatr.

Celesta czuła prawdziwy podziw dla wielkich ptaków, które, walcząc o prawo do latania, nie poddawały się trudnościom. Ceniła ich wytrwałość w znoszeniu każdej pogody; zauważyła, że smutnieją tylko podczas leniwej ciszy powietrza. Zamiłowaniem do wiatru tak bardzo różniły się od głupawych ludzi, zwolowanych na plażę przez puste i palące słońce! Od tych wszystkich, którzy leniwie przebierali nogami jak owady, rozdeptując moką ścieżkę dzielącą morze od pustyni... Albo zdobywali się na coś o wiele gorszego: rozkładali swe ubożuchne obozowiska w bezwstydney bliskości jej *castillo*.

W przeciwieństwie do źle wychowanych ludzi nowo przybyłe ptaki nigdy nie zbliżały się do domu Celesty. Choć spokrewnione z morzem, nie naśladowały go w uzurpatorskim braku dyscypliny nieodpowiedzialnych przypływów i odpływów. Nauczone dobrych manier, znały swoje miejsce i zadowalały się rozpościeraniem na wietrze swych imponujących skrzydeł. Doskonaliły swoją sztukę, nie poszukując przy tym obcego towarzystwa i widowni.

Nasza senna wyspa nie mogła zaoferować wielu rozrywek. Nie leżało to ani w jej, ani w naszym charakterze, nie pasowało do spowolnionego rytmu, do oddalenia, do fatalizmu rzeczy otaczanych przez silniejsze żywioły. A może i brało się z naszego ograniczenia.

Ci, którzy przyjechali do nas z zewnątrz - przekleństwo dla jednych, dla innych oczekiwany ratunek - uznali, że nasza kultura stoi w miejscu. Oraz że nie mamy pomysłu na inną. Jakbyśmy sami tego nie wiedzieli...

I nagle wszystko potoczyło się bardzo szybko. Obcy przybysze zabrali się za wietrzenie naszej wyspy, jakby wiatr odpowiedzialny za to przez całe wieki był tylko przestarzałym wentylatorem, a my starą szafą, która posiada wprawdzie wartość antyku, jednak wymaga gruntownej renowacji.

Trudno powiedzieć, czy nowi zarządcy rzeczywiście zamierzali zadać sobie trud odtworzenia jej ducha. Wiele wskazywało na to, że nie interesowali się jej historią i osiągnięciami. Albo, poznavszy je powierzchownie, uznali, że nie są dostatecznie barwne, pociągające,

łatwe do sprzedania. Przejęli natomiast odpowiednio wyważoną porcję folkloru w postaci muzyki - hiszpańskie gitary i kastaniety gorących dziewcząt... - oraz ogólnego kolorytu, którym posłużyli się przy urządzaniu rezydencji dla bogaczy. Potrzebowali jednak więcej niż śpiewu między stolikami i pstrokatego widowiska na scenie: kultury fizycznej!

Świat zachłysnął się nowymi sposobami utrzymywania dobrej formy i grzmiał o potrzebie uprawiania sportu.

Celesta lubiła przyglądać się ptakom, kiedy mościły się na falach i pilnowały bliskości wody. Często wyobrażała sobie, że prostują się do lotu, odrywają od wody i rzucają się w podniebne ewolucje jedynie po to, by zasłużyć sobie na jej uwagę. Jakby tylko dla niej zadawały sobie cały trud... Była uważnym i wdzięcznym widzem; cieszyła się, gdy - opanowawszy proste latanie - ptaki zabierały się za naukę tańca, którego wysmakowana harmonia ośmieszała wyspiarską szarpaninę miejscowych latających krzykaczy. Snuła domysły na temat miejsca ich pochodzenia: według niej nowo przybyte stworzenia były wolnymi przedstawicielami innego, poetyckiego świata. Jednak jaki był i jak wiele mil morskich dzieliło go od wyspy? Czym różnił się od tej oblanej zewsząd wodą przestrzeni, w której ważne rzeczy schowane były pod płaszczem suchego piasku? Mądre ptaki nie lubiły pustyni i trzymały się od niej z dala. To woda była ich wolnością i dlatego uznały ją za swój żywioł. Oraz - w co wierzyła spragniona rozrywek Celesta - za parkiet do tańca.

Wirowanie wielkich ptaków po niebie przypominało jej taniec dworski z czasów doni Isabel. Tańczony na najpiękniejszej, zawieszanej w powietrzu ponad taflą wody sali balowej, wolny był od dysonansów rozdeptywanego piasku, który, drażniąc oczy tancerzy i gardła instrumentów, popsuł już niejedną zabawę na wyspie. Taniec ten posiadał złożoną choreografię oraz precyzyjną harmonię figur. Rozczulona Celesta usiłowała naśladować je, licząc kroki, obroty i ukłony, marząc o tym, by zaproszono ją do korowodu.

Każdy ptak tancerz przypominał jej Korsarza, każdy nosił podobny strój: jedwabne pończochy na silnych łydkach, wielorybim tłuszczem nabłyszczone buty i włosy uładzone pachnącą wodą. Była pewna, że

każdy z nich żelazną ręką utrzymałby ją w tańcu, jak wir wiatru uniośł ku górze i w szeleście bufiastej sukni opuścił uważnie w dół.

Dla nas wszystko to, co nowomodnie określono mianem kultury fizycznej, było raczej abstrakcyjne... Rodziny rybackie, żyjące na morzu i z morza, nawet nie uczyły się pływać, a jazda konna poszła w zapomnienie wraz z ostatnimi przedstawicielami rodzin posiadaczy ziemskich, czyli wtedy, gdy nieodwołalnie padły duże plantacje. Gra w piłkę istniała w uproszczonej formie polegającej na nie najłatwiejszym kopaniu jej po piasku. Tenis był czymś niemal ekstrawaganckim, podobnie jak wszystkie gry zespołowe wymagające boiska. Gimnastyka i body-building? Mieliliśmy dość fizycznych zajęć w naszej czysto fizycznej pracy.

Największym pragnieniem Celesty jest przekonanie doni Isabel Vaca y Peralta do opuszczenia któregoś wieczoru swej przytulnej o zmroku komnaty. Mogłyby spróbować pójść na spacer plażą albo przynajmniej wyjść na taras, *Dios*, nikt nie namawia jej do jakiejś męczącej wędrówki... Wystarczy pokonać trzynaście kroków w kierunku drzwi, jedenaście stopni schodów, osiem kroków po podejście półpiętra, znowu jedenaście stopni, na koniec dokładnie dwadzieścia kroków przez sień. Doprawdy niewiele, aby uszczęśliwić Celestę możliwością pochwalenia się odkryciem niezwykłych, mądrych ptaków!

Jednak minęło już kilka wiosen, a kapryśna babka wciąż nie tęskni do nowego towarzystwa. Celesta - choć nigdy nie ośmieliłaby się wypowiedzieć tego głośno - podejrzewa, że dona Isabel woli rozmowy o dawnym, lepszym świecie od podejmowania wszelkich prób odnalezienia go na nowo.

- Nie pamiętam już naszych tańców, *hija*! istniały zbyt dawno temu - żartuje babka.

Robi to za każdym razem, gdy Celesta zaprasza ją do nadmorskiej balowej sali. Kiedy dystygowanie się uśmiecha, jest ładną podobną do swego portretu. Ponieważ jednak prawdziwie kocha swoją wnuczkę, obiecuje pogawędkę następnego wieczoru. Wtedy rozumiejąca ją Celesta kłania się w podziękowaniu, a doña Isabel zapada w cierpliwą drzemkę wielkiej damy.

Prawdopodobnie wcale nie zdawała sobie z tego sprawy, ale miała na naszej wyspie paru prawdziwych przyjaciół. Takich, na których mogłaby liczyć w chwili niebezpieczeństwa, którzy zajęliby się nią w chorobie, którzy zaświadczyliby za nią, gdyby potrzebowała fałszywego świadectwa. Jednak ona wcale o nich nie wiedziała albo przynajmniej zachowywała się tak, jakby nie chciała o nich wiedzieć. Wspominała tylko tych z kontynentu, którzy wspomagali ją inaczej niż my - w bardziej spektakularny sposób, jednak czy naprawdę bardziej serdecznie? Zapytana o zaufane osoby na naszej wyspie, zapewne wymieniłaby tylko jedną - dyrektorkę Domu Schronienia dla Kobiet i Dziewcząt. Swoją najbliższą przyjaciółkę.

Kobieta ta, kontrowersyjna i nie przez wszystkich lubiana, była suchą, wiecznie zapracowaną kobietą, dla której nie istniało własne życie. Pamiętano, że jako mała dziewczynka chciała zostać zakonnicej, jednak pomysł ten, już na wstępie wyśmiany przez liczną rodzinę, nigdy nie doczekał się realizacji. Później była im za to wdzięczna - kiedy już jako aktywna pracownica społecznych organizacji musiała kontaktować się z prawdziwymi zakonnicami, błogosławiła dawną złośliwość pięciu braci, ojca, a także swojej zmysłowej i do późnego wieku niewstrzeżonej matki. Jednak chociaż w wyniku ich bezlitosnych połajank rozminęła się z habitem, nic nie zadusiło w niej pragnienia niesienia pomocy bliźnim. W tym najważniejszym punkcie pozostała konsekwentna, pomimo wysokiej ceny, którą przyszło jej zapłacić. Nie związała się z nikim. Po latach pracy na rzecz społeczności wszyscy na wyspie znali ją tylko jako dyrektorkę Domu Schronienia.

Natomiast w oczach swej niezmiennie krytycznej rodziny, a także swoich własnych, pozostała zapracowaną, fizycznie

nie najzdrowszą, nieusatisfakcjonowaną zawodowo oraz samotną biedaczką.

- Musimy porozmawiać - rzuciła dyrektorka Domu.

Miała zwyczaj przemawiania do innych tak oschle, że najczęściej sprawiała wrażenie niegrzecznej. Ci, którzy znali ją bliżej, wiedzieli, że jej sposób mówienia nie wynika z prawdziwych cech charakteru. Niestety, takich ludzi było na wyspie niewiele.

Jedną z nich była Nauczycielka, której nie zwiodła powierzchowna szorstkość wypowiedzi.

- J a s n e - odpowiedziała, uśmiechając się pod nosem.

Szły szybko długim, pustym korytarzem starego budynku, pozostawionym w spadku przez samotnie zmarłą w Ameryce Hiszpankę.

- Chodzi o dom?

- Między innymi, Tina.

Nowa siedziba Domu Schronienia dla Kobiet i Dziewcząt z Ptasich Wysp była dobrem odziedziczonym. Na honorowym miejscu w głównym korytarzu zawieszono wyrazisty portret zmarłej spadkodawczyni, oprawiony w złote ramy, na które złożyli się wszyscy aktywiści zaangażowani w działalność instytucji.

- J a s n e . . .

Spadkodawczyni była Hiszpanką, ostatnią z potężnego niegdyś wyspiarskiego rodu. W przeszłości do jej przodków należały ogromne plantacje pieprzu i pomarańczy, pod palącym słońcem uprawianych przez niewolników i wysyłanych do Europy w obszernych ładowniach żaglowych łodzi. Kobieta ta pojawiła się na wyspie wkrótce po otrzymaniu diagnozy o śmiertelnej chorobie; nie mogła już poruszać się samodzielnie, więc jej elegancki inwalidzki wózek wytoczyła na płytę niewielkiego lotniska zaufana pielęgniarka. Obydwie znieruchomiały ze zdziwienia na widok wysuszonej i beznadziejnie pustej przestrzeni, która miała stać się ich nowym domem.

- A już myślałam, że po prostu zaprosiłaś mnie na kawę...

I choć hiszpańska Amerykanka pragnęła umrzeć w siedzibie przodków, dość szybko okazało się, że tkwiąca w niej wola życia silniejsza jest od ciepłości dla miejsca, które wybrała na swój ostatni ziemski pobyt.

- Ekspres się popsuł.

Dom, wokół którego przez lata narosły rodzinne legendy, okazał się, niestety, ruiną. Nie działała w nim większość technicznych usprawnień niezbędnych przyzwyczajonej do wygod starej, chorej kobiecie i, wbrew jej oczekiwaniom, nic nie funkcjonowało tak, jak w Ameryce. Ekipy fachowców deklarujących przygotowanie domu do komfortowego umierania albo nie pojawiały się - mimo przyrzeczeń godziwej zapłaty - na czas, albo też okazywały się całkowicie niekompetentne. Drugim dokuczliwym problemem okazała się zatrudniona pośpiesznie służba, która, jak się okazało, posługiwała się dialektem zupełnie innym niż język znany dziedzicznie. Przyzwyczajona do archaicznej i jak domowe kacie powypychanej po amerykańsku formy, nie dawała sobie rady z zawiłą komunikacją, która stawała się możliwa jedynie za pośrednictwem przywiezionej na wyspę amerykańsko-hiszpańskiej pielęgniarki. Bogata, chora Amerykanka czuła się w tym niepewnie jak każdy, kto w najdrobniejszej sprawie uzależniony jest od drugiego człowieka. O powrocie do Ameryki zadecydował jednak trzeci, wydawałoby się, całkowicie nielogiczny powód. W przeciwieństwie do pozostałych był jednak nierozwiązywalny. Chodziło o ptaki - pierwotnych, najliczniejszych mieszkańców wysp - które chora uznała za uciążliwsze od wszystkich dziwnie mówiących ludzi oraz niesłownych usługodawców razem wziętych.

- A może masz wino? - spytała przekornie.

- Przykro mi, Tina. Nie trzymam wina w pracy.

- Żartowałam przecież.

Mijały właśnie niewielką grupkę małych dzieci, które z braku zabawek bawiły się w latanie. Aby wzbudzić podziw idących korytarzem kobiet, dzieci rozciągały swe chude ramionka i, machając nimi niczym skrzydłami, kręciły się w kółko, z którego, ku ich nieustającemu zdziwieniu, wciąż nie udawało się im poderwać do lotu.

- Wierzyć się nie chce, że ta kobieta nie lubiła ptaków - zauważyła Nauczycielka, maszerując żwawo u boku dyrektorki.

- Rozmawiałam z nią wiele razy - patrząc prosto przed siebie, cierpko odpowiedziała dyrektorka. - Była po prostu rozczarowana.

Tam, w Ameryce, powiedziano jej, że są tu kanarki. Wyobraź sobie, oczekiwała kanarków na wolności. - Przecież ładnie sobie to wyobraziła: piękny pobyt w rodzinnym domu, morze i kanarkowy śpiew. - Dyrektorka zaśmiała się ponuro i kopnęła pod ścianę kawałek tynku, który z łuszczącego się sufitu odpadł wprost na środek korytarza. - Ja ki m tam domu! Ona była przekonana, że czeka na nią najprawdziwsze *castillo* - dodała zirytowana.

- W takim razie musiała ją spotkać prawdziwa przykrość - poikiwała głową Nauczycielka. - Zamiast żółtych kanarków złośliwe wróble i sikorki, a w miejsce zamku ponura, zrujnowana buda.

- Nie mów tak o naszym Domu! - napomniała ją dyrektorka.

Dotarli w końcu do drzwi jej gabinetu, które otworzyła energicznym ruchem i pierwsza weszła do środka. Przynęła Nauczycielce krzesło stojące przed biurkiem, a sama usiadła po drugiej stronie.

- Nie mija dzień, w którym nie dziękowałabym Panu za to, że go nam ofiarował.

Nauczycielka roześmiała się głośno i mocno odchyliła się do tyłu, jednak, przypomniawszy sobie o wåtłości drewnianych krzesel przybytku, przezornie powróciła do pierwotnej pozycji.

- To nie Bóg nam go ofiarował, moja droga - oświadczyła. - Nikt inny, tylko ty nakłoniłaś do tego zawiedzioną hiszpańską Amerykankę.

- Świeć Panie nad jej duszą.

- I ja też o to proszę - potaknęła z szacunkiem niezrażona Nauczycielka.

Lekceważąc piorunujące spojrzenie dyrektorki, przechyliła się do niej przez biurko:

- To ty namówiłaś ją, by zapisała nam to podupadłe niby-castillo. I powiem ci, do dziś nie wiem, w jaki sposób udało ci się tego dokonać.

Usta dyrektorki rozszerzyły się w nieco szelmowskim uśmiechu, nieznanym większości ludzi z jej otoczenia, w tym wielu mieszkańkom Domu. Sporadycznie wyróżniała nim jedynie dzieci - te, które znajdowały u niej opiekę wraz z matkami, oraz sieroty oczekujące na miejsce w domu dziecka.

- Chcesz wiedzieć, jak?

- J a k jasna cholera! - zaśmiała się gardłowo Nauczycielka, wciąż pochylona nad biurkiem w kierunku dyrektorki, jakby ją uwodziła.

Cała ta instytucja, zrazu skromna, lecz już od początku bardzo szumnie nazywana, jeszcze do niedawna mieściła się w prywatnej willi o wygasającym czasie wynajmu. Założyciele Domu - najbardziej zaciekle aktywistką była oczywiście przyjaciółka dyrektorki - mieli z tym poważny kłopot, ponieważ ambiwalentny stosunek większości wyspiarzy do instytucji skutecznie utrudniał znalezienie nowego lokum. Zdesperowana dyrektorka Domu przechodziła samą siebie: uderzała do wszystkich możliwych drzwi; wyrzucana z państwowych urzędów, naprzykrzała się władzom kościoła, wypraszana z gabinetów dyrektorów - na wyspie niemal całkowicie związanych z turystyką - niepokoiła spędzających tu wakacje klientów. Jej niesympatyczny sposób bycia i ostry ton, w którym prowadziła swoje trudne rozmowy, nie ułatwiał, niestety, sprawy. Ostateczny termin zbliżał się nieubłaganie, a żadne z jej starań nie przynosiło rezultatów. Wszystko wyglądało naprawdę beznadziejnie aż do chwili, gdy ktoś powiedział dyrektorce o chorej Amerykance.

Oficjalna, krążąca po wyspie wersja głosiła, że dyrektorka nawiązała sfrustrowaną i tracącą siły kobietę akurat w dniu, w którym tamta postanowiła na dobre opuścić wyspę. Podobno zamierzała zapisać dom swej oddanej pielęgnowarce, jednak zapytany o potwierdzenie notariusz wykręcił się od odpowiedzi pod pretekstem obowiązku milczenia.

Inne interesujące szczegóły nie były nam - niestety! - znane.

Dyrektorka przybrała uroczystą pozę.

- Powołałam się na pana Boga - oświadczyła.

Nauczycielka żartobliwie uniosła brwi:

- J a k na ciebie, to doprawdy coś nowego...

- Opowiedziałam jej pewną historyjkę. Siedziałyśmy w jej ogrodzie, a raczej w tym, co kiedyś nim było.

- Czyli w naszym ogrodzie - Nauczycielka rzuciła wymowne spojrzenie na rachityczne rośliny za oknem. - Miejscu, które z dnia na dzień pięknieje nam w oczach.

Pod objedzoną przez ptaki zdziczałą wiśnią siedziały dwie matki z niemowlętami.

- Historyjka brzmiała następująco: pewnego dnia mądry człowiek szedł przez zrujnowaną wioskę. Mijał ludzi, którzy w wyniku katastrofy stracili dach nad głową i mówił do Boga: Jak możesz na to pozwolić? Dlaczego nic nie robisz? Bóg milczał. Drugiego dnia dotarł do innej wioski, w której panowała zaraza. Przyglądał się umierającym ludziom, pełen pretensji do nieba: Panie Boże, czemu patrzysz beczynnienie na to wszystko? Dlaczego zezwalasz na taką krzywdę? Odpowiedziało mu milczenie. Trzeciego dnia spotkał na swojej drodze zabiedzone dzieci. Były odziane w łachmany, głodne i tak nieszczęśliwe, że mądry człowiek zapłakał nad ich losem. Panie Boże, powiedział, siedzisz sobie wygodnie w niebie i naprawdę nic cię to nie obchodzi? Dlaczego nic nie uczynisz? Wtedy Bóg zniecierpliwił się i odezwał z wysokiego nieba: To nieprawda, że nic nie robię - powiedział. Uczyniłem coś bardzo ważnego - stworzyłem ciebie.

- Podziwiam cię.

Nauczycielka złożyła ręce jak do modlitwy.

- Mówię poważnie - powtórzyła, patrząc przyjaciółce w oczy.
- Jesteś naprawdę wielka.

Jej podziw wcale nie był udawany.

Przez okno widać było otoczenie odziedziczonego budynku. Jak on nędzne, w niczym nie przypominało lepszej przeszłości. Rzemieślnicy, których usiłowała angażować jego niedoszła właścicielka, zdążyli wykonać niektóre prace we wnętrzu domu, jednak na zewnątrz pozostawili jedynie ślady swoich przyjsć i wyjść. Nowe lokatorki posprzątały po nich śmieci.

Wprost na wysuszonej ziemi siedziały dwie matki z maleńkimi dziećmi. Jedna z nich rozłożyła kolorową derkę i starannie rozprostowała jej powycierane końce. Położyła na niej swoje śpiące maleństwo, sprawdzając, czy słońce, niedokładnie zatrzymywane przez przetrzebione gałęzie, nie zagraża jego maleńkiej, brunatnej twarzy. Druga podśpiewywała niesłyszalną z daleka piosenkę - dla swego i nieswojego niemowlęcia, dla koleżanki spod zdziczałej wiśni i tej samej sypialnej izby oraz trochę dla siebie.

- I to ty, akurat ty, chcesz mnie przekonać, bym nie zabierała tego dziecka do domu - za szerokim uśmiechem Nauczycielka ukryła wiele niepożądaną czułości.

- Ona ma zaledwie dwanaście lat - głucho rzekła dyrektorka. - Jej miejsce jest w domu dziecka. Jeśli będzie trzeba, już za rok ją stamtąd zabiorę.

- Kto wie, czy za rok będzie jeszcze żyła.

- Będzie! - zawołała szybko dyrektorka, aż Nauczycielka zaśmiała się z jej zupełnie niechrześcijańskiej przesądności.

- Jest za słaba na dom dziecka - odpowiedziała. - Nie ma szans wśród silnych dzieciaków, które tam mieszkają. Potrzebuje osobnego pokoju, lepszego jedzenia, ciszy, a nade wszystko opieki, jeszcze lepszej niż ta, którą nawet ty mogłabyś jej zapewnić.

- Jesteśmy przepełnieni, to prawda - niechętnie potwierdziła szefowa Domu Schronienia - tak jak prawdą jest to, że trzynaście lat to nieprzekraczalna dolna granica wieku dla dziewcząt, które wolno nam przygarniać. Jednak sama wiesz, ja mogłabym...

- Wiem, wiem... - łagodnie uspokoiła ją Nauczycielka. - Kiedy chcesz, potrafisz poruszyć nie tylko twoje niebo, ale także naszą niewierną ziemię. Tyle tylko, że ty akceptujesz oddanie jej do domu dziecka. Uważasz, że to słuszne.

- Bo ona ciągle jest dzieckiem!

- Nie. Jej dzieciństwo skończyło się wiele lat temu. I nigdy już nie będzie mogła nadrobić tego straconego czasu. Teraz chodzi już tylko o to, by mogła w spokoju spędzić ostatnią część życia, która jej pozostała.

Dyrektorka skrzyżowała ręce na piersiach. Jej wypłowiła sukienka pasowała barwą do ścian gabinetu, który aż prosił się o odmalowanie, do czego jednak ona nie dopuściłaby tak długo, jak długo nie zostałaby odnowiona ostatnia sypialnia jej podopiecznych.

- Dlaczego nie wierzysz, że Bóg się nad nią zlituje? - zapytała w nietypowy dla siebie, bezradny sposób.

- Wolę wierzyć faktom. Wolę wierzyć lekarzom, którzy komunikują się ze mną w konkretny sposób. A oni mówią, że dla niej nie

ma ratunku. Według nich ona umrze. Zrobili już wszystko, co było w ich mocy.

- Dlaczego nie wierzysz w cuda? - powtórzyła dyrektorka, jakby nie dotarło do niej ostatnie zdanie.

- Od wielu lat regularnie pomagam w szpitalu, konkretnie w tej jego części, którą dobrzy ludzie nazywają na europejską modłę hospicjum, a co w naszych warunkach pozostaje zwyczajną, bezlitosną umieralnią. Jeśli zgodzę się na zabranie jej do domu dziecka, odeślą ją tam najdalej za kilkanaście tygodni. Wiesz, nawet jeśli twój Bóg uznał, że jej życie dobiega końca, ja chcę przedłużyć to zakończenie. Oraz, co akurat ty powinnaś świetnie rozumieć, chcę zatroszczyć się o to, by było lepsze od dotychczasowego.

Mierzyły się przez chwilę wzrokiem; znowu ktoś postronny poszukałby w nich złości, nawet wzajemnej niewiary w siebie, jednak nic podobnego nie miało miejsca. Były przyjaciółkami i miały dla siebie wystarczająco dużo zaufania, by rozmawiać ze sobą prosto.

- Nie próbuj krytykować pana Boga - powiedziała w końcu dyrektorka Domu Schronienia. Mówiła ciężko, jakby była zmęczona. - I nie myśl, że posiadasz prawo poprawiania jego wyroków.

W odpowiedzi Nauczycielka uśmiechnęła się ciepło i tylko odrobinę przekornie.

- A czy przypadkiem to nie ty najskuteczniej z nas wszystkich poprawiasz jego ziemskie dzieło? - zapytała.

- Nie, niestety nie mam o sobie aż tak pochlebnego zdania.

- Widzisz. Ja o sobie tym bardziej.

Nauczycielka wstała z krzesła, niemal w tej samej chwili, w której za oknem obudziło się dziecko śpiewającej piosenki kobiety.

- Wygląda więc na to, że Bóg i mnie zaliczył do swych boskich narzędzi, moja droga - oświadczyła pogodnie, zapatrzona w machające kończynami maleństwo. - W swej nieogarniętej przewidywalności rzeczy stworzył nie tylko tego mądrego człowieka, którego historia natchnęła Amerykankę, nie tylko ciebie, ale także i mnie.

Zofia Mossakowska

Wstała i obydwoma dłońmi oparła się o blat zniszczonego biurka dyrektorki, jak wszystkie inne sprzęty w Domu, wyproszonego od kogoś w prezencie.

- O tak - powtórzyła przekornie. - Jestem jego narzędziem, jakże niegodnym takiej łaski!

6.

Wielu z nas wierzyło, że w tym domu straszy. Ci najbardziej lękliwi nie weszliby do środka, nawet gdyby zostali zaproszeni, a trzeba powiedzieć, że istniało naprawdę małe prawdopodobieństwo takiego wyróżnienia. Inni, bardziej pragmatyczni, wzruszali ramionami na zabobonne zaklęcia tych pierwszych, przyznając jednak po cichu, że wszystko jest możliwe w tajemniczych *castillos*, przetrzebionych nie tylko na Ptasich Wyspach, ale także w dalekiej Hiszpanii.

Był dziwaczna budowlą, o którą toczyły się prawdziwe wojny. W miarę upływu lat stał się - wzorem swoich właścicieli - czymś w rodzaju symbolu. Wielu uznawało go nawet za atrakcję turystyczną, stawiając go w jednym rzędzie z ruinami klasztoru i domkiem czarownicy, którego szczątki wypreparowano w miasteczku dla turystów. Budził dość niezdrawe zainteresowanie, bardziej jednak wśród miejscowej ludności niż u niewtajemniczonych przyjezdnych. Był oddalony od innych domów, jakby specjalnie zachowywał dystans od centrum wyspy.

Ten, kto go budował, wybrał miejsce szczególne - z dala od kościoła i siedziby władz, w bezpiecznej odległości od policji. A przede wszystkim tuż przy morzu, w bliskości którego wyglądał jak zbyt daleko wyrzucona na brzeg, nie do końca opróżniona arka Noego. „Jest coś podejrzanego w tym - zauważał ten i ów - że jego budowniczy nie obawiali się przypliwów”. Został postawiony tak, jakby lekceważono siłę fali albo jakby ją świadomie prowokowano. Jakby zapomniano legendy mówiące o tym, że morze prędzej czy później upomni się o swoje i odbierze wyspie kawał powierzchni, która urąga mu swoją płaskością.

Nawet teraz, w obliczu obcej, bezdusznie nowoczesnej zabudowy jej dom nadal miał w sobie coś budzącego obawę. Niepokojąca była zarówno jego historia, jak i niespodziewane migracje i transformacje jego mieszkańców, a właściwie mieszkanek, bo mężczyzny nie widziano tam od bardzo dawna. Substancją domu były ożywiające go kobiety, nieustanna łąmigłówka dla przesądnych wyspiarzy, którzy obserwowali go z daleka. Nie wiadomo było, kto w nim przebywa, uprawia słabowite rośliny i drzewa, karmi nieufne, niedopuszczające nikogo do siebie zwierzęta, kto w niewyjaśniony sposób zwabia ptaki, trzymające się tego nieurodzajnego miejsca, jakby było ich azylem.

Oraz czego właściwie pilnują te zwierzęta, niby przypadkowe, a jednak nienaturalnie ze sobą żyte, karne jak doborowa służba wartownicza, groźna w miejscu, w które zabroniono wstępu ludziom? Kto snuje się po domu, otwiera i zamyka okna, rozstawia nocami na parapetach dwuznaczne światło świec, jakby, podobnie jak z wody, kpił sobie z innych niebezpieczeństw?

Niestety, wyspa to nie tylko *castillo* oraz otaczające go morze i piasek. Niestety Celesta oraz ptaki - i te miejscowe, które męczą ją sykiem i brakiem spokoju, i te goszczące na plaży z przelotną wizytą i tanecznym spektaklem - nie są jej jedynymi mieszkańcami. Na wyspie mieszkają także zwyczajni ludzie, których jest nieodpowiedzialnie dużo i ciągle przybywają następni. Celesta obserwuje ich z daleka, martwi się i nawet nie zamierza niepokoić nimi Abueli. Wystarczy, że sama łamie sobie głowę nad rzeczami, które w zatrważający sposób pozmieniały się od czasów doni Isabel. „Kiedyś w świecie panował dobry porządek, a pospólstwo nie przekraczało określonych granic” - jakby słyszała jej na wpół ironiczne i na wpół zatroskane słowa.

Kiedyś nauczeni pokory nisko urodzeni ludzie nie rzucali się zbyt w oczy. Abuela - Celesta wie o tym z wielu jej barwnych opowieści - nie знаła nawet miejsca pochodzenia swych licznych służących i nie była zainteresowana ich życiem przed najęciem do służby. Sprowadzał je dla niej zarządca, wykształcony mężczyzna, jedyny, którego dopuszczała do pewnej poufałości, pomimo że nie

był szlachcicem. To on przygotowywał tamte dziewczyny: nakazywał wyszorować je w łaźni dla służących, czysto ubrać i dopilnować, by wyczyściły zęby. Pomagał w opanowaniu prostego rozkazu: kłaniać się, milczeć i słuchać.

Potem w służbie doni Isabel wszystko rozwijało się samo - jak wachlarz, który należało za nią nosić, jak nić, którą haftowała na tamborku, i jak muzyka, którą wyczarowywała z podanego intrumentu. Od niej zależne, przez nią wymyślone i dopilnowane.

Nowi ludzie przybywający na wyspę nie byli ani usłużni, ani dyskretni. Wnuczka rodu y Peralta nie mogła im tego wybaczyć, pomimo całej swej wypracowanej łagodności, którą różniła się od babki doni Isabel. Jeśli dla starej damy wystarczającą przewiną obcych ludzi był zwyczajny fakt ich istnienia, Celesta oburzała się na nieszczęśników dopiero gdy swym nieokrzesianiem burzyli spokój jej ułożonego świata. Kiedy, nie bacząc na zasady dobrego wychowania, zakłócali sobą przestrzeń rozpostartą między *castillo* a morzem i ośmielali się rozmawiać między sobą tak głośno, że prawie słyszała ich nieszlachetne głosy... Albo - co było najboleśniejsze z wszystkiego - stawiali domy w zasięgu jej wzroku.

Czasami słyszano głosy dochodzące z tego *castillo* - szepty, ożywione dialogi na sto głosów, nawet krzyk. Cichy śpiew i muzykę graną na nieznanym, zmęczonych instrumentach. Szuranie stóp i przesuwanie mebli. Przez słabo oświetlone okna widziano sylwetkę jednej kobiety wtedy, gdy podejrzewano obecność wielu osób, oraz cienie kilku postaci wówczas, gdy nikt prócz prawowitej właścicielki nie przekroczył progu domu.

„Duchy” - powtarzali uparcie przesądni, zwłaszcza ci starsi, wprawieni w odczytywaniu znaków. Albo ci, którzy doszukiwali się we wszystkim kolejnych powodów do ubarwienia i tak trudnej opowieści. Jak wszechwiedząco kiwali głową! Szczególnie wścibscy chętni się swoją wiedzą o tym domu, znajomością jego urzędzenia oraz historii kolejnych właścicieli. Było nawet kilku takich, którzy twierdzili, że potrafią opisać rozkład pokoi, rodzaj drewna użytego do wykonania schodów i balustrad, ba, nawet komin i meble w kuchni.

„Pamiętacie stół i krzesła starego Luiza? - pytali szyderczo. - Nie trzeba było zabierać jego sprzętów do bogatego domu... Duch starego, który się do nich przywiązał, niechętnie się teraz wyprowadzi. Będzie wołał grzać się w ciepłe, jak dawniej, przy kominie!”

Kiedy w niedalekim sąsiedztwie zaczął wzrastać pierwszy nowy *castillo*, Celesta ucieszyła się ostrożnie, odkrywając w sobie ochotę na towarzystwo. Zrazu nieufnie przyglądała się początkom budowania, skupiając się na rośnięciu murów i omijając wzrokiem robotników. Dopiero gdy położono pierwszy sufit i powstająca budowla nabrała pewnej solidności, Celesta odważyła się zagadnąć donie Isabel.

- Nie oczekuj zbyt wiele, *nina*¹ - odpowiedziała Abuela. - Nawet ktoś, kogo w dzisiejszych czasach stać na wybudowanie *castillo*, nie musi być człowiekiem szlachetnego pochodzenia. Teraz ludzie w różny sposób zdobywają fortuny, często bogacą się nieuczciwością, nawet kradzieżami i rozbojem...

Celesta opuściła oczy, jak zawsze, gdy wydawało się jej, że donia Isabel robi aluzję do Korsarza, którego - nawet świetnie wiedząc, że ostatnimi czasy pływa w służbie królewskiej - babka nigdy nie uznała za godnego siebie.

- Przyglądaj się im, Celestita - rada wielkiej damy zabrzmiała nieoczekiwanie ciepło. - Obserwuj ich uważnie. Jeśli są ludźmi o dobrych manierach, na początek przyślą nam list z wyrazami szacunku. Przedstawią w nim swoje pochodzenie, pozycję oraz powody, dla których osiedlają się na wyspie. Jeśli tego nie uczynią, nie zasługują na naszą uwagę.

Oczekiwany list nigdy nie nadszedł - ani podczas rozwijającej się w nieskończoność rozbudowy sąsiedniego *castillo*, ani później, gdy inni robotnicy zajęli się skomplikowaną kompozycją ogrodu.

- Oni budują basen, Abuela - przyniosła wkrótce nową wiadomość zdziwiona Celesta. - Czy za twoich czasów ktoś budował basen w granicach *castillo*?

- Oczywiście, że budowano baseny, Celestita - uśmiechnęła się pobłaźliwie popielatowłosa dama - w Hiszpanii i w koloniach, wszę-

¹ Dziecko.

dzie tam, gdzie upał daje się we znaki i trudno jest przetrzymać lato bez chłodzenia ciała. Rozumie się, że mężczyźni i kobiety nigdy nie kąpali się razem.

- Ale tuż przy morzu? Na odległość strzału z łuku kiepskiego łucznika, doña Isabel?

- Widać zmieniają się obyczaje. Nie potrafię ci tego dokładnie wyjaśnić, ponieważ w moim świecie kobiety nie zajmowały się planowaniem czy też budową domów... Zarządzały nimi, oczywiście, jednak dopiero wtedy, gdy wszystko było już gotowe.

Celesta zawahała się na chwilę. Zdecydowawszy się na następne pytanie, starannie złożyła słowa i dopasowała do nich ton, w którym nie było miejsca na powątpiewanie w osąd doni Isabel.

- Zastanawiam się, Abuela, nad tym pragnieniem posiadania basenu w bezpośredniej bliskości morza... Czy sądzisz, że świadczy o wykwintności smaku naszych przyszłych sąsiadów?

- Nawet ktoś, kto mieszka niedaleko, wcale nie musi być twoim sąsiadem, *niña* - łagodnie zripostowała doña Isabel. - Czasami chodzi jedynie o ludzi, którzy nieszczęśliwym trafem kupili kawałek ziemi zbyt blisko ciebie.

- Owszem, naturalnie masz rację, Abuela, jednak, gdyby przysłali nam te listy i przedstawili się tak, jak należy...

- Gdyby tak uczynili.

- J e s t jednak możliwe, że prawdziwi gospodarze nie przybyli jeszcze na wyspę, Abuela. Może to zarządcy budują dla nich *castillo*, natomiast właściciele pojawią się dopiero wtedy, gdy wszystko będzie już gotowe.

- Możliwe, *niña*. A teraz podaj mi, proszę, szcztokę do włosów i perłowy grzebień.

Posłuszna babce Celesta pochyla się nad toaletką z różanego drzewa i wysuwa szufladę pełną potrzebnych sprzętów. Na ułamek chwili zastyga przed własnym odbiciem, które wypłynęło na nią z powierzchni lustra w owalnej, srebrnej ramie. Lustro góruje nad starannie odkurzonym blatem starej toaletki, o który oparła swe pozbawione pierścieni dłonie. W rozkołysanym półmroku świec Celesta widzi swoją twarz i mimowolnie unosi podbródek o kolejne

kilka milimetrów, tak jak zawsze uczyła ją dona Isabel. Zatrzymuje wzrok na odziedziczonym po babce gładkim i szlachetnie wysokim czole, uwydatnionym surowym ściągnięciem do tyłu złotych włosów. Uważnie przygląda się wąskiej, napiętej szyi, zamkniętej w wysokim kołnierzu sukni. Zadowolona z wizerunku, zagląda sobie w siwe oczy, które w obramowaniu białych rzęs wydają się jej niemal przejrzyste.

Do żyjącej w wygodnej alienacji Celesty niejednokrotnie dochodziły słuchy o kobietach malujących sobie brwi i rzęsy, jednak ona nigdy nie zniżyła się do podobnego hochstaplerstwa. Jest świadoma swej wyniosłej urody i wystarczająco dumna z gładkiej, jasnej cery, miękkich włosów i delikatnych ust. Poza tym wie, że posiada wyjątkową wartość, która nieodwołalnie odgranicza ją od wszelkiej populitości: podobieństwo do portretu doni Isabel.

- Celestita, czy nie będziemy dziś czesały włosów? - dogonił ją odrobinę zniecierpliwiony głos Abueli i, jak na poparcie słów, błysnął tuż obok w lustrze fragment jej niezmiennie pięknej twarzy.

Celesta czule kochała babkę, która w łaskawości swojej uznała ją za najdroższą z wszystkich licznych wnucząt.

- Ależ naturalnie, dona Isabel - odpowiedziała pośpiesznie, ze szczotką i grzebieniem w dłoni cicho zasuwając szufladę toaletki.

Zbliżyła się do oczekującej w rzeźbionym fotelu damy i, uzyskawszy jej pozwolenie, delikatnie wyjęła klamry mocujące uczesanie. Niespiesznie rozpuściła długie, jedwabiste włosy, które niczym płynne srebro spłynęły dostojnie w dół i niebezpiecznie zbliżyły się do podłogi. Zabrakło im zaledwie kilku centymetrów, jednak był to dystans świadomie pielęgnowany przez Celestę, której obsesją było chronienie doni Isabel przed wszystkim, co zimne i nieprzyjemne.

- Ten basen, Abuela... - nieśmiało powróciła do tematu, który nieprzerwanie ją niepokoił.

- Tak, Celestita? - oczy doni Isabel były przymknięte, a jasne rzęsy zlewały się barwą z bielą jej cery. - Cóż jest w nim szczególnego?

- Czy to, że budują basen, aby nie kąpać się w morzu jak prości ludzie, nie świadczy trochę o ich szlachetnym pochodzeniu? Wiesz, Abuela, nie widziałam wszystkiego dokładnie, bo, oczywiście, nie

chciałam zanadto się zbliżyć, jednak z daleka wydaje się, że oni budują więcej niż jeden basen. Jakby ich zwyczaje były podobne do twoich, naszych... Może robią to po to, by kawalerowie i damy mogli osobno zażywać kąpieli?

- Jesteś dziś bardzo roztargniona, *hija mia* - napomniała cicho dona Isabel, ledwie poruszając pergaminowymi ustami. - Już dwukrotnie zdrasnęłaś mnie grzebieniem...

Dłoń przestraszonej Celesty zawisła ciężko w powietrzu.

- Wybacz, doña Isabel...

Jednak stara dama nie żywiła do niej urazy.

- Nie powinnaś zaprzętać sobie uwagi tymi ludźmi - powiedziała, uśmiechając się łaskawie - ponieważ jeśli należą do naszego świata, sami przybędą złożyć nam uszanowanie.

To wszystko było dla nas wielce niepokojące... Osoby wędrujące po tym domu oraz postaci zakłute wśród ram obrazów. Ludzie, zwierzęta, widma. Ich głosy. Światła i nienaturalnie fosforyzujący mrok. Do tego respekt trzymającego się na odległość morza, rozpasanie wiatru oraz dziwne, nawet jak na Ptasią Wyspę, niezwykle przywiązanie ptaków do tego miejsca.

Na uzasadnienie wszystkich tych zjawisk nie wystarczała sama wiara w duchy grasujące po *castillo*. Nie załatwiał sprawy stary Luiz z wyburzonego kamiennego domu, nie on i nie pozostałe męskie widma... My naturalnie potrafiliśmy wyliczyć - i, jeśli trzeba, nawet rozpoznać - dawnych właścicieli, służących, zabłąkanych marynarzy i innych tajemniczych gości, odwiedzających to miejsce z lądu, morza lub z powietrza. Jednak to nie na nich koncentrowaliśmy się jako uważni sąsiedzi, gotowi dać się pokrajać za możliwość odkrycia całej prawdy. My nie interesowaliśmy się mężczyznami - żywymi czy też martwymi - ponieważ mieliśmy pewność, że w tamtym słynnym na całej Ptasiej Wyspie domu od wieków pokutują wyłącznie kobiety.

7.

W sali przewidzianej na dwie osoby - zwykle przebywały tam przynajmniej cztery, a zdarzało się, że i pięć - zebrał się tego dnia spory tłumek, w skład którego nie wchodził jednak ani jeden mężczyzna. Przed kilkunastoma minutami wyszedł dyrektor szpitala, sprawny chirurg i mierny organizator, przewlekłe zmęczony człowiek, który usiłuje powiązać zbyt wiele funkcji naraz. Opuścił pokój, ratując się przed brakiem powietrza w nieklimatyzowanej sali, jednak nie zrobił tego wyłącznie przez wzgląd na siebie. Jak zawsze, jego troska dotyczyła pacjentek, a w tym przypadku, jak nietrudno było zauważyć, powoli zagrażało im całkiem realne podduszenie.

Prócz siostry oddziałowej w sali pozostały cztery pacjentki. Ona była tam po to, by jedną z nich zabrać do domu - jeśli wszystko ułoży się tak, jak się spodziewała - na zawsze.

- Przyniosłam torbę na twoje rzeczy, *chica*¹ - powiedziała do dziewczynki, siedzącej na łóżku sztywno jak plastikowa lalka. - Spakuję w nią wszystko, a później razem stąd wyjdziemy. I nie martw się, nic tu po nas nie zostanie.

Nic nie wskazywało na to, aby dziewczynka czymkolwiek się martwiła. Być może nie wiedziała nawet tego, że rzeczywiście zabierana jest ze szpitala. Było natomiast pewne, że nikogo o nic nie zapyta i nie należało też oczekiwać od niej żadnej odpowiedzi. Wiedziały o tym wszystkie obecne w sali kobiety - pacjentki, Nauczycielka oraz zatroskana siostra oddziałowa - i wcale nie czuły się urażone.

¹ Mata.

- Pani Tino, niech pani zabierze tę piżamę - powiedziała pielęgniarka. - Miałam wrażenie, że ją polubiła. Przyniosłam ją dla niej od szwagierki, która bardzo roztyła się w ciąży.

- Nie przyda się wam w szpitalu? - zapytała dość szorstko Nauczycielka. - Nie macie tu szczególnie dużo bielizny.

- Mamy nieco zapasowych koszul. Są praktyczniejsze w szpitalu. Ale ona... nie lubiła koszul. Wołała spać ubrana, mieliśmy z tym nawet trochę kłopotów. Dlatego przyniosłam jej tę piżamę.

Uśmiechnęła się do dziewczynki, która nie zmieniła pozycji na brzegu żelaznego łóżka, chudymi nogami ledwie sięgając podłogi. Ten uśmiech, małe przeprosiny za rozmowę o niej w jej obecności, lecz bez zaproszenia do udziału, nie osiągnął celu. Zaledwie omiótł dwunastoletnią pacjentkę w zniszczonej sukieneczce i tenisówkach, które pomogły zasznurować dwie koleżanki ze szpitalnej sali - piętnastoletnia przyszła matka oraz dziewiętnastoletnia ofiara napaści stada bezdomnych psów. W pożegnalnej akcji pomocy nie brała udziału ostatnia dziewczyna - mniej więcej trzydziestoletnia epileptyczka, z powodu choroby pierwszy raz w szpitalu. Ponieważ ciężka rana na głowie, której nabawiła się podczas ataku, była jeszcze zupełnie świeża, lekarz zabronił jej wstawać z łóżka.

Nauczycielka zatrzasnęła zamek porządnej jeszcze, choć noszącej ślady intensywnego używania torby, do której włożyła nieliczne rzeczy dziewczynki. Ledwie pokryły jej dno; gdyby nie błękitny, pluszowy królik, wydawałoby się, że torba jest pusta, a dziewczynka opuszcza szpital tak, jak do niego przyszła, i w ubraniu, które ma na sobie. Jednak ona w dniu przyjęcia nie posiadała nawet tego; przywieziono ją w podartej nocnej koszuli, okrwawionej, choć nie za bardzo, ponieważ włożyła wiele trudu w ukrywanie śladów krwi, która wyływała z niej nieprzerwanie od kilkunastu tygodni.

„Jeśli wszystko ułoży się tak, jak się spodziewam...” Na pewno tak właśnie myślała, w każdym razie powtarzała te słowa wielu ludziom w trakcie doprowadzania do końca sprawy tamtej małej. Wbrew swym zwyczajnym metodom postępowania Nauczycielka zachowywała się bardzo dyskretnie. Nie był bez znaczenia fakt, że

tym razem nie chodziło o nią, lecz o dziecko, które właściwie wcale się jej nie należało. Pewnie nie chciała popsuć wszystkiego swą codzienną wojowniczością. „To znaczy, ułoży się dobrze...” Tę wersję powtarzała chorej dziewczynce, choć było powszechnie wiadomo, że szanse na szczęśliwe zakończenie czegokolwiek są bliskie zeru.

Z pewnością nie była naiwna, o czym kto jak kto, ale my naprawdę mogliśmy się przekonać. W tej i tak wystarczająco trudnej sytuacji po prostu postępowała metodycznie. Swojej przyjaciółce oświadczyła: „Na początek dobrze jest tak, jak jest. Jestem zadowolona, że odtąd wszystko będzie zależeć już tylko ode mnie. Nikt mi już niczego nie popsuje”.

Rodzinie dziewczynki - matce, ojcu i braciom - nic nie powiedziała i zrobiła to z czystego rozsądku. Znała samą siebie: gdyby doszło do konfrontacji, nic nie powstrzymałoby jej od obrzucenia ich obelgami. „Dziękuję panu” - powiedziała do młodego turysty, który znalazł tę małą nad brzegiem morza. Był jednym z tych zagranicznych marzycieli, którzy prócz warunków do surfingu szukają na wyspie metafizycznych przeżyć... Codziennie biegał po plaży o świcie, w czasie, jak to określił, realnie magicznym, w niezwyklej chwili powitania dnia z nocą. Zamiast swojej magii znalazł nad morzem półżywą dziewczynkę. „Powietrze o świcie nabrzmiało było od obietnic - opowiadał potem barwnie wszystkim, którzy chcieli go słuchać - a ja spodziewałem się czegoś zupełnie innego niż bląkające się po plaży, mdlejące z wyczerpania dziecko”...

Z jego opowieści dowiedzieliśmy się, że pędził przed siebie niczym średniowieczny rycerz - z braku rumaka posłużył się wypożyczoną bez pozwolenia motorynką kolegi - ratując lejącą się przez ręce damę, za którą powiewał jednak nie tren, lecz jedna z wielu warstw okrwawionego materiału, który wcisnęła sobie między uda.

- Możemy się stąd zabierać - oświadczyła stanowczo i, ściskając torbę w jednej ręce, zbliżyła się do dziewczynki.

Wyciągnęła do niej dłoń, którą tamta ujęła automatycznie, choć z pewnym ociąganiem, jak maszyna pracująca na zwolnionych obrotach. Posłusznie powstawszy, zamarła w stojącej pozycji równie sztywno, jak wcześniej siedziała na brzegu łóżka.

- Pożegnajmy się z wszystkimi - zachęciła ją Nauczycielka. Jej głos był suchy, jakby szpitalne powietrze niemile drapało ją w gardle.
- Nigdy nie wiadomo, kiedy i jak zdarzy się ponowne spotkanie.

Delikatnie popchnęła przed siebie dziewczynkę, jednak inne ubiegły ją w staraniach. Ciężarna piętnastolatka spontanicznie objęła za szyję odchodzącą koleżankę i zaśmiała się z oczami pełnymi łez, kiedy sterzcący brzuch utrudnił prawdziwe przytulenie. Odsunąwszy się na dwa kroki, pozwoliła sobie na otwarte, wiejskie popłakiwanie. Druga dziewczyna, sztywno zacisnąwszy zdradziecko drżące usta, podała rękę i wielokrotnie kiwnęła głową, jakby składała komuś należne gratulacje. Przez dłuższą chwilę potrząsała luźno wiszącą, chudą dłońią dziewczynki i, nie doczekawszy się rewanżu, wyciągnęła rękę do Nauczycielki. Jednak ona, zajęta z obu stron, mogła tylko odwzajemnić się trudnym i nieco wymuszonym uśmiechem.

- Trzymaj się, dziewczyno - pożegnała ją poważnie. - I pamiętaj, nie zbliżaj się do dzikich zwierząt. Ptaki powinny ci wystarczyć.

- Tak, proszę pani... - odpowiedziała słuźbiście zabandażowana i poklejona plastrami pacjentka. Wiadomo było, że najbardziej martwi się o pracę w hotelu po przeciwnej stronie wyspy: osiem kilometrów od domu, pieszo przez niezamieszkałe tereny. - Będę uważała i będę nosić ze sobą ten gaz na psy, co mi pani dała.

- Dobrze - pochwaliła ją Nauczycielka. - Kiedy tylko przyślą mi krem na blizny, skontaktuję się z tobą. Napisałam już do przyjaciółki mieszkającej na kontynencie, obiecała pomoc.

- Dziękuję, proszę pani.

- A ty pamiętaj, ciągle na nowo pytaj o pracę gdzieś w pobliżu domu. Ja też będę się o to starać.

- Tak, proszę pani... - przyrzekła dziewczyna, w której głosie brakowało przekonania. - Może znajdzie się dla mnie coś w kuchni.

Nauczycielka kiwnęła głową, na nowo obliczając szanse zeszpeconej kelnerki na powrót do pracy wśród gości. Nie wyglądały najlepiej, zwłaszcza według opinii lekarzy, jednak nic nie wydawało się beznadziejne. „W każdym nieszczęściu można znaleźć odrobinę dobrego - wytłumaczyła Nauczycielka zaprzyjaźnionej działaczce z kontynentu - jeśli ta dziewczyna zrezygnuje z marzeń o zostaniu

kierowniczką sali, odpadną jej nocne wyprawy do najdroższego hotelu na wyspie, do którego nie kursuje żaden miejscowy autobus".

Pozostało już tylko pożegnać trzecią, nie opuszczając łóżka współpacjentkę, dzięki podanym lekom pogrążoną w leniwej półsenności. Zagadnięta, z trudem otworzyła oczy i zdobyła się na dość nieprzytomny uśmiech, skierowany do obydwu opuszczających szpital kobiet oraz do oddziałowej pielęgniarki, którą, zapewne z rozpedu, również obdarzyła życzeniami wszystkiego najlepszego.

Ktoś widział je, kiedy razem opuszczały szpital; podobno miała sztywne jak z bólu ramiona. Na pewno nie mogła ciążyć zbyt niemiłosiernie ani na wpół pusta podróżna torba, ani podtrzymywana z drugiej strony ta chudziutka, dwunastoletnia Eola. Musiało więc chodzić o ten papier, jedyną rzecz, która rzeczywiście mogła przygnieść ją do ziemi - niesiony w kieszeni odręczny wypis ze szpitala. Jedyny protokół zbrodni.

Jednak i tak nie spodziewaliśmy się, że pozwoli sobie na słabość. Było to uczucie, którym głęboko pogardzała, na równi z wyrozumiałością okazywaną zbrodniarzom. Znaliśmy ją oraz jej przeszłość wystarczająco dokładnie, by wiedzieć, że potrafi udźwignąć wiele więcej niż wyrok śmierci; nie, nie tego musieliśmy się obawiać. Problematyczna mogła okazać się natomiast sprawa samego dokumentu, który wywalczyła sobie półlegalnymi środkami, sprawiając, że nie dostał się rodzinie chorego dziecka. To, jak tego dokonała, pozostało tajemnicą, podobnie jak sposób, w jaki z determinacją przywłaszczyła sobie Eolę.

Przed szpitalem zaczęły na taksówkę obiecaną przez młodego turystę, który zapłacił za kurs jeszcze przed wylotem z wyspy. Dokończywszy wakacje, powrócił do swojego kraju zarażony losem ratowanego dziecka i każdemu, z kim rozmawiał, wydawał się niekłamnie poruszony. Pozostawił sporą, jak na studencką kieszeń, sumę pieniędzy: „To będzie symboliczne, *senora* - powiedział, uśmiechając się nie tylko do niej, lecz także do własnej romantycznej duszy-to ja przywiozłem ją do szpitala i to ja choć trochę ja z niego odbiorę”.

Z pewnością pożegnała go ciepło, choć wiedziała z góry, że i tak nie spełni przyrzeczenia pisania listów i systematycznej pomocy

innymi środkami. Zbyt dobrze znała się na turystach, zbyt bogate były jej doświadczenia w zakresie ich altruistycznej wytrwałości. Jednak na pewno czuła do niego wdzięczność za odruch serca, którego jej zdaniem rozpaczliwie potrzebowała Ptasia Wyspa. Nawet jeśli rycerskość chłopaka miała sprowadzić się do jednorazowego wyczynu, a jego wakacyjne spotkanie przybrać kształt kodakowego wspomnienia, naprawdę liczyła się ta jedna chwila.

Podziękowała za pluszowego królika, którego kupił dla Eoli. Poważnie skinęła jasnowłosą głową, kiedy powiedział, że nigdy o niej zapomni.

- Tak już tu jest, u nas na wyspie - powiedziała po trosze do siebie, a trosze do dziewczynki, która nie zareagowała na pojawienie się taksówki. - Obcy przylatują i odlatują.

Nie zważając na nic i nikogo, Nauczycielka zabierała Eolę do domu.

- Teraz już wszystko będzie dobrze - powiedziała, mocniej ścisnąc jej bezwładną rękę. - Zobaczysz, wszystko się ułoży

Eola patrzyła przed siebie, jakby parkujący przed nią samochód był bryłą przejrzystego szkła. Nie czekając na kierowcę, Nauczycielka samodzielnie wstawiła torbę do bagażnika i pomogła dziecku zająć miejsce na tylnym siedzeniu.

- Zobaczysz, będzie ci się u nas podobało - oświadczyła stanowczo, gdy samochód, wzbijając chmurę kurzu, startował przed szpitalem. - Pokażę ci cały dom i sama wybierzesz sobie pokój. Mamy wiele pokoi, będziesz mogła chodzić po nich i wyobrażać sobie, że mieszkasz w wielkim *castillo*. I, przysięgam ci, tak jak w *castillo* będziesz w nim bezpieczna.

8.

Traktowała zwierzęta zupełnie inaczej niż my, wychowani na wyspie, na której posiadanie ich było rzeczą całkowicie naturalną. W każdym domu coś hodowano - jeśli nie krowy, świnie czy kozy, to przynajmniej kury albo gęsi. W gospodarstwie pies pomagał pilnować dobytku, a kot był po to, by łapać myszy. Ptasie Wyspy szczyciły się wyhodowaniem specjalnej rasy psów pasterskich, roślących i wytrzymałych, przywiązanych do domu. Koty mnożyły się same, często w zbyt wielkich ilościach, co jednak regulowało się niemal bez naszego udziału, w ramach naturalnej selekcji.

Czymś zupełnie odmiennym były jednak zwierzęta hodowane na Ptasich Wyspach dla czystej przyjemności. Należały do nich koguty, używane do wprawdzie zabronionych, jednak nadal cieszących się liczną widownią walk kogutów oraz psy gończe, które wystawialiśmy do wyścigów.

Usiadła na progu domu, dołączając do swych dwóch kotów wylegujących się na kamieniach. Zwierzęta poruszyły się, zaniepokojone jej widokiem z nowej, nazbyt bliskiej perspektywy, i Gospodyni, szczerze rozbawiona, przyłapała Pirata na ukradkowym zerkaniu w kierunku Lili. Wyglądał tak, jakby pytał, czy widzi to samo, albo - Gospodyni zawsze uważała, że jest bardzo rycerski - prosił o pozwolenie przyniesienia krzesła.

- Nie martwcie się o mnie - powiedziała, obciążając spódnicę wokół kolan - nic mi nie jest. Po prostu cieszę się tym, że mogę chwilę odpocząć i wcale nie chce mi się wystawiać krzesła. Tak dawno nie siedziałam na progu, chyba jako młoda dziewczyna... Tu zwykle jest tyle słońca... Właściwie za dużo słońca.

Pogładziła jedwabistą sierść słuchającej uprzejmie Lili, która,

aktywniejsza niż zazwyczaj, także delektowała się chwilami wolnymi od upału. Kotka uniosła łebek i ufnie nadstawiła gardło palcom, które bardziej niż do pieszczot przywykły do szatkowania warzyw. Jednak ponieważ świetnie znały się na czułości potrzebnej do lepienia ciasta, zamiesiły łagodnie kocie futerko uszczęśliwionej Lili, która przeciągnęła się i zamruczała z rozkoszą.

- Jak to dobrze, że już nie muszę nigdzie jeździć z jedzeniem - powiedziała Gospodyni, uśmiechając się do kotki, która z przymkniętymi w równą kreskę oczami dziękowała jej gardłowym mormorando.

- Czasem mogę też zwyczajnie posiedzieć sobie na progu.

Nie przerywając głaskania i ona przymknęła oczy, chociaż nie mogło ich porazić słońce, które za taflą chmur wykorzystywało akurat swój krótki urlop. Wydało się jej, że szanujące chwilę jej zasłużonego wypoczynku ptaki, zamiast przekrzykiwać się wzajemnie, podjęły ściszoną próbę chóralnego śpiewu. Domowe zwierzęta, choć zdziwione niezwykłością sytuacji, dostroiły się do nastroju. Donna, która - ułożywszy się na wprost swojej pani - nie spuszczała z niej brązowych oczu, strzegła jej spokojnego snu; gdyby było trzeba, gotowa była zmierzyć się nawet z domownikami. Chociaż nie spodziewała się kłopotów ze strony starego Leo, który ulegle rozciągnął się na ziemi, miała poważne wątpliwości wobec nie do końca przewidywalnego Tatù. Wymieniła nawet spojrzenia z Lili, która po odebraniu nadprogramowej porcji pieszczot nie opuszczała uprzywilejowanej pozycji przy boku Gospodyni. Porozumiały się jako dwie kobiety, które, pomimo przynależności do różnych ras, sprzymierzają się w ochranianiu trzeciej, najbardziej niezbędnej ze wszystkich.

Lili syknęła cicho na Tatù, który rzeczywiście niezwłocznie się pojawił i już zbliżał się do Gospodyni w jawnym zamiarze szturchnięcia jej wilgotnym nosem. Usłuchał natychmiast, w swej ograniczonej mądrości młodego, czystokrwistego arystokraty, którego życie nauczyło dostosowania się do reguł. Jedną z nich zawierała prawdę o tym, że koty, Lili i Pirat, należały do domu Gospodyni wcześniej niż on miał szczęście się w nim znaleźć. Były więc jego przyjaciółmi - starszymi rangą i wymagającymi szacunku, wobec którego wielkość ciała traci wszelkie znaczenie.

Kocio-psia przyjaźń w domu nad morzem posiadała pewien, istotniejszy nawet od hierarchii wartości, aspekt, z którego tamten pies - to ona nazwała go Tatu - niedokładnie zdawał sobie sprawę. Był to fragment przeszłości, która, zapewne z korzyścią dla jego nadwyrężonej równowagi, umknęła z jego pamięci. Znały ją natomiast koty: to pod ich uważnymi spojrzeniami uratowany od śmierci pies budził się i wychodził z mgły, to w ich cichej obecności uczył się żyć na nowo. Ponieważ wówczas pomagały mu rzetelnie, uznały się za jego opiekunów. Pozostawiły sobie prawo kierowania nim i przywoływania do porządku, jakby był ich przerośniętym i nieco ograniczonym dzieckiem. Ponieważ na ich oczach zmartwychwstał, one, obdarzone obietnicą siedmiokrotnej egzystencji, niejako uznały go za swego.

Tatu nie mógł dokładnie pamiętać zatroskanego czuwania wszystkich zwierząt z domu. Umknęło mu skupione posapywanie najstarszego psa i zagrzewające do walki miauknięcia domowego kocura. Był zbyt chory, by wiedzieć o staraniach Donny, pracownicy oblizującej mu głowę, kark i łapy, nie widział Lili, kiedy w kocim milczeniu krążyła wokół jego legowiska. Później nikt nie wyjawiał mu prawdy o tym, że to one go uzdrowiły: stróż Leo, rehabilitant Pirat, pielęgniarka Donna oraz szamanka Lili, która magicznymi kręgami odczyniła przekleństwo wyroku.

Z wszystkich opiekunów Tatu zapamiętał jedynie kobietę tulącą go do siebie, kiedy ponownie otworzył oczy. Była tą samą, która wcześniej wyrwała go z paraliżującego bólu. Połączywszy obydwie wspomnienia, Tatu zrozumiał, że to jej zawdzięcza ponowne narodziny oraz, później, lepsze i niezagrożone życie. Świadomość ta nieodwracalnie zatrzasnęła się w jego wiernej, psiej głowie i stała się silniejsza od wdzięczności za jedzenie, kąt do spania, nawet za pieśczoły, których doświadczał czasem od kobiety drzemającej teraz na progu. Aby ją ochronić lub się jej odwdziaczyć, byłby gotów jeszcze raz pograć się w niebycie. W każdej chwili poświęciłby się dla niej z radością, nawet gdyby musiał zapłacić za to nieodwołalnym potwierdzeniem przypuszczenia, że w przeciwieństwie do każdego kota nigdy się więcej nie odrodzi.

Coś poruszyło się w domu, leciutko, dosłyszalnie tylko dla zwierząt, które natychmiast nastawiły swe uważne uszy. Upewniwszy się, że nie zdarzyło się nic ważnego, jeszcze raz porozumiały się wzrokiem i, skupione na pilnowaniu Gospodyni i jej wypoczynku, powróciły do pozornie zrelaksowanych pozycji. Nie zamierzały niepokoić jej czymś, czego sama nie mogła usłyszeć, a jednak ona, ku ich wielkiemu zwierzęcym zdziwieniu, przytomnie otworzyła oczy.

- Dostyc tego lenistwa - stwierdziła, uśmiechając się do swoich stróżów na dowód, że wyrzut nie ich dotyczy - nie należy zbyt przyzwyczajając się do przyjemnych rzeczy.

Obciążając spódnice, wstała z progu, którego tego dnia nie rozgrzało jeszcze południowe słońce. Jak zwykle nie nosiła zegarka; poszukała wzrokiem okrągłej tarczy kuchennego czasomierza, widocznego z każdego zakątka pomieszczenia jako urządzenie niezbędne w przygotowaniu potraw.

- Czas na zupę - powiedziała w kierunku okien na piętrze.

Patrzyła dokładnie tam, skąd niedalej jak przed chwilą dobiegały niepokojące hałasy. Zdziwione jej czujnością zwierzęta ponownie nastroszyły uszy.

- Czas na zupę - powtórzyła Gospodyni, jakby chciała kogoś uprzedzić.

9.

Bywają wieczory, podczas których Celesta zagląda do kuchni. Nie powoduje nią poczucie obowiązku, gdyż wie, że nie musi zajmować się sprawami gospodarstwa. Jest przecież panią, nawet jeśli czas jej panowania nie dorównuje złotym czasom doni Isabel. Tak, trudno zaprzeczyć, że *castillo* podupadło... Jednak Celesta nie chce zastanawiać się, kiedy i dlaczego tak się stało. Każda z przyczyn mogłaby okazać się nieprzyjemna, po co więc odkrywać prawdę, bezpiecznie spoczywającą za którymiś z drewnianych drzwi lub na dnie jakiejś malowanej skrzyni?

Być może *castillo* opustoszało wkrótce po tym, jak Korsarz zdecydował się powrócić na morze i zabrał ze sobą nie tylko okruchy jej złamanego serca, ale także serca innych ludzi, którzy, pozbawieni jego czaru i charyzmy, przestali tu zajeżdżać? Jakże bolesne byłoby ostateczne pogodzenie się z myślą, że nie chcą fatygować się tylko dla niej samej, jakby ona, Celesta, była jedynie dodatkiem do Korsarza, niczym jego strój lub jedna ze szpad, martwych i bezużytecznych bez właściciela. Albo jak jego pies, który zawsze kręci się w pobliżu, czujny na każde słowo i gest, cały złożony z pragnień podobańca się i służenia, tak jak ludzie służą Bogu. Zawsze był wynagradzany za tę wierność, za urodę oraz psią mądrość i wszyscy, także goście Korsarza, nie szczędzili mu przysmaków, chwalać go jako urokliwe uzupełnienie właściciela, w pewnym sensie jego przedłużenie. Jednak jaką wartość mógłby mieć dla kogokolwiek pies pozbawiony pana, gdzie znalazby się ktoś, kto z własnej woli wybiera się do niego z wizytą?

Zwykle Celesta nie pozwala sobie na takie metafory. Nawet jeśli porównanie z opuszczonym psem zbyt często przewija się w labi-

ryntach jej myślenia, podsycanego przez widok snujących się po *castillo* czworonogów. Wszystkie są jak ona, milczące i samotne, zwłaszcza jeden z nich, długowłosa, smukła, linią ciała przypominający instrument. Celesta nie pamięta już dokładnie jego miejsca w konstelacji dawnego porządku, jednak szlachetność zwierzęcia świadczy o tym, że był ulubieńcem i chlubą Korsarza, który jedynie z miłości nie zabrał go ze sobą w podróż. Dla żyjącego wiatrem i pędem charta zamknięcie na pokładzie okrętu oznaczałoby śmierć, którą w najlepszym wypadku osłodziłby nieco zapach cholew ukochanego pana.

Jednak wyniosłej Celeście nie przystoją nawet najdalsze porównania z najszlachetniej urodzonym chartem! Jest wnuczką doni Isabel Vaca y Peralta, panią i dziedziczką potężnego rodu i nie wolno jej rozmyślać o samotności w świecie, w którym nie ma miejsca na smutek opuszczenia. Na samopoczucie Celesty nie może wpływać ani czyjaś obecność, ani też absencja; jej pozycja jest niezależna od osoby męża trwającego u jej boku, więcej, jej wartości nie umniejsząłyby nawet to, gdyby nigdy nie była zamężna. W jej rodzie już na długo przed jej urodzeniem wiele silnych kobiet zapisało się w annałach całkowicie samodzielnie, pod własnym, nie mężowskim imieniem, jako kardynalne osobowości, wpływające na politykę, sztukę, nawet na religię. Ileż to razy doni Isabel opowiadała jej o damach, które wprawdzie zdecydowały się na mężów, jednak jedynym celem ich *matrymonium* było poczęcie potomstwa. Albo - co podobno również wydarzyło się jednej z antenatek - nadanie rozważnie wybranego nazwiska potomkowi, którego poczęcie już się dokonało.

Celesta przechadza się po wysprzątananej kuchni. Lśni wyszorowana podłoga, nad kominem suszą się zioła i warkocze świeżego czosnku. Odbicie jej twarzy powiela się w lustrach wypolerowanych garnków, równym szpalerem uwieszonych nad wystygłym paleniskiem. Celesta unosi ramię - poły szerokich rękawów jej brokatowej sukni suną jak jaszczurki po powierzchni drewna - i jedno po drugiej otwiera drzwi kuchennych szaf. Z zaciekawieniem ogląda ich zawartość, kolejny raz dziwiąc się mnogości worków, pudeł i słoików, torebek i przykrytych płótnem mis napełnionych jedzeniem. „Dla

kogo to wszystko? - z niejaką pogardą dziwi się Celesta. - Oto, do czego prowadzi brak odpowiedzialnego zarządcy! Służba robi, co chce. Czy moja kuchnia musi wykarmić pół wyspy? Ja sama spożywam tak niewiele - odrobinę owoców i kawałek sera, kieliszek czerwonego wina z piwnicy"...

Niestety, Celesta nie zna dokładnie swojej służby; jest w tym odrobinę podobna do babki Isabel, co jednak niezupełnie ją usprawiedliwia, ponieważ tamtą wyręczał we wszystkim zaufany i świetnie wyszkolony zarządca. To on zatrudniał i odprowadzał kucharza i ogrodnika, on wybierał do służby pokojówki, których praktyczną przydatność sprawdzała później chlebobawczyni. Podobną niefrasobliwością Celesta mogła cieszyć się jedynie podczas obecności Korsarza, który silną ręką zarządzał *castillo*... Dawne, wspaniałe czasy! Bujność ogrodu pozwalała zapomnieć o tym, że wyspa jest tylko połaciem wysuszonej ziemi, zasypywanym piaskiem przez hulający wiatr; drzewa owocowe chronione były od żarłoczności ptaków, a delikatne uszy Celesty od ich krzyku, który nie potrafił przedrzeć się przez drewniane drzwi i okiennice. Zawiasy drzwi nie były jeszcze zardzewiałe, a kucharka nie wydawała fortuny na nikomu niepotrzebne kosze jedzenia...

Na szczęście Celesta nie potrzebuje niepokoić się o pieniądze. Ma ich całe mnóstwo, monety i złoto pozostawione w skrzyni przez Korsarza, który, odpływając, zatroszczył się o dostatnie życie żony. Wystarczy na opłacenie służby, na jedzenie, wino *rioja*, sole do kąpieli oraz na suknie z przesywanego srebrem brokatu, specjalnie dla niej szyte na kontynencie. Gdyby zapragnęła, mogłaby nawet opuścić wyspę, udać się do którejś z wielkich metropolii, powrócić do Hiszpanii lub pojechać do Argentyny... Mogłaby wyruszyć w daleką podróż - zobaczyć Madryt, Paryż, Rzym, wielkie muzea, sale koncertowe oraz wiedeński lunapark na Praterze. Jednak... Kto dotrzymałby wówczas towarzystwa dostojnej doni Isabel, kto oczekiwał na powrót Korsarza? Kto dbałby, niechby i z daleka, o jego psy, pilnował nienaruszalności *castillo*?

Zaciekawiona Celesta przygląda się kuchni, w której ktoś gotuje dla niej i pilnuje za nią porządku. Widzi wyszorowaną podłó-

gę, równo poukładane naczynia. Na oknach, za którymi zapadł już zmierzch, drżą muślinowe firanki, jakby poruszał nimi wieczorny oddech paleniska. Na poręczy drewnianego krzesła tkwi kuchenny fartuch, przewieszony czy rzucony, może nawet ciśnięty przez nieuwagę lub w pośpiechu. Ujmując go w dwa palce, Celesta cmoka z dezaprobatą i rozgląda się w poszukiwaniu czegoś, na co wieszają się rzeczy w rodzaju fartuchów i kuchennych ścierek. Jednak dotyk prostego materiału rozbudza w niej ciekawość; zatrzymuje się i po chwili zawahania rozkłada w dłoniach płócienny fartuch w kwiaty. Jest niecierpiwej świeżości, ktoś go używał, co łatwo poznać po załamaniach, śladach po mące oraz po kilku małych plamach od oliwy, które natychmiast budzą odrazę w Celeście. Jak ukłuta igłą, upuszcza fartuch i, trąc machinalnie dłońmi o znajomą szorstkość brokatowej sukni, przygląda się barwnej plamie, która powstała na podłodze. Myśli o osobie, która przyodziewa się w ten upstrzony plamami kawał płótna, o szyi, którą oplątują górne sznurki, oraz o talii, ściskanej parą szerszych tasiemek. Wydaje się jej, że widzi jasny włos, wyrwany z głowy kobiety, która w jej służbie obnosi ten fartuch po kuchni. Wyobraża sobie szerokość jej pleców, wzrost i sposób chodzenia, palce rozsypujące pomięte tasiemki fartucha oraz dłonie, które, może bez zastanowienia, obtarła z kukurydzianej mąki.

W jednej chwili Celesta zastyga zaskoczona i spogląda na własne, zatrzymane nagle w bezruchu dłonie. Jeszcze czuje ich niespokojne dotknięcie na swym płaskim, opiętym suknią brzuchu. Nie, nie ma wstydliwości, tym dłoniom nie grozi zbrukanie mąką, cukrem, ziemią, nawet piaskiem z wyspy... Celesta strzepuje z nich niewidzialne pytki, ślad po dotknięciu fartucha należącego do służby, swojej dobrej, bo niewidzialnej, kucharki czy pomywaczki. Końcem pantofla odsuwa fartuch tarasującej drogę i, nie odwracając się, opuszcza kuchnię, w której bywa tylko wtedy, gdy ogarnie ją głód albo inna dziwna, niezupełnie przyjemna ochota. Odchodzi do innych pomieszczeń *castillo*, takich, w których przebywanie bardziej jej odpowiada.

10.

W mrocznym, oświetlonym jedynie za pomocą niewielkiej lampki gabinecie, za dużym, nieporządnie zarzuconym papierami biurkiem, leniwie przeciągnęła się na krześle. Rozejrzała się po pomieszczeniu i omiotła wzrokiem wszystkie kąty, jakby podejrzewała w nich czyjaś obecność.

Niechętnie odsunęła od siebie ostatni sprawdzany zeszyt. Była zmęczona i czytane zdania - pisane niewprawnie i jakby z musu, migąły jej przed oczami. Zmrużyła je więc, usiłując przegonić obraz wirującego tańca liter, jednak na niewiele się to zdało, bo ciągle istniały w jej głowie te niezdarne szeregi słów i zdań, po których uwijała się czerwonym ołówkiem niczym mściwa harpia, niezdolna darować najdrobniejszego potknięcia. Podczas pracy takiej jak ta zdarzało się, że była zmuszona sięgać po słownik i, zalana deszczem wątpliwości, sprawdzała prawidłowość formy, którą posługiwała się sprawnie już jako kilkuletnie dziecko. Wabiona na manowce dziesiątkami wymyślnych odmian jednego i tego samego słowa, Nauczycielka dopuszczała do siebie wątpliwości, z których chciałyby umieć się szczerze śmiać, gdyby tylko byłoby to możliwe w nastroju z pogranicza rozpaczy i rozdrażnienia.

„Oto jak rodzą się nieprawidłowości języka - zdecydowała po przeczytaniu zbyt wielu nafaszerowanych błędami wypracowań. - A właściwie uprawomocniają się powoli, aż stają się normą, w której w miarę upływu czasu zaczynają całkiem nieźle funkcjonować. Fałsz wielokrotnie powtórzony razi swą krzykliwością jedynie na początku, później jego instensywność opada i przechodzi przez kolejne fazy: pierwotną brzydotę, lekko gryzący brak estetyki, nieuwierającą niepewność nowości, aż po wątpliwość, czy kiedykolwiek brzmiał

inaczej. Ciężko jest nauczycielom, ciężko poprawiaczom świata. Ich problem nie polega na tym, że czegoś się nie nauczyli, nie dość dogłębnie sprawdzili, czegoś nie dowiedzieli. Najtrudniejsze jest zamknięcie uszu na stukrotne zapewnienie o prawidłowości czegoś, co nigdy prawidłowe nie było, przymknięcie oczu na błąd, który w obliczu całości nie wydaje się groźny... Metamorfoza fałszu w akceptowalną prawidłowość zależy wyłącznie od liczby powtórzeń".

Jej zmęczony śmiech popłynął nad nieporządną kupką stępionych do niemocy czerwonych i zielonych ołówków, budząc psa, który drzemał pod zawalonym zeszytami biurkiem. Widząc jego zdziwione oczy, pochyliła się nad nim i porozumiewawczo pogłaskała go po głowie:

- Bzdury chodzą mi po głowie, piesku - wyszeptła do niego, zbyt znużona na skomplikowane monologi. - Czasami zapominam, że jestem tylko belferką od francuskiego.

Podniósł się i, w jednej chwili rozbudzony, wyprostował na swych kształtnych, cienkich nogach, jakby naprawdę szykował się do odpowiedzi. Nastawił uszy i w skupieniu przechylił łeb na jedną stronę, jednak jego uwaga nie dotyczyła słów Nauczycielki. Pojęła to, kiedy podbiegł lekko do współprzymkniętych drzwi jej gabinetu i, precyzyjnie się przez nie, przysiadł napięty w korytarzu na wycieraczkę, dwie minuty wcześniej, nim ktoś staroświecką kołatką zapukał w wejściowe drzwi.

- Czy to ten pies, którego... - zaczęła nowo przybyła kobieta, energiczna i autorytatywnie prowadząca za sobą parę nieznanych ludzi.

Nauczycielka, która, szurając rozdeptanymi pantoflami, podeszła do drzwi i po chwili zastanowienia niechętnie otworzyła je niepodziewanym gościom, oszczędnie skinęła głową.

- Dzień dobry państwu - przywitała przyjaciółkę i towarzyszącą jej osobę.

Jej pies, napięty tak, że całe jego wysmukłe ciało rozedrgało się jak nieskoordynowany mechanizm, stał tuż przy niej i wbił niespokojne oczy we wchodzących do domu ludzi. Widać było, że wolałyby znaleźć się jak najdalej od nich, wtulić w ciemny kąt albo

zwinąć się w kłębek obok śpiących gdzieś w pobliżu towarzyszy. Jednak nie robił tego, po psiemu bardziej lojalny niż tchórzliwy, wbrew własnej woli biorąc udział w ludzkich powitaniach.

Dyrektorka Domu Schronienia przewodziła innym. Nie pytając o pozwolenie, skierowała się wprost do jedyne go na parterze pokoju, z którego światło wylewało się na mroczny korytarz.

- T a m jest straszny bałagan - Nauczycielka zatrzymała ją przyjaznym ruchem ramienia - i za mało krzesel dla twoich gości. Chodźmy raczej do salonu.

Z twarzy dyrektorki, mimo późnej pory, nie zeszła jeszcze stanowczość jej kierowniczej funkcji. Postarzała ją jak zbyt gorliwie wykonany permanentny makijaż.

- J a k sobie życzysz - kiwnęła głową.

Niczym przewodnik wycieczki, który w nieswoim mieście natrafia na ulicę w remoncie, profesjonalnie poprowadziła gości w nowym kierunku.

- A odpowiadając na twoje pytanie - Nauczycielka nie troszczyła się o podążających z tyłu nieznanym. - Tak. To jest ten pies. Nic dziwnego, że go nie poznałaś, bo rzeczywiście bardzo się zmienił.

Znalazła go w lesie. Był młodym chartem, który podzielił los wielu innych przedstawicieli swojej rasy, przez miejscowych ludzi hodowanej do wyścigów. Wygrywające psy są dobrze karmione, jednak gdy okazują się niedostatecznie szybkie i przegrywają kolejne biegi, właściciele uznają je za niewarte dalszego inwestowania. Aby nie wyrzucać pieniędzy na karmę, pozbywają się czworonogów w najmniej kosztowny sposób - po prostu wieszają je na drzewach.

Właściciel jej psa najwyraźniej się pośpieszył, gdyż odszedł nie sprawdzwszy skuteczności wyroku. Gałąź, do której przywiązany był stryczek, obsunęła się i pies nie zawisł całym ciężarem ciała. Czekalo go długie konanie.

Odcięła go przekonana, że jest martwy. Zamierzała go pochować - nie zostawić, nie wyrzucić, lecz przekopać się przez piach do twardszej warstwy ziemi i tam schować go przed łowcami padliny. Chciała zrobić to sama, swymi nieprzywykłymi do fizycznej pracy rękoma, jakby był jej psem. Może nawet płakała podczas drogi do

KOBIETY Z PTASICH WYSP

swego ogrodu, kiedy ciągnęła go za sobą, bo wcale nie był lekki. Tam jednak okazało się, że jeszcze żyje i zamiast zdychać, woli zawalczyć o życie. Pomagała mu w tym przez wiele dni.

Jasnowłosa pies skulił się pod spojrzeniem czworga ludzi, jednak tylko ona zdawała sobie sprawę z tego, jak skwapliwie uczyniłby użytek ze swych niewiarygodnie szybkich nóg. Pozostali, zajęci podziwianiem jego płynnej jak posuwiste pociągnięcie pędzla sylwetki, dostrzegali jedynie upartą stanowczość, z którą pilnował bliskości swojej pani.

- Jest bardzo ładny - oświadczyła z dumą dyrektorka Domu Schronienia dla Kobiet, jakby miała w tym osobisty udział.

Nadal sprawowała funkcję przewodniczki po domu przyjaciółki. Ją samą traktowała jak coś w rodzaju muzealnego eksponatu, który najchętniej wskazywałaby palcem, pojedynczo oraz z psem, jako dwa szczególnie egzemplarze, zasługujące na uwagę zwiedzających już na początku wycieczki.

Kobieta, którą ze sobą przyprowadziła, zapragnęła pogłaskać uratowane zwierzę. Jednak pies, któremu obojętne były jej zamiary - namacalne przekonanie się o przywróceniu go życiu lub melodramatyczna chęć wynagrodzenia mu przeżytego okrucieństwa - uskoczył przed nią w ułamku sekundy. Jego górna warga zadrgała w niesfinalizowanym pragnieniu pokazania silnych zębów - w psiej mowie wyraźnym oświadczeniu, że nie szuka opieki u swej pani, lecz przeciwnie, gotuje się do obrony obojga.

Nauczycielka poklepała go zdawkowo po kształtnym łbie i zdecydowała się przejąć rolę gospodyni:

- Wejdźmy do pokoju - ucinając temat psa i swojej roli w jego zmartwychwstaniu, wskazała krzesła ustawione wzdłuż stołu. - Usiądźcie państwo, a ja przyniosę coś do picia.

- Proszę, niech pani nie robi sobie kłopotu.

Jedynemu w towarzystwie mężczyźnie jej kurtuazyjny gest wydał się równie niepotrzebny jak opowieści o psie.

- Wolelibyśmy jak najszybciej wyjaśnić pani sprawę, z którą przychodzimy - powiedział.

Widać było, że chce zostać przedstawiony, chociaż dotychczas milczał i nikogo nie ponaglał. Świadomie oddawszy inicjatywę dy-

rektorce, wykorzystał czas w pożyteczny sposób, rozglądając się, obserwując i rejestrując szczegóły. Do jego głowy wpłynęło już wiele informacji, które skatalogował według znajomego wzoru: wejściowe drzwi tego domu były solidne, posiadały mocny zamek oraz judasza. Natomiast ten uratowany pies... Teraz był dobrze odżywiony, czujny i odważny.

Jego słowa zatrzymały Nauczycielkę, jednak na krótko. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Przyniosę coś do picia - powtórzyła cicho, choć po swojemu stanowczo. - Proszę usiąść i poczekać tu na mnie.

Jej przyjaciółka dyrektorka poparła ją energicznym odsuwaniem krzesel od stołu.

Między tymi dwoma kobietami istniały duże podobieństwa, dzięki którym całkiem dobrze ze sobą współpracowały: ona oraz tamta, niedwuznacznie starsza, lecz młodzieńczo niemal silna dyrektorka. Obydwie nie tolerowały słabości, przede wszystkim w sobie. Niezależnie od siebie, każda po swojemu, jak dwie matki podobnie upośledzonych dzieci, upychały ją w najdalszy, najciemniejszy kąt własnej rezygnacji. Nie pozwalały, by im przeszkadzała, napominały się wzajemnie.

„O takich jak ty ludziach mówi się, że kochają świat” - powiedziała kiedyś do dyrektorki, wiedząc, że sprowokuje jej natychmiastową ripostę. Tamta, która swą wewnętrzną kruchość zdołała skutecznie owinąć kłębem ochronnej waty, natychmiast zaprotestowała: „Bzdury! Znowu jakieś bzdury”.

Nie, dyrektorka nie kochała świata... W każdym razie nie w sensie ogólnie przyjętym, według tego samego wzoru, który zabraniał jej kochać ludzi. Przyparta do muru, sama siebie nazwałaby raczej sprzątaczką niż poprawiaczką świata. Zwykłą sprzątaczką z wyboru, bez nimbu głębokiego, mitycznego uzasadnienia, bez przeniesień tolerowanych w metaforach stosowanych wobec najprostszej funkcji sprzątnięcia, z obowiązku robienia czegoś, na co innym zabrakło ochoty.

„Jakże chętnie siedziałabym na plaży, kochana” - wyznała kiedyś przyjaciółce. Dopadła ją rozsypana, bolesna tęsknota: „Też chciała-

bym spróbować, jak czują się ci bogaci idioci w hotelu, nic nie robiąc, z kieliszkiem wina w dłoni. Poszłabym na spacer z jakimś tłustym mężem w majtkach w kwiaty, gadałabym z nim o dorosłych dzieciach i tapetach, które należy zmienić na jesieni. Ale nie mogę... Widzę za dużo. Dlaczego Bóg nie wyposażył mnie w inne spojrzenie?"

Jednak Nauczycielka, jej pokrewna dusza, nie wierzyła w ochotę na wygodnictwo: „Dobry Bóg wiedział co robi, kiedy cię konstruował - oświadczyła z przekonaniem, nie zważając na chwilowy kryzys - choć lepiej by było, gdyby naprodukował więcej podobnych do ciebie. Gdyby cię rozmnożył. Albo gdyby rozdzielił twoją pasję na kilka kobiet, aby każda z was miała trochę wolnego - parę godzin za dnia, parę tygodni w roku na wakacje... Twoim pechem jest to, że jest was tak mało. Bo teraz, moja droga, wykonujesz robotę kilku rzetelnych aniołów".

„Ale i tak jest mnie za mało - dodała dyrektorka. - Czasami chciałabym móc się rozdzielić".

Wtedy ona roześmiała się głośno, mniej czule, w sposób, który dobrze znali jej uczniowie: „Rozdzielić, cóż, każdy z nas chciałby umieć się rozdzielić".

Kiedy wróciła do salonu z glinianym dzbankiem, trzema szklanekami na tacy i nieodłącznym psem przy nodze, goście, milcząc, siedzieli przy stole. Nieznajomi zajęli miejsca naprzeciw dyrektorki, choć być może stało się tak, że to ona usiadła w sposób dający jej możliwość obserwacji. Znająca ją Nauczycielka uśmiechnęła się pod nosem z nienaruszalności zawodowych nawyków kobiety, która, zapewne nie zdając sobie z tego sprawy, niezmiennie pilnowała każdego - byle przez siebie ustanowione - porządku.

- Chyba czas, byś mi zdradziła cel waszej wizyty - powiedziała do niej, pobieżnie lustrując twarze nieznajomych gości. - I przedstawiła mi swoich przyjaciół.

Nalała lemoniadę do szklanek i, nałożywszy na twarz jedną z form uprzejmego uśmiechu, czekała spokojnie.

- Właściwie nie jesteśmy przyjaciółmi - w ustach dbającej o równość sytuacji dyrektorki zaprzeczenie nie zabrzmiało nawet szczególnie niegrzecznie. - Pan...

Siedzący naprzeciw mężczyzna uprzedził jej zamiary:

- Nazywam się Vasquez - nie starał się ukrywać, że zależy mu na czasie. - Jestem komisarzem stołecznej policji. Współpracujemy z organizacją, o której pani zapewne nie słyszała. Nazywa się Help! Jak piosenka Beatlesów.

Lekko się uśmiechnął i przez chwilę wydawał się skępowany własnym uśmiechem, jakby uznał go za sprzeczny ze swoją funkcją, wyglądem, kanciastością podbródka, nawet ze swoją standardową skórzaną kurtką.

-Pani Rostillo jest jedną z działaczek - powiedział. - Współpracuje z nami.

Nauczycielka zachęcająco potaknęła. Nie okazywała niecierpliwości, na którą i tak nie było miejsca w porze spokojnego popołudnia, nie popędzała go i nie zadawała pytań. Była obeznana z podobnymi ludźmi; typ wysokich, masywnych brunetów o obojętnych oczach, które trudno jest skłonić do darmowego wyrażenia uczuć, budził w niej niedobre, choć niezbyt jasne skojarzenia. Jednak ona starała się unikać pochopności ocen.

- Miło mi - powiedziała poważnie.

Oddzieleni od siebie przestrzenią szerokiego stołu i tysiącem skomplikowanych spraw okazywali sobie szacunek uczciwych kontrahentów.

- Rozbiliśmy szajkę sutenerów - powiedział komisarz Vasques. - Udało się nam aresztować kilka grubych ryb oraz pomniejsze płotki, werbujące dziewczyny do prostytucji. Słyszała pani o tym, prawda?

Nie spodziewał się po niej innej odpowiedzi; wiadomość o udanej policyjnej akcji dotarła już w najdalsze miejsca, a ona, aktywistka Domu Schronienia dla Kobiet, powinna znać ją lepiej od przeciętnego czytelnika gazet.

- Nie wszystkie z nich wiedziały, gdzie się zatrudniały - dorzucił, jakby z obowiązku.

- Nasza organizacja - poparła go pani Rostillo - zajmuje się tymi dziewczętami. Wspomaga je w powrocie do normalnego życia.

Mówiła nienaturalnie wysokim głosem, nieprzyjemnie kontrastującym ze spokojnym sposobem mówienia przedmówcy. Według

Nauczycielki, która uprzejmie zwróciła się w jej stronę, głos ten, lalkowaty i sztuczny, nie pasował do tej kobiety: w jej katalogu pojęć minoderyjność nie powinna zdarzać się ludziom angażującym się w ważne sprawy.

- Jesteśmy organizacją katolicką - wyjaśniła piskliwie pani Rostillo - chociaż jest wśród nas kilku działaczy świeckich.

Nauczycielka potaknęła grzecznie w wyrazie szacunku dla działalności katolickich organizacji. Jednak pani Rostillo inaczej dokończyła swoją prezentację:

- Ja na przykład jestem całkowicie świecka. Aby pomagać ludziom, nie trzeba przecież wstępować do zakonu.

Przez Dom przewinęły się wszystkie możliwe przykłady nieszczęść z gatunków zarezerwowanych dla kobiet. Ona, która blisko z nim współpracowała i była przyjaciółką jego dyrektorki, nie poznała osobiście wszystkich ofiar. Nie starała się o to, przeciwnie, nawet z grona tych, z którymi zetknęła się bezpośrednio, nie każdą mogłaby później rozpoznać. O to jednak chodziło, a ona, jako jedna z inicjatorek utworzenia tej surowej przechowalni żeńskich życiowych rozbitków, miała wpływ na sformułowanie jego regulaminu. Wymieniono w nim trzy cele instytucji: pomoc w odbiciu się od dna, danie czasu na pozbieranie sił oraz naładowanie wiarą i optymizmem. Składały się na posag, który Dom Schronienia ofiarowywał podopiecznym na usamodzielnienie się. Im samym pozostawało jedynie zniknąć i nie pozostawić po sobie śladu.

W pamiętliwej przestrzeni Ptasich Wysp status mieszkanki Domu - także byłej mieszkanki - nie wróżył żadnej z kobiet nic dobrego. Dyrektorka, która niechętnie przyjmowała wizyty dawnych pensjonariuszek, uważała to za wręcz niebezpieczne: „Robisz krok do tyłu, dziecko - tłumaczyła dziewczynom, skutecznie maskując ambiwalentną radość z odwiedzin. - Nie trzymaj się niedobrych wspomnień i nigdy nie oglądaj się za siebie”.

Jej żelazne prawo dotyczyło przede wszystkim prostytutek - byłych prostytutek, jak uparcie podkreślała. Traktowała je z niespotykaną cierpliwością, łagodnie, jakby marnotrawnym córom należały się szczególne względy. W miarę możliwości - na wyspie

były one rzeczywiście ograniczone - starała się o przygotowywać je do rozsądnego zawodu, z postawieniem akcentu na samodzielną niezależność.

Jakby ich los był przesądzony i wykreślone wszelkie szanse na rodzinne szczęście, w którym zawodem kobiety jest bycie kobietą.

- Pomogliśmy już wielu dziewczętom, które policja zdołała wyciągnąć ze szponów przestępstwa - zaśpiewała sopranowo pani Rostillo. - My jako organizacja wspomagamy jej działalność. Jesteśmy pomocni zwłaszcza wtedy, gdy zdarzają się wyjątkowo ciężkie przypadki, wymagające szczególnych środków. Pozwoli pani, że o tym szerzej opowiem?

Niemal rozbawiła Nauczycielkę, która zerknęła w stronę dyrektorki: „Zaprosiłyśmy ją do stołu w jakimś innym celu niż wysłuchanie jej poważnych spraw?” Jednak dyrektorka już od dłuższego czasu sprawiała wrażenie zamyślanej i jakby nieobecnej.

- A le ż proszę - odpowiedziała grzecznie. - Jestem do pani dyspozycji.

- Są dziewczyny, które zostały zmuszone do prostytucji przemocą. Często są to młodziutki stworzenia, właściwie dzieci... Zostały perfidnie oszukane; pośrednicy proponują dobrą pracę, obiecują opiekę, załatwienie dokumentów. Ofiara nie ma pojęcia, co ją czeka, podobnie jak jej zadowolona z szansy rodzina.

Pani Rostillo napiła się lemoniady jak mówca, który nie czeka, aż opadnie z sił, ale z góry eliminuje niebezpieczeństwo. Kiedy zaczęła mówić na nowo, jej piskliwy głos opadł przynajmniej o pół tonu.

- Jeszcze trochę? - Nauczycielka uniosła dzbanek z lemoniadą.

- Proszę - zgodziła się mezzosopranowa pani Rostillo. - Rodzice, najbliższa rodzina i przyjaciele nie mają pojęcia, w jakie piekło wpada taka dziewczyna.

- Bywa jednak i tak - ze swego miejsca mruknęła ponuro dyrektorka Domu Schronienia - że sami rodzice sprzedają swoje dziecko za pieniądze. Czasami znają los, na który je skazują, a czasami po prostu udają, że nic nie wiedzą.

- Są różni ludzie - skwapliwie potwierdziła działaczka organizacji Help! - tak jak różne są rodziny.

Zapadła chwila męczącej ciszy, nieoczekiwanie groteskowa dla Nauczycielki. Zmarszczyła brwi, jakby w jej głowie wyświetlił się uproszczony slogan wychwalający osiągnięcia funkcjonariuszy, działaczy i aktywistów odpowiedzialnych za porządek świata. Troje z nich siedziało z nią przy stole; na jej oczach zastygli w pasywności, aż ich bezruch zaczął jej przeszkadzać. Poczowała złość: „Siedzicie tu sobie głupio i milczycie”.

Dyrektorka Domu, która odczytała jej myśli, wyrwała się z chmury milczenia:

- Może już wystarczy tego wstępu.

Swym surowym głosem i jednym ruchem głowy zmieniła dynamikę obrazu i z nieruchomej fotografii uczyniła kino akcji.

- Tina, im chodzi o dziewczynę, którą wyciągnięto z nielegalnego burdelu.

Wyprostowała się i zaczęła gestykulować, znowu podobna do siebie, w niepodrabialny sposób charyzmatyczna i po swojemu piękna.

- Ma dziewiętnaście lat i przez przynajmniej dwa lata nie została wypuszczona na światło dzienne. Co najwyżej zmieniała miejsce pobytu, kilka razy, przewożona nocą samochodem z jednego do drugiego przybytku. Przyjechała ze wschodniej Europy, do pracy, miała być bodajże kelnerką czy opiekunką dzieci w stolicy, jednak nikt nigdy nie zamierzał zatrudniać jej w tym charakterze. Zabrali jej paszport, nie znała języka. Na początku była wielokrotnie gwałcona, także zbiorowo, jak mnie pouczono, to się nazywa „ujeżdżanie”. Trzymali ją na narkotykach, bili i głodzili. Teraz niezbyt przypomina człowieka. Jest zaszczuta, z trudem udaje się nakłonić ją do mówienia, zresztą i tak posługuje się tylko kilkoma słowami na krzyż. Nie można się z nią porozumieć co do tego, skąd pochodzi, zapytana o adres, kręci tylko głową.

- Co z jej rodziną? - Nauczycielka zadała pytanie niechętnie, z góry znając odpowiedź. - Próbowano skontaktować się z jej bliskimi?

- Nie. Ona powtarza tylko, że nie ma nikogo. Nie podaje żadnego rozsądnego miejsca, w które można by ją odesłać. Poza tym

policja, a przede wszystkim ludzie z organizacji Help! są zdania, że najpierw należy jej pomóc. Nie można odsyłać jej gdziekolwiek w tym stanie, ona...

- Musi na nowo nauczyć się chodzić, rozmawiać, spać i jeść jak normalni ludzie - wtrąciła się odważnie pani Rostillo. Pozostali spojrzeli na nią zaskoczeni, jednak ona się tym nie spieszyła. - Ta dziewczyna musi dostać lekarstwa, musi przypomnieć sobie, jak to jest, kiedy człowiek budzi się rano bez perspektywy bicia i poniżania.

Świecka działaczka katolickiej organizacji Help! nie patrzyła ani na Nauczycielkę, ani na dyrektorkę Domu Schronienia dla Kobiet, ale prosto w sceptyczną twarz policjanta, z którym połączyła ją wspólna sprawa.

- Ona musi rozpoznać ludzi w postaciach, które się do niej zbliżają i uwierzyć, że nie są potworami. Jesteśmy jej to winni. To piekło przydarzyło się jej w naszym kraju.

Policjant ledwie zauważalnie wzruszył ramionami:

- Co do tego nie możemy mieć wątpliwości.

Siedział na wprost szczupłej, jasnowłosej kobiety, o której usłyszał, że tkwią w niej pokłady niewyobrażalnej siły, że jest nieustraszona, sprawiedliwa, dumna... I trochę szalona.

- Chcieliśmy odstawić dziewczynę do Domu Schronienia - wyjaśnił Nauczycielce. - Miałyby dach nad głową i...

Zamilkł na chwilę, ponieważ nagle opadły go wątpliwości.

- Istnieje jednak pewien problem.

Kiedys zarzuciła dyrektorce Domu Schronienia, że traktuje prostytutki lepiej od innych, nie mniej przecież nieszczęśliwych kobiet. Ze wyróżnia je, jakby w nierównym naświetleniu przyczynowości losu były biedniejsze od tych, które z rodzinnych domów wyгнаły razy kijem albo zwyczajna nędza. Tamta powołała się na uniwersalną prawdę, według której wszystkie biedy solidarnie trzymają się razem, a jedna ściąga na siebie drugą. „Na realność naszego Domu prawidłowość ta przekłada się tak - wyjaśniła dyrektorka - że nigdy nie mieliśmy tu dziewczyny rezygnującej z uprawiania płatnej miłości tylko dlatego, bo rzemiosło to przestało się jej podobać”.

Wszystkie prostytutki, które w końcu tam wylądowały, nawróciły się dzięki biciu, głodzeniu oraz zmuszaniu do rzeczy fizycznie przekraczających granicę wytrzymałości.

- Im nie udało się zamknąć wszystkich - powiedziała porywco dyrektorka Domu Schronienia, sprawiając, że komisarz Vasques zacisnął szczęki. Nie lubił być wyřęczany z relacjonowania spraw, które go dotyczyły. - Przynajmniej dwóch umknęło w ostatniej chwili i są potencjalnym niebezpieczeństwem. Policja przypuszcza, że będą jej poszukiwać.

Dyrektorka wstała i okrążyła stół, jakby postanowiła wytworzyć równą odległość od wszystkich siedzących przy nim osób.

- Mówiłam im już, że w naszym Domu ukrywa się wiele dziewcząt. Mówiłam im, że mamy doświadczenie w chronieniu ich i swoje sprawdzone sposoby.

Zwracała się wyłącznie do Nauczycielki, która zaczynała wyglądać tak, jakby dopadł ją jakiś dziwny dyskomfort związany z miejscem czy może otoczeniem. Wyprostowała się na krześle i przestała dotykać plecami jego oparcia. Zrezygnowała z przyjaznych uśmiechów, a jej rzucane w kierunku gości spojrzenia sprawiały wrażenie oficjalnych i dość wyniosłych.

- *Señora* - komisarz nie należał do ludzi, których można długo i bezkarnie ignorować. - Natomiast ja usiłowałem pani wytłumaczyć, że tu nie chodzi o ukrywanie maltretowanej żony przed brutalnym wieśniakiem!

Natychmiast ściągnął na siebie kontratak:

- A co pan wie o brutalnych wieśniakach? - dyrektorka jak rozsierdzony prokurator zrobiła krok w jego stronę. - Przecież tacy nie interesują was tak długo, póki ich brutalność nie doprowadzi do czyjejś śmierci! Dopiero wtedy materializują się na miarę waszych potrzeb, w przeciwieństwie do ofiary... Która dla was nie istniała ani na początku, kiedy jej życie było zagrożone, ani potem, kiedy je straciła!

- To nieprawda, *señora*.

- Doprawdy?

Atakowany komisarz stołecznej policji odwrócił się do Nauczycielki. Nadal się wahał; jeszcze nie udało mu się uwierzyć

Zofia Mossakowska

w wiarygodność ścian jej domu, w zamki strzegące wejścia oraz w skuteczność odległości tego miejsca od najbliższych skupisk ludzi.

- Tym razem chodzi nam o ofiarę - powiedział, jakby zwracał się tylko do niej.

- Nie musisz tego robić, Tina! - dyrektorka mówiła szybko, podniesionym głosem, któremu jednak brakowało nienaruszalnego fundamentu. - Mówiłam im, że masz już u siebie Eolę. Oprócz wszystkich twoich obowiązków, pracy, wszystkich twoich odratowanych zwierząt, mówiłam im, że nawet twoje siły gdzieś się kończą...

- A ty - zapytała z uśmiechem Nauczycielka, łagodnie, jak wyrwana ze snu - gdzie kończą się twoje siły?

- Tu jest twój dom, Tina. Nie pomieścisz w nim wszystkiego!

- A ty? Czy tobie udaje się pomieścić wszystko w domu, który nazywasz swoim?

Nauczycielka patrzyła na policjanta oraz milczącą jak ze wstydu panią Rostillo z organizacji Help!, jakby dopiero teraz ich zobaczyła. Podniosła głowę, odgarnęła włosy i wyprostowała się na krześle.

- Przywieźcie mi tę dziewczynę - powiedziała pełna wyniosłego chłodu.

W zapadającym mroku jej zielone oczy zmieniły kolor na siwy.

11.

Wieczorami, podczas których Abuela nie zdradza ochoty na pogawędkę, Celeście wydaje się, że czas, płynąc szczególnie wolno, upiera się przy rozwlekaniu jej samotności. Tęskni za rozmową, brakuje jej zabawy w zaplatanie słów zdolnych pokonać porozpinaną wśród ścian *castillo* ciszę. Pada ofiarą zmierzchu, który następuje trzykrotnie wolniej niż zazwyczaj, czuje, że schody wydłużają się w nieskończoność, a krużganki wiją się niedorzecznie, jakby ktoś złośliwy znieacka pozmieniał im formę. W podobny czas jej suknia zaczepia się rękawami lub trenem o zastawiające jej drogę meble i progi.

Ktoregoś takiego wieczoru Celesta usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, a był to nieczęsty dźwięk w miejscu, w którym nawet nie najlepiej wyszkolona służba wie, że należy przestrzegać niezauważalności. Zaciekawiona, nieledwie rozbawiona zachwianiem wypielęgowanego porządku Celesta wykręciła lekki piruet w kierunku głównego korytarza. Nie dostrzegając nikogo w jego kadrze, pozwoliła sobie na teatralne wzruszenie ramion, którego jednak natychmiast się zawstydziła. W następnej sekundzie, podczas przywracania plecom ich arystokratycznej sztywności, poczuła w nich coś odmiennego i zdziwiła się swobodą własnych ruchów. Nagle nic jej nie uciskało i nie krępowało oddechu. Zaniepokojona tym pośpieszyła do wysokiego lustra, aby sprawdzić, cóż takiego mogło zmienić się w dobrze znanej Celeście i z jej bladych, nigdy nie malowanych warg wymknęło się nerwowe westchnienie. Dostała swoją odpowiedź: oto suknia wisiała na niej luźno, niedopięta, osunięta z ramion, jakby, ożywiona obcą energią, próbowała uciec właścicielce. Zaskoczona i zaniepokojona sobą Celesta, wyprostowała

się wyniosłe na potrzebę widoku w lustrze i, surowym wzrokiem przywoławszy go do porządku, zamasyściła sięgnęła ręką do tyłu. Nie bez trudu odnalazła zapięcie sukni i, udając, że nie stało się nic szczególnego, uporała się z nim najszybciej, jak potrafiła.

Zamierzała już odchodzić, zadowolona z zakończenia niezręcznego *divertimento*, które na szczęście nie zajęło jej więcej niż kilka porozciąganych minut, kiedy coś niejasnego zatrzymało ją na miejscu. Jak zaskoczone dziecko lękliwie przymknęła oczy, zmagając krótką modlitwę o nawrót spokoju, który zawieruszył się gdzieś podczas okiełznywania nieposłusznego stroju. Jednak wydarzyło się coś więcej: jej myśli zaprzętał cień obcej impresji, która - czyż mogła się pomylić? - wydarzyła się zaledwie przed chwilą. Przestraszona zajrzała jeszcze raz w głąb lustra, wprost w jego zmatowioną prawdę. Ufała, że lustro jej nie okłamie i nie będzie zwodzić jak obrazy, będące tylko oprawionymi w ramy wyznaniem nieodpowiedzialnego malarza.

Tymczasem była niemal pewna, że jej wierne zwierciadło, zaprzeczenie każdego trwałego malowidła i jej żywe odbicie, dopuściło się kontrabandy. Tego wieczoru próbowało przepuścić w jej świat coś albo kogoś obcego, nietypowy element, który nie miał prawa się w nim pojawić.

- Dona Isabel, obudź się, proszę cię! - zawołała głośno, kiedy, pokonawszy schody, wpadła zadyszana do narożnego pokoju. - Potrzebuję cię, Abuela...

Śnieżnowłosa dama nie od razu otworzyła oczy i zwykle posłuszna Celesta musiała wykazać się cierpliwością i odwagą, aby wyrwać ją z przykurzonej ciszy. Jednak nie mogła postąpić inaczej: wieczór ten zanadto różnił się od innych wieczorów i zbyt wiele niepokoju przytłaczało jej wąskie ramiona, aby i tym razem mogła skulić je pokornie i, ukłoniwszy się cicho, powrócić do własnej samotności. Pozbawiona możliwości wyboru i zaskoczona swą nieustępliwością, jedyna żyjąca wnuczka doni Isabel wyprowadziła babkę z zakamarków snu. Wciągając ją w wir rozmowy, była przymilna, lecz stanowcza.

- Mówisz, że widziałaś kobietę, *hija!* Acóż w tym niezwykłego? Dom jest pełen służby.

KOBIETY Z PTASICH WYSP

- Ta kobieta spojrzała mi w oczy, Abuela! Czyż służące patrzą w oczy? Czy służąca przegląda się w lustrze swojej pani?

- Zapewne stała dość daleko, jedynie tobie wydało się, że znajduje się tuż za twoimi plecami. Mówiłaś, że usłyszałaś dźwięk zatrząskiwanych drzwi?

- Właśnie tak, dona Isabel! Najpierw zaniepokoiło mnie trzaskanie drzwi, było bardzo głośne, proszę mi wierzyć... Potem zobaczyłam ją w lustrze.

- Kogo, Celestita?

- Tę kobietę! Chyba nie mogła być służącą... Już nie wiem niczego, Abuela! - zrozpaczona Celesta przyklęła przed siedzącą w fotelu damą, rozgniatając kolanami uroczystą suknię. - Służąca mogła zatrasnąć drzwi, zapewne, mimo że służące zwykle nie robią podobnego hałasu, jednak jak mogła później ukazać mi się w lustrze?

Jej rozkojarzenie i pokora ułagodziły w końcu niezadowoloną donie Isabel Vaca y Perałta. Zdjęta litością, wyciągnęła swą lekką jak gałąź orchidei dłoń i położyła ją na głowie wnuczki. Celesta westchnęła łzawo pod dotykiem, który był jej darowany rzadko, jak szczególnie cenny prezent.

- Mogło też być odwrotnie, *hija* - powiedziała łagodnie dona Isabel. - Zdenerwowana suknią, mogłaś się pomylić. Z pewnością służąca towarzyszyła ci z daleka, chciała podejść do ciebie, jednak, zauważywszy, że sama poradziłaś sobie z zapięciem, wyszła i nie chcący zatrasnęła za sobą drzwi.

- Nie byłam aż tak bardzo zdenerwowana suknią, Abuela...

- A l e ż tylko tak mówisz! Pamiętam doskonale to uczucie, kiedy miałam ukazać się publicznie i po sto razy sprawdzałam każdy szczegół stroju...Jeszcze teraz śni mi się czasem, że załamała mi się kryza kołnierza, albo że ktoś naderpnął i naderwał kraj mojej sukni!

- A l e ż ja nie oczekiwałam gości, Abuela!

- To niczego nie zmienia, Celestita. Dla damy publicznym wyjściem jest nawet opuszczenie sypialni. Ty wiesz o tym i miałaś powód, by być wyprowadzona z równowagi. Swoją drogą, czy nie powinnaś pomyśleć o zmianie służącej? Na taką, która jest dość uważna, by nie dopuścić dcytwojego wyjścia w niekompletnym stroju?

Celesta spuszcza głowę jeszcze niżej, tak, że widzi już tylko podłogę, a właściwie tylko jej niewielką część, przestrzeń przysłoniętą fragmentem swej przytulonej do posadzki sukni, oraz przednie nogi fotela babki. Milczy, ponieważ nie udaje się jej przypomnieć sobie twarzy służącej - ani tej, która swoją nieuwagą sprawiła tyle zamieszania, ani żadnej innej. Celesta nie wie, jak wygląda kobieta odpowiedzialna za jej stroje, podobnie jak nie domyśla się, kto gotuje dla niej w kuchni. Może jest tą samą osobą, która znosi do *castillo* kosze pełne jedzenia? A jeśli służących jest wiele... Należałoby wiedzieć, czym zajmuje się każda z nich.

- Myślę, że to w gruncie rzeczy dobra służąca, doña Isabel - ryzykuje ostrożnie, nie unosząc głowy. Tak dalece nie jest pewna swego, że wygodniej wypada jej mówienie do podłogi. - Nigdy nie wchodzi mi w drogę, jest dyskretna... Wszystko jest zawsze w najlepszym porządku, posprzątane, ułożone. Moja suknia czeka na mnie na wezglowiu łoża, czysta i pachnąca. Myślę, że ona na noc przekładają ziołami...

- Myślisz, Celestita?

- To chyba przypadek, że wyszłam w niedopiętym stroju. Zapewne spieszyłam się, może nawet wydawało mi się, że słyszę twoje wołanie, Abuela?

Ostatnie zdanie Celesta wypowiada jeszcze ciszej, wypełniona wstydem za swoją niepewność.

- Ale z *hija mia*, przecież wiesz, że nigdy nie zrobiłabym czegoś podobnego! Czy myślisz może, że mogłabym nawoływać kogoś z pustej komnaty?

Upokorzona Celesta kuli się u stóp rzeźbionego fotela.

- Naturalnie, że nie, dona Isabel. Wybacz mi, proszę.

Rozbita i zarazem bezlitośnie zaplątana we fragmenty myśli, które jak niesforne szczenięta skaczą przez siebie i popychają, Celesta milknie na długo i, nie podnosząc głowy, zastyga w sztywności swej brokatowej skorupy. Nawet ryzykując utratą resztek zainteresowania doni Isabel, nie potrafi już zdobyć się na snucie nowych przypuszczeń. Usiłuje łapać je w głowie, jakby składała porwane kłębki wełny.

Kobieta, która krótko mignęła jej w lustrze, nie pokazała żadnej obcej twarzy. Nie była więc obca, czyli istniała możliwość, że naprawdę była tylko zwyczajną służącą... Jednak mogło zdarzyć się i tak, że w korytarzu pojawił gość służącej; jest to myśl, do której Celesta przenigdy nie przyznałaby się przed babką, natychmiast każącej jej zwolnić służbę ośmielającą się przyjmować wizyty.

Nie od wczoraj zdarzały się w *castillo* sprawy, które Celesta wołała przemilczeć przed donią Isabel... Nie robiła tego, by uniknąć połajanak, choć i tak raniły ją mniej od przenikliwego, naciekłego wyrzutem spojrzenia babki. Wybierała milczenie, ponieważ otwarte przyznanie się do przewinienia sprawiało, że rzeczy stawały się faktem, a to z kolei wymagało poszukiwania przyczyny. W subtelnej grze dochodzenia do prawdy ktoś musiał ponieść winę, a Celesta była jedyną osobą, na którą można ją było zrzucić.

Celesta, której służba gra na nosie... Celesta niezdolna do zarządzania domem. Albo - czyż istniał boleśniejszy zarzut? - Celesta, którą porzucił Korsarz, zaniedbujący *castillo*, bardziej niż w niej zakochany w swoich lekkomyślnych podróżach!

- Ale czemu ty siedzisz na podłodze, Celestita? - pada nowe pytanie, które odbija się od ścian komnaty jak ostre cięcie szpady po kamieniu. - Ktoś może wejść i zobaczyć cię w takim stanie.

Celesta szybko prostuje ramiona i zbiera siły, by podnieść się z godnością i przywrócić sukni prawidłowy, niepomięty kształt. Wygładza materię na kolanach, poprawia przesuniętą linię dekoltu oraz odgarnia do tyłu włosy, jasne i dziecinnie miękkie, wedle obowiązującej mody odślaniające jej wysokie, może nawet zbyt wysokie czoło.

- Rzeczywiście, dona Isabel. Zapomniałam się.

Stojąc wyprostowana przed babką, ze spokojnymi oczami na wprost starej, dumnej twarzy, jeszcze raz na nowo zauważa dziesiątki podobieństw między sobą a tamtą, w ponadczasowej urodzie zakłętą damą. Z całego serca pragnie być jej godna. Dyga lekko i postanawia sobie przeprowadzić inspekcję *castillo*; nawet jeśli niezupełnie się na tym zna, zada sobie wiele trudu. Pozna zajęcia i zwyczaje służby, dowie się, kto i dlaczego ją odwiedza, rozwikła zagadkę wszystkich nagłych pojawień.

Celesta nie zamierza zdradzać doni Isabel planów, które jej samej wydają się dość pospolite... Och, gdyby tylko powrócił Korsarz. Z jaką łatwością i stanowczością potrafiłby zająć się tym wszystkim!

Tematem, który zdawał się ją uwodzić, była historia naszych wysp. Mogła rozmawiać o niej bez końca, czytać o niej, wspominać. Z pasją wciągać nas w długie pogawędki.

Jednak my rzadko zamienialiśmy się we wdzięcznych rozmówców. Tak zwane wielkie dzieje Ptasich Wysp wydawały się nam mocno przereklamowane, podobnie jak historie dawnych wypraw i podróży. Przecież my nie mieliśmy nawet własnych okrętów! Te, które z jakichś powodów zawijały niekiedy do naszego portu, przybywały tu z kontynentów albo z potężniejszych wysp, na przykład wrogiej i groźnej Anglii... Nasza wyspa nie leżała na szlaku wielkich wypraw, prawdę powiedziawszy, była tak nieznaczna, że nawet wieści o klęsce Wielkiej Armady¹ dotarły na nią z karygodnym opóźnieniem. Czy ktoś rzeczywiście widział kiedyś galeon cumujący w porcie? Bo to, że namalowano niegdyś takie obrazy, historycznie dokładne, wierne w szczegółach i, jakby to określić, podniecające, o niczym nie świadczyło. Odgłos armat na okręcie, nawoływanie marynarzy i szczęk białej broni? Legendy o bohaterach? Długo można by gwarzyć o tym, kogo napawały przerażeniem, a kogo fascynowały zabijaki z gatunku krwiożerczego Francisa Drake'a, pirata i królewskiego kochanka. Oraz za czyją sprawką kobiety wyplakiwały nocami oczy, na plaży, pod siną poświatą księżyca.

Spośród wielu fantazji niełatwo było wyłowić prawdę, której nikt rzetelnie nie spisał, nie skatalogował, ba, nawet porządnie nie zapamiętał... Fakty i ludzkie bajanie zlały się ze sobą, wyblakły, wyświechtane przez wiatr, który wywiał z wyspy pamięć o dniach glorii i sławy. Gdyby nie szkoła, gorliwość nauczycieli i wiedza z podręczników - ich autorzy nawet nie pochodzili z Ptasich Wysp! - umknęłoby nam pewnie nawet to, że także nasza ziemia odznaczyła się podczas hiszpańskiego Złotego Wieku. Właśnie dzięki arystokratycznym,

¹ Wielka Armada - Grandę y Felicissima Armada - stworzona przez króla hiszpańskiego Filipa II, zniszczona w 1588 roku przez angielską flotę pod dowództwem admirałów Howarda i Drake'a.

bogaty rod, z których mężczyźni opuszczali domostwa dla służby pod hiszpańską flagą, walczyli na wojnach, zdobywali dla korony nowe terytoria, odkrywali szlaki... Przelewali krew tak, jak ich opuszczone kobiety łzy.

A jak wpływało to na nas? Wcale. My zadowalaliśmy się posiadaniem dobrych rybaków, pogromców tuńczyków i merlinów. Oni nie wypływali w morze zbyt daleko, aby łód nie przybrał kształtu zwodniczej mgły, nie oddalali się od wyspy w pogoni za abstrakcyjną sławą, nie narażali życia. My wszyscy byliśmy tylko odpowiedzialnymi wieśniakami, którzy wiedzą, że najważniejsze zobowiązania dotyczą przede wszystkim rodziny: naszych żon, dzieci i starych rodziców. Nawet, jeśli trzeba, owdowiałych sióstr naszych żon, z dziećmi.

12.

- Opowiem ci o naszej wyspie, dziecko - drewniany stół Gospodyni zastawiony jest miskami i talerzami. - Wiem, że nic z niej jeszcze nie widziałaś. To naprawdę niedobrze, że nie chcesz jej poznać, ruszyć się z miejsca... Siedzisz i siedzisz w tym jednym pokoju albo w kuchni, nawet nie próbujesz wyjść do ogrodu. Jeśli jest za gorąco, mamy przecież wiatr. I trochę cienia, zwłaszcza pod drzewami... Nie, nie musisz obawiać się ptaków, one właściwie nie brudzą. Sama nie wiem, jak to się dzieje, ale traktują nasz ogród, jak coś w rodzaju salonu, pewnie dlatego, że rośnie w nim te parę drzew... Czy może mam zacząć od opowiadania ci o ogrodzie?

Dziewiętnastoletnia dziewczyna jest chuda, a jej ciało porusza się niemal bez przerwy, nie tylko dłonie, ale także całe ramiona, nogi, w których kolana wykonują niepokojące okrągło-pulsujące ruchy, oraz głowa, drżąca na cienkiej szyi jak piłka lub czerep diabełka wyskakującego z pudełka na sprężynie. Odpowiednio do rytmu ciała drży na dziewczynie całe jej ubranie - dzinsy, które kiedyś zapewne były obcisłe, jednak teraz gubią się w nich wychudzone na dwie szczapy nogi, oraz biały T-shirt, pachnący świeżością i porządnie wyprasowany, o czym świadczą ostre kanty na ramionach, pozostałość po żelazku. Dziewczyna ma oszczędną fryzurkę, w której grzywka kończy się wysoko nad brwiami, po czasie konsekwentnego wyskubywania zabierającymi się dopiero za odrastanie, podobnie jak włosy, nożyczkami uwolnione od morderczej trwałej ondulacji i sztucznego koloru, potocznie nazywanego krwistorudym. Także twarz dziewczyny wygląda tak, jakby ją wyszorowano, wytarto i splukano z całej palety kolorów, zwłaszcza usta, o barwie sinawej moreli, skazane na przymusowy

KOBIETY Z PTASICH WYSP

odwyk od konturowania karminową szminką, tanią, za to skuteczną jak farba olejna.

- To nic nie szkodzi, że nie rozumiesz wszystkiego. Wiem, że nie najlepiej znasz nasz język. Nie musisz się tym martwić, dziecko, nauczysz się, zobaczysz, że się nauczysz. Najpierw ja będę mówiła, a ty będziesz słuchać. A jakbyś czegoś nie zrozumiała, postaraj się zapytać. Po prostu pytaj, tak jak umiesz.

Warstwy podkładu i kolorów, w które jeszcze całkiem niedawno zbrojono twarz dziewczyny, miały za zadanie maskować jej pryszcze - i te małe, różowawe z białą kropką, i te zakażone chemikaliami, powiększone rozlaną ropą albo nie do końca zastygłą krwią. Teraz wszystkie ujawniły się jak kratery na obcej planecie, obnażonej w obiektywie sondy posyłającej na Ziemię setki zdjęć na minutę. W miejscach wolnych od pryszczy dziewiętnastoletnia skóra dziewczyny jest szara i postarzała, śmiertelnie zmacerowana kosmetykami, papierosowym dymem oraz obcym dotykiem, którego gatunku, ciężaru i częstotliwości nie da się już określić.

- Usiądź sobie wygodnie, dziecko. Nie musisz wciąż chować się w kącie, mogłybyśmy usiąść na ławce na podwórku. Dobrze, już dobrze, nie musisz jeszcze wychodzić za próg, jeśli nie chcesz, nie uciekaj... Popatrz, postawię ci krzesło naprzeciwko otwartych drzwi, to będzie tak, jakbyś była na powietrzu. Też nie. Więc dobrze, usiądźmy chociaż koło okna, nie za blisko, nie obawiaj się. Jeśli będziesz chciała, popatrzysz sobie przez okno. Na drzewa, na ptaki... Ich widok daje tyle dobrego. Wiem, że ciągle je słyszysz, wiem. My wszyscy ciągle je słyszymy. Są głośniejsze od wiatru, od morza, od wszystkiego, co razem udałoby się poskładać na naszej wyspie. Ale dobrze byłoby, gdybyś też na nie popatrzała. Hałas, który robią te ptaki, i ich widok to jedna całość. Rozłożone na części można źle zrozumieć.

Dziewczyna, która usiadła w końcu na krześle ustawionym w pobliżu okna, jest czujna i płochliwa jak jeden z ptaków krzyczących gdzieś niedaleko. Nie zapuszcza wzroku dalej niż w głąb pokoju, zresztą nawet to robi z wysiłkiem, zdradzającym brak nawyku dalekiego patrzenia, niechęci wobec patrzenia dalej niż na odległość

ramion i obawę przed patrzeniem gdziekolwiek. Jej oczy tego nie chcą i nawet jeśli prawdziwy lęk leży po stronie duszy, oczy obwiniane są za wszystko. To one mają konflikt ze światłem i zmuszają powieki do nerwowego migotania, to one boją się czystego powietrza, na które reagują suchością i pieczeniem. Z całej zewnętrżności dziewczyny oczy wydają się najgorsze - najbardziej zniszczone, zużyte, najpełniej martwe. Przypominają wnętrza pordzewiałych garnków, wypełnionych zmurszałą, szarą wodą i wygląda na to, że nic się w nich nie naprawi, bo nie mogą jak brwi odrosnąć albo jak włosy zostać wycięte do zdrowego korzenia. Na całe szczęście zajęta innymi nieszczęciami dziewczyna nie zdaje sobie sprawy z opłakanego stanu swoich oczu, których, według namowy zatroskanej nią kobiety, powinna użyć do oglądania świata. Gdyby była tego świadoma, być może ośleplaby na zawsze.

- Nasza wyspa... Jaka właściwie jest ta nasza wyspa? Bardzo sucha, piaskowa. Jest jak... ciemne ciasto przysypane białym cukrem, *una tarta de chocolate*¹ Czarna część, która nie przypomina niestety żadnego biskoptowego ciasta, jest bardzo twarda, ponieważ składa się z resztek wulkanów. Ostatnie wulkany nie działają już od przynajmniej czterech tysięcy lat i nie obawiamy się, że sobie o nas przypomną. Kiedy wyszły z morza i wyrzucały z siebie ogień oraz lawę, musiały być ostre i spiczaste, ale to było bardzo dawno temu. Dziś są stępione, zaokrąglone i spłaszczone tak, że aż trudno zgadnąć, gdzie kiedyś przebiegała granica między jednym a drugim z nich. Nasz wiatr, woda, no i przede wszystkim czas starły je jak zęby staruszka... Nasza wyspa jest najstarszą z Ptasich Wysp i najbardziej płaską w całym archipelagu. Po wulkanach pozostały na niej tylko płyty zastygłej lawy, jak rozlane i zaschnięte kawowe *natillas*².

Na stole stoją jeszcze naczynia z ledwo naruszonymi potrawami. Dziewczyna o martwych oczach obojętnych na opowieści o wyspie **1** milcząca jak jeden z jej wygasłych wulkanów spróbowała niemal wszystkiego. Nie wiadomo, czy zrobiła to z ochoty, czy z niezaspoko-

¹ Tarta czekoladowa.

² Pudding.

jonego głodu, który w jej poprzednim życiu przybrał formę upiornej ameby, pokrętej i przybierającej ciągle nowe formy, bezlitośnie ssącej wnętrzności. Dziewczyna sięgnęła łyżką do każdego talerza i każdej miski; nawet jeśli objaśnienia dotyczące próbowanych potraw były jej obojętne, bez strachu brała jedzenie do ust, zlizując albo siorbiąc.

- To są *churros* \dziecko, jeszcze ciepłe. *Sopa de ajo*¹, chyba lubisz czosnek? Mówiliśmy o wyspie, prawda. A więc kiedy było już po wszystkim, a wulkany po wylaniu z siebie całej zawartości ucichły, morze zabrało się za porządkowanie wyspy. Lawa, polewana jego falami, ostudziła się i wygładziła jak marcepanowa glazura na torcie i pomału, pomału pokrył ją piasek naniesiony przez fale. Trudno w to dziś uwierzyć, ale biały piasek to zmielone małe morskie żyłtka, przede wszystkim korale. Taka morska mąka. Dalej od nas, gdybyjechać na północ, piasek staje się coraz ciemniejszy, najpierw kremowy jak śmietana, potem złoty, w kolorze dojrzałego banana. Czasem nawet przejrzałego, z brązowymi plamami, aż zaczyna się myśleć, że to od słońca! Z wszystkich miejsc wyspy to u nas jest najładniej, bo mamy najwięcej białego piasku, tego najczystszeo, z najdrobniejszego mielenia. Chociaż i on niektórym przeszkadza... Bo dostaje się do oczu, uszu, wpada we włosy. Czasami złoścę się, że wchodzi mi do domu, ale przecież to nie wina piasku, tylko wiatru. A wiatr jest taki sam na całej wyspie, nie tylko głośny, ale i silny. Nie trzeba z nim walczyć, wystarczy posprzątać.

Żołądek dziewczyny również nie jest w najlepszym stanie, na co wskazują dochodzące z niego nieskoordynowane odgłosy. Burczenie, powarkiwanie i ostry bulgot nie przeszkadzają jednak jego zajętej jedzeniem właścicielce, wygląda na to, że najtrudniej przychodzi jej pochłanianie potraw, które z coraz większym trudem mieszczą się w boleśnie skurczonym brzuchu. Jeśli jej twarz nie zdradza żadnych uczuć ani ochoty, ani też rozczarowania czy żalu, jej dłonie nadal sięgają uparcie po następne kawałki, które chude palce z tępą zaciętością wpychają potem do ust.

¹ Rodzaj ciastek.

² Zupa czosnkowa.

- Przy sprzątaniu, zmiataniu i wycieraniu tego piasku można pocieszać się, że inni mają znacznie gorzej, to znaczy ci, którzy mieszkają po drugiej stronie wyspy. Ich piasek jest bardzo ciemny, z zastygłej lawy, też przemielonej, jak czarna kawa. Wiele trudniej jest pozbyć się ciemnego piasku... I jest na nim jeszcze mniej roślinności. My tu mamy wielkie wydmy, całe piaskowe pagórki i doliny, które ciągną się całymi kilometrami. Prawdziwa pustynia, która żyje. Jest na niej wiele zwierząt. Oczywiście jaszczurki, choćby nasze *gekos*, których nie sposób wygonić z domu i gdyby nie koty... Są kozy, żyjące na wolności. Obywają się bez wody tak długo, że człowiekowi aż trudno to sobie wyobrazić. Snują się stadami przez wydmy jak jakieś czworonożne duchy. I mamy też dromadery, wiesz? Ale ich nie spotyka się zbyt często na wolności, już nie. Niestety. Kiedyś, dawniej, służyły na wyspie jako zwierzęta pociągowe, potem jakoś przestały być potrzebne, a teraz tylko czasem są wykorzystywane przez ludzi współpracujących z hotelami. Mają być atrakcją dla gości, biedactwa... Dobrze, że chociaż ktoś je za to karmi.

Tymczasem dziewczyna w dżinsach i białej koszulce przestała jeść. Ostatnim, co włożyła sobie do wyblakłych ust, było kukurydziane ciastko, jednak ponieważ nie udało się jej zmóc go w całości, wciąż jeszcze trzyma w palcach jego sporą część. Jej nieobecne oczy zaczynają się zamykać, jest zmęczona, choć prostuje się na twardym krześle w kuchni, w której nie ma żadnego miękkiego mebla. Trudno stwierdzić, jak dalece czuje dotyk obcej dłoni, odbierającej kawałek ciastka jej przykurczonym palcom, nie martwi się okruchami, które sypią się na lśniącej czystością podłogę. Reaguje dopiero, kiedy ruch pomocnego ramienia skłania ją do podniesienia się z krzesła; najpierw spina się w sobie, machinalnie, jak ślimak dotknięty w czułki, potem zmusza się do spojrzenia, które o nanosekundę zbliża się od uważności, na koniec wstaje.

- Może powinnaś się położyć, dziecko? Dziś jest gorąco i jakoś wyjątkowo mało wiatru, jakby powietrzu odechciało się tańcować... W takie dni drzemka dobrze robi. Najlepiej byłoby, gdybyś położyła się na ławce w ogrodzie. Przyniosę ci poduszkę.

Ciało dziewczyny zastyga w odruchu głuchego protestu.

KOBIETY Z PTASICH WYSP

- Będę uważać na ciebie z kuchni. Spójrz, okno nad zlewem wychodzi prosto na ogród.

Kościste ramię boleśnie sztywnieje.

- I psy będą cię pilnować. Popatrz tylko na Leo, już siedzi na progu. Jest trochę stary, ale to *bardino*, rasa z naszej wyspy, pasterz i dzielny stróż. Kiedy go poproszę, nie dopuści do ciebie niczego, nawet kotów, chociaż są jego przyjaciółmi.

Dziewczyna patrzy na końce swoich stóp i stoi, jeszcze chwiejnie, jednak z całą siłą nieustraszonego uporów. Wykonuje nieokreślony ruch, jakby chciała ponownie usiąść na krześle, miejscu, z którego nikt nie przepędzi jej do jakiegokolwiek ogrodu, za próg, poza mury cudem odzyskanego schronienia. I wygrywa swą niemą walkę; jej ramię zostaje uwolnione z uścisku obcej dłoni, która nie jest niebezpieczna, chociaż jej palce robią coś nieoczekiwanego.

- Jeśli wolisz, dziecko, połóż się w swoim pokoju - po nieudanej próbie pogłaskania policzka dziewczyny mówi kobieta w kretonowym fartuchu. Jej głos brzmi cicho, ona sama jest bezszelestną cierpliwością. - Odpocznij sobie, jeszcze zdążymy obejrzeć i ogród, i plażę, i morze.

I, nie odważywszy się już na żaden nowy dotyk, ruchem szczupłego ramienia wskazuje na drewniane schody prowadzące na pierwsze piętro domu.

- Idź już, idź, odpocznij sobie... Ja i tak mam dużo pracy. Kiedy indziej dokończę tę opowieść o naszej wyspie. Dużo jest o niej do opowiadania....

13.

„Pustynią jest ta wyborna i ukochana, odgradzona od reszty świata plamka na powierzchni ziemi, nagi i szkieletowaty, surowy kraj zbudowany z niczego innego jak kości, kraj spragniony każdej duszy, której zdarzy się do niego zabłąkać...”

- A pewnie, że trudno wam to zrozumieć! - prychnęła pogardliwie.

Po południu, jak zwykle o tej porze, pracowała w domu, przy swoim stole, który zarzucony był kartkami papieru, ołówkami, gumkami, starą korespondencją oraz wieloma tomami słowników. Wszystkiego było zbyt dużo, więc bałagan od czasu do czasu rozładowywał się sam, w postaci osuwających się raz po raz z blatu kopert, rachunków, kartek i karteluszków.

„...moja wyspa, oaza na pustyni cywilizacji...”

Zajęta pracą nie zwracała uwagi na przemieszczanie się papierów, które, powirowawszy chwilę w powietrzu, dołączały do kupki śmieci na podłodze.

- Ci ignoranci mają szczęście, że lubię tłumaczenia.

Poddając się przelotnemu zmęczeniu, wyprostowała zdrętwiałe plecy: „Ale jak ja czuję się jako człowiek, któremu udało się schronić w oazie spokoju?” Jej śmiech potoczył się po pustym pokoju, odbił głuchym echem i umilkł tak ponuro i bezproduktywnie, że pokusiła się o następną próbę. Jednak i ta się nie powiodła, ani ona, ani następna.

- Nie można mieć wątpliwości, pojedynczy śmiech zawsze będzie

¹ Z Miquela de Unamuno.

² Jak wyżej.

KOBIETY Z PTASICH WYSP

brzmiał ponuro-wytlumaczyła samej sobie, tym razem rzeczywiście bezgłośnie.

Postanowiła podarować sobie chwilę odpoczynku - nagrodę za przepracowany czas albo racjonalną, higieniczną przerwę w zajęciach. Jednak zabrakło jej stanowczości i ani nie podniosła się z za przytłaczającego ją bałaganem biurka, ani też nie wyszła z pokoju. Nie podeszła nawet do okna, by pospacerować oczyma po wolnej przestrzeni. Pozostała na miejscu, wpatrzona w papiery, ołówki, w książki otwarte i zatrzaśnięte, a także w sterty korespondencji, która jak zawsze przyprawiała ją o frustrację.

Było powszechnie wiadome, że nienawidziła urzędowej korespondencji, a za jej pośrednictwem spraw, które trzeba było przy jej pomocy załatwiać. Jej awersja dotyczyła wszystkiego, także rzeczy, w które wmieszała się z własnego wyboru. Odnosiło się wrażenie, że głęboko żałuje dawnych czasów, w których jedynym sposobem załatwiania spraw była rozmowa - ustne dłuższe czy krótsze pertraktacje, kontakt twarzą w twarz, pojedynki oko w oko. Inne metody ją mierzily: pisanie podań sprawiało przykrość, natomiast odczytywanie odpowiedzi - chyba nie tylko dlatego, że najczęściej były odmowne - przynosiło jej fizyczny niemal ból. Patrząc na nią, można było sądzić, że posługiwanie się korespondencją nie jest wyrazem cywilizacyjnego rozwoju, ale najgorszym w świecie barbarzyństwem. Twierdziła, że nic bardziej nie zaśmieca międzyludzkich przestrzeni od oficjalnie krążących po nich urzędowych papierów.

„Nawet wyspa przestaje być oazą” - powiedziała kiedyś do listonosza, zarzucając mu, że przynosi jej coraz więcej poczty i zanieczyszcza papierami próg jej domu, którego ani brama, ani ściany nie zostały napiętnowane skrzynką na listy. Poprosiła go, żeby nie zostawiał u niej żadnych korespondencyjnych śmieci, jakby to on ponosił winę za to, że ktoś wybrał ją na adresatkę. Pouczyła go - czy chciał, czy nie chciał, musiał jej wysłuchać - że zwyczaj zamykania listów w koperty przyjął się na wyspie całkiem niedawno; niesolidarny z nią pomyślał, że dobrze się stało, ponieważ woli być listonoszem niż jako ubogi chłop uprawiać pustynię... Oraz że kto jak kto, ale on nie może uchronić ją przed pismami z urzędów i instytucji. Nie

mając wyboru, przynosił je nadal, aby sama się z nimi rozprawiła. Robiła to, jednak zawsze po swojemu.

Stała się legendą wśród urzędników na wyspie: zaczynała od tego, że ich pisma traktowała jako zaproszenia, po których wizytowała nadawcę. A ponieważ najczęściej się jej obawiano - zdarzały się jej szybkie zwycięstwa.

- Pomyślałam, że wpadnę na chwilę - Nauczycielka stała w półotwartych drzwiach do gabinetu. - Nie przeszkadzam?

- A l e z skąd! Wejdz, proszę...

- Wracam właśnie z urzędu.

Dyrektorka uśmiechnęła się z wysiłkiem. Miała jeszcze sporo papierów do wypełnienia, jednak ból pleców i mrowienie w kończynach przypominały jej o potrzebie zrobienia choćby krótkiej przerwy. Gdyby nie niespodziewana wizyta, z pewnością dalej tkwiłaby za swym utrzymanym w pedantycznym porządku biurkiem.

- Załatwiłaś coś ważnego? - zapytała, usiłując odsunąć od siebie wspomnienie o własnych obowiązkach.

- E tam.

- Rozumiem, że odniosłaś sukces.

Nauczycielka roześmiała się głośno, ukrywając zadowolenie.

- Nic takiego... - chwyciła dyrektorkę za rękę i wyciągnęła ją zza biurka. - Chodź, usiądziemy sobie na tarasie.

Po drodze na taras - znowu musiały pokonać ponury korytarz - Nauczycielka opowiedziała przyjaciółce o pracy nad tekstem, którego tłumaczenie zlecieli jej zagraniczni pracodawcy. Przemilczała godzinę spędzoną w urzędzie, wyklócanie się z kolejną ważną osobą, która wcale nie zamierzała ustąpić w jednej z ważnych spraw... Pomyślne zmierzenie się z Miquelem de Unamuno rekompensowało jej biurokratyczne nieprzyjemności. Stwierdziła, że ten, kto wybrał fragment jego tekstu do prospektu o wyspie, pod menedżerskim uniformem ukrył fragment duszy poety. Broszura, w której zebrał wiersze i opisy krajobrazu, kulinarne recepty oraz opowieści o sławnych wyspiarzach, była rzetelną i ambitną składanką.

- Kiedy opowiadasz o swojej pracy nad tekstami, uśmiechasz się jak do porcji świeżych truskawek - zauważyła dyrektorka, opadając ciężko na ławkę stojącą na tarasie.

Mebel ten był jeszcze mniej wygodny od dyrektorskiego fotela, od którego tak bardzo chciała odpocząć. Wiedziała, że i jej, i Nauczycielce najbardziej przydałby się spacer, jednak tego dnia żadna z nich nie mogła sobie na to pozwolić.

- Bo może nie umarła jeszcze we mnie nadzieja na egzystencję pogodnej tłumaczki Calderona? - Nauczycielka zadrżała jej w oczy.

- Kto wie, może jeszcze nie wszystko jest dla mnie stracone...

- Poświęcenie się literaturze zawsze uważałam za wyjątkowo dobry pomysł.

- Gdybym mogła prowadzić inny tryb życia, przekłady na francuski byłyby moim ulubionym hobby - oświadczyła Nauczycielka.

- Mając dość czasu, przetłumaczyłabym na nowo całą hiszpańską literaturę z czasów renesansu. Rozpoczęłabym od dramatu, od zapomnianych gwiazd Siglo de Oro¹, odkurzyłabym de Molinę i Augustina Moreto. A na koniec, już jako zadowolona z losu dowcipna staruszka, sama zaczęłabym pisać krótkie formy teatralne. Kto wie, może spłodziłabym całkiem niezłe sztuki?

- Piękna perspektywa słodkiego deseru na schyłek życia - odpowiedziała dyrektorka. - Jednak aby go osiągnąć, należałoby już teraz zrobić jakiś zadatek na przyszłość. Powinnaś się o to zatroszczyć.

- Niestety, brakuje mi czasu na robienie zadatków.

- Nieśluszenie, Tina. Gdybyś chciała, znalazłabyś i czas, i możliwości. Dobry Bóg obdarzył cię tyloma talentami.

W jej oczach Nauczycielka jak nikt inny nadawała się do wymyślenia scenicznych postaci. Tyle ich miała już w sobie, przesiąknięta nimi i śniąca na ich sposoby... Jej wizji wystarczyłoby na całe zastępy teatralnych bohaterów.

- Czy ty wiesz, jak bardzo mnie przeceniasz?

Dyrektorka, która sama u siebie nie widziała większych szans na spokojny schyłek życia, uśmiechnęła się nie bez żalu.

¹ Hiszpański Złoty Wiek.

- Nie sędę.

- Moje życie nie zechciało ułożyć się inaczej - odpowiedziała Nauczycielka. - Podobnie jak twoje, kochana.

- Jednak ja nie potrafię tłumaczyć dzieł starych mistrzów. Robię więc to, co potrafię.

- A ja to, co lubię.

- Kłamiesz.

Dyrektorka uśmiechnęła się szeroko. Zdążyła przyzwyczaić się do podobnych dialogów i wiedziała, jak się kończą.

- Uważasz, że światu potrzebne są nowe tłumaczenia dzieł zapomnianych przez własną nację? - zapytała przekornie.

Czasami lubiła przyglądać się Nauczycielce, która złościła się niepowściągliwie, jakby miała przed sobą krnąbrnych uczniów w szkole.

- Ależ to jedyny sposób na zatrzymanie powszechnego szaleństwa! To kotwica wyrzucana z pociągu, by zatrzymać go na bezsensownej drodze, na której rozpędził się, nie wiedząc dokąd zmierza...

Dyrektorka z uznaniem pokiwała głową.

- Tylko czy Francja potrzebuje naszego de la Barki?

- Francja albo inne narody, które wybrały francuski na swój język!

- Masz może na myśli młode kraje afrykańskie? Bo te i tak przejdą na amerykański, kiedy tylko znajdą środki na rozwinięcie sieci komputerowej.

- A może nie? Nie każde szaleństwo jest zaraźliwe.

- Upierasz się przy twoim francuskim.

- Nie, przy waszym de la Barce!

Jednak, wbrew temu w co wierzyła, nam nie zagrażała żadna poważniejsza inwazja języka francuskiego. Na naszej wyspie był on jedynie czymś w rodzaju eleganckiego dodatku albo rezerwy trzymanej w zanadru dla garstki gości. Był zapasową polisą ubezpieczeniową na wypadek, gdyby wyspa stała się modna we Francji - co zdarzało się już różnym zakątkom świata, w sposób całkiem niezależny od koniunktury i narodowej zamożności. Turystyczne konsorcja, któ-

re świadome były prawdy: „Łaska pańska na pstrym koniu jeździ”, zabezpieczały się odpowiednio na wszystkich frontach.

Ona sporadycznie pracowała dla tych ludzi, tłumacząc dla nich turystyczne prospekty i dokumenty dotyczące aktywności na wyspie. Zdarzało się również, choć jak na jej finansowe potrzeby zbyt rzadko, że występowała w roli francuskojęzycznego tłumacza; zarobek był podobno całkiem przyzwoity, poza tym, choć oficjalnie było to zabronione, próbowała przemycać własne cele. Było to kolejne pole, na którym narażała się ludziom. Angażowali ją, ponieważ była dobra w tym, co robi, tymczasem ona przy okazji pracy dla znienawidzonych kapitalistów usiłowała otwierać kapitalistom oczy. Uświadamiała im problemy wyspiarskiego życia i rozdawała ulotki z numerem kont charytatywnych organizacji.

Była w tym zacięta jak członek ruchu oporu zatrudniany przez naiwnego w swej niewiedzy wroga.

- Powiedz, Tina - zapytała ją przyjaciółka - myślisz, że naprawdę byłabyś szczęśliwsza, tłumacząc literaturę? Zwalniając światowy pęd do szaleństwa rzucaniem kotwic obciążonych Calderonem?

- Oraz rozśmieszając go własnymi utworami teatralnymi - przypomniała Nauczycielka.

- A wiesz, że to może byłoby skuteczniejsze? Świat potrzebuje śmiechu. I ty potrzebujesz śmiechu, Tina. Pamiętam ciebie kiedyś, zanim... Wcześniej. Teraz tak rzadko się śmiesz, że niewielu ludzi wie, ile twój uśmiech ma uroku. Czasami czuję się nieprawdopodobnie wyróżniona tym, że akurat do mnie czasami się uśmiechasz.

- J a k widzisz, wyróżniam tylko szczególnych ludzi.

- T a k, ale co z tobą? Przecież to ty potrzebujesz śmiechu najbardziej. A wyszukujesz sobie miejsca, w których każdemu przeszłaby na niego ochota. Nie gniewaj się, ale wcale nie jestem pewna, czy z takiej, jaka jesteś teraz, uda ci przemienić się w pogodną, dowcipną staruszkę.

- Dlatego powiedziałam: gdyby życie ułożyło się inaczej.

- Z twoim Francuzem? Same jesteśmy odpowiedzialne za to, jak ułoży się nasze życie, tylko my, nie jacyś mężczyźni.

Jedynie ona mogła sobie pozwolić na coś takiego - dyrektorka Domu istniejącego jako trwałe pomnik męskiej podłości i zbrodni.

- Dlaczego mówisz „Francuz” tak, jakby była to obelga? Ja również jestem w połowie Francuzką.

Większość mężczyzn, z których przyczyny powstał Dom Schonienia, pochodziła z Ptasich Wysp. Jego dyrektorka miała inne problemy niż zastanawianie się nad czystością ich hiszpańskiej rasy. Wystarczała jej ogólnie znana prawda o tym, że w żyłach miejscowej ludności nie zaginęła jeszcze krew arabskich odkrywców, opisujących świat Greków czy uzurpatorskich Egipcjan... Ani hiszpańskich konkwistadorów, normandzkich najeźdźców i - inspiracja do legendy - angielskich piratów.

- Nigdy w to nie uwierzę, Tina - oświadczyła starsza z kobiet.
- Prócz języka nie ma w tobie nic francuskiego. Przyjrzyj się sobie, twoja twarz jest odbiciem portretów kobiet z naszych arystokratycznych rodów.

- Nie mam czasu na przeglądanie się w lustrze.

- Ani na tłumaczenia hiszpańskiej renesansowej literatury. To dla ciebie wielka strata, Tina.

- Za to zajmuję się innymi pożytecznymi rzeczami. Po hiszpańsku.

- Gdybyś tego nie robiła, byłaby to wielka strata dla nas. Nie dla Francuzów albo jakichś innych cudzoziemców.

Na naszych wyspach - tak jak w Hiszpanii i zapewne na całym świecie - jest tak, że to mężczyzna troszczy się o dom. Stawia go, ogradza, potem pielęgnuje. W przypadku naszej cudzoziemki było jednak inaczej i mieliśmy okazję przekonać się, że jej męża fascynowało coś zupełnie innego niż ich wspólne domostwo. Jego pasją było morze, które po równo obdarzał lękiem i uwielbieniem. Widzieliśmy to gołym okiem: był w nie zapatrzony, w groźny i wcale nieczęsto spotykany sposób, który nasze czarownice nazywają oszaaleniem, czyli namiętnością przywiązującą niektórych mężczyzn do szczególnie niebezpiecznych kobiet. Usiłował czcić je jak jakiegoś boga... Nie wszyscy z nas to pojmowali; nam, rybakom z dziada pradziada, urodzonym nad morzem i z niego żyjącym, nie podobało się zawstydzanie przez kogoś, kto zwyczajny żywiol uważa za spirytualną skarbnicę cudów. A on to robił - opuścił kontynent po to, by

morze go uzdrowiło i uczyniło zeń lepszego człowieka. Ponieważ potrzebował do życia także skrawka lądu, jako zło konieczne wybrał naszą, najmniejszą z wszystkich, wyspę. Kto wie, być może żałował, że całkiem nie potrafi zamienić się w rybę? W każdym razie najszcześniejszy był, spędzając czas na wodzie. Ryzykował życiem, poszukując nie wiadomo czego.

Rzadko go więc widywaliśmy, tego jej wspaniałego męża, z którego była tak dumna... Kobiety mówiły, że jest przystojny, silny i męski. Jednak on najwyraźniej pogardzał nami, zarówno kobietami jak i mężczyznami. I to wcale nie dlatego, że miał ją, kobietę niepodobną do innych.

Kiedy powstawał ich dom - nazwali go Castillo - to ona czuwała nad jego kształtem. Jednak nigdy nie wydawała nikomu bezpośrednich poleceń, stwarzając pozory, że mury, stropy, schody i wnętrza są dziełem jej mężczyzny. Była damą i rozumieliśmy jej przywiązanie do tradycji. Poza tym była dla nas naprawdę miła, pomimo całego dystansu, który wytwarzały między nami jej pochodzenie i pozycja. Obserwowaliśmy ją z szacunkiem - dyskretnie i z daleka. W miarę upływu lat stała się legendą.

Dzieci, zwłaszcza małe dziewczynki, spragnione uosobianego przez nią wielkiego świata, który w tamtych czasach zaglądał do nas tylko okazjonalnie, marzyły o tym, by ją naśladować. Jednak matki - zwłaszcza te, które nazywały ją „naszą damą” - nie puszczały ich nawet w pobliże jej domu, jakby się obawiały, że rzuci na nie urok.

Nie zwracał uwagi na pogodę i najbardziej cieszyło go to, co nam wydawało się najcięższą pracą

14.

W miękkiej godzinie zmierzchu plaża, pozbywszy się ostatnich spacerowiczów i tych, którzy na niej pracują, oddaje się wieczornej toalecie. Morską falą starannie zmywa z siebie dzienny brud, otrząsa się i przeczesuje wiatrem, przygotowując się do nocy. Rytuał ten, łączący trzy żywioły wyspy, pozostał ten sam od setek lat, od czasu, kiedy wyspa była jeszcze wyspą niezamieszkałą. Nie zmienił się, kiedy wypełzły na nią z morza istoty znudzone życiem w wodzie, ani później, gdy odkryły ją zamorskie ptaki. Zagrozili mu dopiero ludzie, którzy przyżeglowali kiedyś na wyspę, niebezpieczni, dającej tysiące powodów do zarzucenia troski o urodę. Od dnia, w którym pierwsze łodzie z Fenicji i Kartaginy wbiły się nosami w piasek wysypany na progu wyspy, zakończył się czas jej spokoju. Nastąpił koniec koegzystencji wygasłych wulkanów ze sprzymierzonym morzem. Rozpoczął się rozpad królestwa wiatru, którego świat ograniczono murami i obsadzono roślinnością. Jego samego, wiecznego tancerza, zmuszono do pracy, rozpętując świętą wojnę między nim a wyspą.

Kiedyś rzeczywiście tak było... Wiatr, morze i wyspa żyły w zgodzie jak Święta Trójca. Gdy wiatr drzemał wtulony w brzuch wyspy i przykryty kołdrą morza, granice krajobrazu zacierały się tak, że nie było wiadomo, gdzie kończy się jedno, a rozpoczyna drugie. Z tamtego dawnego, magicznego świata przetrwała tylko jedna pamiątka - czas wieczornej bryzy. Jedynie podczas jej krótkiego panowania trzy żywioły zapominają o niesnaskach i jak znużone zwierzęta obwąchują się, czyszczą i poprawiają się we wspólnym legowisku.

Tego właśnie świata, nie złota i chwały, poszukuje Korsarz na swym smukłym okręcie. Dosiada go jak lotnego ptaka, którym płynie po fali bez wyrządzania jej krzywdy, nie przymuszając do niczego,

zdając się na jej łaskę i kaprysy. Korsarz, dla którego żagiel jest dłońią podaną przyjacielowi, Korsarz, który sprzymierzony z wiatrem zdejmuje przed nim kapelusz i czci ofiarą z rumu. Korsarz, który dzieli się z wiatrem fajką z morskiej piany.

Celesta nie wie, jak daleko odpływa jej wytęskniony, mocarny Korsarz. Jakże często daje się uwieść pustej nadziei, zmylona zwidą jego żagla na horyzoncie! Na próżno go wypatruje, wyobrażając go sobie poszukującego wysp, które nadal śnią spokojnie, nietknięte nieszczęściem narodzin człowieka. Albo widzi go zajętego opływaniem ich własnej, mniej szczęśliwej wyspy, której nieodkrytym zakątkom również należy się złożenie wizyty. Celesta wie, że istnieje jeszcze kilka takich miejsc; sam Korsarz dopuścił ją do tajemnicy podczas namiętnej pożegnalnej nocy, oświetlonej wścibskim blaskiem księżyca, wilgotnej od rumu i szampana. Wyznał jej, że owe zakątki, do których można dotrzeć jedynie z morza, nie zmieniły się od wieków i żyją w pierwotnej zgodzie z wiatrem i samymi sobą.

Jednak... Dlaczego Korsarz nigdy jej do nich nie zabiera? Oto pytanie, które głęboko drąży Celestę całą siłą niespełnionego uczucia. Próbuje domyślić się odpowiedzi, o którą nie odważyła się poprosić Korsarza i wstydząc się Abueli. Milczała, kiedy odpływał, wierząc, że podróż nie będzie trwała długo; czyż nie mówił o zwykłej korsarskiej wyprawie po następne skrzynie złota, mapy nowych ziem i łaskawy uśmiech królowej? Jak mogła przypuszczać, że rozłąka zabierze jej tyle życia, rozprzestrzeni się w umyśle pajęczyną pytań i niepewności? Skąd mogła wiedzieć, że w najgłębszej tajemnicy przed wszystkimi sama zacznie wątpić w powrót Korsarza?

A może - jest to myśl, której przywołanie jest torturą na miarę sztuki Tomasa de Torquemady¹ - Korsarz zwyczajnie ją opuścił? Celesta wie, że ziemię, na której pobudowane zostało *castillo*, Korsarz uznał za miejsce zgwałcone. Niepogodzony z rodziną Abueli, przeciwny pragnieniom posiadania, ogradzania, mnożenia i panowania, źle czuł się w obrębie murów. Zawsze uciekał z nich na zacumowany w porcie okręt, doglądając go pilniej niż inni troszczyli się o *castillo*.

¹ Wielki Inkwizytor hiszpański żyjący w piętnastym wieku.

Ponad bale, na które Celesta dla jego przyjemności zapraszała także jego morskich przyjaciół, przedkładał picie rumu i tańce na deskach statku kołyszące się na kotwicy. Tylko tam potrafił radośnie się uśmiechać i przywoływać pogodę na twarz, która na łądzie ciemniała od troski wywołanej kwikiem zamykanego w stodole zwierzęcia, jęklwym skrzypieniem wodnego wiatraka i zatrzaśnięciem się rygła w jednym z wielu ciężkich drzwi domostwa.

Korsarz pociągał węża na widok służącej siłującej się z wiatrem zrywającym ze sznura upraną bieliznę i podśmiewał się, gdy uporczywym machaniem miotły oczyszczała posadzki z piasku. Pochmurniał, kiedy ptaki rozbijały się o szyby albo o komin *castillo*. Przygnębiony podnosił z ziemi strącone z drzew gniazda i w niemym uporze przenosił je między skały. Nigdy tego nie zaprzestał, choć pozostawały tam niezamieszkałe, niechciane przez ptaki, które jak ludzie wybierają bliskość drzew, wody oraz resztek jedzenia po mieszkańcach domu.

To on wyjaśnił kiedyś Celeście, że dawniej, na długo przed czasem Abueli, wyspę zamieszkiwały wyłącznie kanarki. Jeszcze żyzna i oszczędnie zamieszкана, była ich domem i azylem ich rozśpiewanej, ulotnej delikatności. Jednak z roku na rok pojawiało się coraz mniej kanarczych jaj i pisklaków, aż szarość innych ptaków zaczęła odnosić zwycięstwo nad szlachetną żółtą barwą.

„Dzień, w którym zniknie z wyspy ostatni żółty ptak - powiedział Korsarz do Celesty - będzie początkiem jej upadku”.

Miała jakiś dziwny układ z ptakami. Niektórzy, ci szczególnie przesądni, twierdzili, że zna ich mowę, jednak - na całe szczęście! - nikt poważny temu nie dowierzał. Jak byłoby to możliwe? Gdyby nawet posiadała diabelską, magiczną wiedzę, pozwalającą jej znać nie tylko języki ludzi, ale także zwierząt, czy wyróżniłaby te małe, głupie stworzenia, które potrafiły jedynie krzyczeć?

Nasze dzieci zabijały ptaki - nie z głodu, bo wyspa potrafiła nas wykarmić, ale dla zabawy, o którą na wysuszonej połaci ziemi wcale niełatwo bosonogim pętkom wyposażonym w kije i proce. Choć się oburzała, nie karaliśmy naszych dzieci za to, co sami robiliśmy za młodu. Zabawę tę znał każdy chłopak i wszystkie dziewczyny, które niby to zżymały się na zakrwawione kupki pierza, a jednak

świetnie zapamiętywały strzelca, który skuteczniej od innych strącał z nieba ruchome, małe tarcze.

Wiedzieliśmy więc, jak wyglądają rozbite ptasie głowy, widzieliśmy ich mózdzki, małe tak, jakby wcale ich nie było... Śmieszne w porównaniu z mózgami wołów czy owiec, których czaszki wygotowywaliśmy w wielkich saganach na regionalne potrawy *com cabessa*. Nie, takie niepoważne stworzenia nie mogły posiadać własnej mowy, nawet jeśli całkiem zgrabnie tańczyły po niebie i śpiewnym popiskiwaniem z wysokości uwodziły damy, takie jak ona. „Dobrze - powiadali ci, którzy zarzucali jej to niedorzeczne porozumienie - ale jak inaczej wytłumaczyć całe godziny, które spędza na plaży z zadartą głową pod stadami ptaków, jakby była ich cieniem, ich gniazdem, ich królową? Wpatruje się w nie i porusza ustami! Z całą pewnością wydaje z siebie jakieś dźwięki, wielka szkoda, że nikt jej nie słyszał...” Doprawdy, całe szczęście, że jej nie słyszano z odległości, z której nikt nie odważyłby się do niej zbliżyć!

„A jak porusza się na tej plaży - mówiono jeszcze - ze stopami zanurzonymi w piasku, w swoim kosztownym, delikatnym obuwiu... Jakby chciała z nimi tańczyć!”

Ktoś powiedział kiedyś - wszędzie zdarzają się tacy, którzy po drugim albo trzecim dzbanie wina plotą niestworzone rzeczy - że jej rozmowy z ptakami mogą być groźne. Ze ona czaruje i może przynieść nieszczęście. „Komu?” - zapytaliśmy, bo udało mu się nas zaniepokoić. Stało się tak, bo choćby człowiek nie wiedzieć jak starał się o zachowanie spokoju i znał swoje miejsce, nie wszystkie groźby posyłane w powietrze przylepiają się do sufitu... Niektóre, twardsze od słów rzucanych na wiatr, spadają na głowę, nabierając ciężaru podczas lotu, jak ptak obciążony śrutem albo nietoperz, którego oszukuje się kamieniem, aby, biorąc go za muchę, łyknął i niezgrabnie zwałił się na ziemię. „Nam wszystkim!”

„Nam wszystkim” - powiedział ten pijak i źle się stało, że my, którzy przyzwyczailiśmy się uważać ją za wielką damę, nie wepchnęliśmy mu z powrotem do gardła jego głupich słów.

¹ Z głowizny.

Celesta liczy więc żółte ptaki. Nie martwi się żadnymi innymi, nawet nowymi, wielkoskrzydłymi istotami, które lubi i podziwia. Zajęta losem kanarków, który jest też horoskopem wyspy, wszystkie inne istoty rejestruje z daleka - wielbłądy i konie, psy i koty, króliki i węże, owady oraz ludzi. Kanarki są na szczęście łatwe do zauważenia na tle nieba i piaskowej bieli wyspy, kontrastują też z obdartą zielenią nielicznych drzew i zmęczoną szarością budowli. Szkoda tylko, że Celeście nigdy nie udaje się ogarnąć ich dokładnej liczby. Jej ptaki są żywą chmurą ze skrzydłami, posiadającą objętość, głębię i nasycenie, nawet wówczas, gdy - nażeglowawszy się do woli po niebie - przysiadają zmęczone na ziemi. Albo gdy haftują dźwięki wśród ogrodowych drzew lub układają się w powiewną mereżkę na płotach i murach *castillo*.

Ilość naliczonych żółtych ptaków - czyli nasycenie żółcią ptasiej chmury - jest termometrem nastrojów Celesty, przepowiednią jej migren i uporczywych drzemek babki. Gdy w ptasim porządku dominuje kolor żółty, spokojna o trwanie wyspy Celesta cieszy się z dobrego wieczoru. Jeśli jednak fala koloru przelewa się w stronę szarości, żona Korsarza gotowa jest wyruszyć na poszukiwania żółtych gwarantów istnienia wyspy, aby nie dopuścić do oddania jej we władanie szarych, plebejskich następców. Potrafiłaby iść pieszo albo wsiąść do najwątleszej łodzi, by - odnalazłszy skrytki kanarków - poprosić je o powrót do *castillo*, do ogrodu oraz na plażę, która rozściela się w poprzek widoku z okna.

Jednak nigdy tego nie robi, ponieważ jest dumną Celesta, mistrzynią oczekiwania w królestwie tysiąca kroków i obojętności wobec spraw, które jej nie dotyczą. Z godnością znosi chwile, w których cisza przechowywana w *castillo* staje się zbyt ciężka i wieczorny krzyk ptaków kusi ją, by wyrzec na świat i przespacerować po opustoszałej plaży. Ujmuje w lewą dłoń tren sukni, przemierzając korytarz, zagląda po drodze do komnaty śpiącej doni Isabel i ostrożnie odmyka wejściowe drzwi. Z głębokim westchnieniem, w którym czai się i strach, i tłumione podniecenie, Celesta celebrytuje swą obecność wśród murów swego królestwa.

15.

Głośny, przenikliwy krzyk zdawał się rozsadzać ściany. Cienki jak laserowa struna przybiegał z góry i wrzynał się w każdy centymetr powietrza. Z nietypową dla siebie szybkością Gospodyni odstawiała z ognia gotującą się zupę, parząc sobie dłonie, gdyż, chcąc oszczędzić kilka sekund, nie sięgnęła po leżącą opodal ścierkę. Zupa chlusnęła gwałtownie z odstawianego garnka na płytę, co sprawiło, że Gospodyni zatrzymała się automatycznie, w odruchu ratowania piecyka przed przypaleniem. Jednak natychmiast zrezygnowała z pomysłu: krzyk przechodził w wysoki świst i opadał chwilami do przerażonego pisku, zachowując jednak najwyższe rejestry amplitudy dźwięków. Gospodyni pobiegła w stronę schodów, nie ściągając fartucha, i ciężko zatupała nogami po drewnianych stopniach prowadzących na piętro. Pokonawszy je, dopadła drzwi na końcu korytarza i otworzyła je, niemal wrywając klamkę.

Dziecko, które z nieprzytomnym wzrokiem siedziało na łóżku, nawet nie zauważyło jej wtargnięcia. Jego oczy były puste i bezbarwne. Choć szeroko otwarte, z pewnością nie widziały niczego; napięcie sprawiło, że były tylko dwoma sinymi okręgami nad napiętym otworem ust, z których wydobywał się krzyk.

Krzyk nie uspokoił się ani w chwili, w której zdyszana Gospodyni pojawiła się w brutalnie otwartych drzwiach, ani też później, gdy, usiadłszy na brzegu łóżka, chwyciła dziecko za ramiona i, nie zważając na swe grożące eksplozją, nadwyrężone uszy, z całej siły przycisnęła je do piersi. Dziewczynka krzyczała dalej, choć jej głos stłumiony był w uścisku, a ona sama chwiała się pod nerwowymi ruchami, którymi - nie zważając na zimny pot na skórze, ubraniu i włosach - usiłowała ukołysać ją Gospodyni. Jej twarz wtulona była

w ramię, które trzymało ją silnie, jakby zamiast uspokajać, usiłowało zadusić jej krzyk.

Obłaskawiona tuleniem, kołysaniem i pozbawionymi znaczenia szeptami cisza zwolna powracała do pokoju. Na początku na krótko, niewielkimi interwałami, w których krzyk dławił się w rozdartym gardle dziecka, później na rozleglejsze sekundy, zagarniając przestrzeń hałasu słabnącego jak woda wylewająca się z przewróconej butelki. Kiedy zmęczonemu powietrzu nie groziło już nic poza chrypnącymi, nieskoordynowanymi piskami, jak opóźnione strzały uwalniającymi się nieregularnie z dziecka ciasno objętego przez obce ramiona, w pokoju pojawiły się inne odgłosy. Wyraźne stało się dochodzące z dołu ujadanie przerażonych psów, a zza otwartego okna wlał się do wnętrza poddenerwowany szum ptaków, które, choć zdeorientowane, nie zamierzały oddawać nikomu monopolu na wysokie dźwięki. Na koniec, kiedy resztki krzyku przypominały już tylko zmiatanie z podłogi resztek rozbitego szkła, dał się słyszeć lekki trzask drewnianej podłogi, zapowiadający czyjeś niezdecydowane kroki.

Zarzucono jej nawet to, że potrafi czarować... Oczywiście nie była to prawda. Ona nie była czarownicą ani na początku, ani później, wtedy, gdy dawała nam powody do podejrzeń, że chętnie nauczyłaby się tego czy owego od legendarnej wiedźmy z miasteczka, do którego my, mieszkający na wybrzeżu i pilnujący swoich łodzi, docieraliśmy tylko od wielkiego dzwonu. Zналиśmy jednak prawdziwą czarownicę wystarczająco dobrze, by umieć odróżnić jedną od drugiej.

Każda z Ptasich Wysp posiadała kogoś takiego - obeznanego z wiedzą tajemną mędrca lub niewiastę, skutecznych na niespełnione miłości młodych panien i tajemnice mężatek opuszczających drogę cnoty. Czasami ich pomocy szukali też mężczyźni, niezdolni do rozstrzygnięcia sporu pojedyńkiem na gołe pięści albo nie radzący sobie we wstydlivych sprawach... Czary i ktoś potrafiący je sprawować były potrzebne naszej wyspie - jak z pewnością miastom i wioskom na dalekim kontynencie. Czasami były istotniejsze od wielu innych życiowych rzeczy, niezbędnych, jak to się mówi, dla ducha. W hierarchii ważności znajdowały się niedaleko muzyki, rytualnych tańców bądź religii i jej inscenizowanych przez księży świąt.

Oraz zastanawiająco blisko uleczenia - przez lekarza, znachorkę czy inną, pomniejszą czarownicę.

Gospodyni powoli odwróciła głowę w stronę otwartych drzwi. Nie wypuściła z objęć dziecka, które niemal w całości zniknęło w jej uścisku i, nie zaprzestając swego nerwowego kołysania, nadal cicho je uspokajała. W niewygodnej, skręconej pozycji nadal była Gospodynią, która poskramia każdy problem na swój własny sposób, tak jakby dmuchała na smażone powidła i stanowczo mieszała je łyżką, kiedy podgrzane zbyt silnym ogniem, wylewają jej się z garnka.

W drzwiach stała chuda postać w dżinsach i błękitnej koszulce. Gospodyni, nie przestając przemawiać do chorego dziecka, posłała jej niewielki, uspokajający uśmiech. W milczącej obecności przybysza upłynęły kolejne minuty i w końcu zapanowała prawdziwa cisza, której nie przerywały już ani zachłyśnięcia uspokojonej doraźnie dziewczynki, ani nawet wycie psów, które powróciły do swej codziennej, bezgłośnie praktykowanej czujności. Wszystko wysączyło się powoli i zastygało w płamę codziennego spokoju ze zwykłym, równomiernym harmiderem ptaków w tle.

- Co ona... jest?

Ciche pytanie posłane od strony drzwi, niepewne i toporne jak nieoheblowany kawałek drewna, nie posiadało nic z napięcia krzyku, który zaledwie przed chwilą odkleił się od ścian pokoju.

- Być... chora?

W przeciwieństwie do niego było ciężkie i niezgrabnie potoczyło się po podłodze.

- J e s t bardzo chora - niezrażona Gospodyni podniosła je z uczynną ochotą. - Miło, że o to pytasz, Anico.

Gospodyni powoli rozluźniała uścisk, uważna jak wtedy, gdy, wyciągnąwszy gorący biszkopt z piekarnika, wyjmowała go z tortownicy tak, by nie tylko nie opadł, ale też gładko odszedł od rozgrzanej blachy. Przekonawszy się, że dziewczynka zastyga biernie w jednej pozycji, Gospodyni oderwała od niej ramiona i odsunęła się lekko, aby zajrzeć jej w twarz. Natrafiła na oczy, w które opornie powracała przytomność, oddzielając kontury i kolory tęczówki od

sinobiałego tła. Dziewczynka zamruwała w końcu powiekami i w momencie, w którym wszystko wskazywało na to, że ostatecznie się rozbudziła, z jej oczu popłynęły łzy. Jak ktoś spragniony wciągnęła głęboko powietrze i rozkaszała się na długie minuty, podczas których Gospodyni głąskała ją cierpliwie po drgających plecach.

- A n i c a ? - powiedziała cicho w kierunku postaci przy drzwiach.
- Czy mogłabyś mi pomóc?

Dziewczyna, która na zew krzyku przybyła z opóźnieniem i boso, nie ruszała się ze swojego miejsca, na które obrała sobie prostokątną framugę drzwi. Stała jednak niepewnie, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, jak ktoś, kto w każdej chwili gotowy jest do odwrotu. Jej oczy błędziły po pokoju i dwóch postaciach wciśniętych w siebie na wąskim łóżku, nie zatrzymując się na dłużej przy żadnym ze szczegółów, nawet na twarzy jasnowłosej kobiety, która, choć sama nie opanowała jeszcze własnego przestrachu, cierpliwie oczekiwała jej następnych słów.

Gospodyni nie uzyskała odpowiedzi, jednak nie zdawała się być tym urażona. Odgarniała dziecku zmierzwione włosy ze spoczonego czoła i nie przestawała się uśmiechać.

- Będziemy musiały ją przebrać, a także zmienić pościel - powiedziała cicho. - Jest cała mokra od potu, jakby się kąpała. Przed przebraniem umyję ją tylko chłodną wodą, bo teraz jest zbyt słaba, aby prowadzić ją do łazienki.

Wstała ostrożnie, nie odrywając wzroku od dziecięcej twarzy, w której oczy zamknęły się na nowo, i otarła z niej łzy wyciekające spod powiek. W pokoju rozległo się kolejne, chropawo brzmiące pytanie:

- Płacze ona...?

- Czasami - Gospodyni ukryła zadowolenie z rozkołysania potłumanej konwersacji. - To jest taki inny płacz, schowany.

Pogładziła dziecko po głowie i zabrała się za składanie koca rozpostartego na białym prześcieradle. Żadna z części pościeli nie była pomięta; dopiero po zdjęciu koca ujawniła się plama potu, którym przesiąkło prześcieradło, tracąc w kilku miejscach kanty po prasowaniu. Plama odbijająca kształt wymizerowanej postaci przypominała krzyż, któremu odpadły ramiona.

- Widzisz, Anico, nasza dziewczynka śpi jak lalczka w swoim łóżku - powiedziała półgłosem Gospodyni, uważnie przekładając rzeczy dziecka - nie rzuca się, nie wierci. Gdyby się tak nie spocila, nikt by nie uwierzył, że w ogóle tu spała. Tak samo jest z jej płaczem... Zresztą bardzo rzadko się zdarza, żeby płakała... Po prostu czasem ciekną jej łzy z oczu, same z siebie. Bez szlochów czy czegoś takiego. A może ona nawet nie płacze, powiedz sama, no, moja malutka?

Gospodyni uniosła przemoczone prześcieradło i odstoniła wąż figurkę dziewczynki, która znowu leżała prosto, z rękami złożonymi wzdłuż ciała i zamkniętymi oczyma, jak odłożona na poduszki drewniana lalka. Flanelowa piżama w wyblakłe misie oblepiała jej wychudłe ciało.

- Anico, bądź tak dobra i podaj mi, proszę, pościel z górnej szuflady - powiedziała półgłosem Gospodyni, nie odwracając się od łóżka. - Z komody pod oknem.

Starannie składając prześcieradła, które, i tak przeznaczone do prania, wystarczyłoby rzucić na podłogę, nie zapomniała pogłaskać nieruchomego ciała dziecka. Dyskretną grą na czas osiągnęła w końcu to, że dziewczyna porzuciła swój azyl w futrynie drzwi i trwożliwie zbliżyła do komody.

- Górna szuflada odrobinę się zacina, musisz ją mocniej pociągnąć - rzuciła przez ramię Gospodyni. - Nie przestrasz się, to stary mebel i drewno trochę trzeszczy.

Ponieważ nie było już nic do składania, zajęła się przestawianiem nocnej lampki na stoliku stojącym przy łóżku. Drzemiącego obok króliczka odłożyła na poduszkę tuż obok głowy dziecka, choć wiadomo było, że za chwilę trzeba będzie zmieniać całą pościel.

- Wyjmij dwa prześcieradła z samej góry, tak, te właśnie, z różowymi brzegami. I poduszkę, bardzo cię proszę, jest w szufladzie niżej. Też na wierzchu, znajdziesz ją bez kłopotu.

Po czasie, który jej samej wystarczyłby na zmianę pościeli we wszystkich łóżkach domu, Gospodyni odebrała z rąk Anicy wykrochmaloną pościel.

- Dziękuję ci bardzo, moja kochana - powiedziała wylewnie - bez ciebie zupełnie nie dałabym sobie rady. Czy przyniosłabyś mi

jeszcze miednicę z łazienki? Musimy umyć i przebrać to biedne dziecko, żeby powróciły do niej dobre sny. Sprawdź, żeby woda była ani za ciepła, ani za zimna... Naprawdę nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła!

W jej domu były więc psy, koty, dziewczyna, o której szeptano, że wcześniej zajmowała się prostytutką i bardzo źle to się dla niej skończyło, oraz mała, chora dziewczynka z wyspy. Prawdziwe schronisko, niezły azyl dla odratowanych życiowych rozbitków i poranionych dusz. Albo raczej - dla jeszcze niezupełnie odratowanych, jednak znajdujących się w trakcie intensywnego leczenia nieszczęśliwych istot wszelakiego pochodzenia.

Naszym zdaniem zbudowała sobie rodzinę, nową, w miejsce tej utraconej oraz tej, której nie udało się jej założyć w tradycyjny sposób, czyli tak, jak robiliśmy to my. U nas wszystko zaczynało się w kościele - przed księdzem, który błogosławił dwoje ludzi i nakazywał im wspierać się wzajemnie. A kto miał wesprzeć ją? Kto stałby przy niej, zatroszczył się, gdyby opadła z sił w swoim dźwiganiu ciężarów, przy porządkach oraz tysiącu innych prac, za które się zabierała, zwykle bez zapłaty?

Jeśli po cichu liczyła na to, że kiedyś zastąpi ją w kuchni ta młoda, dziksza od jej zwierząt prostytutka, a urzędowe, znienawidzone listy zacznie pisać za nią dwunastoletnia dziewczynka, która, zliczając wszystkie dni obecności, spędziła w szkole może z dziewięć miesięcy, dawała tym kolejny dowód swej bezkresnej naiwności. Prawdopodobnie wcale nie myślała o tym, co może nastąpić później. Przyszłość zdawała się dla niej nie istnieć. Na razie starczało jej sił na bycie ojcem i matką, siostrą miłosierdzia i nauczycielką, pracownicą socjalną i całkiem skuteczną zachorką. W jakiś niewytłumaczalny sposób udawało się jej wszystko ogarnąć i zapewne sama nie zdawała sobie sprawy ze swej nieprawdopodobnej skuteczności.

Poza tym przy całym swoim zaangażowaniu i wytrwałości nie widziała w sobie nic szczególnego. Czasami - kobiety na rynku słyszały to na własne uszy - mówiła wręcz, że cała zasługa leży po stronie tych innych.

W kuchni nadal dręczył je obraz krzyczącego, spoconego dziecka i każda z nich obchodziła się z nim inaczej. Gospodyni, przywrócona normalności w domowym fartuchu, krzątała się wśród drewnianych mebli. Zajął się podawaniem jedzenia, którego mechaniczne wyciąganie z szafek i pozbawione porządku stawianie na stół było jedynym dowodem chwilowej utraty rytmu.

Anica zajęła się swoim głodem.

- Odgrzeję ci zupę, dziecko - powiedziała roztargniona Gospodyni, krojąc w pajdy biały chleb. - Dobrze ci zrobi, jeśli po tych nerwach zjesz coś ciepłego.

Jednak zamiast szukać odpowiedniego garnka, nałożyła kaszę ukraszoną kawałkami mięsa w trzy równe psie miski, które, starannie wyczyszczone, czekały już od poprzedniego dnia na parapecie. Dopiero wystawiwszy je za próg, dokończyła krojenia chleba i, zgarńawszy pajdy w czystą piramidkę na talerzu, ustawiła go przed Anicą. Dziewczyna natychmiast sięgnęła po ułożony najwyżej kawałek i, ugryzwszy go, dopełniła nim wypchane już serem usta. W jej drugiej ręce chwiał się kubek z mlekiem, który, trzymany krzywo, groził zalaniem ubrania albo płóciennego obrusa na stole.

- Zapomniałam o kotach - poskarżyła się Gospodyni, nie patrząc w jej stronę. - Zupełnie nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje!

Sama nie zjadła niczego od chwili, w której pozostawiły uspio-ną dziewczynkę w pokoju na piętrze. Wyniosła z niego miednicę z wodą, natomiast Anica podążyła za nią z przebraną pościelą, którą, trzymaną niezgrabnie, ciągnęła za sobą po schodach jak niepozwi-jany bandaż. W końcu się o nią potknęła; ratując ją od upadku, Gospodyni rozlała na stopnie wodę zmieszana z dziecięcym potem. Dopiero po wytarciu wszystkiego do sucha i wrzuceniu pościeli do kosza na brudy, zabrała się za przygotowywanie jedzenia, na które sama nie miała apetytu i o które nie upomniała się ani milcząca Anica, ani żadne ze zwierząt. Jednak Gospodyni miała swoje zasady: wyłożyła warzywa i ser, pokazując światu, że nic nie zburzy porządku jej domu. Nalane do kubków mleko symbolizowało jej cierpliwość, pokrojone baranie mięso siłę, natomiast biały chleb był pretekstem do modlitwy.

Anica jadła na swój sposób, bezgłośnie, wolno, jednak bez przytanku, jak pracowita mrówka, która, nie zastanawiając się nad przyczynami, cała oddaje się przydzielonej pracy. Jej szczęki poruszały się równym rytmem i każda opróżniona przestrzeń w ustach natychmiast wypełniała się na nowo kawałkiem, po który automatycznie sięgały jej chude palce z obryzionymi paznokciami.

- Jeszcze mleka? - zapytała Gospodyni, porzucając na chwilę swą zmartwioną krzątanicę.

Zamiast podgrzewać obiecaną zupę, oparła się o szafę i piła wodę z kubka, dopiero teraz przypomniał sobie o własnym prawie do pragnienia. Przyglądała się ruchom dłoni dziewczyny, które przypominały posuwistość cierpliwego, czujnego pająka, obdarowanego sutą porcją świeżej zdobyczy w pajęczynie.

Widok ten przypominał jej pierwszy dzień Anicy w domu oraz doprowadzanie do porządku jej dłoni. Zaczęło się od zwyczajnego mycia rąk przed jedzeniem, a skończyło na skomplikowanej toalecie, bez której rozpoczęcie starannego posiłku zdawało się niemożliwe. Wobec pasywnej bezradności dziewczyny Gospodyni musiała podjąć dodatkową pracę obcięcia na krótko paznokci i mozolnie zmyć z nich reszki lakieru oraz innej, dodatkowej substancji, którą je pokryto, aby oszczędzić wydatków na wielokrotne renowacje. Nie wiedziała wówczas, że chodziło o specyfik odbierający ochotę do obgryzania, gorzką mieszaninę stosowaną przez bezpardonowe matki nerwowych dzieci. Uwolniona od przymusowej warstwy ochronnej na obciętych po chłopcemu paznokciach, Anica natychmiast zaczęła obgryzać je na nowo. Kiedy w rekordowo krótkim czasie osiągnęła krwawą granicę mięsa, Gospodyni nie pozostało nic innego, jak tylko hamować jej zaciętość w demolowaniu własnych dłoni, do niedawna stanowiących jej część jako towaru, który w odpowiedniej oprawie dobrze się sprzedawał.

- Na co... chora?

Nieskładne pytanie zaskoczyło Gospodynię.

- Słucham? - zapytała, odstawiając kubek wody.

- Ta dziecko czemu chora?

Nigdy przedtem nie zdarzyło się, by Anica rozpoczęła rozmowę. Dotychczas była kimś w rodzaju dobrze karmionego, bezwolnego

manekina, którego wprawdzie nie trzeba ubierać, myć i układać do snu, jednak nie należy też liczyć na to, że przemówi. Teraz widok innej nieszczęśliwej ludzkiej zabawki uruchomił w niej mechanizm odpowiedzialny za komunikację.

Gospodyni dołąła mleka do jej kubka. Równy strumień zamruczał w naczyniu i uformował chmurkę białej piany.

- Zapomniałam nakarmić koty - powtórzyła bezradnie. - Nie wiem, dlaczego same jeszcze się nie upomniały. A na pewno są głodne... Zaczekasz chwilkę, Anico? Przygotuję tylko ich miski i zaraz wszystko ci opowiem.

16.

Nad ogrodem zapadła już szarosrebrna mgiełka i gdyby nie silniejszy dotyk wiatru, Celeście byłoby trudno dostrzec różnicę dzielącą światy rozdzielone konstrukcją muru. Po obydwu stronach panował aksamitny mrok i podobnie brzmiały ostatnie śpiewy ptaków moszczących się do snu. Wiatr wpadał do ogrodu przez plamę otwartej bramy, która powinna być tylko częścią zalanego ciemnością muru, jednak teraz jaskrawo lśniło w niej morze.

- Ktoś ośmielił się nie zamknąć bramy!

Bardziej oburzona niż przestraszona Celesta zakryła dłonią usta. Zawstydzony okrzyk, który mógłby zaniepokoić Abuelę, zatrzymała się niezdecydowana tuż za progiem. Było to jej ulubione miejsce; tu spędzała długie kwadranse na śledzeniu rytmu miłosnego aktu morza z plażą, spokojniejszemu i wolniejszemu niż za dnia, kiedy zakłócała go obecność nieproszonych świadków. Zdarzało się, że wsłuchana w zmysłowy szum morskiej miłości Celesta zapędzała się aż do samego muru albo nawet kilka kroków dalej, odważna do chwili, w której suchy piasek zaczynał wsypywać się do jej spiczastych czółenek. Nie zamykała za sobą drzwi wejściowych, aby otwarte oczekiwały jej rychłego powrotu.

- Na pewno znowu ta kobieta!

Jednak która? Czy kucharka od kretonowego fartucha i koszy niepotrzebnego jedzenia, z którego Celesta niemal nie korzystała, dawno zapomniawszy, czym jest prawdziwy apetyt? Ta, która przyrządzała potrawy w niezmienny od lat sposób, jakby jeszcze nie zdążyła się zorientować, że *castillo* opustoszało i nie odbywają się w nim bale, taneczne wieczory, męskie kolacje i herbatki dla dam... Jakby obojętne jej było, że ochota najedzenie odpłynęła z Celesty

w ślad za jej duszą, która w tajemnicy przed Korsarzem wślizgnęła się na jego statek, aby w ukryciu towarzyszyć mu w podróży.

- Wystarczy mi odrobina warzyw i kawałek sera. I kieliszek czerwonego wina... - powtórzyła z wyrzutem zdezorientowana Celesta, niespokojnie stojąc na progu domu. - A ona... Znosi całe kosze i zapomina zamknąć bramę.

A może to ktoś inny był sprawcą tego okropnego czynu, na przykład osoba, która ukradkiem rozrzuca papiery Korsarza w jego gabinecie... O tak, Celesta przekonała się o tym pewnego wieczoru z daleka, kiedy, przechodząc przez korytarz, zobaczyła drzwi otwarte na oścież, równie nieostrożnie, równie bezwstydnie jak dzisiaj wejściowa brama. Ogarnęło ją przerażenie na samą myśl o tym, że ktoś miałby wejść do komnaty Korsarza: przecież była w domu świętością, miejscem jednoznacznie męskim, królestwem pana domu, główną kwaterą zarządzania domem i majątkiem, a nawet, kto wie, siedzibą admiralicji jego morskiej floty! Sama Celesta nigdy nie ośmieliła się przekroczyć jej progu... Wcale nie dlatego, że Korsarz otwarcie jej zabronił, nie, ona z własnej woli pilnowała rozdzielności terytoriów. Była damą i widziała w tym głęboki sens, któremu mądrością dorównywał już tylko higieniczny podział sypialni.

Być może Korsarz nakazał komuś ze służby doglądać gabinetu. Komuś, kto pod jego nieobecność zajmował się również korespondencją i stąd te wszystkie papiery, stosami ścielące się po stole i podłodze... Kto wie. Czujne oko Celesty dostrzegło księgi pisane w różnych językach oraz niewielki tomik, który służył komuś do nauki francuskiego. Chociaż poczuła niejaki wstyd z powodu zaglądnania w zakazane miejsce i pilnie nasłuchiwała obcych kroków - jakby sam Korsarz mógł nagle pojawić się w progach *castillo* - widok wzbudził w niej uśmiech politowania.

- Ktoś uczy się francuskiego... Doprawdy śmieszne. A czegoż tu się uczyć? To taki prosty język. Zna go każda guwernantka.

Cicho zamknęła drzwi do gabinetu, daleko wyciągniętą dłonią, usprawiedliwiając się przed sobą odległością tych kilku półkroków, których zabrakło do wejścia do pokoju. Nie była pospolitą kobietą, zniżającą się do inspekcji pomieszczeń należących do mężczyzny.

Mimo gryzącej ciekawości i tysiąca pytań, na które odpowiedzi schroniły się wśród czterech ścian jego gabinetu, Celeście nie groziła porażka w walce o własne poczucie szacunku.

Od tamtego wieczoru mijająca zakazane drzwi Celesta nie musiała już ratować się odwracaniem głowy w drugą stronę.

Otwarta brama drwiła z Celesty, wpuszczając w obrzeża *castillo* coraz to nowe uderzenia wiatru i księżycowego światła. Obca rzeczywistość wsączała się przez nią jak nieuchwytny wróg napierający z narastającą bezczelnością, jak szpieg zmieniający stroje i zapachy. Przez chwilę wydawało się jej, że zaraz zaatakuje ją pod postacią piaskowego wiru, wślizgującego się jak baletnica przez wąską bramę, a zaraz potem, że zaleje ją masą morskiej wody, która wysoką falą przetoczy się przez obnażone, niechronione niczym wejście.

Nawet jeśli zdarzało się przedtem, że, otworzywszy bramę, Celesta wychodziła na plażę i spędzała na niej trudną do zmierzenia porcję swego wieczornego czasu, dobrowolność opuszczenia murów była integralną częścią przechadzki. Teraz jednak było inaczej, gdyż postawiono ją wobec prowokacji, wciśnięto przymuszone zaproszenie, z którego, mając inny wybór, przenigdy by nie skorzystała.

- Nie będę nikogo wołać - bezsilnie zirytowana Celesta drży przed otwartą bramą, jakby zastawiono na nią pułapkę wydzielającą nieznaną, klejącą moc. - Nie wiem, kto przyjdzie, a poza tym, nie zamierzam przerywać drzemki doni Isabel, zmęczonej upalnym dniem...

Niewinne kłamstwo nie poprawia jej nastroju. Przemilczanie przed Abuelą niesubordynacji służby nie jest powodem do dumy, nawet jeśli chroni przed drwinami. Celesta woli nie myśleć o tym, co powiedziałyby doña Isabel wnuczce własnoręcznie naprawiającej błędy popełnione przez służących...

- A l e czy musi się o tym dowiedzieć?

Celesta zaciska prawą dłoń na brokatowej materii swojego stroju. Udawanie przed Abuelą rozpoczyna od udawania przed samą sobą.

- Przecież i tak zamierzałam wybrać się dziś na przechadzkę. Jest jaśniej niż zwykle, mniej wietrznie. Przy okazji zobaczę, jak mają się dziś żółte ptaki.

Przesadnie wysoko unosząc tren sukni, z dłonią zaciśniętą nerwowo na twardej tkaninie, Celesta przechodzi przez bramę. Zatacza się nieznacznie, choć wiatr nie wieje silniej niż w ogrodzie. Jednak ona zachowuje się tak, jakby był zupełnie innym wiatrem - nieobliczalnym, może nawet wrogim, reprezentantem obcego środowiska, w które zwabiona zapędziła się nierozważnie.

Na plaży, szerokiej o tej porze i całkowicie pustej, co jeszcze tę szerokość powiększa, ześlizgnięte w dół morze czeka już niecierpliwie na księżyc, który zaprosi je na wieczorny biwak u podnóża zabudowań. Jednak do tego czasu upłynie jeszcze wiele kwadransów, o czym wie Celesta, rozpoznająca godziny według koloru nieba. Na razie wciąż jeszcze jest ciemnoniebieskie, srebrnociemnoniebieskie, połyskliwe jak brokat jej stroju, więc Celesta znajduje ukojenie w podobieństwach między sobą a scenerią miejsca, którego obcości nieco się obawia.

Idzie w stronę morza, dzieląc wzrok między niebo i horyzont, w dawnym nawyku wypatrując znajomych żagli. Jej lekkie pantofelki skrzypią od piachu i Celesta wyobraża sobie cierpienia, na które narażona jest delikatna skóra jej stóp, jednak ani razu nie spogląda w dół, wiedząc, że długa suknia i tak wszystko zakrywa. Nie ogląda się też w stronę księżycy, o którym wie, że przyczałił się za potężną sylwetą *castillo*, jakby chciał stamtąd wyskoczyć zanim nastanie jego godzina, machnąć swą księżycową łapą i przywołać morze, aby zaskoczyło Celestę w pół drogi i słoną falą zalało jej suknię, która zeszywnieje jak ciężki żagiel podczas burzy. Daleko za nią pozostała otwarta brama, jednak nie ma nic niepokojącego w tym, że droga do *castillo* stoi otworem teraz, kiedy Celesta wyszła z niego na chwilę. Jest przecież jego częścią, jak nieodcumowana od okrętu łódź zwiadowcza, na krótko wypuszczona na pełne morze. Nawet odchodząc od *castillo*, Celesta nie opuszcza go naprawdę; ona zaledwie rozwija się z niego w przestrzeń jak czerwony dywan, jak dym z komina, jak rozlana woda z przydomowej studni. Kiedy wróci, zatrzaśnie za sobą bramę i na nowo wciągnie do środka wszystkie czułki wypuszczone na rekonesans. Dopełni sobą zamkniętą całość *castillo* jak ślimak znikający w skorupie.

Piasek pod stopami Celesty usztywnił się i zwilgotniał, co poczuła przez rozmiękające pantofelki. Mimo mokrych stóp szło się jej jednak coraz wygodniej i niemal przyjemnie, aż zaczerpnąwszy oddechu na odwagę, zmieniła kierunek i ruszyła wzdłuż linii morza. Plaża była opustoszała i wyglądała tak, jakby nikt nigdy nie postawił na niej stopy. Fale splukały z niej wszelkie ślady ludzkiej obecności, wiatr wymiółł ją do czysta i zapieczętował zadumany deseniem. Celesta, której kroki stopiły się z rytmem wody, rozrzuciła po drodze swój niepokój. Ogarnęło ją wyzwajające uczucie: wolno jej było zostać częścią majestatycznej scenerii morza, ale też nie stałoby się nic, gdyby w jednej chwili z niego znikła. Nie przeszkadzała nikomu. Jej wędrówka nie drażniła piasku, nie była utrudnieniem dla wiatru, nie krępowała morza, które w jej obecności niestrudzenie kochało się z plażą. Dzięki temu, że nie była niczym gościem, wszyscy przyjmowali ją jak swoją.

Niewiele brakowało, by Celesta zapomniała o czasie. Szum wody uspił jej uszy, a hipnotyczna zmienność kolorów nieba i wody sprawiła, że zatarty się dla niej granice pór wieczoru. I kiedy niemal całkowicie zatraciła świadomość możliwego niebezpieczeństwa, coś nowego wkradło się w szelest wiatru. Celesta zatrzymała się w jednej chwili, wyrwana z dziwnego snu, w który pogrążyła się, wędrując po piasku rytmicznie jak po paciorkach. Jęczący syk wiatru był jak kończący różaniec krzyżyk, a jego twarda realność przypomniła jej, że pora się obudzić.

Obejrzała się za siebie, szukając wsparcia w znajomym obrazie *castillo*. Odnalazszy go w pęczniejącym mroku, przestraszyła się odległości, którą się od niej odgrodził. Odwróciła się już, by na skos pobiec w jego stronę, kiedy następny dźwięk, zatrwajająca mieszanka syków i świstów, unieruchomił jej stopy w piasku. Roztrzęsiona, wyteżyła wzrok w stronę, z której przychodził, jednak niczego nie dostrzegła i przestach rozstętnił się w jej uszach. I właśnie w tej chwili, jak na jej wezwanie, plażę rozjaśniły pierwsze promienie księżycy, który objął swój dyżur w cyklu oświetlania świata. Dał morzu sygnał rozpoczęcia przyptywu, co z niewielkim opóźnieniem uświadomiła sobie Celesta, wdzięczna księżycowi za jego latarniczą usługę.

Nigdy nas nie widziała, choć czasami przechodziliśmy obok niej, tak blisko, że mogliśmy się o nią otrzeć. Jej świat był inny, może lepszy od naszego i bardzo od niego odległy.

Jednak nie była czarownicą spiskującą z ptakami. Była naszą damą. Kiedy snuła się o zmroku, dziwna, nieobecna, powinniśmy byli przyjrzeć się jej dokładniej i spróbować zrozumieć ten jej poplątany świat... Zastanowić się nad tym, dlaczego polubiła akurat głupie ptaki i czy rzeczywiście obserwuje je tylko dla zabawy. Dlaczego na towarzyszy swojej samotności wybrała puste, skrzydlate stworzenia i nie zwróciła się z tym do nas.

Być może sami byliśmy sobie winni, że po nastaniu wieczoru przestawała nas zauważać. Jakbyśmy dla niej nie istnieli - po zachodzie słońca nawet nie przychodziło jej do głowy, by porozmawiać z którymś z nas, odwiedzić, dołączyć do nocnej fiesty. Naszą reakcją było obwinianie jej za zarozumiałość, tak jakby kiedykolwiek wypominała nam swoje pochodzenie lub lepsze od naszych maniery, jakby męczyła nas wysokimi wymaganiami.

W istocie chodziło nam tylko o to, by inaczej spojrzała na nas siwymi, zagubionymi oczyma i zechciała nas zobaczyć. Jednak ona wolała zamykać się wieczorami w swym otoczonym usypiającymi ptakami zamku jak zakłeta królewna, której nie pilnuje smok.

Na tle pociemniałego nieba szumiał skrzydłami wielki ptak. Był jednym z tych, które znała po wielu rozmarzonych godzinach poświęconych na podziwianie ich z daleka. Była ich najszczerzą wielbicielką; podniebny ptasi taniec sprawiał, że w jej pamięci odżywały *folie* i *sarabandy*¹ a także wszystkie inne tańce, których nie zdążyła zatańczyć z Korsarzem.

Ptak wirował bardzo blisko. Celesta widziała go dokładniej niż każdego innego wieczoru; był sam, pojedynczy, w pełnej urodzie rozpostartych skrzydeł. Zdziwione westchnienie wyrwało się z jej ust i, sekundę później, wstrząsnął nią zimny powiew przeststrachu. Niebezpiecznie bliska rozwiązania zagadki obrazu utraciła pewność, czy pragnie ją rozwiązać.

¹ Renesansowe tańce hiszpańskie.

Ptak był jasnego koloru i to on stanowił źródło dźwięków, które wybudziły Celestę z rytmu własnych kroków. Jego gigantyczne skrzydła, jak łuk zachłannie rozpięte na wiatr, syczały i wyły, wyginając się w palącą obręcz. Wzbijając się ku górze, świeciły jaskrawo, a ich zapalczywa żółć przypominała spóźniony krzyk słońca, które protestuje przeciw odprawieniu go na drugą półkulę. Wielki ptak niemal w całości składał się ze skrzydeł, które - wznosząc się i opadając - płynęły posuwicie po niebie. Czasami niebezpiecznie muskały skórę morza, jednak zawsze udawało się im oderwać na czas i, wykręcając bajecznego pirueta, ponownie wznieść się do góry.

Jako dodatek do skrzydeł płynęło gdzieś pośrodku małe, nieznaczne ciało stworzenia, które powinno być mózgiem podniebnej latania, jednak nawet w części nie sprawiało takiego wrażenia.

Zaciekawiona Celesta zatrzymała się na skraju plaży, nie troszcząc się o zniszczone pantofle i zrujnowaną skórę stóp. Zapomniała już nawet o niebezpieczeństwie bliskiego przyływu; choć dawno już powinna schronić się za murami, wodziła wzrokiem za ptakiem. W jej zadartej ku niebu głowie zatrzepotały jeszcze słowa doni Isabel: „Tylko dworskie dziewczki moczą nogi na plaży, *bija!*” - jednak było to zaledwie dalekie wspomnienie. Celesta ofiarowała całą swą uwagę ptakowi tańczącemu nad plażą i jak widz z łoży podziwiała jego amatorski, zamaszysty balet. Nie przeszkadzało jej, że ma przed sobą tancerza, którego pasja góruje nad umiejętnościami. Nie umniejszało to jej sympatii, przeciwnie, odwaga ptaka tym mocniej zafascynowała Celestę, która miała ochotę klaskać, gdy wystrzeliwał w chmury i opadał na fale czyhające na jego skrzydła. Nie udawało się jej odgadnąć rasy: w odważnym lotniku dopatrywała się podobieństw z pelikanem albo nawet orłem, jakby mógł istnieć orzeł zapędzający się w pobliże wody...

Największą zagadkę nadal stanowił wąty ptasi korpus. Był nieznaczny, nieproporcjonalnie mały i przez to niemal śmieszny. Co gorsza, miał szarą barwę, w odcieniu przypominającą Celeście znieprawidzone ptaszki wypierające z wyspy jej żółtych ulubieńców. Za samą tę szarość pogardzałaby ptakiem już na wstępie, gdyby nie jasny kolor skrzydeł, który uchronił ją od niechęci. Posłała ciałku

uśmiech politowania: dzięki bezpiecznie dominującej żółci skrzydeł mogła darować mu pozostałą szarość. Zresztą i tak bezbarwny był jedynie poddany element ptaka - uzależniony, w pełnej dosłowności ciągnięty za lepszą częścią. To nie korpus, lecz skrzydła decydowały o ruchu i nadawały mu kierunek. To ich słoneczna rozpiętość była koroną dzieła.

Ciało ptaka było tak niewielkie, że Celesta musiała wytężyć oczy, aby rozpoznać jego chaotyczne ruchy. Szarpiące się w powietrzu korpus oraz mała głowa ptaka znajdowały się w pewnym oddaleniu od rozpostartych skrzydeł, jakby doskonalsza część organizmu potrzebowała dystansu do brzydoty. Celeście wydało się nawet, że między ciałem a skrzydłami rozciąga się ruchoma przestrzeń, jakby połączeniem były nielogicznie długie stawy, łudząco przypominające liny. Albo jakby całe skrzydła były kompletnym ptakiem bez głowy i tułowia, natomiast to, co niezgrabnie się za nimi ciągnęło, jedynie bezwartościowym, złośliwie przywieszonym przez kogoś ładunkiem.

Ładunkiem, który obciążał, przeszkadzał w ostatecznym wyrwaniu się w niebiosa, zagrażał wpadnięciem w wodę i przypominał bezradnego, uczeponego sznurkami drewnianego pajaca albo...

- Człowiek...?

Przerażona Celesta zakryła usta dłonią, jakby wyrwało się z nich przekleństwo niegodne damy z rodu y Peralta. Jednak było już za późno, rzucony przez nią urok zadziałał natychmiast i dopadł mocującego się z wiatrem stworzenia, o którym wciąż jeszcze nie wiedziała, czy jest człowieczej, czy tylko zwierzęcej natury. Pomieszał mu szyki, wystraszył albo odebrał moc utrzymującą je w powietrzu. Przekleństwo Celesty poplątało harmonię łączącą małe korpus z ponadwymiarowymi skrzydłami, zaburzyło im płynność ruchów i pozbawiło odwagi. W przeciągu kilku chwil dumna zamaszystość skrzydeł zamieniła się w bezbronne trzepotanie. Pokołysawszy się chwilę bez godności, zawinęła się w końcu w przerażoną szmatę i, jak u trafionego strzałą pelikana, runęła ciężko w dół. Świsł, szum oraz zaplątany w spadanie krzyk zagłuszyły wieczorne morze i ze złowieszczą przenikliwością przeszły uszy Celesty. Przerażona od-

wróciła się gwałtownie, kiedy ostatni fragment skrzydła przylepił się do powierzchni wody i nic już nie mogło obronić go przed nadpływającą skwapliwie falą spiętrzonego morza. Grzywiasty bałwan pędził już z daleka, aby przetoczyć się po niebiańskich skrzydłach oraz dopełnić losu drgającego w wodzie ludzkiego korpusu nieudacznego ptaka, który w swej lekkomyślnej arogancji przecenił mierne siły.

- Ikar próbował latać - szepce do siebie Celesta, usiłując w panice uporządkować rozgonione myśli - jednak воск, za pomocą którego przymocował swoje skrzydła, roztopił się w promieniach słońca...

Unosząc brzegi sukni, nieprzyzwoicie wysoko, aż odsłaniają się nie tylko przemoczone czółenka, ale także całe odziane w białe pończochy łydki i kolana, Celesta biegnie niezgrabnie w stronę domu. Spieszy się i potyka na piasku, jakby gonił ją przedwczesny przypływ morderczych fal, zjednoczonych przeciw niej na plaży, na którą nierozsądnie wybrała się wbrew woli doni Isabel oraz własnej rozważności. Jej usta bełkoczą niespójne historyjki, którymi ucisza strach i układa wytłumaczenie swego zachowania przed babką.

- J e d n a k na niebie nie było już słońca, właśnie rozpoczynała się pora księżycy...! Czyżby to księżyc zrzucił do wody złotego ptaka? Jednak dlaczego, za co...

Wilgotna od morskiej wody i potu zmęczona Celesta wpada na dziedziniec swego *castillo*. Zatrzasłkuje bramę i ponad nią rzuca ostatnie spojrzenie pohukującemu w oddali morzu oraz piaskowi, który wymieszał się z mrokiem. Już nie widać linii rozdzielających plażę od wody i wodę od nieba. Celesta wdycha z ulgą, wdzięczna zapadającej nocy. Prostuje się, wygładza nadwyrężony strój i, starając się iść zwyczajnie, udaje się do wnętrza domu. Już cieszy się na rytualne spotkanie ze swą najmilszą na świecie babką, donią Isabel Vaca y Peralta.

17.

Jednak czasami rzeczywiście wstępował w nią prawdziwy diabeł. Albo wiele diabłów - diabolic? - naraz. Była ożywiona, gadatliwa, знаła wszystkich i wszędzie było jej pełno. Z jej niebieskich oczu leciały ognie, jeśli tylko ktoś ośmielił się nie zgodzić się z nią albo odważył się wejść jej w drogę.

Ten, kto jej nie znał - co mogło dotyczyć jedynie przyjezdnych - mógł wziąć ją za jedną z naszych kobiet. Nie odróżniała się przecież nawet kolorem włosów, nie będącym już niczym szczególnym na tle barwionych głów naszych kobiet i dziewcząt, które tylko my, znający każdą od urodzenia, z kołyski i chrzcielnego becika, postrzegaliśmy w naturalnej postaci. Potem, jako dorosłe, nawet po pofarbowaniu pozostawały w naszych oczach czarno-włose: ruda Inez, platynowa Esmeralda, pomarańczowa Merce... Jednak skąd ktoś, kto przybywał z cywilizowanego kontynentu, mógł wiedzieć, że prawdziwych blondynek było u nas zaledwie kilka - a dokładnie zliczywszy, trzy? O dodatkowe urozmaicenie zatroszczyły się dziesiątki jasnowłosych turystek, które ktoś złośliwy - a takich wśród nas naprawdę nie brakowało - klasyfikował według sprawdzonych typów: „Nowa Bassinger, hmm... Ta? Paris Hilton. Marilyn Monroe, proszę proszę, zaraz widać, że ze starszego pokolenia; no, tu jest na co popatrzeć: prawdziwa Scarlett Johansson. Wow!”

Jednak te wyśmiewane przez nas blondynki często się zmieniały. Były jak niewielkie piaskowe wydmy, które dla kaprysu przemiana wir powietrza lądujących na naszym lotnisku samolotów. Natomiast ona, której przeobrażenia przyprawiały nas o zawroty głowy, zmieniała się inaczej. Nie umieliśmy porównać jej z nikim,

a nasze przypuszczenia dobijały granic zrozumienia. Czuliśmy się przez to jakby... głupi.

Nie wiedziała o tym. Udawaliśmy przed nią, że widzimy w niej ciągle tę samą jasnowłosą cudzoziemkę z wyspy. Jednak, nawet jeśli często sprawiała nam prawdziwe kłopoty, nigdy nie chcieliśmy, aby wzorem wszystkich Monroe, Bassinger, Stone czy nawet ślicznej Theron opuściła nas na zawsze.

Kursanci zbierali ze stołów zeszyty i książki, natomiast Nauczycielka zajęła się ścieraniem z tablicy liter swego nerwowego pisma, które jeden z uczniów nazwał kiedyś pismem klinowym w dużym formacie. Zapytała go wówczas, skąd wie, jak wygląda klinowe pismo, a on odpowiedział, że pasjonuje się starożytnością. „Powinien więc pan ją studiować” - powiedziała i pożałowała natychmiast, gdyż spuścił głowę, wyjaśniając, że nigdy nie zdobędzie środków na studia. „Pozostaje mi więc francuski” - dodał, odpowiadając żartem na jej mimowolny nietakt. Jego druga pasja nie okazała się jednak zbyt silna, ponieważ w niedługim czasie zrezygnował z kursu francuskiego, jakby i on, wzorem języków starożytnych, miał pozostać dla niego czymś nieosiągalnym.

- *Au revoir, señora* - powiedział grzecznie Manuel Rosa, ostatni wychodząc z ziejącej upałem sali.

- *Au revoir, MADAME* - poprawiła go surowo Nauczycielka, nie odwracając się w jego stronę. - *Je vous souhaite une bonne journée, Monsieur Rosa*¹.

Zatrzymał się i, przestępując z nogi na nogę, z zakłopotaniem podrapał się po głowie. Wcale tego nie zauważyła, zajęta doprowadzeniem do porządku zniszczonej tablicy. Dostrzegła go dopiero po zakończeniu pracy, kiedy nadal stał przed katedrą w swoich zbyt dużych adidasach, z wytartą teczką pod pachą.

- Coś jeszcze, panie Rosa? - zapytała, nieco uważniej mu się przyglądając. - Czy chodzi o pana nieobecności? Mówiłam już, że...

- Nie, nie, *señora* - zaprzeczył pośpiesznie. - To coś innego.

- Słucham pana.

¹ Życzę miłego dnia, panie Rosa.

Był zmieszany, onieśmielony i trochę się jej bał. Przez chwilę wyglądało na to, że się rozmyśli i wyjdzie z sali, pozostawiając za sobą zakłopotanie i zapach potu stłoczonych w nieklimatyzowanym pomieszczeniu kursantów.

- Słucham!

Nauczycielka odnosiła wrażenie, że uczniowie nie używają dezodorantów, jeśli nie przymusza ich do tego sytuacja - w wypadku większości, praca w hotelu. Nie wiedziała, czy postępują tak z oszczędności, czy dlatego, że traktują kurs jako zajęcie ściśle prywatne, z czego - jak żartowała - właściwie powinna się cieszyć.

- Przypadkiem usłyszałem rozmowę między menedżerem naszego hotelu i... innym pracownikiem - wydusił z siebie w końcu Manuel, posyłając jej przy tym spojrzenie, które powinno było wbuździć w niej litość.

- Zapewne Adama Soriano?

Przestraszył się w jednej chwili.

- Skąd pani wie?

Wzruszyła ramionami.

- Nietrudno się domyślić.

W spanikowanych oczach swego ucznia odczytała spóźniony żal z powodu zwłoki w opuszczeniu sali po lekcji. Gdyby mógł, szybko naprawiłby błąd; niestety, przeszkadzał mu w tym respekt przed nią oraz dobre wychowanie.

- Czego dotyczyła ta rozmowa?

- Pani - odpowiedział cicho.

- To również powinnam była zgadnąć.

Wbił w nią czarne, zakłopotane oczy.

- Nie chodzi o pani kursy - powiedział szybko, odganiając od siebie ochotę na ucieczkę. - Ani nawet o to, że jego zdaniem podburza nas pani przeciwko pracodawcom. Rozmawiali o czymś całkiem innym.

- Mianowicie?

- Ktoś z gości... Nie była to tylko jedna osoba, ale kilkoro przyniosło do hotelu ulotki o Delfinarium. Pan Soriano dowiedział się, że to pani rozdawała je ludziom na plaży. Był naprawdę wściekły.

Nauczycielka ponownie wzruszyła ramionami.

- Plaża nie należy ani do pana Soriano, ani do żadnego innego hotelowego menedżera - powiedziała. - Póki co, choć ten stan może się oczywiście zmienić, jest własnością publiczną i każdy może robić na niej to, co chce.

Głos zatrzymał się w ściśniętym gardle Manuela Rosy. Znowu doprowadziła do tego, że był spięty - bardziej nawet niż podczas ustnych odpowiedzi na tematy gramatyczne, których naprawdę nienawidził.

- *Señora...*

Dlaczego każde porozumienie z nią było tak nieprawdopodobnie trudne! Dlaczego nie można było wyjaśnić jej wszystkiego zwyczajnie, bez strachu o to, że coś błędnie odbierze? Dlaczego trzeba było wymyślać wykręty, dobierać słowa, szukać pretekstów, zwozić tylko po to, by móc się do niej zbliżyć? I do tego ten cały lęk o nią, nieobliczalną kobietę, która jednego dnia zachowywała się po prostu nieznośnie i, nadużywając swej pozycji, łamała wszelkie zasady, natomiast drugiego - jakby dla równowagi! - stawała się tak bezszelestnie krucha, że nawet jej najwięksi wrogowie czuli się w obowiązku chronić ją przed innymi.

Pouczała innych, sama nie chcąc uczyć się od nikogo. Była... tak, była zwyczajnie niereformowalna: żyła na wyspie od tak wielu lat, że jej mieszkańcy naprawdę chcieli już uważać ją za swoją, jednak ona im na to nie pozwalała. Ciągłe na nowo wyciągali do niej rękę, zapraszali na śluby i chrzciny, oczekiwali w kościele i podczas ulicznych świąt. Jednak ona, jeśli już się pojawiła, zostawała bardzo krótko, dziwacznie poważna, jakby przyszła urzędowo. Nie odpowiadała na niegroźne zaczepki mężczyzn, nie żartowała z dziećmi, zbyt zdawkowo rozmawiała z kobietami. Wydawało się, że one lubią ją bardziej, jakby łatwiej przychodziło im tolerowanie jej szorstkiej niedostępności. A może po prostu szanowały ją za to, że okazywała to głównie mężczyznom? Rzecz wygodna dla nich jako żon.

Jednak nikt, żaden mężczyzna i żadna kobieta, nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie: czy ona naprawdę jest pożyteczna dla naszej wyspy? Istniała jedna, niepodważalna opinia na jej temat: swoją osobą robiła zbyt wiele zamieszania.

- Oni są na panią wściekli, *señora* - powiedział Manuel Rosa głosem, w który włożył cały zapas determinacji, niepokoju o nią oraz swej ambiwalentnej sympatii. - Mówią, że szkodzi pani rozwojowi turystyki na wyspie i próbuje przepędzić turystów. Wzywa pani do bojkotu Delfinarium, jednej z największych rozrywek na tej wyspie, najdroższej inwestycji, którą nie mogą pochwalić się inne wyspy... Torpeduje pani ich starania o to, by właśnie do nas zjeżdżali ludzie z całego świata.

Zdziwiony dostrzegł, że Nauczycielka lekko się uśmiecha, i speszył się, nie rozumiejąc nagłej zmiany jej nastroju. Nie miał szans domyślić się przyczyny: zaskoczył ją, ponieważ pierwszy raz usłyszała u niego długie zdania - ułożone w ciąg, sensownie napełnione wyjaśnieniami i na dodatek przypieczone puentą. Nigdy dotąd nie mówił tak w jej obecności, nie tylko po francusku, ale także po hiszpańsku. Miała powody, by sądzić, że Manuel Rosa potrafi wprawdzie powtórzyć gładko każdą frazę, jednak jego pasją nie jest tworzenie własnych zdań.

- Znam ich opinię na temat turystyki i Delfinarium - powiedziała wolno, przypatrując mu się z ukrywanym zainteresowaniem.

Podczas lekcji nie poświęcała wiele czasu na rozwijanie jego zdolności fonetycznych. Znadto brakowało go na zajęciach przykrojonych na potrzeby nauki obcego języka dla ludzi, którzy, obciążeni zbyt wieloma zajęciami, poddawali się jej z obowiązku. Wszystko to nazywała przerażającym paradoksem - nieustanny pośpiech na wyspie, która powinna być rezerwatem spokoju i oazą zatrzymanego czasu. „Nie pasujemy do tej wyspy-mówiła-ani wy, którzy dajecie jej kopniaki, zmuszając ją do biegu, ani ja, niechętnie biegnąca tuż za wami”.

- Oni... - Manuel Rosa w końcu zająknął się pod jej wzrokiem. - Oni mają złe zamiary. Wobec pani. Bałbym się chyba... Na pani miejscu. To nie są dobrzy... ludzie.

Powrócił do swej zwykłej postaci, tej, którą znała, i kleił zdania z trudem, zacinając się własną wymową. Słuchając go, zastanowiła się nad słusznością swych metod nauczania, które, oparte na założeniu braku czasu na wszystko, polegały głównie na poprawianiu

tego, co sprawia kłopoty. Wierząc, że naturalne zdolności same się rozwiną, koncentrowała się na rzeczach, za które nikt nie zabrałby się z własnej woli. W przypadku ucznia Rosy wyglądało to tak, że zamiast tracić czas na doskonalenie jego bezbłędnej francuskiej wymowy, ćwiczyła go gramatyką, w której był słaby. Czytanie tekstów powierzała natomiast komuś, kto bezlitośnie je kaleczył i, tresując obydwu jak słonie na estradzie, rujnowała ich motywację.

- Był pan w Delfinarium, panie Rosa?

- Kiedy było budowane, tak... Jak przywieźli ryby, te pierwsze, też. Potem już nie poszedłem, bilety są, wie pani, za drogie. Takie ceny to... no, to są ceny dla turystów.

- Takich stworzeń jak delfiny nie powinno się trzymać w zamknięciu. To zbrodnia zamykać je w basenach, z których przez szybkę oglądają swoje naturalne środowisko. One nie zasługują na to, aby znęcał się nad nimi jeden albo drugi idiota... Wolne istoty nie są zabawkami dla ludzi szukających głupich rozrywek.

Manuel Rosa ograniczył się do milczącego oczekiwania na ciąg dalszy. Znał rozmówczynię i nie miał wątpliwości, że taki nastąpi i będzie odpowiednio żarliwy.

- Jeśli i, otwierając ludziom oczy na prawdę o ważnych sprawach tej wyspy, rzeczywiście jej szkodzę, powinni mi o tym powiedzieć jej mieszkańcy. Nie Adam Soriano i nie jego szefowie, którzy fatygują się tu może dwa razy do roku, tylko po to, by doglądać interesu. Tym typom wyspa jest całkowicie obojętna, razem z ludźmi, zwierzętami i z rybami... Gdyby, zamieniając ją w światowe wysypisko śmieci, mogli osiągnąć dodatkowy profit, zrobiliby to bez wahania. W ich posiadaniu znalazło się już wiele takich wysp i żadna nie znaczy dla nich więcej niż numer konta w banku.

- W Delfinarium pracują ludzie z wyspy, *señora*. Dostają pensje... Żyją z tego.

- W Delfinarium pracują przede wszystkim delfiny z okolic wyspy, Manuel. I to bez wynagrodzenia.

- A l e to tylko ryby...

- Ssaki, panie Rosa, ssaki, które powinny być wam bliższe od ludzi bogacących się się waszym kosztem.

- Delfiny nam nie zapłacą!

- Dopóki nie przybyli obcy, obywalicie się bez ich pieniędzy, natomiast delfiny były waszymi przyjaciółmi. Występowały w waszych legendach. Teraz je sprzedajecie.

Manuel Rosa zawahał się na chwilę:

- Ja nie wiem, jak... to było przedtem. Kiedy się urodziłem, hotele już tu były. Nieliczne, ale jednak.

- Pańscy rodzice muszą świetnie pamiętać tamtą wyspę, Manuel.

Patrzył na jej stopy. Nosiła płaskie, wygodne buty, jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę z potrzeby szybkiego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Jej stopy były zgrabne i prawie dziewczęce.

- Ale pani nie, *señora*... - powiedział cicho, nie licząc się konsekwencjami. - Pani przyjechała później, tu, na naszą wyspę. Wcale się pani na niej nie urodziła jak ja, albo... albo *señor* Soriano.

- I dlatego to wstyd, że toja muszę wam wszystko tłumaczyć, a nie odwrotnie! - zirytowała się Nauczycielka, unosząc mimowolnie prawą rękę, jakby już zabierała się za pisanie prawidłowej odpowiedzi na tablicy. - Jeśli jestem obca, dlaczego nie wystarczy mi uczenie was obcych języków? Dlaczego mam na głowie tyle spraw, o które nie zatroszczycie się sami, choć to was, a nie mnie, dotyczą? Dlaczego...

- *Señora* - przerwał jej nieoczekiwanie - ja chciałem tylko powiedzieć pani, że oni nie chcą, by pani się mieszała. Rozdawała ulotki o bojkocie Delfinarium...

- A pan? Niech pan mi powie, że mam się nie mieszać!

- Ja tylko chciałem panią ostrzec - powiedział dość bezradnie, unikając patrzenia jej w oczy. - Tylko ostrzec.

- Nie boję się nikogo!

- Oni powiedzieli, że jest wielu chętnych na pani dom. I że to marnowanie ziemi, aby stał tam, gdzie można wybudować cały hotel... I że warto się o to zatroszczyć. Oni źle się śmiali, *señora*... Ja na pani miejscu bałbym się takiego śmiechu.

Nauczycielka zadarła głowę w górę, zamasyżycie, tak, że w jakiś sposób udało się jej patrzeć z góry na wyższego o kilkanaście centy-

mentrów ucznia. Zaczęła się głośno śmiać, wyzywającym wzrokiem pilnując, aby od tego śmiechu nie uciekał.

- Nie boję się niczego, panie Rosa - oświadczyła, uciszając się gwałtownie, w kolejnej demonstracji opanowania. - Nic, co dotyczy mnie samej, nie podlega żadnemu rodzajowi strachu. Dlatego ludzie, tacy jak Adam Soriano, nie powinni koncentrować się na mojej skromnej osobie, ale na tym, czym jestem zmuszona się zajmować.

Kiedy tak się zachowywała, każdy, kto usiłował z nią dyskutować, prędzej czy później lądował na przegranej pozycji. Nie było wyboru - należało albo się z nią zgodzić, albo uciekać od jej zawziętości, tak jak ucieka się od upału.

Była trudna nawet wtedy, kiedy usiłowaliśmy jej pomagać. Podczas gdy my starannie dobieraliśmy argumenty, ona przepierała nasze mózgi. Robiła wszystko, co możliwe, by indoktrynować nas w kwestii niebezpiecznej odpowiedzialności za sprawy, którymi woleliśmy się nie zajmować. Zachowywała się jak absolutnie niepoprawna nauczycielka, która zamiast wykładania reguł gramatyki obcego języka wciska miejscowym zasady funkcjonowania ich własnego kraju.

Jednak, co trzeba było jej przyznać, nawet wtedy, czyli w chwilach, w których podnosiła głos, zaciskała pięści i nawet kłęła czasami pod nosem, nie przestawała emanować tym swoim cudzoziemskim i trudnym do określenia wdziękiem.

- Pójdę już - powiedział zrezygnowany Manuel Rosa, starając się nie patrzeć jej w oczy. - Chciałem panią ostrzec i zrobiłem to.

Nieoczekiwanie położyła mu rękę na ramieniu.

- Doceniam to, panie Rosa, i dziękuję.

- Nie ma za co.

- Ależ jest. Za dobre chęci.

Przesunęła dłonią w górę i w dół jego ramienia w spoconej koszuli z długim rękawem. Jej ruch był niezręczny, jak zapomniany krok taneczny sprzed lat i niemodny, jak krój jego ubrania.

- Wszystkiego dobrego, panie Rosa. Ale niech pan nie oczekuje, że odpuszczę panu w gramatyce.

- Nawet nie przyszłoby mi to do głowy...

Roześmiała się przekornie, cofając rękę, aż Manuel Rosa pomyślał, że choć trudno w to uwierzyć, nawet przy swej szczupłości i bladości twarzy potrafi wyglądać całkiem ładnie.

- Chyba że pomoże mi pan rozdawać te ulotki.

Zaszokowany jawną próbą przekupstwa otworzył szeroko usta. Ubawiona Nauczycielka po raz ostatni poczęstowała go namiastką cielesnego kontaktu.

- Żartowałam, panie Rosa, nie musi się pan aż tak bać! - powiedziała, klepiąc go niezgrabnie po ramieniu. - Wiem, że potrzebuje pan tej swojej pracy. Ale proszę nie zapominać, przypomnę o sobie, kiedy zrobi pan karierę i zajmie kierownicze stanowisko w miejsce tych cynicznych idiotów w rodzaju Soriano. Wtedy przyjdę do pana i zażądam poparcia w sprawie Delfinarium. Oczywiście, jeśli nie uda mi się doprowadzić do zamknięcia go jeszcze przed pańskim dojściem do władzy.

- Oczywiście - odruchowo potaknął Manuel Rosa.

Przyglądał się jej, kiedy zgarniała swą płócienną torbę z oproszonego kredą nauczycielskiego stołu, i posłusznie potaknął jej po raz drugi, gdy spytała go, czy wychodzi.

- Idziemy w tę samą stronę - przypomniał jej dość nieśmiało. - Mogę ponieść pani torbę.

- Nie trzeba - zastanowiła się przez chwilę. - Proszę raczej opowiedzieć mi, co nowego dzieje się w turystycznej branży w randze pięciu gwiazdek.

Kiedy schodzili w dół po schodach, znowu potknął się o niezwiązane sznurowadła rozdeptanych adidasów. Nie mieli zbyt wielu wspólnych tematów do rozmowy.

- Nic wielkiego się nie dzieje - powiedział ostrożnie. - Stały ruch, mniej rodzin z dziećmi w wieku szkolnym, bo to przecież jesień...

Posłała mu zaskoczone spojrzenie:

- Rzeczywiście - powtórzyła zdziwiona - w Europie jest jesień.

- Mamy też Amerykanów...

- Wielu?

- Każdego roku więcej. Przyjeżdżają tu na kitesurfing.

- Wiem, w waszym hotelu jest szkołka. Kto ją prowadzi? Ktoś stąd?

- Nniee... Też Amerykanie. I jeden Niemiec.

Nauczycielka prychnęła, na potrzeby Manuela Rosy chowając frustrację pod celnie zjadliwą dezaprobatą.

- A jakże by inaczej? Będzie pan musiał sporo zmienić, kiedy już zostanie pan menedżerem, panie Rosa.

Zamknęła wejściowe drzwi do budynku, męcząc się chwilę z archaicznym kluczem i nie pozwalając sobie pomóc, w czym Manuel dostrzegł szansę na porzucenie tematu jego hipotetycznej kariery zawodowej. Milczał, by jej nie zachęcać: przeceniła go albo nie miała pojęcia o realiach, czego nigdy nie ośmieliłby się otwarcie jej zarzucić, podobnie jak żaden z jej pozostałych kursantów. Nikt z uczniów nie traktował poważnie jej pouczeń na temat odpowiedzialności spoczywającej na nich jako przyszłej elicie wyspy. Nikt nie reagował, kiedy powtarzała: „Musicie sami załatwiać swoje sprawy, bez pośredników i bez tłumaczy. To wy musicie wziąć ster w swoje ręce”.

-Wczoraj był poważny wypadek-rzucił Manuel, aby ostatecznie odwrócić jej uwagę. - Jeden z surfingowców stracił kontrolę nad kitem i niewiele brakowało, by się udusił.

- Naprawdę? Ten latawcowy sport może być aż taki groźny?

- I to jak! - potwierdził skwapliwie Manuel. - Facet podrywa się do góry, czasami wysoko, skąd łatwo jest spaść i uderzyć o wodę... To niesamowicie trudne panować jednocześnie nad kitem i linami, nad deską i przede wszystkim uważać na fale. Jeśli dodatkowo robi w powietrzu obroty, o, to już może być naprawdę ryzykowne. Poza tym, można zaplątać się w czyjąś linę. Jeśli ma się pecha, lina może zmienić się w szubienicę.

- Niemożliwe...

- Tłumaczył mi to pomocnik ze szkołki kitesurfingu, stąd wiem...

Na przystanku Manuel uparł się, by wraz z nią poczekać na autobus.

- I co się stało z tym człowiekiem? - zapytała po pół godzinie, akurat w chwili, gdy zza zakrętu wyłoniła się zniszczona maska publicznego autobusu.

- Odwieźli go do szpitala - odpowiedział, ciesząc się już z perspektywy samotnej drogi do domu. - Był nieprzytomny, kiedy go znaleziono. Mówią, że to cud, że się nie utopił, woda go wyrzuciła czy co... Ktoś z hotelu wyszedł na brzeg, bo jakieś psy ujadły jak głupie. Leżał na piasku siny jak kłoda.

- Myślałam, że takich sportów nie uprawia się w pojedynkę - powiedziała jeszcze Nauczycielka, szukając w torbie miesięcznego biletu.

Manuel Rosa machał już do kierowcy autobusu, gdyż zawsze istniało niebezpieczeństwo, że wcale się nie zatrzyma pod pretekstem przeoczenia pojedynczych ludzi na skraju drogi.

- Bo się nie powinno - potwierdził. - Wszyscy mówią, że takie samotne surfowanie na pustej plaży wieczorem to bardzo głupi pomysł. Nie ma czego szukać nad morzem tuż przed przypiływem, zostają tylko jacyś wariaci... W razie czego nie ma nawet komu wezwać pomocy.

- To smutna prawda, panie Rosa.

Pośpiesznie podała mu rękę, której nie zdążył uścisnąć, a jedynie musnął w chwili, gdy Nauczycielka wsiadała do autobusu. Zachwiała się na najwyższym stopniu, gdy kierowca ruszał już do przodu, a on, jej uczeń, podskoczył, jakby miał szansę ją podtrzymać.

- Do widzenia, Manuel. I dziękuję panu bardzo - zawołała Nauczycielka w chwili, w której z suchym piskiem zamknęły się za nią harmonijkowe, od częstego użycia zdefasonowane drzwi pojazdu.

18.

Nasłuchiwała odgłosów domu w swojej czysto wysprzątanej kuchni, w której szafach i zakamarkach pochowane zostały potrawy oraz resztki ich zapachów. Czekając na przyjście dziewczyny, która, jak się wydawało, całkiem dobrze zadomowiła się w domu nad morzem.

Anica coraz chętniej dotrzymywała jej towarzystwa, i to nie tylko podczas posiłków, ale także w innych porach dnia. Wprawdzie nadal nie dotykała niczego, czego nie podano jej bezpośrednio, jakby obawiała się przedmiotów innych niż talerze, szklanki, sztucce, ręczniki albo podarowane ubrania, jednak nie było powodów, by widzieć w tym coś groźnego. Gospodyni nie martwiła się brakiem inicjatywy u dziewczyny, która - jeśli nie liczyć tamtego jedyne go dnia - nie zrobiła niczego z własnej woli. Nie zamierzała jej popędzać; z jednej strony - była przyzwyczajona do samodzielnego wykonywania obowiązków, z drugiej - przyznawała Anicy prawo do odpoczynku. Pilnowała się, by jej poglądów nie zakłócił nawet widok psów szturchających nosami Anicę, która w majestacie swej pasywności ignorowała ich puste miski.

Wybaczała niemal wszystko dziewczynie, w której - niezależnie od jej z trudem odzyskanej, względnie normalnej zewnętrznej postaci - nadal widziała inwalidkę. Jej zdaniem, Anica zakończyła wprawdzie swą prywatną wojnę, jednak niezupełnie opuściła okop, w którym schroniła się, uciekając z pola walki. Nadal tkwiła pomiędzy wspomnieniami a niejasnym wyobrażeniem przyszłości i niechętnie poddawała się rekonwalescencji. Nie była to ulubiona wizja Gospodyni, która nie chciała uważać swego gościnnego domu za wojenny lazaret gromadzący wysłużone jednostki. Znacznie bardziej

odpowiadała jej koncepcja przedśionka do lepszego świata, choćby -jak w przypadku Anicy - miał jednocześnie oznaczać zakończenie piekła. Wiedziała, że potrafi zadbać o to, by prowadzące do niego pancerne drzwi otwierały się tylko w jedną, właściwą stronę... Oliwiła starannie zamek, aby nigdy się nie zaciął.

Robiła tak, gdyż była Gospodynią. Nie jakąś otrzaskaną ze śmiercią wolontariuszką.

Jej starania w przywracaniu Anicy do świata żywych nie szły na marne. Dziewczyna coraz częściej się odzywała, okazywała zainteresowanie temu, co działo się w domu, dopytywała się o chorą. Innymi oczyma przyglądała się pracy w kuchni, czasami z daleka wyglądała przez okno na taras. Nasłuchiwała odgłosów domu i towarzyszyła Gospodyni, gdy ta zaglądała do pokoju dziecka. Gospodyni nie dawała po sobie poznać, jak bardzo ceni sobie jej odruchy, z których każdy uznawała za swój mały sukces. Liczyła je z zadowoleniem podobnym temu, które odczuwała przy ustawianiu na półce spiżarni słoików odpowiednio wysmażonej konfitury.

Jeden z małych cudów właśnie się wydarzał: Anica z własnej woli poszła do pokoju chorej dziewczynki. Pracująca w kuchni Gospodyni usłyszała nad sobą jej ciche kroki i odłożyła wszystko, aby przymknąwszy oczy łatwiej wyobrazić sobie scenkę odgrywającą się piętro wyżej. Gdyby mogła, zajrzałaby przez sufit jak przez szybkę swego starego piekarnika, w którym dojrzewa suflet: oto Anica zatrzymuje się na progu, jak podczas pierwszej wizyty chwytając się framugi drzwi... Nie ruszając się z miejsca, obserwuje małą, zakopaną w pościeli sylwetkę... Patrzy, jakby sprawdzała, czy widok jest wystarczająco realny, nie poświęcając uwagi ostrej woni lekarstw i kosmetyków, z coraz większym trudem trzymającym na wodzy odrażający zapach choroby... Nie porusza się, całe swoje postrzeganie ograniczając do ciasno zajętych oczu, wkładając całą siebie w to patrzenie, jakby ona i bezruch widowiska były jednym.

Gospodyni wie, że oczy Anicy są puste, że jej twarz, pocięta krostami jak nieumyte sito, nie zdradza myśli i nikt, także jej znająca się jedynie na gotowaniu potraw opiekunka, nie odgadłby, co naprawdę ją zajmuje. Nazbyt prosto byłoby domyślać się litości,

nazbyt skomplikowanie solidarności z drugą, jeszcze wcześniej wyrwaną z dzieciństwa, żeńską istotą. Tam na górze, za wysokim sufitem i drewnianą podłogą, spotykają się dwie przedterminowe kobiety, nienaturalnie chore, obrabowane z wolności pozostania dziećmi, które nie powinny chorować na nic groźniejszego od grypy albo świnki.

Wyobrażająca sobie to spotkanie Gospodyni czuje złość z powodu dokonanej na nich kradzieży czasu, wepchnięcia siłą w karny przedział pomiędzy jednym a drugim wiekiem, w szczelinę cierpienia nie należącą się nikomu - żadnemu dziecku i żadnej kobiecie. Wie, że dokonanej na nich zbrodni nie wyrówna najczyściej posprzątanym dom i najbardziej pożywnym posiłki. Niewiele załatwi doraźne schronienie - jednej na powrót do życia, drugiej na czas umierania.

Gospodyni wyciera w fartuch czyste, suche ręce i martwi się o wszystkie kobiety tego domu. Przystaje dopiero wtedy, gdy kroki Anicy zbliżają się do kuchni. W jej uszach brzmią jak prośba o ciepłą zupę.

- Mam nadzieję, że ci smakowało.

Po zakończonym posiłku nie padło w kuchni ani jedno słowo na temat dziewczynki, która zasnęła nieświadoma skupionej na sobie czujności całego domu.

- Byłam rano na rynku, kupiłam warzywa i świeże mięso... - mówi Gospodyni. - Jaka nazywa się w twoim języku *sopa de polio*? Gotuje się ją z kury albo z kurczaka, chociaż można również wziąć cielęce mięso, jeśli ktoś lubi cielęcinę... Wtedy oczywiście nie będzie nazywała się *de polio*. Potrzeba dużo marchwi, pora, selera i liści laurowych, ale tych nigdy nie muszę kupować. Na całe szczęście mam ich pod dostatkiem, na całą wyspę wystarczyłoby moich laurowych liści...

Pomaga sobie słowami w ten sam sposób, w jaki zabija bezczynność rąk zmywaniem, suszeniem i przestawianiem garnków. Zagłusza ciszę posyłaniem nieważnych, niekoniecznie potrzebnych zdań, jakby w domu nie wystarczało pokrzykiwanie ptaków za oknem. Nie dość spektakularny był balet dwóch kotów, które na podłodze wylizują swe opróżnione miski. Przemawiając, nie przestaje nasłuchiwać odgłosów z piętra, przez co jej monolog dodatkowo

ubożeje, a ona zaczyna się go wstydzic jak dziecko, które zamiast gaworzenia wolałoby zaśpiewać piosenkę. Jej słowa rozsypują się po kuchni jak groch z przedziurawionej torby, z suchym hałasem tocząc się po podłodze i wpadając w niedostępne miejsca, z których trudno je będzie powymiać.

- Mięso należy gotować długo, a kiedy zaczyna być miękkie, trzeba dołożyć obrane warzywa. Kurczak gotuje się krócej niż kura, a jeśli chodzi o cielęciny... Ale ja nie kupuję cielęciny. Kupuję właściwie każde mięso, o ile jest świeże, patrzę na ceny, porównuję, kupuję tam, gdzie jestem przekonana o dobrej jakości, ale nie cielęciny. Są kraje, w których nie jada się cielęciny, aby nie zabijać cieląt. To może nie jest rozsądne, może to nawet przesada, nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym tak dokładnie. Lubisz cielęciny, Anico? Jeśli bardzo ci na tym zależy, mogłabym kupić dla ciebie kawałek i ugotować ci albo usmażyć. Ja sama nie będę jadła, bo jakoś nie mogę... Widziałam gdzieś zdjęcia cieląt przeznaczonych do rzeźni. Nawet nie wiem, kiedy to było, jednak i tak trudno mi je zapomnieć.

- Rosół - mówi niespodziewanie Anica.

Gospodyni podnosi na nią zdziwione oczy i przerywa polerowanie szklanki, która jest tak przezroczysta, że widać przez nią ptaki z najdalszej gałęzi drzewa ocieniającego wejście do domu.

- Słucham?

- Ta zupa... od kurczak... nazywa rosół - wyjaśnia z trudem Anica.

Kiedy brała do siebie tamtą młodą nieszczęśnicę, musiała być chyba świadoma tego, że stanie się dla niej jedynie uosobionym źródłem jedzenia i picia, a co najwyżej punktem orientacyjnym, którego należy trzymać się na obcym terenie. I że wprawdzie będzie tamtej niezbędnie potrzebna - działanie prostego samozachowawczego instynktu - jednak pozostanie jej opiekunką, nie zaś osobą, z którą pragnie się nawiązać kontakt emocjonalny.

Jeśli nie liczyć kilku wypowiedzianych zdań, które należało przypisać nerwowości chwili, dziewczyna trzymała wszystkie bramy do siebie szczelnie zamknięte. Poruszała się po świecie - świecie, który w jej wypadku ograniczał się do tego jednego domu - jak

zmartwiony, otumaniony duch, w najprostszym z odruchów zaspokajając swe podstawowe potrzeby oraz pilnując umownego marginesu fizycznego bezpieczeństwa, czyli dwóch, może trzech metrów, na które pozwalała się do siebie zbliżyć. Zakaz ten dotyczył nawet psów i kotów, co poważnie martwiło ich właścicielkę, święcie wierzącą w cudowne uzdrowienia za pośrednictwem zwierzęcego dotyku i spojrzenia. Mimo wielu prób naprowadzenia dziewczyny na tę najprostszą ścieżkę uleczenia nic nie wskazywało na to, by tamta zamierzała z niej skorzystać. Uparcie omijała psy i koty, jakby nie istniały, jakby to, co nie jest ściśle ludzkie, nie było też widzialne.

Jednak wydarzyło się coś niezwykle ważnego, cud na miarę magicznych przeobrażeń, z których zasłynął ten szczególny zakątek wyspy. Pokutująca zjawa dostrzegła inną, jeszcze nieszczęśliwszą od siebie istotę. Obudzona z letargu najstarszym środkiem komunikacji - zwyczajnym krzykiem - pierwszy raz wychynęła ze skorupy osłaniającej jej osobisty, nadwyrężony świat. Jej opiekunka nie popędzała jej do podjęcia następnych kroków. Ograniczyła się do cichego sekundowania w samodzielnym otwieraniu oczu niechętnie patrzących na kogoś, z kim przegrywa się w porównaniach uszkodzeń na ciele i duszy. Pozostawiła dziewczynie czas i swobodę w nabywaniu tego zrozumienia.

Postępowała z nią tak, jak z drożdżowym ciastem, które najskuteczniej rośnie wtedy, kiedy nikt go nie poszturčuje.

Gospodyni śmieje się z ulgą, uprzejmie, i cieszy się ze słów zajmujących nowe miejsce w kuchni, słów, których sama nie musiała wypowiedzieć. Patrzy z uznaniem na Anicę okupującą stałe miejsce przy stole, nigdy po sobie nie sprzątającą, nie usiłującą nawet zmyć własnego talerza, ignorującą serwetki, i nagle wydaje się jej, że dziewczynie przybyło trochę ciała. Przygląda się dokładniej i jest prawie pewna swego: dostrzega lekko zaokrągloną linię podbródka oraz nieznaczne wypełnienie policzków pod wyblakłymi, nadal nieobecnymi oczyma.

- U nas chłopy zabijają... cielęcina. Młody cieląt dobre... Oni sprzedawać. Cieląt dobry, chociaż dużo pieniędzy. Kosztuje.

„Mówi - wzdycha w duszy ciepło ucieszona Gospodyni - źle, jednak mówi!" Cieszy się z tego faktu, z wysiłku, który dziewczyna wkłada w klecenie zdań, z marszczenia brwi, jakby pomagała językowi i wargom walczącym z trudnościami, z wszystkiego, co sprawia, że jej twarz staje się aktywna. Zmiany udzielają się oczom Anicy, którym trudno zachować zwykłą wyblakłą obojętność pod rozgimnastykowanymi brwiami, rzęsami i ich mruganiem, nad policzkami śmiesznie nadymanymi przez powietrze przerabiane na głoski. Anica pęcznieje od wysiłku, jakby nagle obudziła się w niej uczennica, niezbyt zdolna, za to bardzo pilna.

- Cielęcina to mięso z cieląt. A pojedyncze zwierzę to „cielę", nie „cieląt". Mamy do czynienia z różnymi formami: cielę - cielęta. Są cielęta, nie ma cieląt. Zrozumiałaś? Powtórz, proszę, za mną: cielę, cielęcica, cielęcicu, cielę, z cielęcikiem, o cielęcicu, cielę. Głośno!

W jednej chwili oczy Anicy budzą się naprawdę - na ułamek sekundy, na dwa, może trzy spojrzenia. Nie ma w nich uwagi, zainteresowania, nawet chęci współpracy; w tych oczach odnajduje się dawny strach albo tylko nawyk strachu, instynktowny refleks, który nakazuje zareagować i wykonać żadaną czynność. Dziewczyna otwiera usta, z niewielkim opóźnieniem, karnie, jednak inaczej niż czyniła to przed chwilą: wykonuje polecenie, głęboko żałując, że dała się skusić na obce ćwiczenia.

- Cielęt... nie, to ciele, te... cielęta?

Gospodyni wzdryga się, jest jawnie zaskoczona wyrazem twarzy Anicy i sama zaczyna mrugać, obiema powiekami, jakby czegoś nie dosłyszała, lecz wstydziła się do tego przyznać, na nowo kuli ramiona, które nie wiedzieć kiedy przybrały niewygodną, przeprostowaną pozycję i pośpiesznie szuka dłońmi rogu fartucha.

- Słucham? Przepraszam, zamyśliłam się na chwilę i nie zrozumiałam cię...

- Powtarzam...?

- Co, dziecko?

- Pani kazać ciele - cielęta. Mówić: ciele - cielęta.

Gospodyni unosi swe niewielkie dłonie i macha nimi lekko, jakby chciała odpędzić obydwu zawstydzenia - chłopskie i postuszne

Anicy oraz swoje, też gospodarskie, jednak jawniej skrępowane. Pociera czoło, jakby zdenerwowało ją jakąś niezdiscyplinowaną akcją gdzieś w środku.

- A co ja ci będę zawracać głowę, jak się zupeł gotuje! - woła po staremu, swoim zwykłym głosem. Jest trochę zawstydzona, czego nie lubi okazywać przy Anicy, która potrzebuje przecież silnej i stanowczej opiekunki. - Przecież jak będziesz chciała, zawsze możesz do mnie przyjść i razem będziemy gotowały. Wszystkiego mogę cię nauczyć - oprawiania mięsa, krojenia warzyw, dobierania ziół...

Znowu uśmiecha się po dawnemu, trochę nieśmiało, jednak ze zwykłą powagą kogoś, kto zdaje sobie sprawę z własnej siły, właściwie ulokowanej w cierpliwość, stałość i odporność na nowości. Kogoś, kto jest dopełnieniem domu, dba, by nie zmurszały ściany i nie przeciekł dach, niestrudzoną, mrówczą pracą trzyma w ryzach piasek, trawę i mech, czekające tylko na chwilę nieuwagi, by zawładnąć nieswoim terenem. Kto oprócz pilnowania porządku miejsca karmi wszystkie przebywające w nim stworzenia - ludzi, zwierzęta, nawet ptaki.

- Przygotowywanie jedzenia jest proste, dziecko. Ale nic na siłę! Wystarczy to polubić...

Anica wzdycha cicho, bez wielkiej ulgi, wycofuje się w siebie i ponownie zastyga na krześle. Przez chwilę wydaje się, że powróci do ulubionej postaci apatycznego, chudego posągu, do którego zdążyła przywyknąć Gospodyni, istotom oddanym pod jej opiekę zezwalająca milczeć, mówić, jeść i spać w dowolnie wybranych porach.

Jednak dziewczyna ponownie zbiera się w sobie, jakby przełamując się do mówienia zaczęło wchodzić jej w nawyk:

- Pani mówiła... opowiedzieć, czemu dziecko chora. Ja chcieć znać, czemu tak chora.

Gospodyni wyprostowuje fałdy fartucha, który nieposłusznie poprzekręcał się na jej brzuchu.

- Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, Anico. To medyczne słowa. Wiesz, co to jest nowotwór?

-Rak?

- Tak, zgadza się. Nowotwór to inaczej rak.

- Gdzie ona ma rak? - W nieruchomych oczach Anicy nie zachodzą żadne zmiany.

- Miała w podbrzuszu... W macicy, wiesz, co to jest macica?

Ciężkie kiwnięcie głową:

- Wiesz.

- Jest po operacji, wszystko jej wycięli, bo ten rak był... Bardzo zaawansowany.

- Ona taka mała dziecko i rak w macica?

W klatce piersiowej Gospodyni odzywa się tępy ból, o którym wie, że gdzieś w niej mieszka, choć ona, mimo całej swej instynktownej gościnności, nie potrafi go zaakceptować. Nie umie ani go zrozumieć, ani dokładnie umiejscowić - mimo że czasami czyni starania określenia jego lokum w okolicy serca, mostka, płuc czy może nawet kręgosłupa, którego bóle potrafiłaby najłatwiej pojąć, przyporządkowując je dźwiganiu, pochylaniu się i zbyt długiemu staniu.

- Tak - potwierdza niechętnie Gospodyni. - I takie rzeczy czasami się zdarzają. To oczywiście bardzo niesprawiedliwe...

Milczy przez chwilę, niespokojnie, żałując chwilowego braku zajęć, którymi odpędza nieproszone bóle w piersiach oraz nie lubiane, obce myśli sprawiające, że sama sobie wydaje się niepotrzebna. Rozgląda się dookoła i niczego nie znajduje, nawet talerza czy zapomnianego widelca, nawet najmniej ważnej pogniecionej serwetki, której mogłaby poświęcić czas, podnosząc ją i wrzucając do kosza na brudną bieliznę.

- I podłe - dodaje nagle z obcą sobie, stłumioną w naturalnej łagodności głosu złością.

19.

Dziewczyna, która niemal otarła się o Celestę na szerokim korytarzu, wyglądała pospolicie i zarazem dziwacznie. Musiała być kimś ze służby-tylko takie wytłumaczenie nasunęło się przechadzającej się wśród własnych ścian pani domu - chociaż nie zachowywała się w sposób, do jakiego nawykli chlebobdawcy z rodziny y Peralta. Nie wykonała głębokiego ukłonu, nie ustąpiła drogi; Celeście wydało się nawet, że dziwna istota ośmieliła się zmierzyć ją spojrzeniem!

Co więcej dziewczyna odziana była w spodnie i Celesta - dostrzegłszy w korytarzu nieznaną sylwetkę - w pierwszej chwili wzięła ją za postać młodego mężczyzny. Zakołysana falą obudzonego zainteresowania, przesunęła wzrokiem po wysmukłym ciele i kształtnej głowie z jasnymi, nie sięgającymi ramion włosami. Podczas niedługiej chwili w półmroku już wyobraziła sobie chłopca stajennego albo pomocnika ogrodnika, jednak później jak dotknięcie klingą sztyletu poraziła ją myśl, że oto zbliża się wysłannik Korsarza. I choć wszystko to nie trwało dłużej niż minutę, Celesta ujrzała serię poplątanych, soczystych obrazów, w których wymieszały się wspomnienia, oczekiwanie oraz cierpka i mrowiąca w sercu tęsknota.

Wszystkie te uczucia nazbyt szybko zlały się w plamę rozczarowania, ciemnego jak obojętne oczy młodej kobiety, którą okazała się nieznaną postać. Celesta mimowolnie uniosła głowę ruchem, w którym uwydatnił się jej arystokratyczny podbródek, i ściągnęła bliżej siebie zagarnięty w dłonie brzeg sukni. Choć nie przyszło jej do głowy robić miejsce komuś, kto w jej domu ośmielał się chodzić tą samą drogą, wołała uniknąć otarcia się o kogoś ze służby, nawet wówczas, gdyby zamierzał przyklęknąć przed nią na posadzce.

Tym większe było zdziwienie Celesty, kiedy nieznajoma postać zwyczajnie ją ominęła; bezwstydną młodą kobietą oddaliła się w kierunku schodów, nie kłaniając się ani nawet nie pozdrawiając, jakby jej prawem było nieskrępowane poruszanie się po *castillo* i posyłanie spojrzeń prosto w twarz jego właścicielki. Jej kroki były zbyt głośne, a czyniony przez nie hałas sprawił, że tylko duma nie pozwoliła obejrzeć się za siebie Celeście, nauczonej traktować służbę jako pożyteczne, jednak niewidzialne istoty. Gdyby nie lęk przez zbudzeniem doni Isabel, zdobyłaby się może na zawołanie niesfornej służącej - czy może pomocy służącej albo pomocy pomocy? - i kazała wytłumaczyć się z irytującego zachowania.

Celesta stłumiła westchnienie: w całym *castillo* nie było nikogo, kto mógłby wytłumaczyć jej obecność nieznanymi osobami, o których nie wiedziała nawet dokładnie, czy mieszkają w nim, czy tylko go odwiedzają. Nie istniał nikt, kto potrafiłby uporządkować hałas oszczędnie odmierzanych kroków, trzaskanie drzwi, szuranie mebli i podzwanie naczyń. Nikt, kto wytłumaczyłby dzwonki i syczenie, metaliczne pobrzmiwanie przedmiotów, których przeznaczenie pozostawało dla niej tajemnicą, nawet wówczas, gdy zniżala się, by zajrzeć do pomieszczeń nieistniejących dla jej babki - kuchni czy spiżarni odwiedzanej czasem we wstydlivej tajemnicy.

Do którego z tych miejsc należała spotkana w korytarzu młoda kobieta? Gdyby nie strój, Celesta mogłaby wziąć ją za dawno oczekiwanego gościa, kogoś, kto zdecydował się przybyć z wizytą z któregoś z pobliskich *castillos*; usprawiedliwieniem męskiego stroju byłaby wówczas konna jazda, uprawiana nie tylko przez mężczyzn, lecz także przez niektóre, bardziej od innych ekscentryczne, damy. Jednak... Czy było możliwe, że gość pozostawił konia przed domem i wszedł do niego nieproszony? Kto otworzył mu drzwi, skierował do wnętrza domu i, przede wszystkim, kto dopuścił do tego, by nie zaanonsowano go Celeście?

Nie, wnuczka doni Isabel Vaca y Peralta i tym razem musiały odrzucić nieskutecznie uśpione marzenia o nowych przyjaźniach. W chłopięcej postaci nieznajomej kobiety nie kryła się żadna nowa towarzyszką zabaw, partnerka do gry w wista, wdzięczna rozmów-

czyni przy herbacianym stoliku... Musiało chodzić o służącą - najzwyklejszą służącą!

Celesta stoi niezdecydowanie na środku korytarza, w jej uszach brzmi jeszcze odległe echo dziwnie obutych stóp, w nosie gryzie ją zapach surowego mydła, który pozostawiła po sobie nieznajoma, jeszcze przypomina sobie zarys jej twarzy oraz duże, jakby niewidzące oczy. Odwraca się niepewnie, czujna, jakby groziły jej następne nieodpowiednie spotkania, niewyobrażalne jak przełamanie bezruchu na portrecie doni Isabel. Nagle, w całej świadomości bezsensu swego zachowania, Celesta decyduje się pójść tam, gdzie zniknęła już obca kobieta. Idzie więc, pełna wstydu za swą nieodpowiedzialną ciekawość, za niewiedzę dotyczącą wszystkiego, co odbywa się w jej domu, a także za dziwną mgłę, która pojawia się w niej za każdym razem, gdy musi przyznać się do obcych obecności w *castillo*, do tego, że ona i jej babka wcale nie są w nim same.

Wolno, jakby jej brokatowa suknia ważyła niezliczone kilogramy, a safianowe pantofle podbite były ołowiem, Celesta pokonuje schody prowadzące na piętro. Nie trzyma się poręczy, unosi do góry rąbek spódnicy i surowo wyprostowana wlecze za sobą ciężar niepewności. Czuje ślad zadowolenia z wątego światła na korytarzach i choć nie wie, kto zapalił kandelabry, jest mu przelotnie wdzięczna za zapewnienie bezpiecznego widzenia w miejscach, które - któż wie, kto jeszcze tędy chodzi! - naraz wydają się jej niebezpieczne. Zauważa następną smugę światła, jeszcze silniejszą od tej, która rozjaśnia przestronny korytarz o udekorowanych obrazami ścianach. Celesta zbliża się niepewnie, tylko na tyle, by móc zajrzeć do środka komnaty, w której coś się odbywa - i zastyga w niewielkiej odległości od drzwi, wystarczająco jednak blisko, by ujrzeć sprawczynię zamieszania. Po chłopięcej sylwetce rozpoznaje młodą kobietę ubraną w spodnie, jakby przed chwilą zsiadła z konia, czuje ślad ulgi po osiągnięciu celu i obserwuje tamtą, która pochyłona jest nad czyimś łóżkiem i zasłania sobą jego zawartość, oczywiście, jeśli takowa istnieje...

Choć Celeście wydawało się, że zachowuje się bezszelestnie, tamta usłyszała ją i odwróciła się do niej ze swej pochyłonej pozycji. Spojrzenia obydwu kobiet spotkały się w jednym niestabilnym

punkcie, zawieszonym gdzieś w połowie skąpo oświetlonego korytarza i trzeba było wiele wysiłku, by punkt ten nie upadł ciężko na wyłożoną barwnym chodnikiem podłogę. Nie doszło do tego, gdyż dona Celesta nigdy nie spuściłaby oczu przed kobietą należącą do służby ani też nie pozwoliłaby sobie na okazanie wstydu z powodu śledzenia jej, kimkolwiek by nie była, po korytarzach własnego domu. Znieruchomiała w całej sile swej rodowej dumy, resztkami sił wyniosła, wyostrzyła swój i tak dzielnie trzymany w górze podbródek.

- Śpi - powiedziała tamta cicho, w plebejski sposób, którego szorstkość zraniła delikatne uszy Celesty. - Polepszyłam koc.

Jej niezdamny głos sprawił, że nagła fala pogardy uzdrowiła Celestę ze skrępowania po szpiegowaniu dziewczyny, która z całą pewnością była jej służącą albo nawet służącą służącej. Orzeźwiona ulgą, nie uznała za stosowne odpowiedzieć i ograniczyła się do zlustrowania dziewczyny, która odstępiała o krok. Usunięciem swego wąskiego ciała udostępniła widok następnej obcej istoty, która zajmowała proste, drewniane łóżko. Celesta wzruszyła ramionami, nie ukrywając już dezaprobaty i ulgi. Ostatnie minuty skrępowania i pretensji do siebie o rzeczy, do których nie przyznaje się żaden szlachetnie urodzony człowiek, wydały się jej nagle blahe jak przypadkowy, niegroźny żart. Z łatwością wróciła do postaci prawdziwej Celesty, w niemożliwej do zachwiania przewadze górującej nad dwiema śmiesznymi istotami, z których jedna była tylko wynędzniałą posługaczką, noszącą koce dla drugiej, jeszcze mniej ważnej, w swoim braku znaczenia wyblakłej nawet na tle taniej pościeli dla służby.

Traci wszelkie zainteresowanie dla obu żalonych postaci. Mogą sobie być siostrami, matką i córką, albo tylko obcymi sobie, zwykłymi plebejuskami, które ktoś z łaski przygarnął do *castillo*. W miejsce wszystkich przepuszczeń posyła im protekcyjnalne kiwnięcie głową, tak niewielkie, że pochylająca się ponownie nad łóżkiem młoda kobieta nie może go zauważyć, natomiast druga, leżąca w nim czy może nawet śpiąca, nawet się domyślić.

- Dobrze - rzuca wyniosłe Celesta, zapominając, że rozróżnianie służby i pełnionych przez nią funkcji kiedykolwiek było jej kłopotem. - W *castillo* jest wystarczająca ilość kocy.

20.

Odłożyła koc sprawnym i nieco mechanicznym ruchem.

- Nasza dziewczynka znowu się spociła - stwierdza Gospodyni, jakby Anica nie mogła sama zauważyć mokrych plam, które jak każdego ranka i każdego popołudnia rozkwitły na piżamie dziewczynki.

- Wyciągam nowy spodnie do piżama - odpowiada jej z powagą Anica, już od dłuższej chwili trzymająca w pogotowiu sprane części nocnej garderoby.

Mówiła coraz odważniej, składając koślawe zdania ku zadowoleniu, ale i zakłopotaniu Gospodyni, której dotychczasowe kontakty werbalne zawężyły się do piątki domowych zwierząt oraz pewnej, równie ograniczonej, liczby sprzedawców z miasteczka. Teraz miała przed sobą drugą, podobną do siebie istotę, z natury również niegadatliwą. Obydwie, jeśli już zabierały się za rozmowę, nie czyniły tego z głębokiej potrzeby.

- Ta czerka mokra jest... za bardzo-oświadcza Anica asystująca przy łóżku, nieudacznie usiłując naśladować Gospodynię w uśmiechu zarezerwowanym dla tego pokoju.

Gospodyni zdążyła już poprawić porządek łóżka i napoić dziecko schłodzoną ziołową herbatą, dozowaną ostrożnie wprost do ust.

- Ścierka, kochana. Masz rację, ta ścierka jest już zbyt mokra. Bądź tak dobra i przynieś drugą z łazienki. Dziękuję ci.

Dialogi, które można było podsłuchać w kuchni lub pokoju chorej dziewczynki, były nieskomplikowane, lecz trudne, i to nie tylko dlatego, że brały w nich udział dwie nierozmowne w gruncie rzeczy kobiety. Nie działało się też tak z powodu jednej z nich, która dopiero uczyła się języka, do niedawna jeszcze stanowiącego mowę jej prześladowców.

Te rozmowy rujnował przede wszystkim brak płynności. Były nie tylko ubogie w zawartość, ale także pozbawione rytmu i harmonii. Układały się w komunikację tak powierzchowną, jak wyrzucanie w powietrze piłek tenisowych przez dwie bezlitosne debutantki, którym braknie wstydu na odłożenie rakiety i pozostawienie kortu dla lepszych graczy. Tylko nieliczne piłki osiągały cel. Większość leciała zbyt wysoko albo zbyt nisko, przypadkiem podkręcona lub zanadto płaska, sto razy lądując bezużytecznie w siatce. Trzeba było dużo cierpliwości, by ciągle na nowo podnosić je z ziemi, odszukiwać w trawie lub oczyszczać z pajęczyn.

Jednak te kobiety posiadały potrzebną cierpliwość. Obok niemal mechanicznego komentowania pielęgnacji dziecka starczało im wytrwałości w rozmowach o nim i przy nim. Nauczyły się potrzebować mówienia w pobliżu łóżka chorej, przy którym wzajemnie wspierały się słowami, wymieniając opinie lub krótkie uwagi, opowiadając coś i wdając się w przydługie wyjaśnienia, wyrzucając w powietrze retoryczne pytania. Mówiły głośno albo mamrotały coś pod nosem - za siebie oraz za chorą dziewczynkę.

Swą żarliwością nadrabiała fakt, że ona sama była niemową.

- Na pewno lekarz nie uleczyć rak? - dziwi się Anica, jakby możliwość medycznego niepowodzenia nie mogła pomieścić się w jej głowie. - Nowotwór? Dlaczego?

- Lekarz - nie „lekirz”, kochana. Lekarze mówią, że wszystko zostało zrobione. Reszta w ręku Boga.

Anica oburza się i wznosi oczy do nieba:

- Lekarz leczyć ma, nie Boga! Po co on leczyć wtedy?

Gospodyni rozkłada bezradnie ręce.

- Mówią, że się starali.

- I bez wiedzieć, że uleczyć?

- Tego nigdy na pewno nie wiadomo, Anico.

Milczenie tej małej ani nie urodziło się w domu nad morzem, ani też nie wykluło się wraz z jej chorobą. Istniało od zawsze; nikt z wyspy nie usłyszał dotąd ani jednego wypowiedzianego przez nią

słowa - i nikt nigdy nie zainteresował się przyczyną. Dla rodziny jej niemota była wygodą, dla obcych - czyli nas wszystkich - usprawiedliwieniem. Od chwili, w której choroba, jak to określił jeden z braci, rozpanoszyła się na dobre, w natłoku nieszczęść nie warto już było się nią zajmować.

Do tamtego domu dziecko przybyło otoczone tą samą ciszą, która już wcześniej spowijała je niczym nieskuteczna siatka maskująca. Opiekujące się nim kobiety, niedotknięte widocznymi fizycznymi ograniczeniami, uznały, że im samym nie wolno dobrowolnie milczeć. Aby nie obrażać dziewczynki swą wyamputowaną obecnością, zaczęły mówić za siebie i za nią, dopisawszy rozmowę do zestawu pielęgniarских czynności. Strumieniem słów zaatakowały jej niemotę równie stanowczo jak jej chorobę lekarstwami, a głód i pragnienie produktami dobrej kuchni.

Zapewne wierzyły w to, że w głowie dziewczynki istnieją pokutujące embriony zdań, które na jej wargach czekają tylko na uwolnienie. Postanowiły im w tym dopomóc. Podrzucały w górę swe własne, lepkie jak arabska guma słowa, mając nadzieję, że przykleją do nich jej mówienie.

Umiejętność prowadzenia rozmowy potrzebna była również Anicy.

- Pani?

- Tak, kochana? Jesteś może głodna?

Gospodyni odgrywa instynktownie rolę nauczycielki języka, jednak brak profesjonalizmu w niczym jej nie przeszkadza. Jest skuteczna jak matka, która najlepiej z wszystkich edukuje w konwersacji swe małe dziecko.

- Chciałabyś coś zjeść?

Dziewczyna odpowiada posłusznie, jak pilny uczeń w pierwszym tygodniu szkoły:

- Tak, głodna trochę.

1 z własnej inicjatywy odważnie rozszerza dialog:

- Co robi do jeść pani?

- *Gaspacho*¹ - wyjaśnia zadowolona Gospodyni. - Nie pamiętam już, czy jadłaś już u mnie *gaspacho*?

- Jak być *gaspacho*? Zupa to?

- Niezupełnie. Bierze się...

Kuchnia była jej gospodarską przestrzenią. To tu mogła zanurzyć się w pogodną ciszę swego królestwa, pachnącego ziołami i stałą ciągłością prostych obowiązków. W jego strzeżonej przez sprzęty, rośliny i zwierzęta trwałości uspokajała się i nabierała sił. Monotonnym dreptaniem między piecykiem, zlewem i szafkami z jedzeniem potrafiła wyregulować fermentujące emocje, których rozmnożenia obawiała się jak nieodkrytego w porę gniazda myszy albo roju os zagnieżdżonego pod dachem.

Inaczej było z tamtą, jeszcze bardziej cudzoziemską dziewczyną, która w kuchni powracała we własne nieszczęścia, nadal nie zasuszone w czasie i odległości. Mimo wiary w bezpieczeństwo pomieszczenia kuliła się w sobie, jakby coś zmuszało ją do celebrowania chwili, w której rozbita i z trudem posklejana na nowo znalazła się w nim po raz pierwszy. Przywoływała strachy z niedalekiej przeszłości, w której sama była niemową, w niewoli u ludzi nie zamierzających jej słuchać i rozumieć. Słyszała ich słowa: bolesne przekleństwa, koniugowane przez rodzaje przemocy i deklinowane piekłem perwersji. Nie potrafiła przyswoić sobie ich języka i nie знаła przyczyny owej niemocy: czy chodziło o brak czasu, czy o brutalne metody dydaktyczne, o strach czy przewrotne, wypaczone lenistwo? Wadliwą konstrukcję ciała czy kiepski potencjał pamięci?

Jednak właśnie w tej kuchni, pod cierpliwym okiem zarządzającej nią kobiety, młoda nieszczęśnica rozpoczęła naukę nowej mowy. Zabrała się za wyciskanie z gardła pojęć, gdzieś zasłyszanych oraz nowych, które same się teraz pojawiały. Wystartowała - tak jak dzieje się to u małych dzieci - od głodu, który w pogodnej kuchni przestał być instrumentem nacisku i odzyskał przyjemne znaczenie. Rozpoczęła mówieniem o jedzeniu i dotarła do tematu domu, w którym zamieszkała. Było zbyt wcześnie na odkopanie tęsknot

¹ Zimna zupa z niegotowanych warzyw.

za jej własnym utraconym domem, którego obraz majaczył się jej jako zakazane, dalekie przedszkole. Nie chciała i nie mogła o nim mówić - ktoś zadał sobie wiele trudu, aby nauczyła się myśleć o nim w ten sposób i pojęła, że wspomnienia i skargi wywołują przemoc. Znęcanie się i myśli o powrocie do siebie zespoliły się w jej umyśle jak u psa, który karany jest kijem za szczekanie.

W kuchni Gospodyni nikt nikogo nie bił i nawet kotom uchodziło na sucho bezczelne wskakiwanie na stół. Ich nieśmiała, altruistyczna właścicielka była przeciwieństwem osób posługujących się językiem, w którego arkana usiłowano niegdyś wprowadzić Anicę. Przy niej nie istniało niebezpieczeństwo ataku obcej mowy, złożonej wyłącznie z określeń chorej ludzkiej fizyczności.

- A wszystko należy poszatkować.
- Pocza... sza... tkować? Co jest początkować?

Gospodyni z ochotą rozkręcała staromodny kurek ze słowami, z których większość pochodziła z książki kucharskiej.

- Inaczej: pokroić, tylko drobniej.

Były specjalistyczne, niekoniecznie potrzebne i lingwistycznie rzykanckie dla niezainteresowanego debiutanta, jednak dziewczyna pilnie się ich uczyła, nawet jeśli nie wszystkie mogły się jej kiedykolwiek przydać.

- Pokroić? - z potoku słów Gospodyni Anica jak ryby wyławiała te, które wydawały się jej szczególnie ważne.

Oraz te, które jej się podobały:

- Pokroić może ja?
- Ależ bardzo proszę! Będziesz potrzebowała deski do krojenia.
- Deski. Krojenia.
- J e s t w dolnej prawej szufladzie, pod oknem. Nie, nie tam, w dolnej... Pokażę ci. Tu jest dolna prawa szuflada. Właśnie. Nóż jest w górnej szufladzie.
- Ja wiem wszystkie nóż.

21.

W pokoju Eoli wisi żyrandol obwieszony kryształowymi wisiorami. Jest podłużny jak łódka i znajduje się pomiędzy nią a oknem, w jednej linii, jakby jej oczy były ostatnim punktem światła. Mała dziewczynka Eola liczy kryształki żyrandola, jednak niedokładnie, odkładając sobie staranne porachowanie na później, na czas, w którym zostaną zliczone wszystkie inne wydarzenia z jej życia. Na razie cieszy się, że liczba kryształków jest śliczną, powtarzającą się niespodzianką. Tajemnicą.

Kryształki poukładały się w różne kształty i choć Eola wolałaby może, aby liczba rodzajów pozostała niewiadoma, niestety nie udało się jej zachować niepewności. Policzyła je i wie, zna wszystkie na pamięć, często o nich śni.

Czy na jawie, czy we śnie, Eola zaczyna wyliczankę od wisioraka, który znajduje się najbliżej jej twarzy, niedaleko, jakby chciał ją musnąć. W słoneczne dni światło z kryształu przenosi się do jej oka. Szybko zalewają całą przez maleńki otworek źrenicy, najpierw z pierwszego kryształka, później z wszystkich pozostałych, jakby żyrandol był instrumentem, a kryształki jego strunami, które jedna od drugiej zarażają się światłem.

Pierwszy z brzegu kryształek jest okrągły, cięższy dołem jak rozłożona słońcem gruszka, zakończony lekkim stożkiem wyostrzonym tylko po to, by nie pogubić światła, które obesłoby dookoła pełną kulę, a potem ześlizgnęło się z niej po bokach.

Potem następują prostokąty, cały ciąg wyszlifowanych prostokątów, które trochę przypominają lody. Na jednym druciku wiszą sobie potrójnie - dwa małe i jeden, najdłuższy, na dole. Są równe i dokładne jak szczebelki mostu nad roziskrzoną rzeką. „Zupełnie jak nad rzeką” - myśli sobie Eola, znająca rzeki jedynie z książek i rysunków. Bo przecież nie z wyspy, ani tej, ani żadnej innej.

Trzecim rodzajem kryształków na żyrandolu są misterne łezki, mocno wydłużone, prawie płaskie. Są najmniej szlifowane ze wszystkich i, jak zauważyła Eola, najbardziej lubią kolor niebieski. Albo kolor niebieski lubi je, co jednak trudno jest stwierdzić z całą pewnością. Łezki są więc niebieskimi łzami i Eola zastanawia się, czy to możliwe, by były łzami aniołów. Ich niebieskość bardzo by do tego pasowała, jednak gdyby rzeczywiście było tak, że anioły płaczą, coś musiałyby nie zgadzać się w anielskim niebie.

Tuż obok, trochę podobne w kształcie, wiszą ostre stożki przypominające pociski i Eola lubi je mniej od innych. Myśli, że tak muszą wyglądać pociski raket, a może nawet same rakiety, jednak nie te, które buduje się do wożenia kosmonautów, lecz te bez pilota wysyłane po to, by coś zbombardowały. Są niedobre.

Istnieje jeszcze jeden podłużny kształt, tym razem bardzo smaczny. Przypomina świeczki na torcie - równiutkie, wąskie, ktoś inny porównałby je może do ołówków, jednak Eola woli widzieć w nich świeczki. Im dokładniej się im przygląda, tym wyraźniej widzi ich końcówki, które jarzą się mocniej od reszty i są czerwone jak zapalony ogieniek. Eola często przymyka oczy i dmucha leciutko na kryształek-świeczkę, tak jak nauczono ją w jej pierwsze, trzynaste urodziny. Tylko że trudno jest jej wymyślać życzenia, bo nie umie ich nazwać, i określać słowami tego, co mogłoby być najważniejsze. Czasami, dla ułatwienia, decyduje się na lizaka.

Kiedy trochę zmęczy ją już wymyślanie, ucieka wzrokiem do kryształków, które mają kształt kolczyków. Są wydłużone i smukłe; ktoś nieznający dokładnie żyrandola mógłby nawet pomylić je z łezkami, jednak nie Eola, która zna go na pamięć, tak jak wszystko inne w pokoju. Kolczyki wprawdzie przypominają łezki, ale tak naprawdę są kolczykami i Eola jest przekonana, że świetnie pasowałyby do eleganckiego stroju - zwłaszcza do srebrnej, brokatowej sukni, którą tak podziwia. I myśli sobie, że być może kryształki są niekiedy zdejmowane w tajemnicy przed wszystkimi z żyrandola i przewieszane na uszy po to, by swoim blaskiem uświetnić nieładne kobiece ciało. Mała Eola nie zastanawia się nad ciężarem szkła na uszach, wierzy natomiast, że żyrandol chętnie dzieli się swoją urodą, bo nikomu,

ktu posiada tyle kolczyków, stożków i kryształowych łez, nie grozi prawdziwe zubożenie.

Oprócz kolczyków wiszą na żyrandolu jeszcze wisiorki. Tu Eola nie ma żadnych wątpliwości - ślicznie wyglądałyby na tle każdej sukienki, rozblyszczone, zawieszane na złotej nici, na aksamitnej wstążce, na sznureczku. Eola gładzi wzrokiem wisiorki kształtne jak wydłużona kropla srebrnej wody.

Na samym końcu żyrandola wisi jeden, niepasujący do reszty kryształek. Eola nawet nie wie o tym, że został tam dowieszony z innego sprzętu, lampy czy bibelotu, tylko po to, by się nie zmarnował. Znalazł tam swoje miejsce, jakby ktoś dołączył go do rodziny - szkło do szkła, bez bawienia się w drobiazgowość porównywania wagi czy rozmiaru. Nie dopatrzoneo się także tego, co natychmiast zauważyła Eola, od początku zdecydowana trzymać się od niego z daleka: kryształek nie posiada szlifów, którymi radują serce wszystkie inne, jest równy, gładki, podłużny... Większy i bardziej od innych rozciągnięty. Eola widzi go i jednocześnie nie widzi dzięki innym kryształkom, których równy szereg chowa go za sobą. Czasami bawi się w zamykanie prawego, potem lewego, a potem znów prawego oka, posyłając wzrok wzdłuż kryształkowej linii i przedzierając się przez ich szlif, jakby biegła przez gabinet luster. Kiedy barwy mieniają się przed nią kalejdoskopowo, ogrzewają oczy, rozśmieszają i trochę kłują, mała Eola chowa się za kryształki-przyjaciółki i staje się ostatnią z nich, najmniejszą, przycupniętą na skraju połyskliwej linii. Te, które dzielą ją od ostatniego, podłużnego wisiora, są strażniczkami, które musiałyby pokonać, aby móc się do niej zbliżyć.

Eola wie, że nigdy mu się to nie uda. Tyle cięć, tyle szlifów, tyle światła broni ją od najgorszego, ostatniego wisiora. Tyle spokoju unieruchamia go na ostatnim miejscu żyrandola. Mała Eola rośnie karmiona odbłaskami smugi światła, połamanej w drapieżne linie jak obronny drut kolczasty, który strzeże jej w łóżku.

Zbiera siły, aby kiedyś wstać i pokonać długą drogę, nie zerkać na ostatni wisior za pośrednictwem jego szlachetniejszych towarzyszy, lecz samodzielnie do niego podejść i roztluc go na miazgę drobniejszą niż piasek, który z plaży wdziera się do domu.

22.

Celesta odwróciła się zamasyżycie, wywołując falę melodyjnego szumu suknią, która pogłaskała podłogę oraz fragment ściany. Unosząc wprawnym ruchem w górę jej szeleszczący rąbek, ruszyła korytarzem w stronę schodów. Nie zdecydowała jeszcze, w jaki sposób spędzi resztę wieczoru - zajrzy do kuchni, odwiedzi Abuelę czy może nawet zdecyduje się poszukać jakiegoś romansu lub tomiku wierszy w tym dziwnym, zabałaganionym papierami pokoju... Znowu panował w niej spokój, serce biło równo, a usta odnalazły uśmiech zadowolenia, które urosło wśród pysznych kryształowych żyrandoli i kandelabrow oraz obrazów zdobiących ściany. Rodowe pamiątki...

Obrazy w korytarzu, zbyt małe jak na portrety rodzinne, przedstawiały sceny myśliwskie i rodzajowe, pejzaże oraz martwe natury. Posiadały dużą wartość, a mimo to wisiały w tej części domu, w której usytuowane były pomieszczenia dla służby... W jej domu nie zaniedbywano ani centymetra przestrzeni. Nikt, oczywiście, nie spostonowałby El Greca, przydzielając mu miejsce w bocznym skrzydle *castillo*, jednak istniały również inne, mniej spektakularne dzieła! Każda zamożna rodzina posiadała ich wystarczającą liczbę; dziedziczone po dziadkach, rodzicach, otrzymywane w prezencie oraz, jak w przypadku Korsarza i Celesty, skupowane z pasją na dowód własnego uwielbienia dla sztuki.

O tak, *castillo* było dowodem troski o harmonię całości, urodę rzeczy tak dużych, jak i niewielkich. Celesta przypomina sobie szczęśliwy czas, który nastąpił po jej ślubie - ona i Korsarz jako młodzi małżonkowie zajęli się urządzeniem domu i ogrodu, zatrudniali służących, przyjmowali gości... Ileż czasu zajęło im sprowa-

dzanie zamorskiego wyposażenia i dzieł sztuki! Tak bardzo chcieli wszystkiemu sprostać. Tak żarliwie pragnęli osiągnąć doskonałość spełnionego arcydzieła, którego nie powstydziliby się żaden z jej wymagających przodków. I stanęli na wysokości zadania - piękna para, która wspólnie buduje godne siebie gniazdo. Upłynęło kilka lat zanim zauważyli, że ich pasje się rozchodzą.

Schodząc lekko po schodach, Celesta przesunęła dłonią po gładkiej jak skóra węża balustradzie. Zapamiętała, że ze szlachetnego gatunku drewna wyrzeźbił ją najlepszy rzemieślnik na wyspie. Ten sam, który wyczarował również wiele zachwycających elementów okrętu Korsarza, pięknego jak on sam, wysmakowanego jak wspólne *castillo*. Na budowę okrętu także użyto drewna pochodzącego z wyspy. W pamięci Celesty pozostały smukłe pnie powalonych drzew... Oraz opowieści Korsarza wierzącego w to, że drzewa, które po śmierci stają się budulcem okrętu, nie są naprawdę martwe. „Ich transformacja oznacza jedynie chwilowe zatrzymanie w ruchu, Celesto, pozbawienie korzeni, lecz nie unicestwienie”. Zdaniem Korsarza - więc także Celesty - okręt przejmował moc i giętkość każdego z drzew poświęconych na jego doskonałość. Dzięki temu pachniał żywicą, kołysał się na falach i chwycił w żagle wiatr jak najpełniejsza korona z wybujających gałęzi.

Pewnego dnia, bez specjalnej przyczyny, nastąpił koniec podstawowego kursu nauki języka Anicy, którą przestało zadowalać omawianie kuchni, gotowania, urządzenia domu oraz opieki nad chorym. Omijając wiele innych, interesujących dziedzin i frustrując Gospodynię, która wołałaby przerabiać z nią bliższe słownictwo - na przykład dotyczące zwierząt - Anica wykonała skok w sam środek odmiennej tematyki.

- Gdzie mąż? - zapytała nagle.

Zaskoczona Gospodyni nieruchomieje z rękami zamoczonymi w brudnej wodzie wypełniającej zlew. Potrzebuje dłuższej chwili, by pozbierać myśli, jednak docenia sposób zadania podobnego pytania: krótko, prosto, jak wysyłany za granicę drogi telegram w obcym języku.

- Anico, ja nie mam męża - mówi, ważąc słowa.

- Wiem, nie masz pani. Ale był?

- Skąd wiesz... Dlaczego myślisz, że miałam męża?

Dziewczyna zastanawia się krótko, marszczy czoło, jednak nie po to, by uzasadnić odkrycie, ale by poskładać je w słowa. Jej oczy nie wyglądają przy tym na zmartwione, czoło nie traci gładkości na rzecz rozterki ducha. Jej wysiłek nie jest już wspinaczką po ostrej, nielubianej grani - przypomina raczej całkiem przyjemne podcho-
dzenie pod górę, z której potem zjeżdża się na sankach.

- Dużo książek z żaglami... O żaglowaniu?

- Żeglowaniu.

- Tak, żaglowaniu. I wódka w spizarnia, stare butelki. Pani nie pić czysta wódka.

- Nie, ja rzeczywiście nigdy nie piję alkoholu.

- To nie jest nic. List był, do mąż. Mężczyzna.

Na dźwięk ostatniego słowa Gospodyni uśmiecha się z uznaniem.

- J u ż bardzo ładnie wymawiasz słowa rozpoczynające się od naszego „h”, Anico. To wcale nie takie łatwe, często słyszę, jakie problemy mają z nim turyści. Powiedz jeszcze raz „mężczyzna” - prosi.

- *El hombre* - powtarza posłusznie Anica.

Gospodyni chwali ją krótkim kłaśnięciem w dłonie, które wytarła już w czystą kuchenną ścierekę, i dołącza do Anicy, zajmującej swe zwyczajowe, zawsze to samo miejsce przy stole. Odwraca się jednak dla porządku, w starym nawyku podwójnego kontrolowania każdej wykonanej czynności. Patrzy na zlew, pełen pozostawionej, tłustej po umyciu wielu naczyń wody i, zdziwiona własną niedbałością, zamiera w pół kroku, śmiejąc się niezręcznie, by ukryć skrępowanie.

- Chyba nie otwierasz nieswoich listów, Anico?

- Nie! - zarzeka się dziewczyna niemal głośnym głosem, jakby oskarżono ją o zbrodnię. - List na progu, dom nie ma pudełko od list...

- Skrzynki na listy.

- Tak, dlatego na progu, koło pies. To wyniosłam...

- Podniosłam?

- Podniosłam do pokój od książki.

- Gdzie?

- Tam! - wyciągniętą ręką Anica pokazuje kierunek bocznego skrzydła domu. - Podniosłam do ten pokój od dużo książki, na stół, dużo papiery. Tam list. Nie czytać, nie otwierać.

Uspokojona Gospodyni poświęca swe dopiero co wysuszone dłonie i stanowczym ruchem wyciąga korek wiążący tłustą wodę w zlewie.

- Chcesz powiedzieć, że zaniostaś list do gabinetu.

- T a k - potwierdza uroczyście Anica. - Do stołu na dużo papiery. Ten list z pani nazwisko.

Listonosz powiedział o niej kiedyś, że często uśmiecha się niepewnie na widok niektórych listów przysyłanych na jej nazwisko.

Jakby się nad nimi zastanawiała, nie rozumiała, skąd mogły się pojawić. Z wahaniem brała je do ręki, czasami nawet wąchała, jak zioło, którego nie należy przedawkować.

Przechowałnią całej korespondencji oraz urzędowych papierów w jej domu był pokój nazywany gabinetem. Wiedzieliśmy, że sprząta go regularnie wraz z pozostałymi pomieszczeniami - salonem, sienią, sypialniami oraz jej przestronną kuchnią. Utrzymanie porządku w gabinecie z pewnością nie było łatwe... Podstępny kurz - bliski krewniak naszego wyspiarskiego piasku - uwielbiał podobne przestrzenie i, wkradając się w najbardziej zamaskowane zakamarki, pokrywał białą sypkością każdy wolny centymetr. Musiała toczyć ciężką i dość rozpaczliwą walkę o czystość pomieszczenia, coś, z czego my byliśmy zwolnieni jako niemający zwyczaju gromadzenia książek, bibelotów i obrazów. W pewnym sensie była sama sobie winna. My mogliśmy jedynie podziwiać jej uporczywą pedanterię.

Poświęcała sporo czasu swojemu gabinetowi, a mimo to ciągle trochę się go obawiała. Jakby nie czuła się w nim, jak u siebie; o tej obcości przypominały protestujące przeciwko jej ingerencji sprzęty i papiery, jak na złość rozsypujące się już na widok ścierki do kurzu. Jednak to nie było w stanie zniweczyć jej obowiązkowości; niezmiennie dbała o gabinet, który bez jej starań dawno zamieniłby się w papierowe wysypisko, w którym żadna rzecz nie posiada stałego miejsca i zagrożona jest pożarciem przez kurz, muchy, może nawet myszy.

- Mój mąż pracował w tamtym pokoju - mówi niewyraźnie, poruszona nagłą ochotą na szczerość.

Pozwala sobie na niechęć, która wysącza się nie wiedzieć skąd: z tamtego pokoju, papierów czy może z nieobecności mężczyzny o nazwisku wymienionym na kopercie kolejnego listu.

- Pracował, to może za dużo powiedziane... - dodaje. - Raczej chciał pracować.

- Co pracował? - chce wiedzieć Anica.

Gospodyni składa bezradnie ręce, wolałaby ją zbyć, zmienić temat, zająć się znajomymi rzeczami, jak krojenie, szatkowanie, doprawianie, może nawet dokonać kolejnego wysiłku na rzecz za-

przyjaźnienia Anicy z domownikami - z Leo, Donną i Tatu oraz z Lili i Piratem. Jednak ustępuje przed pytaniem wypełniającym niezupełnie już bezbarwne oczy dziewczyny.

- Mieliśmy kiedyś firmę - rozpoczyna.

Z jakiejś niedostatecznie jasnej przyczyny wie, że dziewczynie potrzebne są wszystkie takie rozmowy - o jedzeniu i turystach, o firmach i podróżach, o mężach i dziecięcych wózkach. O tym, że ludzie chodzą do szkół, a później martwią się o swoją pracę oraz że, budując domy, kłócą się, z której strony ma zaglądać słońce. Albo o liczbę dzieci i to, jak często powinna przychodzić w odwiedziny teściowa. Tak wynika z przepisu Gospodyni na Anicę, recepty na jej dorastanie, normalnienie, dojrzewanie, mądrzenie i rośnienie w siłę. Gospodyni instynktownie wie, jakich powinna użyć składników i środków, by dziewczyna mogła któregoś dnia odciąć od siebie przywleczony na wyspę ciężki ogon - najlepiej kuchennym nożem, stanowczo i fachowo.

- J a k a firmę?

Gospodyni wcale nie zna pochodzenia owej instrukcji obsługi powrotu Anicy do świata roześmianych dziewcząt, które podrywają chłopców, aby zdobyć mężów i zostać matkami. Usiłuje sobie przypomnieć, co jednak okazuje się niemożliwe. Dziwi się, znowu jest niespokojna, ona, dokładnie pamiętająca, z których gazet wycinała sobie ten czy inny kulinarny przepis albo dni, w których swym okrągłym, dzieciennym piśmem spisywała kucharskie odkrycia kobiet z rynku. Wie, na której półce stoją; ciasna paczka kartek objętych szeroką gumą, w towarzystwie kilku starych książek o dobrej kuchni, wszystko ustawione w równym rzędzie i, w przeciwieństwie do papierów w gabinecie, nigdy nie zagrożone zakurzeniem. Gospodyni odwraca się i zagląda na półkę bezradnie, jakby tego dnia spodziewała się znaleźć wśród nich jednoznaczne wskazówki co do tego, o czym i dlaczego należy rozmawiać z Anicą.

- Właściwie firma należała do mojej rodziny, założył ją ojciec, licząc na to, że przejmie ją po nim jeden z moich braci - zaczyna niepewnie, jednak posłusznie wobec zaleceń, przez coś albo kogoś wpisanych jej do głowy. - Bo wiesz, miałam dwóch braci, obydwaj

starsi ode mnie o kilka lat. Byliśmy całkiem dużą rodziną. A ty? Masz rodzeństwo?

Anica gwałtownie pochmurnieje.

- Co jest rodzeństwo?

- Brat albo siostra. Bracia, siostry-wyjaśnia Gospodyni i za pomocą małego uśmiechu odgania, jak ścierką muchę, smugę smutku z twarzy dziewczyny.

Nie draży tematu, za to coraz bardziej stanowczo zagłębia się w opowiadania o sobie.

- J e d e n z moich braci został lekarzem i wcale nie było mu w głowie zajmowanie się rodzinną fabryczką...

- Fa... fabric... fabriczką?

- Małą firmą inaczej. Takie przedsiębiorstwo, co produkuje różne rzeczy, części maszyn. Wiesz, jak odkurzacz, albo... Albo lodówka.

- Małą firmą inaczej.

- T a k . Drugi brat ożenił się z dziewczyną zza granicy i wyjechał. Był wielki ślub, na osiemdziesiąt osób, jednak on i tak wyjechał.

- Od wyspy wyjechał?

Gospodyni wybucha wysokim śmiechem, jakby Anica powiedziała coś szczególnie zabawnego.

- Nie, nie! - woła. - To nie było na wyspie. Moja rodzina wcale tu nie mieszkała i firma też nie była na wyspie! My mieszkaliśmy w Hiszpanii...

I przypomniawszy coś sobie, Gospodyni nagle urywa, jakby przyłapała się na kręceniu ciasta w niewłaściwą stronę. Jednak jej milczenie nie trwa długo; już za chwilę podejmuje wątek z determinacją piekarza, któremu przed drzwiami ustawiła się kolejka głodnych ludzi.

- Rodzina to ważna rzecz dla każdego Hiszpana. Śluby, dzieci, rodzinne spotkania... A jednak mój brat wyjechał do kraju swojej żony i tylko mnie powiedział, dlaczego to robi. Jego żona była czarna. Niezupełnie zresztą czarna, bardziej ciemnoczekoladowa, jak melasa na tych ciastkach, które jadłyśmy dwa dni temu. Zawsze kiedy je robię, myślę o mojej bratowej... Mimo tego dużego ślubu

i wielu gości, którzy przyszl po gratulować młodej parze, ona nie-dobrze się czuła. Mówiła, że patrzą na nią krzywo i mówią o niej złe rzeczy za plecami.

- I mówią... niej złe rzeczy? - pyta Anica, skuszona potoczystością opowieści.

- Może i mówili - odpowiada pogodnie Gospodyni. - Ludzie robią różne rzeczy, Anico, czasami są nawet niesprawiedliwi, ale taka już jest ludzka natura... W każdym z nas jest trochę złego i trochę dobrego.

Dziewczyna posyła jej kolejne pochmurne spojrzenie, przyjęte z uśmiechem, który jest pieczęcią zrozumienia Gospodyni. Pewnie nikt poza nią nie zwróciłby uwagi na tę chmurność, nie odróżniłby protestu od ciekawości; nikt poza Gospodynią, wprawioną w rozmowach ze zwierzętami, czulszą od innych na mowę oczu, kącików warg i oszczędną pantomimę kończyn.

- Nie musieli wyjeżdżać, mogli zostać wśród swoich. Tak mówili mój ojciec i moja matka, zwłaszcza matka prosiła, aby zostali, chociaż pewnie nieszczególnie cieszyła się na czekoladowego wnuka. Ale prosiła ze szczerego serca i obiecywała, że będzie im pomagać. Mama by im pomagała. Nauczyłaby bratową sprzątać i gotować...

- J a k pani? Ciebie nauczyć?

- Tak! - potwierdza Gospodyni porwana nową falą całkiem wesołego śmiechu. - Nauczyła i wkładała w to dużo pracy, bo byłam jedyną córką. Na początku nic mi nie wychodziło i matka załamywała nade mną ręce. Wcale nie chciało mi się spędzać dużo czasu w kuchni, bo kiedyś wolałam książki i chciałam się uczyć. Bardzo interesowały mnie obce języki i... Ojciec też miał dla mnie swoje plany, zwłaszcza odkąd bracia odeszli z domu. Dopiero kiedy pojawił się Mateo, tata mi odpuścił.

Wiedzieliśmy, że pochodzi ze starej i zamożnej rodziny. Miała rodziców i rodzeństwo, wyszła za mąż z miłości. Szczerze kochała matkę, braci oraz bratowe, jednak tak naprawdę w jej życiu istnieli tylko dwaj mężczyźni: ojciec i mąż.

Pierwszy był siwy, dostoyny i mądry, drugi nieco postrzelony i mocno w niej zakochany. Kiedy zasiadali do stołu w dużym salonie

jej rodziców, komponowali się w nader zgodną czwórkę: dobrzy rodzice z udaną córką oraz jej narzeczony, nowy potencjał rodzinnej miłości. Pełen uczuć dla niej i gotów pokochać jej bliskich. Zapowiadał się na idealne dopełnienie obrazu rodziny, która wyrażona symbolicznie powinna przypominać drzewo, jednak nie jakieś zwyczajne, z wypalonych słońcem wysp, ale rosły platan z madryckiego parku, o potężnym pniu i silnych gałęziach osłaniających rozrost nowych, jeszcze drobnolistnych.

Gdyby narysować to drzewo, jej miłość należałoby wyrazić symbolem młodych wypustek na korze. Zakiełkowały, kiedy w jej życiu pojawił się ten mężczyzna. Zapamiętała słowa ojca: „Wszczepiłeś się w rodzinę - powiedział do przyszłego zięcia - pasujesz do nas **1**kochamy cię za to”. Ona cieszyła się przyłączeniem korzeni i czerpaniem z tych samych soków, była prawdziwie szczęśliwa. A raczej chciała być. Byłaby, gdyby nie ta zazdrość, która nagle się pojawiła. Jak niemiły gość, który raz przyjęty, przychodzi w gościnę zbyt regularnie, by można było po prostu wyrzucić go za próg.

W każdą niedzielę składali wizytę jej rodzicom. Stały mechanizm powitań - uradowane twarze w rodzinnym przedpokoju, uściski, i standardowe pytania o zdrowie, miniony tydzień, nastrój i apetyt - napełniał ją ciepłą radością. Było to coś, za czym tęskniła przez siedem długich dni, uzależniona od świadomości, że jest rodzicom niezbędnie potrzebna. Wracała pod ich skrzydła: do mamy w fartuchu narzuconym na niedzielną sukienkę oraz ojca, który siwiał dyskretnie i udawał, że ciągle jest czymś zajęty. Jej narzeczony, a później świeżo upieczony mąż, polubił rodzinne ceremoniały w wąskim gronie. Może nawet za bardzo - gdy na niedzielnym obiedzie pojawiał się czasem któryś z jej braci, w widoczny sposób psuł szwagrowi przyjemność z chwil przeznaczonych dla czworga.

Po powitaniach mężczyźni szli do salonu, natomiast ona z matką do kuchni. Pomagała w wystawianiu talerzy z szafek, siekała pietruszkę, przelewała sos do sosjerki i była dumna z siebie jak zadowolone dziecko, które należycie spełniło obowiązek. I tak przecież było - okazała się dobrą córką, bo znalazła właściwego męża, była dobrą żoną, bo mogła wykazać się odpowiednią rodziną. W przestrzeni

ich harmonijnego czworokąta powinna czuć się bezpiecznie.

Na początku tak właśnie się czuła - była bezpieczna w dekoracjach rodzinnego domu, wśród znajomych dań, wyważonych przypraw, rozsądnie dawkowanego wina oraz rozmów lekkich jak ciepły, wieczorny wiatr nad morzem. Niestety, dialogi te, na początku przyjemnie ogólne, w miarę spożywania potraw rozdzielały się na dwa prądy wymiany zdań w dwuosobowych podgrupach. Mniej więcej w jednej trzeciej posiłku zaczynała odnosić wrażenie, że jest, przynajmniej połowicznie, niepotrzebna. Nagle okazywało się, że rozmawia głównie z matką, nieuważnie mieszając tematy z seriali w minionym tygodniu z ploteczkami z ulicy i biura. Ich tematy były... nigdy nie lubiła tego słowa, jednak nie umiała zastąpić go innym: te tematy były babskie. **1** niezbyt mądre - według opinii ojca, męża oraz duetu ojciec-mąż. Ściszała głos i dialogowała z matką, nad słuchując drugim uchem mądrzejszych rozmów tamtych dwóch. Czasami, gdy matka szła po coś do kuchni, ona specjalnie zostawała z mężczyznami w salonie, oczekując, że ją zauważą i oderwą się od swych poufnych rozmów o firmie, pracownikach, płacach i innych męskich rzeczach. Jednak jej nadzieje zawsze okazywały się płonne, gdyż minuty nieobecności matki były również jej nieobecnością. Lepiej by zrobiła, także wychodząc do kuchni, jednak ona nie potrafiła zdobyć się na żadną manifestację samodzielności. Jej zazdrości nie potrafiłby pojąć nikt z jej rodziny, nawet matka, która dysponowała szerokim doświadczeniem żony zajętego sobą mężczyzny.

Danie główne smakowało jej mniej niż poprzednie, a deser często przetykała razem z łzami, które - na zewnątrz niewidzialne - spływały jej do żołądka wraz z bitą śmietaną, lodami, kompotem lub konfiturą. Aby nie objawiły się publicznie, odmawiała alkoholu, serwowanego do kawy pod postacią koniaku, likieru albo portwajnu, chwalona przez matkę, która kojarzyła abstynencję z prawdziwą kobiecością. Matka jako jedyna zauważyła, że jej córka najbardziej lubi zupy. Po spędzonym wspólnie niedzielnym popołudniu żegnała ją słowami: „Pamiętaj, dziecko, nie zapomnij powiedzieć mi w piątek przez telefon, jaką zupę mam ci przygotować”.

Anica odrywa wzrok od wymuskanej tyraliery garnków na kuchennej półce i szeroko otwiera swoje do niedawna kompletnie obojętne oczy:

- Pani ojciec cię nie kochać? Kochać Mateo więcej?

Od lat wyzwolona z ówczesnej dziecinady Gospodyni spokojnie kręci głową:

- Nie, na pewno nie. Byłam jego jedyną córką i oczkiem w głowie. Myślę, że pokochał Mateo także dlatego, że to ja czułam się z nim szczęśliwa. I za to, że się mną opiekował.

- Dobrze to przecież - mówi z zastanowieniem Anica. - Czy nie?

- Pewnie, że dobrze, dziecko - potwierdza stanowczo Gospodyni. - Wszyscy byli zadowoleni: moi rodzice, Mateo, ja też byłam zadowolona, tylko zdarzały mi się te głupie chwile. Wówczas myślałam, że lepiej byłoby być synem, bo wtedy ojciec tylko ze mną by rozmawiał. Albo żebym to ja gotowała obiady w niedzielę, aby Mateo... Ale nikt się o tym nigdy nie dowiedział. Nigdy nie popsułam nikomu niedzieli. Ani jednego rodzinnego posiłku.

Problemy w rodzinie zaczęły się wtedy, kiedy okazało się, że żaden z braci nie przejmie firmy po ojcu. Ona, jego jedyna córka, nie mogła nie zauważyć, jak bardzo go to dotknęło. Oczywiście, nie rozmawiał o tym ani z nią, ani z matką, natomiast jego dotychczas beztrioskie pogawędki z zięciem przy stole przyjęły inny, nowy ton. Matka, która gubiła się w domysłach, powiedziała jej kiedyś, że ojciec zachowuje się tak, jakby testował zięcia na ewentualnego następcę. Tak naprawdę oczekiwała dokładniejszych wyjaśnień od córki, asystentki i tłumaczki w firmie... Jednak ona nie potrafiła niczego wytłumaczyć, gdyż męczyły ją własne problemy.

Mąż, nie ojciec, stał się przedmiotem jej bolesnej troski. Ten sam mężczyzna, który po pierwszych latach radosnego uczestniczenia w rodzinie - tej mniejszej, dwuosobowej i drugiej, powiększonej o rodziców i żonatych braci - zaczął wycofywać się w siebie. Zaniedbywał ją i, jakby nie dosyć było jednego zmartwienia, mniej chętnie chodził do pracy. Usłyszała w firmie, że nie pracuje już tak, jak

wcześniej; zdaniem zwykłych pracowników ignorował drobniejsze obowiązki z powodu przygotowań do objęcia stanowiska wiceszefa. Zmartwiła się i trochę przestraszyła pogłoskami, które docierały do ojca z podwójną siłą: z jednej strony - przynosiły zwątpienie w solidność zięcia, z drugiej - złość na celowe obniżenie wydajności w celu wywarcia nacisku.

Temperatura niedzielnych obiadów opadła i - jak w podobnych przypadkach bywa - to kobiety najbardziej się wszystkim martwiły. Matka zaczęła otwarcie wypytywać o plany dotyczące potomstwa, na co ona, wstydząc się prawdziwej przyczyny, wykręcała się niepewnymi żartami. „Dzieci pojawiają się na świecie, kiedy przychodzi im na to ochota” - mówiła, niezgrabnie kamuflując brak ochoty kogoś zupełnie innego.

- Mój mąż, Mateo, twierdził, że na dzieci musi przyjść właściwa pora - mówi Gospodyni, nakładając na usta dzielny uśmiech. - A ja, patrząc na jego przygnębienie, nie wiedziałam, co byłoby lepsze.

Anica rozgląda się po domu, pustym, zbyt wielkim na nie dwie, a nawet trzy, z obcym dzieckiem, które byłoby szczęśliwsze, gdyby kiedyś dane mu było tu się urodzić.

- Lepsze nie mieć dzieci? - pyta odważnie.

- Wiesz, Anico, na dwoje babka wróżyła - waha się Gospodyni. - Mogło być tak, że dziecko przywróciłoby mu radość życia, ale też i całkiem odwrotnie, a wtedy moje dziecko miałoby ponurego ojca. Nie chciałam, żeby dziecko bało się swojego taty, bo to najgorsza rzecz na świecie. Dobrze wiem, najgorsza. Chciałam mu wierzyć, kiedy mówił, że nadejdzie lepszy czas. Postanowiłam poczekać, aż on znowu stanie się moim wesołym Mateo.

- Był wesoły. jak dostał firma? - pyta naiwnie Anica i przez chwilę wydaje się nawet, że odrobinę się uśmiecha, jak zwyczajna nastolatka oglądająca film, który zmierza w stronę happy endu.

- Nie... - odpowiada Gospodyni trochę zawstydzona, jakby żałowała, że psuje jej dobry nastrój. - Nikt z nas nie był wesoły. Ojciec miał wylew krwi do mózgu i ledwo z tego wyszedł. To znaczy, był bardzo chory, rozumiesz? Sparaliżowało mu połowę twarzy, nie mógł mówić i ledwo się ruszał...

- Ale dosta! firma? - upiera się Anica. - Mateo, dostał, mąż?
- Dostał, dostał, ale nie tak, jak chciał... I wcale nie był z tego powodu wesoły.

- Niewesoły?

- Nie... On... czuł się jeszcze gorzej.

I znowu zaczyna mówić inaczej, używając trudnych słów, ignorując wąski słownik swej młodej rozmówczyni. Mówi, jakby opowiadała coś wyłącznie samej sobie:

- I wtedy zaczęłam myśleć, że jest słaby. Skarżył się, że nie otrzymał nominacji oficjalnie, z ust ojca. Że wszystko jest jakby z łaski, a przecież to nie była prawda. Trzymaliśmy się razem, silniej niż kiedykolwiek, byliśmy dobrą rodziną i on był traktowany na równi z moimi braćmi. W końcu zrozumiałam, że tak naprawdę odpowiadała mu jedynie rola najlepszego syna, z funkcjami prawej ręki szefa, jednak bez jego obowiązków. Wcale nie chciał przejmować obowiązków. Żadnych obowiązków...

Nie było oficjalnej nominacji, aktu woli właściciela. Niczego w rodzaju testamentu... Komunikacja z chorym była niemal niemożliwa; próbowały jej obydwie wraz matką, usiłowali dowiedzieć się czegoś synowie, jednak bez rezultatu, wywołując tylko rozdrażnienie starego człowieka, z którego choroba uczyniła bezradne dziecko. Zdarzało się, że łzy płynęły mu z oczu, kiedy próbował coś zakomunikować i nikt go nie rozumiał; widzieli, że gdyby mógł, tupałby nogami ze złości. Jego postawna sylwetka zmalała do rozmiarów fotela na kółkach, a drżąca głowa o wykrzywionej w bezradnym grymasie twarzy utraciła wszelkie cechy wyniosłości.

Zdecydowali więc za niego, że jej mąż zostanie naczelnym dyrektorem firmy. Dwaj bracia zgodzili się chętnie, zadowoleni z uwolnienia od obowiązków. Nie rościli pretensji do wysokich udziałów, przywoici w stosunku do matki i, jakby nie było, nadal żyjącego ojca. Oficjalnie obowiązywała wersja sytuacji tymczasowej, jakby ojciec kiedykolwiek mógł podnieść się z fotela i wziąć rodzinne sprawy w swoje ręce. Natomiast ona... Uchwyciła się nadziei i próbowała się cieszyć. Mimo głębokiego smutku z powodu choroby ojca podsyciła w sobie nadzieję, że jej mąż zmobilizuje się

wobec wyzwania i z nowymi siłami wszystkiemu sprostaa. Jednak tak się nie stało.

Kiedy w końcu - pewnej nocy, podczas której obydwie spokojnie spały, ona przytulona do pleców swego odwróconego do ściany mężczyzny, a zmęczona matka w opustoszałej, małżeńskiej sypialni - ojciec zmarł cicho w szpitalu, zjednoczona w bólu rodzina solidarnie stanęła przed niechcianym wyborem. Po kilku spotkaniach, w których ona nie miała siły prawdziwie uczestniczyć, bracia i matka ustalili, że jej mąż zostanie oficjalnym prezesem firmy. Dla ułatwienia przepisano ją jednak na jej nazwisko, czym ani się szczególnie nie przejęła, ani też nie ucieszyła. Miała inne zmartwienia: wyrzucała sobie brak zaufania do swojego mężczyzny, ona, jego żona, która powinna wierzyć w niego mocniej niż powierzający mu rodzinny interes bracia. Oni rzeczywiście, podobnie jak matka, nie wątpili ani w jego uczciwość, ani w zaangażowanie. Nikt nie zauważył, jak mało ucieszył się nominacją... Nikt, prócz niej. Nie dał nikomu powodu do podejrzeń, kiedy podziękował za zaufanie krótką przemową, w niegroźnym zakłopotaniu muskając dłońią zakręcone ku górze wąsy.

Tylko ona jedna, w chwili największej troski nieodwołalnie samotna, zaniedbana nawet przez ostateczną instancję - swą pogrążoną w żałobie matkę, potrafiła odczytać jego prawdziwe myśli. Widziała - i wtedy, gdy patrzyła mu prosto w twarz, i kiedy obserwowała go ukradkiem-jego zwątpienie i załążki bezradnej złości. Nie posiadając żadnej recepty na ich poskromienie, uciekała w proste myślenie, które zazwyczaj pomagało jej na niejasne kłopoty: „Jakoś to będzie - powtarzała, gotując zupę na obiad, zwłaszcza przed niedzielą, w którą przychodziła w odwiedziny skulona w sobie i pomniejszona przez czerń matka. - Jakoś to będzie i wszystko się ułoży”.

24.

Każdy, kto widział ją wieczorem na plaży, o zmroku, który dla zwykłych ludzi był sygnałem do zgromadzenia się przy stole na odmówienie modlitwy i spożycie posiłku, opowiadał o tym innym. Była tajemnicą, więc omawianie szczegółów dotyczących jej życia pasjonowało nas bardziej niż byle jakie wiadomości z kontynentu. Podczas takich rozmów zdarzało się, że kilka osób przyznawało się do widzenia jej w tym samym czasie i w tym samym miejscu. Spieraliśmy się wtedy hałaśliwie, jednak nie z chęci wyjaśnienia niejasności, ale z samej radości, którą daje rozplątywanie zagadki. Przecież nie mogła być i tu, i tu jednocześnie... Nie dawaliśmy sobie rady z porównywaniem czasu, gdyż opanowanie jego reguł nie było cnotą na wyspie hołubiącej ludzi często nie znających daty swego urodzenia. Nie mieliśmy nawet zwyczaju rzetelnego liczenia godzin dni i nocy.

A to, że widzieliśmy ją podwójną i potrójną? Nasza wyspa była tylko ograniczonym kawałkiem przestrzeni, który tak łatwo było przemierzyć... Czy rzeczywiście trudno było zobaczyć kogoś na jednym i na drugim brzegu? Nasz wiatr, który potrafił płącać figle, prznosił głosy na duże odległości albo zawijał je w powietrzne trąby... Lubił też jak dziecko bawić się piaskiem i składał z jego ziaren widziadła, które - mimo że nie istniały dłużej od silniejszego powiewu - potrafiły zmylić najstarszych wyspiarzy! Jedni widzieli w nich upominających się o swe prawa dawnych panów wyspy, inni odkopujących ukryte skarby piratów, jeszcze inni swoich dawno zmarłych przodków. Czyż na ich tle jedna błędząca po plaży kobieta mogła być czymś naprawdę szczególnym?

Poza tym nie mieliśmy nic przeciwko temu, by uwodziły nas podobne zwidy. Wszak były materiałem na nasze opowieści, naszym

kinem, naszą kostiumową mydlaną operą. A ona znakomicie do nich pasowała - piękna i nieosiągalna, tajemnicza i nieobliczalna... Jak my obywatela się bez klepsydry, jak my posiadała własny rytm: księżycowy albo morski. Wieczorami należało szukać jej na plaży, na którą wywabiało ją z domu światło morskiej latarni. Nocami nie pojawiała się w żadnym z miejsc, w które udawali się zwyczajni mieszkańcy wyspy; wiadomo było, że unika miejsc publicznych i nikogo nie odwiedza. Zostawała w domu gasnącym na czas nocy, gdzie jedynie słabowity promień świecy migał lekko w którymś z okien, jakby duchy bawiły się w przestawianie kandelabrow. Ale co naprawdę robiła tam aż do świtu, sama lub debatująca ze swymi domowymi widmami, tego nie wiedział żaden z nas.

Od domu dzielił je już tylko ostatni odcinek plaży. Nie dalej, jak za kilka lub kilkanaście uderzeń fali powinny zobaczyć jego dach i małe okienko wychodzące na morze, jak latarnia morska oświetlone stałym światłem. Jednak ani jedna, ani druga nie śpieszyły się do tego widoku podczas spaceru, który zdarzał im się tak rzadko, że mogłyby wyliczyć każdy wspólnie odbyty w czasie trwania ich wieloletniej przyjaźni.

- A potem przychodzi moment, kiedy - chcąc nie chcąc - musimy pogodzić się z tym, że ludzie, których uważaliśmy za mądrych i posiadających dar rozumienia, wcale takimi nie są - powiedziała Nauczycielka.

Lubiąca rozważania przyjaciółki dyrektorka Domu Schronienia uśmiechnęła się wyrozumiale:

- Odkrycie na miarę utraty miłości do zabytkowego obrazu?

- Właśnie. Był od pokoleń w twojej rodzinie, a ty przyzwyczaiłaś się myśleć, że jest cenny. Jeżeli nawet jego wartość nigdy nie została potwierdzona certyfikatem, a on sam niezupełnie ci się podobał, lubiłaś uważać się za posiadaczkę cennego obrazu.

- Nigdy nie posiadałam cennych przedmiotów. Niestety.

- Wiara w mądrość i dobroć otoczenia jest groźną rzeczą - Nauczycielka zatrzymała się w miejscu, setny, może tysięczny raz podczas wieczornej przechadzki. - Chcemy mieć takiego ojca, matkę, braci, zmarłych dziadków. Oczekujemy tego od męża i najbliższej

przyjaciółki, od ludzi, którym po pojawieniu się w naszym życiu ofiarujemy emocjonalny kredyt zaufania. A potem, kiedy ten kredyt zgrywa się punkt po punkcie, wcale nie chcemy tego zaakceptować. Walczymy o iluzję, gdyż potrzebujemy ich mądrości, wszystkiego, co wiedzą lepiej czy inaczej od nas.

- Potrzebujemy także ich obecności...

- Bardzo. Kiedy znikną, zniknie część nas: nie można istnieć bez ojca i matki, a tracąc męża, kobieta staje się tylko połową osoby. Pozbawieni przyjaciół stajemy się niewiele warci.

Dyrektorka, masywniejsza i stawiająca długie, prawie męskie kroki, patrzyła wprost przed siebie, ponad plażą, której nie zakłócały żadne punkty orientacyjne, nic, co pozwalałoby odróżnić jeden jej fragment od drugiego.

- Kiedy to się w końcu wydarza - ciągnęła Nauczycielka - wydarza właśnie tobie, i to wcale nie dlatego, że masz jakiegoś wyjątkowego pecha, ale ponieważ zbyt dokładnie wszystkiemu się przyglądałaś, twoi bliscy stają przed tobą nadzy, z ogromem niedoskonałości i pomylek, brzydki, a przede wszystkim głupi.

- I zostajesz sama ze swoją mądrością.

- O której doskonale wiesz, że nie jest żadną obiektywną mądrością, nie polega ani na wiedzy, ani na doświadczeniu, jednak jest jedyną znaną ci mądrością, jedynym miernikiem poruszania się po świecie.

- Ostatnią porcją sucharów na pustyni.

Nauczycielka znowu idzie po piasku tak lekko, jakby wcale go nie czuła.

- J u ż nikt cię w niczym nie wyręczy. Z twoją niewystarczającą mądrością żyje ci się ciężiej niż z wcześniejszym poleganiem na mądrości innych - na czerpaniu ze wspólnego worka, na podziałach i wymianie. Jesteś zdana na jednoosobowość twojej mądrości, która uwiera cię jak gorset.

- J e d n a k mądrość, jeśli naprawdę nią jest, musi być reformowalna.

- A l e nie jest. Jest natomiast destrukcyjna i ciężka od samotności.

- Ty jesteś samotna, Tina? Kiedy masz na to czas?

- Nie wiem, nie potrafię tego policzyć - śmieje się Nauczycielka.

- Nie wiem, jakich godzin i jakiego czasu to dotyczy. To wszystko przypomina intensywny sen, z którego wprawdzie zapamiętuję obrazy, jednak nie potrafię o nich opowiedzieć. Jednak odpowiadając na twoje pytanie: tak, czuję, że jestem samotna.

- Ale przecież nigdy nie jesteś sama! Zajmujesz się tyloma ludźmi, wciąż jesteś w biegu... W twoim domu zawsze ktoś z tobą mieszka.

- Mimo to jestem samotna.

- Ktoś, kto bez przerwy jest zajęty innymi, nie może być samotny, Tina. Nie wierzę ci.

- Przecież nie musisz.

Dyrektorka Domu Schronienia odwołuje się do ostatecznego argumentu:

- A ja? Co ze mną, Tina? Przecież chyba... trochę psuję ci tę twoją samotność.

Mijały grupkę kitesurferów, którzy o tej porze dnia rezygnowali już z ujeżdżania fal i zbierali żagle, porzucone przez osłabiony wiatrem.

- Ty jesteś dla mnie za dobra. Za cierpliwa. - Nauczycielka wzdęła wzrokiem po płataninie lin, przywracanych do porządku przez młodych mężczyzn w neoprenach. - Wcale nie zasługuję na taką przyjaciółkę. Powinnaś traktować mnie tak, jak inni.

- Przecież nikt cię źle nie traktuje...

- Właściwie nie. Prócz miejscowych ludzi, którzy nazywają mnie wariatką, zamiejscowych, którym psuję interesy, prócz... Powinnaś była widzieć wczoraj przyjazną twarz właściciela delfinarium, który ze względu na mnie pofatygował się ze skargą do burmistrza.

Dyrektorka zaspiera się; nie chce urazić przyjaciółki zarzutami uproszczenia, wytykać nieznamość szczegółów.

- Czasami naprawdę niepotrzebnie ich rozdrażniasz - mówi cicho. - Walczysz o wszystko, świetnie wiedząc, że świat nigdy nie zrezygnuje z delfinariów, ogrodów zoologicznych, gonitw psów czy trzymania ich na łańcuchu.

- W pełnym słońcu bez wody.

- Nie zrezygnuje też z corridy i z prostytutce - powtarza uparcie dyrektorka Domu Schronienia. - A ty o tym wiesz. Walczysz o coś dla samej walki. Bez wiary. Nawet ta dziewczyna, którą wzięłaś do siebie. Nawet jeśli chodzi o nią, Tina, także brakuje ci nadziei.

Obydwie kobiety stoją przed wejściem do domu Nauczycielki, mimo że dochodząc do niego, zwalniały kroku, jakby specjalnie chciały dotrzeć tu z opóźnieniem.

- Dlaczego uważasz, że jej los jest przesądzony? - pyta dyrektorka, opierając się o zamkniętą furtkę. - Po co przyjechałaś do siebie, skoro nie wierzysz w możliwość jej nowego życia?

Powinnością Nauczycielki byłoby zaproszenie gościa do środka.

- Może powinna była znaleźć się u kogoś innego, kogoś, kto wierzy w cudowne przemiany - mówi zamyślona.

- Nikt inny jej nie chciał. Jej i związanego z nią niebezpieczeństwa. Powiedz... Ty naprawdę sądzisz, że ona do tego wróci?

Odpowiada jej milczenie. Słońce zachodzi powoli, sprawiając, że piasek plaży ciemnieje, a jasne włosy Nauczycielki oklejają się złotawoczerwoną aureolą. Powietrze staje się cięższe i niechętnie przepuszcza dźwięki, także przenikliwie skrzypienie furtki, którą otwiera Nauczycielka zwolnionym, okrągłym ruchem ramienia, jakby zaproszona do tańca kładła dłoń na ramieniu partnera. Jest już zwrócona twarzą ku oświetlonemu okienku pod dachem, jej plecy są jedną prostą linią, a ona sama nagle wydaje się wyższa. Ucieka wzrokiem od spojrzenia przyjaciółki, która śledzi metamorfozę jej oczu, z zielonego koloru bleknących w szarość, jakby zachodzące słońce odebrało im smugę koloru.

- Ta dziewczyna? - pyta.

Dyrektorka, ciągle czująca wewnętrzny sprzeciw w chwilach zmian nastroju przyjaciółki, pozostaje na miejscu, pokazując, że nie wprasza się na siłę.

- Czy myślisz o niej, że do tego wróci? - powtarza pytanie.

- Ona jest... - zaczyna wyjaśniać jasnowłosa właścicielka domu ściszym, powolnym głosem, jakby chciała chronić czyjeś delikatne

uszy przed tym, co zamierza powiedzieć. - Ona ma w sobie pewną wulgarność, prostactwo nawet... Jej środowisko...

- Tina! - oburza się dyrektorka, która w podobny sposób nie mówiła o żadnej ze swoich podopiecznych, także tych z najgorszą przeszłością.

- Nie wiem, kim była wcześniej i nie wiem, czym zasłużyła sobie na swój los. Czy zrzucił go przypadek, nieszczęście, czy też ona sama, swoją postawą, swoją nieokreśloną aurą pierwotnej, prawie zwierzęcej zmysłowości...

- Tina, co ty pleciesz?!

Dyrektorka zapomina o ochocie na kawę przy drewnianym, gościnnym stole, przestaje jej przeszkadzać piasek, wypełniający sportowe buty, które obiecywała sobie ściągnąć i wytrześć na progu domu, strzeżonego przez przyjazne psy. Stojąc w bezruchu, przygląda się przyjaciółce, która niespiesznie zamyka za sobą furtkę tak, jakby była całkiem sama i mimo, że nadal się uśmiecha i nie przestaje mówić, naprawdę zwraca się tylko do siebie.

- J e j strój... sposób chodzenia, butnego patrzenia w oczy. To prowokuje mężczyzn, wiem o tym, słyszałam wielokrotnie...

Dyrektorka kręci głową z niedowierzaniem, które zastępuje fala smutku, pokrywająca się w rytmie z pożegnalnymi uderzeniami morza. Nie jest szczególnie zdziwiona, urażona ani nawet rozczarowana. Stoi za zamkniętą przed nosem furtką przez długie minuty, podczas których szczupła, wyprostowana kobieta mija uradowane jej widokiem zwierzęta, jakby były zaledwie wprawionymi w ruch cieniami dawnych wspomnień, i otwiera drzwi swego domu. Chwilę później, rozmawiając sama ze sobą, znika w jego wnętrzu, dokąd podąża za nią płowy, jak jej włosy, pies. Dyrektorka zostaje sama.

- Do widzenia, kochana - mówi cicho.

Ciężko jest być raz przyjacielem, raz tłem, a raz zupełnie nikim. Szary smutek sznuruje jej gardło; niewpuszczonej do domu nie pozostaje nic innego, jak tylko się pożegnać. Jej słowa zagłuszają ptaki, które o tej porze dnia wykonują ostatnią, hałaśliwą rundę honorową przed zachodzącym słońcem.

- Życzę ci spokojnej nocy.

Ptaki krzyczą głośno i wkładają wszystkie siły w podniebny spektakl, szaleją w paradach i kaskaderskich popisach, jakby ich żarliwość mogła zatrzymać słońce albo przynajmniej przekonać je do szybkiego powrotu.

Osamotniona dyrektorka pozostaje na miejscu jako jedyny widz ptasiego przedstawienia. Jest wierniejsza od nieubłagane odchodzącego słońca i współczuje tym, które nie dożyją następnego dnia. W przeciwieństwie do swej kapryśnej przyjaciółki, urodziła się na wyspie, tak jak przed nią jej matka i matka jej matki. Była jeszcze dzieckiem, kiedy babka wytłumaczyła jej cykl i rytmy wyspy: „Ptaki umierają z żalu za słońcem, *hija*. Ptaki, inaczej niż ludzie, nie wiedzą, że słońce tylko chowa się za morzem i następnego dnia powraca. Każdego wieczoru myślą, że tracą je na dobre. Jednak dla tych, którym uda się przeżyć do rana, świt jest cudem”.

25.

Czuła się okropnie w drewnianym, specjalnie dla niej wystawionym za próg fotelu i nawet towarzystwo kompletu domowego zwierzyńca nie mogło poprawić jej humoru. Bezruch i brak zajęcia były jej obce i sprawiały, że czuła się uwięziona nie tylko na kilkudziesięciu centymetrach kwadratowych niewygodnego w gruncie rzeczy mebla, ale także w całej przestrzeni swego niewielkiego ciała. Teoretycznie mogła wstać i zająć się spacerowaniem po ogrodzie albo nawet złapać ogrodową miotłę, gdyż zamiecenie tarasu nie mogło być jakimś szczególnie groźnym świętokradztwem, nawet wobec dziewczyny, która pierwszy raz zapragnęła zrobić coś z własnej woli.

Jednak nie ruszała się z fotela, choć był twardy i doprowadzał do drętwienia jej nieprzyzwyczajone do długiego siedzenia plecy i pośladki; poruszała niespokojnie stopami, tak, że ktoś obserwujący ją z ukrycia mógłby pomyśleć, że ćwiczy na sucho kroki jakiegoś skomplikowanego tańca. Milczała, zajęta prostowaniem pleców i trzymaniem w ryzach własnej cierpliwości, zrezygnowawszy nawet z zagadywania psów obserwujących jej dziwne zachowanie i podobnie jak ona zaniepokojonych sytuacją.

Jedynie jej koty, przez naturę obdarowane skutecznymi przetrwalnikami spokoju, stoicko wygrzewały się na słońcu.

Tak więc po jej domu krzątała się obca dziewczyna... Zamiast mężczyzny, którego życzyły jej wszystkie doświadczone kobiety na wyspie. Trzeba było słyszeć ich rozmowy! „Powinna sobie wziąć chłopca - mówiły - zaraz by się jej lepiej zrobiło, zaraz by się uspokoiła”. A inne śmiały się i powtarzały zdanie swoich mężów: „Ale nie takiego, co by się jej bał!”

Pewnie i znalazłby się taki, który wcale by się jej nie bał. Na naszej wyspie mężczyźni generalnie nie mieli zwyczaju bać się kobiet, a liczenie się ze zdaniem niewiasty ciągle jeszcze należało do cudzoziemskich ekstrawagancji... Jednak czy rzeczywiście istniał taki, którego ona zaakceptowałaby w swoim domu? Podejrzewaliśmy, że jej ideał faceta musiałby przypominać filmowego bohatera, takiego, co uchyla drzwi, podaje śniadanie do łóżka, przynosi szal, kiedy wiatr na tarasie staje się zbyt natarczywy... Albo nawet - znaliśmy to z filmów - gotuje dla kobiety jak uwodzicielski bohater w fartuchu narzuconym na garnitur i robi wszystko to, co wyczynia dla niej czasami ta obca dziewczyna: wystawia fotel przed dom, usługuje, nie pozwala sobie pomóc. Stuprocentowy mężczyzna, który oprócz posiadania wielu talentów potrafi też gotować, zna się na kombinacjach ziół i rocznikach wina... Na pewno marzyła o kimś takim. o facecie, którym nie był jej mąż.

Jej mąż nie zdobywał się na żadne akty poświęcenia, a już na pewno nie na polu kulinarnym. Nie mieszał się, jak sam to kiedyś określił, do jej kuchennego królestwa i za wystarczającą grzeczność uważał niechętnie towarzyszenie jej na tym rozgrzanym słońcem tarasie po wspólnym posiłku, do którego nie przyłożył swego męskiego palca... A ona - sądząc po tym, jak bardzo cieszyła się z drobnych usług swojej podopiecznej - byłaby wystarczająco szczęśliwa, gdyby doceniał wspólnie przeżyta przyjemność. Gdyby po prostu pogodnie jej podziękował, wypił z nią kawę, spokojną, bez dodatku podwyższonego ciśnienia, niepokoju i smutku. Nic oprócz cukru i śmietanki.

Tamta debiutująca w roli gospodyni i przejmująca jej obowiązki dziewczyna musiała prowokować w niej wspomnienia. Przypominać dawną samotność u boku niewdzięcznego męża, rozpamiętywać to, co mogło się lepiej ułożyć. Wiedzieliśmy, że jej nie najlepsza pamięć o nim jeszcze się nie ulotniła i przypomina pobołowanie żołądka po nieswieżym posiłku, które odporne jest na większość domowych zabiegów.

Wiedzieliśmy również, że wołałaby móc wspominać go inaczej: jego gładki obraz najchętniej schowałaby w bieliźniarce jak obrus

ze szlachetnego płótna, złożony po wykrochmaleniu, przełożony lawendą i przy dobrej pogodzie wietrzony.

Głos Anicy brzmiał tak radośnie, że Gospodyni musiała się uśmiechnąć:

- Pani, obiad!

Zadowolona z siebie dziewczyna stała przed nią na progu. Pomimo dokarmiania, za które, choć milcząco, potrafiła okazywać wdzięczność, jej sylwetka niewiele się zmieniła. Kilka dodatkowych kilogramów zbyt równo rozłożyło się pod jej obszernym, gładko wyprasowanym T-shirtem i džinsami, aby można było dostrzec je gołym okiem. Nawet twarz, choć odrobinę mniej błada i o kilka tonów ruchliwsza niż po przybyciu do domu na wyspie, nadal pozostawała płaska i ostra w kształcie, co dodatkowo podkreślał raster niemrawo gojących się pryszczu.

- Gotowy obiad jest - oznajmiła z nieukrywaną dumą. - Nakryty do talerzy.

- Do stołu - poprawiła machinalnie Gospodyni, z ulgą podnosząc się z niewygodnego krzesła. - Już się cieszę. Czy pamiętałaś też może o zwierzakach?

- Dla zwierzakach jest kurczak od zupa. Ja ugotowana zupa. I kluski do zupa.

- To wspaniale, Anico! Już czuję, jak pachnie...

- I... - na twarzy dziewczyny wykwitło coś, co do złudzenia przypominało zadowolony uśmiech - zrobiona deser od mój Rumunia. Gotowany owoc do cukier. Dobry deser smakuje.

Gospodyni, choć stała już na progu domu, odwróciła się gwałtownie i, wiedzona odruchem serca, przycisnęła Anicę do siebie.

- Kochana jesteś, wiesz?

Spojrzała w twarz zeszywniałej z zaskoczenia dziewczyny.

- Kochana jesteś - powtórzyła. - Tak dawno nikt nie zaprosił mnie do stołu.

Opuściła ręce, zakłopotana sobą i reakcją Anicy, która znieruchomiła, jakby jej dotyk ją poraził.

- Dobry deser smakuje - wolno powtórzyła ogłupiała dziewczyna.

Ten jej facet był daleko nawet wtedy, gdy z nią rozmawiał. Niechętny wszelkim jej staraniom, jak kolczastym drutem odgrodził ją od siebie tak, że ostatecznie pogubiła się w zakresach spraw wpędzających go w stan rozpaczliwej melancholii, która pojawiła się w ich życiu po opuszczeniu Hiszpanii. Osiedlili się na naszej wyspie, gdzie wyrwała go z poprzedniej egzystencji jak ratownik wciągający do szalupy wycieńczonego pływaka, który pracuje jeszcze ramionami, jednak dawno pogubił się zarówno w dystansie, jak i kierunku pływackiego maratonu. A przecież musiała liczyć na jego wdzięczność za tę wyspę, za słoneczne miejsce przed domem, za śpiew ptaków i mamrotanie morza, wszystkie te rzeczy, które wcześniej określał podobno jako swe najjaśniejsze marzenia. Jednak nic się nie spełniło: to, co mu ofiarowała, potraktował jak przeterminowany prezent o wartości nie odpowiadającej oczekiwaniom. Niemal na naszych oczach marzenia obojga rozprysły się tak, jakby nigdy nie istniały.

Ich pierwszy posiłek na wyspie był uroczystym obiadem na tarasie, z wymyślną zupą, przystawkami i najlepszym, przywiezionym z Madrytu winem, natomiast ostatni zapakowanym w pergamin sandwiczem, który wcisnęła mu do ręki wraz z butelką zimnego piwa. Nigdy nie dowiedziała się, który z tych dni zapisał się w jego pamięci jako ostateczne pokwitowanie niespełnialności marzeń. Nigdy też nie uzyskała odpowiedzi na pytanie, o ile dni za długo nakrywała dla niego stół i wystawiała fotel na taras, ile zbędnych kieliszków wina dla niego napełniła i o ile za dużo zmyła po nim talerzy, które opróżniał niechętnie, jakby karmiła go trucizną.

Stół wyglądał tak, jak każdego innego dnia, gdy wspólnie gospodarzyły w kuchni; nie określał go żaden znak szczególny Anicy, kulinarny podpis na potwierdzenie, że jest czymś wyjątkowym. Nie był cezurą ani też przytupnięciem na cześć ukończonego kursu gotowania czy machnięciem ręki oznaczającym „Teraz ja!”. Dziewczyna przygotowała go na sposób podpatrzony i doceniony u Gospodyni, oddając cześć łagodności jej obyczajów dotyczących karmienia ludzi i zwierząt. Jedyne, co od innych posiłków odróżniało ten podany na kraciastej, spranej serwecie obiad, była jego skromność: składał

się zaledwie z dwóch oszczędnych dań, które jednak kosztowały Anicę tyle czasu i wysiłku, że przegrywał z nimi najwystawniejszy bankiet z okazji urodzin nieobecnego męża.

- Powie pani koniec o Mateo mąż - zażądała Anica, jakby niewyszukany deser w postaci moreli zalanych roztopionym cukrem, jak na podniebienie Gospodyni o wiele za słodkich, upoważniał ją do podobnych rewanzów.

Jej siermiężną kategoryczność łagodził uśmiech, podobny do tego, którym zaprosiła Gospodynię do stołu. Był nawet nieco szerszy, jakby urosł na drożdżach zadowolenia z własnoręcznie stworzonego posiłku oraz odważnych zdań w nowym języku.

- On był szef firma. Fabriczka rodzina - poddała Anica, przypominając miejsce przerwania opowieści. - I co będzie potem?

Gospodyni otarła usta papierową serwetką z rolki.

- Potem był z tego niezadowolony, chociaż nie chciał się przyznać - odpowiedziała powoli. - Nawet przed sobą, nie wspominając już o mnie.

Siedziała wyprostowana na drewnianym krześle, nieco sztywna, jak gość w drogiej restauracji. I tak też się czuła, nieprzyzwyczajona do obsługi i spięta, trochę wzruszona. Jedzenie Anicy okazało się smaczne, nawet jeżeli ktoś bardziej doświadczony mocniej przyprawiłby zupę albo nieco wcześniej odcedził kluski, ratując je przed rozgotowaniem. Były to jednak drobiazgi, niegroźny minus do ogólnie dobrej oceny, którą Gospodyni wystawiłaby bez protekcji.

- Dlaczego niezadowolony?

- On już taki był, Anico - powiedziała niepewnie Gospodyni, gość we własnej kuchni. - Nie panował nad swoimi nastrojami i sam nie był z nimi szczęśliwy. Zdarzają się tacy ludzie, którym do szczęścia brakuje więcej niż innym. Głodne duchy.

- Do szczęścia brakuje.

- Tak... Jemu brakowało tego, czego nie miał. A kiedy już to dostał, radość ulatywała.

- A l e dostawał? Od pani, jak fabriczka?

Gospodyni otarła dłonie o niewidzialny fartuch, którego zabrakło w jej stroju, chociaż zawsze nosiła go o tej porze, przyzwyczajona

do niego tak dalece, że często zapomniała zdjąć go po skończeniu gotowania i z rozpędu siadała w nim do stołu.

Był to rodzaj roztargnienia, na które nie pozwoliłaby sobie za czasów Mateo; przed poproszeniem męża na obiad biegła do łazienki na piętrze i poprawiała szminkę na ustach, choćby na pierwsze wrażenie, bo i tak nie trzymała się długo na jej wąskich wargach. Chciała być dla niego ładna, do czego nie pasował wówczas tamten fartuch, chowany niemal ze wstydem na haku w rogu kuchni. Później, po odejściu Mateo i niedługiej, mgliście zapamiętanej przerwie, która nastąpiła we wszystkich sferach jej życia, kuchenny fartuch przestał być czymś używanym do chronienia lepszych rzeczy. Nabral ważności i awansował do funkcji oficjalnej, stał się jej uniformem, podpierającym ją i określającym jej znaczenie. Kiedyś pojawiło się w niej przekonanie, że nie tylko dodaje jej powagi, ale także konserwuje urodę.

- Dostał coś, czego nie chciał - odpowiedziała Gospodyni, przyglądając się ze zdziwieniem swej ciemnej spódnicy, na której pojawiły się wilgotne plamy potu przeniesione z mokrych dłoni. - Czy mogłabyś podać mi jeszcze jedną serwetkę, kochana?

Wolałaby przynieść ją sama, zacierając zakłopotanie rolą gościa, jednak powstrzymała się, nie chcąc robić przykrości obsługującej ją skwapliwie Anicy. Patrząc na dziewczynę, przypomniała sobie milczącego męża, który podczas posiłków spożywanych w kuchni zajmował to samo miejsce. Gorzkie pytanie przebiło smak cukrzonych moreli na jej języku: czyżby i on wówczas czuł się w ten sposób?

Podobno, sprzedając firmę, wcale nie zapytała go o zdanie. Jej bracia nigdy nie byli wielką pomocą w sprawach interesu, który rodzinny był tylko z nazwy. Odniosła wrażenie, że nawet pieniądze, które mieli otrzymać - każdy po równo, jakby i oni przyczynili się do przyrostu kapitału - nie odgrywały większej roli w ich akceptacji. Z perspektywy czasu pojęła, że i oni instynktownie przeczuwali brak stabilności firmy, która opierała się tylko na jednym człowieku - ich ojcu. Nawet jeśli nigdy jej tego otwarcie nie powiedzieli, była w ich oczach wyłącznie malowaną asystentką, natomiast firma, która wpadła w ręce jej mężowi, skończyła się wraz ze śmiercią założyciela.

Bracia wybrali spokój, każdy zajęty własnym życiem i własną najbliższą rodziną, dając dowód temu, jak niewiele znaczyło dla nich miniaturowe imperium, które z myślą o nich stworzył ojciec. Pozbyli się go z obojętnością dorównującą tej, z jaką wcześniej oddawali je w skądinąd obce - bo zaledwie szwagrowskie - ręce. Nawet nie pomyśleli o zachowaniu go dla własnych dzieci i żaden z nich nie łamał sobie głowy tym, że po sprzedaży zniknie ostatni relikw po ojcu: logo firmy, w którym rodzinne nazwisko zgrabnie spletało się z jej nazwą.

Ten i ów z naszej wyspy pytał ją później o tę firmę, podobno wcale niemałe madryckie przedsiębiorstwo... Byliśmy ciekawi jej historii i osiągnięć, interesowały nas jej rozstrzelone talenty. Jednak ona zachowywała się wówczas dziwnie: wykręcała się albo kluczyła, jakby nie chciała przypomnieć sobie nawet nazwy. A przecież powinna mieć ją w głowie - jak obraz mieszkania rodziców czy wspomnienie głosu ojca, który z pewnością wymawiał ją pełen dumy. Czy naprawdę było możliwe, że nie potrafiła już wyciągnąć jej z pamięci, podobnie jak obrazów pracy w firmie, swego gabinetu, biurka... Gdzie podziały się twarze i nazwiska współpracowników, czas z nimi spędzony, tematy rozmów, które musiała z nimi prowadzić? Wiedzieliśmy, że pamięta swego ojca, którego zdjęcie przechowywała gdzieś w domu, oraz wszystkie nastroje swego wiecznie niezadowolonego męża. A także strach nie opuszczający jej podczas kilkunastu - czy może kilkudziesięciu? - miesięcy, podczas których on kierował jej firmą. Oraz strach, który towarzyszył jej do końca ich wspólnego życia.

Każdy, kto choć trochę ją znał, był przekonany, że we wszystkim mu pomagała. Albo przynajmniej starała się pomóc... Gdy nie spał, czuwała intensywniej od niego. Nie zdradzała się z tym przytapywaniem go na bezsenności, słabości, której mógłby się wstydzić. Zapewne wykorzystywała ten czas na wymyślanie sposobów uzdrowienia jego zagrożonej duszy, mimo że jej samej wystarczyłoby samo wskrzeszenie jego uśmiechu. Była pozostawiona samej sobie i żałowała w niezdarnych próbach ratowania go. On przecież nigdy się nie skarżył, może ze wstydu, a może z obawy, by jasno określone żale nie utraciły swego fatalistycznego nimbu.

A może usiłowała pomagać mu na swój sposób, tym, co również świetnie jej wychodziło: gotowała mu i karmiła go, wierząc, że strumieniem ciepłej zupy wlewa w niego nowe nadzieje.

- We wszystkim pomógł mi adwokat naszej rodziny. Zajął się formalnościami, kiedy wszyscy wyrazili zgodę na sprzedaż firmy. Kiedy moi bracia wraz z matką podpisali akty rezygnacji z udziałów...

Gospodyni mówiła powoli, jednak bez poszukiwania prostych określeń, dostosowanych do poziomu językowego rumuńskiej dziewczyny. Słowa swobodnie przelewały się przez jej usta, jak wtedy, gdy wielokrotnie opowiadała swoją historię zwierzętom, jednemu zaufanemu audytorium, które dopiero niedawno poszerzyło się o Anicę.

- Bracia to rodzeństwo - przypomniła z powagą dziewczyna.

Gospodyni westchnęła z ulgą: Anica powracała do obozu zwyczajnych ludzi. Jej zasklepienie w sobie pękało jak wartwa przesuszonej gliny.

- Masz rację, moja kochana. Bracia są rodzeństwem rodzaju męskiego.

Nagle w drewnianej kuchni zrobiło się bardzo ciepło. Gospodynię, nie pod wpływem przecukrzonych moreli i na pewno nie z powodu odebranego obowiązku gotowania, ogarnęło miękkie zadowolenie. Poczuli się jak fakir, któremu udało się tonami fujarki wywabić z kosa apatycznego węża i i namówić go do tańca. Wystarczyły bajeczki z czyjegoś życia, pożyczone od obcych bohaterów ruchome obrazy, plotki o braciach, rodzicach, jakimś mężu i jakiejś żonie...

- Wszystko świetnie zapamiętujesz, Anico. jestem z ciebie dumna. I jaki ładny obiad nam przygotowałaś!

- Smakuje, prawda to?

- Bardzo, Anico, bardzo.

Patrzyła na dziewczynę pełna macierzyńskiej niemal dumy i była najprawdziwszą Gospodynią: udała się jej ryzykowna potrawa, w której poprzez odpowiednie odważenie składników, porcjowanie, moczenie, przyprawianie i trzymanie w ciepłe udało się złagodzić gorycz podstawowego produktu.

26.

Nie tylko na naszej, ale na wszystkich Ptasich Wyspach brakowało zajęcia dla młodych ludzi. Była to dość pokrętna sytuacja. Wraz z nadejściem turystyki faktycznie powstało mnóstwo miejsc pracy oraz możliwości, które nigdy przedtem nie istniały. Ponieważ wcześniej... Właśnie, co było wcześniej? Synowie rybaków zostawali rybakami, synowie sklepikarzy sklepikarzami, rolników bądź hodowców zwierząt rolnikami lub hodowcami. Przejmowano od rodziców hoteliki, małe restauracje albo warsztaty, zajmowano się handlem. Ktoś uczył się na księdza, mniej więcej raz na pokolenie jakiś nieoczekiwany geniusz wyjeżdżał z wysp po naukę na kontynencie. Córki wychodziły za mąż i rodziły dzieci.

Obcy, którzy przybyli na wyspę i zaanektowali ją jak swoją, zmienili nam perspektywę i podkręcili tempo. Stało się jakoś tak, że i my poczuliśmy się zmuszeni do działania. Nagle, w jakiś sam przez się zrozumiały sposób, stało się nieodzowne posiadanie pracy- płatnej, regularnej, lepszej albo gorszej. Należało pracować albo szukać pracy, a raz ją zdobywszy, zmieniać lub ulepszać. Należało robić cokolwiek, byle wpasować się w jedyny liczący się standard - obraz człowieka pracującego. Nastąpiła potężna pokoleniowa zmiana, która zbyt często wywracała do góry nogami rodzinne przyzwyczajenia: oto synowie stracili ochotę na przejmowanie nierentownych rodzinnych interesów, a córki na wychodzenie za mąż.

Manuel Rosa, który zaplanował zrobienie kariery w hotelarstwie, był w swoich staraniach zdany jedynie na siebie i nawet nie próbował absorbować nimi swej hałaśliwej, staroświecko licznej rodziny. Jego ojciec, mimo skończonych sześćdziesięciu lat, nadal codziennie wypływał drewnianym kutrem na morze i zaopatrywał rodziną

firmę, która zajmowała się sprzedażą świeżych ryb. Posiadał stałą pozycję w handlowym świecie wyspy oraz monotony pogląd na życie, które uważał za szczęśliwe tak długo, dopóki nie wymagało od niego żadnych zmian. Nigdy nie zaprzętał sobie głowy pomysłami dotyczącymi podwyższania kwalifikacji zawodowych i zadowalał się udanymi połowami oraz stałym zbytem. Wystarczało mu, że popyt na ryby na wyspie rósł z dnia na dzień, proporcjonalnie do powstawania nowych hoteli.

Manuel, jego syn, mógłby podłączyć się do rodzinnego interesu, a później nawet spróbować rozwinąć go do rozmiarów większego przedsiębiorstwa, które obejmowałoby nie tylko jedną Ptaśią Wyspę, ale też kilka sąsiednich. Wystarczyłoby, by posiadał konieczną w branży wiedzę i pod okiem ojca zaczął pracować jako rybak. Jednak on zupełnie inaczej się na to zapatrywał; na razie inwestował w naukę, w staraniach przypominając upartego kloszarda, który zamiast w schronisku, mieszka pod gołym niebem i zbiera deski, druty oraz butelki tak długo, aż zgromadzi środki na porządną dom. Ponieważ jego pasji nie podzielał nikt z rodziny, po kilku nieudanych starciach z wyspiarską powolnością i lenistwem Manuel pogodził się z samotnością w realizacji swoich planów.

Może nie upierałby się aż tak bardzo, gdyby rodzinny interes nie dotyczył rybołówstwa albo był dostatecznie duży, by zaoferować mu możliwość przeskoczenia z pozycji syna rybaka na menedżera ojcowskiego przedsiębiorstwa. Jednak w obecnej postaci firmy współpraca z ojcem mogła rozpocząć się tylko od wspólnych połowów z kutra, co sprawiało, że perspektywa polepszenia losu w przyszłości wydawała się Manuelowi bardzo mglista. „Najpierw naucz się łowić ryby...” Jakby łowienie ryb było wprowadzeniem do każdej uczciwej czynności, każdej ważnej czynności, jakiegokolwiek czynności wreszcie, od której wolno dopiero zaczynać wszystko inne! „Najpierw naucz się łowić ryby”. Recepta ojca wynikała albo z tego, że sam niczego innego nie potrafił, albo było odwrotnie: nie nauczył się niczego innego, ponieważ swoje umiejętności uznał za wystarczające. Przypisywał im uniwersalne znaczenie, dodawał wartość konstanty: „Kiedy już raz nauczysz się łowić, nigdy tego

nie zapomnisz. Nie będziesz też łowił gorzej lub lepiej, po prostu będziesz się na tym znał". Nie myślał o tym, że jego prawdy nie miały odniesienia do wielkich łodzi rybackich, kutrów i trawlerów wyposażonych w sondy i automatycznie wyrzucane sieci. Ojciec Manuela pozostawał zadowolonym - w swoim leniwym zadowoleniu typowym dla ludzi z wyspy - rybakiem z niewielkiego kutra, któremu jako uzasadnienie bytu na ziemi wystarcza rzetelne wypełnianie swej nieważnej funkcji.

Najpierw naucz się łowić ryby! Od najwcześniejszego dzieciństwa Manuel zbyt często słyszał te słowa. Ich wypełnienie miało dopuścić go do kolejnych życiowych wtajemniczeń, upoważnić do zostania wartościowym człowiekiem. Tymczasem on... Ponieważ nie nauczył się łowienia ryb, za wszystkie inne rzeczy zabierał się niejako bezprawnie. Czuł się tak przez wszystkie te lata, które, zajęty sobą, desperacko pracował na swoją przyszłość. Uważał, że nie ma innego wyboru - on, Manuel, syn rybaka, żywiący głęboką awersją do ryb, ich zapachu i śliskości łuski, a nade wszystko do ich widoku, kiedy szamocąc się w sieci, przerażone szukają tlenu w ścisku ciał towarzyszy. Nie lubił też wody i nigdy nie wchodził do niej głębiej niż po kolana, także wtedy, gdy po skończonej pracy zawijał jak turysta nogawki spodni i szedł do domu brzegiem morza.

Poza tym nie potrafił pływać.

Szli we troje nad wodą, mijając grupki kitesurferów, którzy o tej porze dnia rezygnowali już z ujeżdżania fal i zbierali żagle. Uciął wiatr, osłabiony wysiłkami długiego dnia. Znowu odprowadził ją do domu; nie zatrzymali się na przystanku autobusowym, lecz poszli dalej plażą. Tam spotkali dyrektorkę Domu Schronienia, zupełnie tak, jakby cała wyspa była jakimś ruchliwym miejskim deptakiem gdzieś na kontynencie, gdzie ludzie nie mają nic lepszego do roboty od spotykania się niby to na spacerze. Chciał się pożegnać i odejść, jednak obydwoje go powstrzymały. Został, czując się trochę odpowiedzialny za tę pieszą wycieczkę, na którą ją namówił, i podczas której bez niego sama musiałaby nieść swoją torbę tradycyjnie pełną książek.

- Szkoda tej naszej wyspy, prawda? - powiedziała nagle Nauczycielka.

Już wiedział, czego należy się spodziewać. Podobnie jak jej przyjaciółka, która zmarszczyła brwi:

- Niby dlaczego?

- Coraz bardziej upodabnia się do cmentarza.

Dyrektorka zatrzymała się w pół kroku. Zamiast skrzywienia piasku pod jej ciężkimi stopami dał się słyszeć przyspieszony oddech.

- Tego jednego kompletnie u ciebie nie rozumiem, Tina! - powiedziała, w jednej chwili pełna irytacji. - Nigdy nie rozumiałam i nie zrozumieć. Dlaczego we wszystkim, co robisz, jest tyle pasji, a tak mało nadziei? Dlaczego robisz te wszystkie rzeczy, skoro wcale w nie nie wierzysz?

Patrząc na obydwie kobiety, przestał mieć skrupuły z powodu tego, że czymkolwiek je krępuje.

- O co ci chodzi? - zapytała zaczepnie Nauczycielka.

- Mówisz o wyspie, która według ciebie lada dzień utraci wszelką odrębność, która już dziś jest tylko kolejnym punktem turystycznym z morzem i kawałkiem plaży...

- Bo tak właśnie jest!

Zaczął się od tego, że postanowił nauczyć się francuskiego. Przez długi czas ograniczał się tylko do tej aktywności i był pełen dobrej woli. Nauka języków obcych wymagała poświęceń, jednak była też całkiem przyjemna. Poza tym miał szczęście trafić na naprawdę dobrą nauczycielkę... On niczego poza nauką języka od niej nie oczekiwał, dopiero niedawno uświadomił sobie, że stała się również przyczyną jego kłopotów.

- I już niedługo skończy się wszystko, co było w niej dobrego - dodała ostro.

Dyrektorka skinęła ciężko głową.

- Tina, ty naprawdę przesadzasz.

- A n i trochę! - zaprotestowała natychmiast. - Tu ginie nawet sens powiedzenia „być samotną wyspą”, a wraz z nim cała gama znaczeń związanych z tym słowem. Tu prowadzi się cierpliwą wojnę małych kroków: najpierw pada niedostępność, potem osobność, a na końcu

niepowtarzalność. Niedługo nawet w geografii niepotrzebne będzie odróżnienie tych wysp od stałego lądu!

Nauczycielka zatrzymuje się i prostuje plecy. On doskonale zna ten gest: wie, że zaraz uniesie rękę, jakby trzymała kredę i zamierzała napisać coś na tablicy.

- Jesteśmy świadkami nowoczesnego dzieła stworzenia, które skończy się kompletną unifikacją planety- ogłasza Nauczycielka, głoszno zaczerpnąwszy powietrza. - Uczyni ją tak doskonale jednakową, że jej twórcy będą mogli utrzymywać, że zrównali ją po to, by nikt nie czuł się obco. Kiedy to nastąpi? Och, na pewno jeszcze w tym stuleciu. Kontynenty już teraz łączy łańcuch sprawnej komunikacji, państwa zlewają się w jeden rozpaczliwy, sztuczny organizm, natomiast miasta przypominają kwietniki założone przez tego samego ogrodnika. A wyspy? Wyspy! Są miastami w karykaturze, osiedlami dla ludzi, którzy pracując gdzieś w centrum, przyjeżdżają na noc, by wypaść się w luksusie.

Dyrektorka wzrusza ramionami. Jest zdenerwowana, jednak w obecności obcego chłopaka stara się nad sobą panować.

- Skoro jesteś o tym tak bardzo przekonana, czemu przeciwko temu walczysz? - pyta bez wielkiej nadziei.

- I to ty mnie o to pytasz?

- Tak, Tina! Skoro wiesz, że twój czarny scenariusz i tak się spełni, czemu się z nim nie pogodzisz?

- Dlaczego?... Dobre pytanie.

Nauczycielka mruży oczy, które w promieniach zachodzącego słońca są zielone jak u kota.

- Czy świadomość nieuniknionego końca rzeczy musi oznaczać rezygnację z wpływu na ich przebieg? Czy absolutna pewność śmierci powinna oznaczać uprzedzenie jej brutalnego działania, pogodzenie się z jej niegodziwością i odmowę pertraktacji? Jak to sobie wyobrażasz? Może powinniśmy od razu położyć się i czekać na śmierć, w białej pogrzebowej sukience, tej samej, którą założono nam do chrztu i pierwszej komunii...

- Wcale tak nie uważam - protestuje dyrektorka Domu Schronienia.

- A ja uważam, że powinniśmy przeciwstawiać się śmierci. Walczyć z nią, choćby tylko poprzez brak wiary w jej ostateczność. Jeśli zaczniemy okazywać jej przesadny szacunek, umrzemy przed czasem. Albo będziemy żyli jak martwi.

- A wyspa?

- Umrze, kiedy założy śmiertelną sukienkę wszystkich innych wysp i kontynentów, kiedy podda się tej wielkiej, powszechnej unifikacji. Kiedy ustroi się w McDonaldy, zapomni o własnej kuchni, o płodach swojej ziemi, owocach swoich drzew... Dla nas to jest zdrowe, co na niej rośnie, bo przecież posiadamy wspólny krwioobieg: my, ludzie oraz zwierzęta, które później zjadamy... choć nie bez wyrzutów sumienia. Kiedy nastąpi śmierć wyspy, będziemy musieli skorzystać ze sztucznego odżywiania - jedzenia z fabryk, wody z butelek. Najpierw zmieni się nasza flora bakteryjna, zaraz potem my.

Dyrektorka rozkłada bezradnie ręce.

- Przecież mówisz, że i tak już będziemy martwi...

Każdy wie, że jej ulubionym napojem jest coca-cola, z której ani nie zamierza rezygnować, ani się tego wstydzić.

- A ubrania, powiedz sama! - woła Nauczycielka, jakby przemaiała na wiecu. - Tutejsi ludzie już zapomnieli o swoich strojach, o dotyku i zapachu bawełny, o hałasie krosien! Gdzie podziały się kolory, w które ta wyspa stroiła się od pokoleń? Zalała ją kretyńskie *pret-a-porteń* I idiotyczne neoprenowe kombinezony, w których każdy, mężczyzna czy kobieta, wygląda jak obslizgły, podtopiony robak!

Pływanie należało do nielicznych umiejętności, których Manuel nawet nie starał się opanować. W tym jednym pasował do swojej rodziny, w której rybacy z dziada pradziada głoszą, że w przypadku katastrofy na morzu pływanie przedłuża tylko cierpienie. Stara ta prawda nie zdewaluowała się nawet w czasach coraz sprawniejszego sprzętu oraz hotelowych służb ratownictwa, które w razie potrzeby pomagały nie tylko gościom, ale też zagrożonym rybakom. Dopiero młodzi ludzie z wyspy przestali ją respektować, wkrótce po tym, jak rozwój turystyki otworzył im oczy na morze jako źródło innych

niż z rybołówstwa dochodów. Umiejętność pływania okazała się nie tylko przydatna, ale wręcz niezbędna w poszukiwaniu pracy; nagle trzeba było wykazać się nią wszędzie, od stacji sportów wodnych poszukujących kierowców motorówek, po zatrudniające animatorów i trenerów hotele.

Stroniący od wody Manuel może i miałby ochotę na certyfikat ratownika wodnego. Była to jedna z najbardziej pożądanych funkcji na wyspie, bo kto nie miałby ochoty prezentować się półnago na plaży i zbierać zaproszenia na drinka od samotnych turystek... Komu obojętne byłyby gorące spojrzenia dziewcząt? Jednak Manuel starał się nie zastanawiać nad rzeczami, które - jak wszystko, co związane było z wodą - z góry uznał za nieosiągalne. Niechęć do morza uważał za wrodzoną: jego matka twierdziła, że jako dziecko wpadł kiedyś do wody, podobno wyślizgnąwszy się z ojcowskiej ręki podczas wsiadania do łodzi. Matka, podobnie jak wszyscy z rodziny, nie widziała w tym jednak wystarczającego powodu do dożywotniego strachu przed morzem i czasami wypominała mu noce, które musiała przy nim przesiedzieć, gdyż rzucał się na posłaniu i majaczył, że tonie. Nawet siostry podśmiewały się z niego, nie mniej niż młodszy brat, który, znalazłszy kiedyś na plaży połamaną deskę surfingową, posklejał ją z pomocą sąsiada w całkiem użyteczny sprzęt. Manuel, który po cichu zazdrościł bratu dobrych relacji z wodą, wyrzucał mu, że jako zapalony surfer także on, drugi rybacki syn, ignoruje rodzinne interesy.

Rodzina była ważna dla Manuela, mimo że nie spełniała większości jego oczekiwań. Zdecydowanie wolałby, aby w rodzinnych wydarzeniach, układaniu planów, w podobieństwach i odstępstwach, pojawiała się więcej twórczej dynamiki, którą znał z książek. Tymczasem los obdarował go ojcem, którego światopogląd przypominał pasmo prostych stwierdzeń, nad którymi nawet ich autor nigdy głębiej się nie zastanowił. Były takie, jak on sam - stare, trwałe i niepodatne na wpływy. Manuel wolałby wierzyć, że ojcem kieruje albo głęboka mądrość, albo ludzka, czysto intuicyjna wiedza zastępująca faktyczny brak wykształcenia. Jednak nie mógł się łudzić - ojciec nie był ani szczególnie mądry, ani też bardziej

od innych głupi, natomiast wszystko, co wiedział o życiu i pracy, z nawiązką wystarczało mu do egzystencji na wyspie. Utrzymywał rodzinę, posiadał szacunek ludzi oraz nie najgorsze samopoczucie. Według opinii Manuela, ojciec był równy jak plaża w zatoce, w pobliżu której mieszkali, zanim ich grunt wykupiła międzynarodowa hotelowa korporacja. Z uzyskanych wówczas pieniędzy ojciec nabył większy dom nieopodal centrum wyspy; było to wiele lat temu i słabo odznaczyło się w pamięci Manuela, który najbardziej ucieszył się z własnego pokoju.

Nad sprzedażą i opuszczeniem rodzinnego domu w pobliżu plaży Manuel zaczął zastanawiać się dopiero wiele lat później, pod wpływem propagandy nauczycielki francuskiego, zaangażowanej w wojnę przeciwko oddawaniu ziemi pod zagraniczną zabudowę. Jednak nawet naśladowując jej dosadne słownictwo, nie nazwałby transakcji przestępczą machinacją, w wyniku której odebrano dom prawowitym właścicielom. Po prostu go sprzedali; pod wodzą ojca zrobili coś, co zdaniem Nauczycielki było najgorsze z wszystkiego - wykazali się doraźną obojętnością.

Dyrektorka Domu Schronienia - jego zdaniem zupełnie niepotrzebnie - dolewała oliwy do ognia:

- Teraz hotele - podpowiedziała prawie złośliwie, obeznana z kolejnością uniesień przyjaciółki.

- A leż tu wcale nie chodzi o hotele! - gorąco przeczy Nauczycielka.
- Chodzi o wspomnienia po hiszpańskich domach! O symbolikę domostwa, całkowicie zapomnianą, o szerokość bramy, rysunek okien, kamienie, które kiedyś układano w kształt szachownicy... O to jedno małe okienko oświetlane świętym ogniem po to, by morze trzymało się z daleka.

- Tina, posłuchaj...

Nauczycielka zasłania nagle oczy, obydwoma dłońmi, jakby nie chciała patrzeć na otoczenie - na niego, a także na przyjaciółkę, której z opóźnieniem robi się przykro.

- Dlaczego nie zgadzam się na to wszystko, choć wiem, że i tak nastąpi? Bo chcę, żeby trwało! Potrzebuję tej wyspy, potrzebuję jej ognia! Tymczasem on zamiera. Pewnie sam jest już zmęczony

wypalaniem i woli zgasnąć niż patrzeć, jak niewielu ludzi jeszcze się przy nim grzeje.

- Tina...

- Ktoś musi to robić. Przedłużać, czekać, chronić! Zatrzymywać nieodwracalne, choć trochę przeciągnąć. Nie wolno się poddawać.

- Czekać na cud?

- Też. Nawet jeśli samemu się w niego nie wierzy.

- Ty nie wierzysz...

- Nie wiem. Mój racjonalny rozsądek podpowiada mi to, co wiesz ty i wiedzą inni. Reszta we mnie, ta dotycząca wyspy, ta, która wpłynęła do mojego krwioobiegu, każe mi o nią walczyć. Nie chcę pozwolić jej zabić, bo nie wiem, czy jest moją trzecią ręką, bez której świetnie się obędę, czy odwrotnie, moją aortą, bez której umrę.

- A inni, Tina? Co z tymi, którzy się tu urodzili i żyją z dziada pradziada...

- I nie mieli matki Francuzki? - Nauczycielka unosi do góry obie ręce. - Znowu wymawiasz mi moją półkrwistość.

- Nie... Jednak, powiedz sama, to raczej oni powinni się martwić, chodzi w końcu o ich instynkt, ich życie. Nie ty, lecz oni powinni chcieć je zachować!

Nauczycielka, zasadnicza i surowa, co podkreślają jej niemal mundurowa spódnica i biała bluzka, tupie ze złością nogą, rozgniatając nieposłuszny piasek. Znowu, bezsensownie, przypomina mu jego młodszą siostrę.

- Nie wiem. Nie wiem! Może zmęczyli się trudnościami? Nie rozumieją ducha tej wyspy, pomimo swego czystego wyspiarskiego pochodzenia? A może jej przydługie umieranie wyssało z nich siły? Albo zostali zainfekowani tak bardzo, że cała ich struktura rozpada się na kawałki i są jak rakiety gotowe do odpalenia ostatniego członu. A może po prostu CHCĄ przyłączyć się do reszty świata? Z ludźmi czasami tak bywa.

- Będziesz na mnie zła... - w głosie dyrektorki wcale nie ma wstydu. - Ale i ja do nich należę. W pewnym stopniu. Chciałabym znaleźć jakiś złoty środek, gdyby istniał... Bo, wybaczyć, ale nie mogę nie widzieć pozytywnych aspektów przemian na wyspach, które bez turystyki żyłyby tak, jak przed wiekami.

- A czy oprócz inkwizycji było coś złego w dawnych wiekach?
- pyta Nauczycielka, nagle bardzo łagodna.

Kiedy tak się uśmiecha, jest zupełnie inna. Manuel przygląda się jej zaskoczony, zapominając o zachowaniu swego wypracowanego, niewzruszonego wyrazu twarzy. Jest wiele ładniejsza, taka... renesansowa. Jak z obrazu.

- Powiedzcie sami...

Przypatruje się jej otwarcie, kiedy tak uśmiecha się do niejasnych myśli, które nagle pojawiły się w jej głowie jak stado wełnistych łasiczek. Wygląda, jakby żałowała, że nie może ich przytulić i nawet nie ma czasu, aby dokładniej się im przyjrzeć.

- Minione wieki... - mówi w końcu niezwykle miękko. - Każdy z nich przyniósł własny worek zmian, idei, wojen i nowych mód. Każdy posiadał swoje racje, które popędziły ludzi do przodu...

Przyglądają się jej oboje, zaskoczeni i ciekawi dalszego ciągu.

- Natomiast wiek obecny ma tylko jeden cel: pieniądze - mówi Nauczycielka i do jej oczu wolno powraca podbarwiona wyrzutem złość. - Tymczasem w przeciwieństwie do wszystkich wcześniejszych abstrakcyjnych ideologii, sofistycznych filozofii i każdej niemożliwej do zrealizowania polityki czy religii, pieniądź jest przeliczalny i stawia granice swoją konkretnością. Nie istnieje nieskończona ilość pieniędzy, nie ma nieograniczonej Drogi Mlecznej banknotów. Jest tylko jedna pula, którą można podzielić. I kiedy to się dokona - a dokona się na pewno - planeta okaże się gładkim stołem, przy którym siedzi kilku zmęczonych długą grą ludzi, przyglądających się wygranym górą pieniędzy. Nie zwracają uwagi na leżące pod stołem trupy tych, których trzeba było zabić, bo oszukiwali, oraz tych, którzy po przegranej sami strzelili sobie w głowę. Widzą tylko stos papierów, na które przeliczona została wartość świata, i odwrotnie, świat nieodwracalnie zamieniony na papiery.

- Bardzo dramatyczne są te twoje wizje, Tina - mówi z rezygnacją. - Chyba powinnaś w końcu zabrać się za pisanie sztuk teatralnych.

On nic nie mówi, ponieważ nie ma pojęcia, o co tym kobietom chodzi.

27.

Na naszej wyspie zdarzały się dni, podczas których słońce udowodniało swoją władzę tak soczyście, że ustępował nawet wiatr i chował się wśród skał w sercu wyspy. Upał, który wówczas panował, wypędzał ludzi z domów, mimo że rzadko kto posiadał ogród zapewniający dostatek cienia. Posiłowano się czym innym - ten, kto miał, wyciągał parasol, inny rozwieszał kawałki płótna jako prowizoryczny dach. Tylko nieliczni mieszkańcy wyspy posiadali modne leżaki albo materace; do wypoczynku na powietrzu zwykle musiał wystarczyć stary koc lub derka, położone bezpośrednio na wysuszonej trawie. Tak spędzaliśmy nasze siesty w porze, w której niemożliwe było wykonywanie jakiegokolwiek czynności. Tak matki kładły dzieci do popołudniowej drzemki, tak starzy ludzie odliczali czas swego kończącego się życia.

Jednak nawet w taką pogodę, kiedy każde stworzenie łaknęło najłżejszego powiewu świeżego powietrza, rzadko kto zadawał sobie trud wyprowadzania z domu kogoś, kto sam nie był w stanie przekroczyć jego progu.

A już na pewno nikt nie znosił nikogo na własnych plecach z drugiego piętra.

Wokół materaca, który z powodu braku lepszego sprzętu wyniosły do ogrodu Gospodyni z Anicą, zgromadziły się wszystkie zdziwione przeorganizowaniem terenu domowe zwierzęta. Najpierw przyglądały się z niedowierzaniem, jak kobiety mocują się z nim, na wpół niosąc, a na wpół ściągając go po schodach, każda za dwa jego nieporęczne rogi. Odskoczyły, gdy przecięnięty przez drzwi i przeszorowany przez ścieżkę plasnął głośno o porośniętą suchą trawą ziemię, gdzie pozostał na czas potrzebny na przygotowanie namiastki pikniku poza murami domu.

Nieufna Donna jak zwykle trzymała się w pewnej odległości od sprzętu, który, choć znajomo pachnący, nie był jej znany, natomiast pręgowana Lili postanowiła natychmiast wypróbować jego miękkość swymi kocimi łapami. Dwa psy szczeknęły na nią niemal jednocześnie - odskakująca pół metra w tył Donna, zaniepokojona, jakby ostrzegała kotkę przed niebezpieczeństwem, oraz stary Leo, obowiązkowy w przestrzeganiu każdego porządku.

- Nic się nie stało, piesku, a niech sobie wlezie na ten materac - uspokoiła go Gospodyni. - I tak za parę minut będę musiała wytrześć go z piasku. Nasypie się tak czy inaczej, chociaż wcale nie ma wiatru.

Pogłaskała Leo po osiwiłym łbie, jednak on nadal wodził zmatowiałymi oczyma za Lili, która przebiegała łapkami w jednym miejscu materaca, jakby zamierzała umościć się w nim na dłużej. Posunęła się nawet do tego, że miauknęła zapraszająco do swego kociego małżonka, jednak Pirat, ignorując jej starania, minął ją dostojnie, udając, że nie zrozumiał jej wezwania.

Niema scenka, najnowsza z serii wielu wykonywanych przez piątkę czworonogów, nie wzbudziła zainteresowania Anicy. Obojętność ta martwiła Gospodynię, i to nie tylko dlatego, że w osobie jej futrzanych dzieci ignorowano po trosze ją samą. Jako opiekunka dziewczyny martwiła się lekceważeniem kocięj i psiej przyjaźni, która, według niej, posiadała niewyobrażalny leczniczy potencjał.

- Zaczekaj na mnie - zawołała za Anicą, kursującą między ogrodem a domem jak najlepiej zorganizowana siła robocza. - Razem przyniesiemy resztę.

- Powiem dziecko o materac do słońca.

Gospodyni zatrzymała się, a wraz z nią wolno kroczący obok Leo.

- Słyszałeś, piesku? - powiedziała do niego. - Słyszałeś, jak ona to ładnie nazwała: materac do słońca!

Kiedy głaskała jego duży, ciężarem lat przygnieciony ku ziemi łeb, natychmiast pojawił się Tatu, nieco zazdrosny i nie do końca przekonany, czy to nie jemu należą się pieszczoty. Jego sierść lśniła w słońcu; jedyny w psiej spółce niewiele robił sobie z upału, o tej

porze dnia szczególnie doskwierającemu ludziom i zwierzętom. Tatu zatrzymał się przy drugim boku Gospodyni, nieśmiały i uznający starszeństwo ważniejszego psa. Pogłaskała także jego, uważnego przyjaciela, który mimo całej poświęcanej mu uwagi wciąż nie do wierzał swojemu prawu do nagrody za wierną służbę.

Dotarli do pokoiku na pierwszym piętrze, Gospodyni stała się świadkiem scenki z rodzaju tych, które często odgrywała, opowiadając historyjki zwierzęcej publiczności. Teraz zmienili się protagoniści: zamiast niej przygotowująca przeprowadzkę do ogrodu Anica, w miejsce zwierzyńca pólleżąca na łóżku chora dziewczynka, jak one milcząca.

- Ty słucha, dziecko... - zapowiedziała się Anica, która przydzieliła sobie rolę mówioną.

Zagadywana dziewczynka od kilku dni czuła się lepiej i, mimo ciągle zaburzonego cyklu faz snu i czuwania, często sprawiała wrażenie zupełnie przytomnej. Nic jednak nie wskazywało na to, że śledzi tłumaczony jej rozwlekłe scenariusz przedsięwzięcia:

- Idziemy do przed dom. Jak chcesz spać spasz, ale może odpoczywasz. Materac leży tam...

Złożywszy koc, aby w formie równej kostki czekał na zniesienie do ogrodu, Anica poszukiwała czegoś w hałaśliwie zacinającej się szufladzie komody.

- Chcesz ją przebrać? - zapytała ostrożnie Gospodyni.

- Założyć pończochy - odpowiedziała poprawnie Anica, przerzucając nieliczne sztuki bielizny dziewczynki.

- Pończochy?

- Mały pończochy-wyjaśniła Anica, wskazując kciukiem własną kostkę. - Do tutaj.

- Chodzi ci o skarpety... Nie, myślę, że ona nie potrzebuje skarpet w taki upalny dzień. Ten koc też możemy zostawić w pokoju, zamiast niego bardziej przydałby się ogrodowy parasol.

- Nie ma parasol?

- Mam starą parasolkę, jednak za małą. Na pewno nie zasłoni jej od słońca tak jak należy.

Anica zastanowiła się przez kilka sekund, odrobinę teatralnie, przerzucając wzrok z Gospodyni na milczące dziecko.

- Nic - oświadczyła w końcu z przerysowaną powagą. - Stare prześcieradło ma? To potem z prześcieradło dach.

Gospodyni pokiwała z uznaniem głową, choć w myślach wybrała już kawałek płótna, odpowiedni do rozpięcia na sznurku do suszenia bielizny.

- Słyszysz, malutka, jak Anica sprytnie to sobie wymyśliła? - powiedziała głośno do czekającego na łóżku dziecka. - Położymy cię w ładnym cieniu, pod daszkiem, i słońce nie będzie cię raziło.

Żadna z nich nie oczekiwała odpowiedzi; komunikacja z dziewczynką nadal była trudniejsza od porozumienia z domowymi zwierzętami. Te przynajmniej same się o nią starały, rozumiejąc, że nieumiejętność mówienia jest handicapem, który wymaga nadrobienia przy użyciu językiem ciała... Były przeciwieństwem chorej, która obojętnie świadczyła wszelkim rozmowom i pozostawała nieobecna nawet wówczas, kiedy jej dotyczyły. Mała nie brała w niczym udziału, a Gospodyni i Anica nawet nie mogły oczekiwać jej pomocy w rozwiązaniu zagadki jej dziennych pragnień i nocnych strachów.

- Nie trzeba bać - zapewniła dziewczynkę Anica.

Jedyną formą głosu wydawanego przez chorą pozostawał wibrujący, przenikliwy krzyk, który, na szczęście dla wszystkich - w tym dla wpadających wówczas w panikę zwierząt - coraz rzadziej się przydarzał. Usiłowaly wymyśleć lekarstwo na ten krzyk - Gospodyni, sfrustrowana niepowodzeniem swoich starań, oraz jej podopieczna, która - opuszczając świat własnych nieszczęść - wdepnęła w tragedie innych.

- A ty cicho, dziecko - powtórzyła przezorna Anica, dla której krzyk był torturą. - My uważam, nie trzeba bać.

A ona oczywiście naiwnie wierzyła w to, że nikt jej nie widzi. Albo że przynajmniej nikt nie widzi jej, kiedy chowa się w domu lub w jego pobliżu, jakby ten niepozorny, dziurawy płot mógł stanowić jakąkolwiek przeszkodę dla ciekawskich oczu. Nie oddalibyśmy jej przysługi, wyprowadzając ją z błędu, i to wcale nie dlatego, że mogłaby zacząć lepiej się przed nami ukrywać. Pozostawiliśmy jej złudę bycia niewidzialną dla jej własnego dobra, dla odrobiny komfortu, który naprawdę był jej potrzebny.

Tak, podglądaliśmy ją. Na ulicy, w pracy, podczas zakupów, na plaży, również w jej domu. Nie tylko nocą. Także za dnia.

Najczęściej była sama. Za dnia krzątała się po domu, do ogrodu wychodząc zaledwie na chwilę, tylko po to, by nakarmić zwierzęta albo przynieść coś z grządki, na której hodowała zioła. Potem zaczęliśmy widywać ją z tą cudzoziemską dziewczyną, przelotnie, rzadko, gdyż tamta jakby jeszcze bardziej obawiała się dziennego światła. Zobaczenie ich trzech jednocześnie było prawdziwym rytasem, rzadkością na miarę widoku wieloryba, jednego z tych, które raz na kilka lat przepływały w pobliżu wyspy, widoczne tylko dla nielicznych szczęśliwców na łodziach.

Wyglądała tak, jakby chciała przytulić i pogłaskać tę drugą dziewczynę. Siedziały tuż przy sobie, dwie strażniczki trzeciej, schowanej w cieniu. Jednak powstrzymała się w ostatniej chwili. Miała dziwny wyraz twarzy-jakby czuła się winna. Jednak dlaczego? Czyżby dlatego, że dotychczas nierówno traktowała swoje dwie podopieczne, więcej uwagi przyznając najślabszej, instynktownie, jak pielęgniarzka opatrująca rannych po walce? Albo może dlatego, że źle oceniała tę starszą, podejrzewała o zazdrość i utratę pragnienia pomocy, które traciło na wadze w miarę upływu dni oraz mało klarownego przebiegu choroby? A może przestała dowierzać cierpliwości dziewczyny podczas nocy przerywanych krzykiem, uspokajaniem oraz zmianami przepoconej bielizny?

A przecież sama przyznała tamtej wszelkie prawa... Nie tylko do zniecierpliwienia chorobą i rywalizacji o pierwsze miejsce w kategorii ofiarowywanej troski, ale nawet do bezkrwawej zazdrości. Wszystko to było przecież dowodem na powrót do normalności istoty, która budzi się z ciemnego snu.

Była zbyt mądra, by oczekiwać zmartwychwstania pod postacią anioła.

Gospodyni uśmiechnęła się do Anicy:

- To co, spróbujemy ją przenieść?

- Spróbujemy - skupionym ruchem głowy Anica potwierdziła gotowość do działania. - A jak robić? Ręką?

Oczy chorego dziecka były otwarte i puste, jednak zwrócone w ich kierunku.

- Myślę, że powinniśmy podnieść ją razem z prześcieradłem i kocem, za cztery rogi, tak jak przedtem zniosłyśmy materac - wpatrzone w dziewczynkę, Gospodyni zwracała się tylko do Anicy.

- Rozumiesz?

- Rozumie. Pani mówi, prawda to, co dziecko przyszła od szpitala na nogach?

- Tak, w pierwszych tygodniach miała jeszcze dość siły, aby chodzić. Ale to było dawno temu.

- Dawno jak?

Gospodyni przygotowywała prześcieradło i koc, dotychczas ciasno naprężone na łóżku.

- Dawno, Anico... Jeszcze zanim ty się pojawiłaś. Złap, proszę te dwa rogi od strony jej nóg, ja wezmę te od głowy. Dasz radę?

- Radę, ja silna.

- Wiem o tym, kochana. I bardzo się z tego cieszę.

Przeniosły chorą jak lalkę, dużą, lecz tak lekką, jakby w środku nie miała nic prócz powietrza lub całkowitej pustki. Nie zaprotestowała, kiedy podniosło się pod nią i napięło prześcieradło, nie przestraszyła, kiedy zapadła się w nie jak w sieć. Jej duże, ciemne oczy śledziły zmieniający się krajobraz ścian; zatrzymawszy się na galerii obrazów w korytarzu, ślizgały się dalej i czasami - niepokojąc Gospodynię - przybierały ostrzegawczy wyraz, jakby chciały zapowiedzieć nadchodzący krzyk. Jednak nic prócz oczu nie poruszyło się w ciele niesionego w tobołku dziecka i Gospodyni była im wdzięczna za ten ruch, który ratował ją od skojarzeń z martwym królikiem albo rybą, po zakupach na rynku transportowanymi w siatce do domu.

W ogrodzie czekał już zaimprovizowany baldachim.

- Ja dobrze wymyśliła dla dziecko - pochwaliła samą siebie. - Żeby miała spać i spocząć.

- Wspaniale, kochana. Jestem z ciebie dumna. Sprawdziłaś, czy nie jest spocona?

- Nie, nie... Niepocona. Wszystko dobra.

Ułożyły dziewczynkę pod prowizorycznym płóciennym dachem, który Anica rozpięła na sznurkach w ubogim w drzewa ogrodzie. Jednak mała nie od razu zasnęła. Czekały na ten sen obydwie, zmę-

czone przygotowywaniem, noszeniem, także niepokojem o powodzenie całej akcji, która, choć pozbawiona rozmachu, kosztowała je sporo wysiłku. Teraz, gdy złe obawy okazały się płonne i dziecko, szeroko otwartymi oczami badające otoczenie, spokojnie leżało na posłaniu, żadna z nich nie miała ochoty go opuścić.

- Może przejdiesz się po ogrodzie, Anico?- spytała Gospodyni.

- Pochodzisz sobie dookoła domu, zobaczysz, gdzie pochowały się koty?

- Kot w paski obraził, bo pani mówi precz iść od materac.

- Lili łatwo się obraża, ale na szczęście nie na długo. Naprawdę nie masz ochoty zrobić paru kroków? Popatrz - wskazała na zawsze gotowego do usług psa - Tatu chętnie pójdzie razem z tobą.

- Ja tu zostawam do dziecko. Idzie pani spacer.

Gospodyni, która usiadła już na starym kocu, tak jak materac dziewczynki rozłożonym bezpośrednio na nędrzej, wysuszonej słońcem trawie, odsunęła się i zrobiła miejsce dla Anicy. Nigdy dotąd, oprócz jednej czy dwóch niefortunnych prób przytulenia, nie zdecydowała się na bezpośrednią bliskość. Oślepią słońcem, zamiast twarzy dziewczynki widziała jedynie zarys jej głowy waureoli krótko ostrzyżonych włosów.

- Je ste m trochę zmęczona - powiedziała. - Posiedźmy tu sobie razem.

Nie próbowały rozmawiać, kiedy Anica przysiadła się nieufnie na brzeg koca i mimo największego możliwego dystansu, jaki udało się jej wytworzyć na niepokaźnym kawałku materiału, jej ramię prawie dotykało boku Gospodyni. Jednak nie wyglądała przy tym ani na spiętą, ani na zdenerwowaną; ze skupioną ciekawością obserwowała dziewczynkę, która chłonęła zmianę otoczenia.

- Dziecko się podoba - stwierdziła z zadowoleniem, wpatrzona w niecodziennie ożywione źrenice chorej.

Przysunęła się o kolejne kilka centymetrów w stronę Gospodyni, tak, by zmieścić się w resztkę cienia, który wspaniałomyślnie obejmował więcej niż tylko powierzchnię materaca. Zabrakło go natomiast dla złotowłosego psa, który ułożył u boku swej pani i drzemał w pełnym słońcu, nie przestając jej strzec.

- Taak... - potwierdziła ciszej Gospodyni. - Szkoda, że ptaki pochowały się przed upałem. Miałyby dużo radości, gdyby zobaczyła, jak tańczą po niebie.

- Tańczą?

- Właściwie tańczą... - poprawiła się Gospodyni. - Tańczą po niebie, to znaczy latają tak, jakby tańczyły... Według mnie, słowo „tańczą” bardziej do nich pasuje, bo robią to tak szybko i są bardzo małe. Tylko duże ptaki potrafią naprawdę tańczyć.

- Na wyspa jest duże ptaki?

- Nie, mamy tylko te malutkie. Za to całe miliony.

Przyglądały się dziewczynce jak dwie matki, ciesząc się z wszystkich niewiadomych myśli krążących po jej głowie. Wystarczało im, że drobnej twarzyczki nie wykrzywia grymas bólu, usta nie składają się do krzyku, a skóra, choć ciągle biała i niewiele różniąca się od cieniem od spranego prześcieradła, ściąga na siebie precedzone iskierki słońca.

- Szkoda, że dziecko nie widzi morze - stwierdziła z powagą Anica. - I pani lubi widzie morze?

Gospodyni przymknęła oczy; spokój tej słonecznej chwili wydawał się jej prawie doskonały.

- Nie, Anico. Nie przepadam za morzem - wyznała bardzo niechętnie. - Choć tak blisko niego mieszkam, dawno przestałam je kochać.

Ten dzień, w którym znaleziono ciało jej męża, pozostał w pamięci całej wyspy. Nie dlatego, że byliśmy spragnieni sensacji, nie tylko dlatego, że przedtem trwały uporczywe poszukiwania. Wszyscy braliśmy w nich udział - dla niej. Prosiła nas o to, więc nie mogliśmy jej odmówić, jakby kolejne nieszczęście dodatkowo ją z nami połączyło. Nie płakała, nie rozpaczała, wydawało się, że jest jakaś nieobecna. Jednak później, kiedy wspominaliśmy tę historię, każdy z ratowników pamiętał ją inaczej. Tak, jakby każdy miał do czynienia z inną wdową.

Kiedy odnaleziono ciało tego mężczyzny, niemal cudem i tylko dlatego, że jego noga zaplątała się w linę od kotwicy, zbyt lekkiej, by mogła zatrzymać łódź przed zdryfowaniem na pełne morze, trudno

już było go rozpoznać. Nie było wiadomo, czy wyskoczył, czy wypadł z łódki, postanowił popływać czy tylko zmoczyć głowę w słonej wodzie. Nie pomogło snucie domysłów na temat opróżnionych butelek, w przeciwieństwie do niego bezpiecznie zachowanych na dnie łodzi. Oprócz tej jednej, od piwa, w które ona wyposażała go zawsze, gdy wypływał łódką na przejażdżkę po morzu albo szedł brzegiem na samotny spacer, turlała się po drewnianym gretingu pusta butelka po rumie. Nikt nie potrafił dokładnie określić, ile z niej wypił, a ile wylało się do mokrej zęzy.

Pytano ją o to. Niewiele pamiętała z kilku poprzedzających tragedię dni: najpierw, że dostał od niej piwo, kanapkę oraz życzenia dobrego dnia; później, że czekała na niego ze śniadaniem, obiadem, kolacją i kolejnym śniadaniem, potem wspominała wizytę obcych ludzi oraz to, że kiedy ponownie go zobaczyła, nie przypominał już siebie. Przez wyspę przetoczyła się burza słów na temat jego odejścia, zawisła nad jej domem, świszcząc i krzycząc bardziej od największego stada ptaków...

Ona nie dowierzała tym, którzy mówili, że sam postanowił rozstać się z życiem, i nie potrafiła uwierzyć innym, twierdzącym, że był to tylko wypadek.

Każdy wieczór na Ptasich Wyspach sprawia, że wszystko wydaje się nowe. Nic nie wygląda tak jak poprzednio, nie naśladuje siebie sprzed sekundy, sprzed ostatniego uderzenia fali o brzeg, sprzed jej ucieczki na pełne morze. Najłżejszy powiew wiatru nie przypomina wcześniejszego i trudno jest wierzyć w stałość czegokolwiek, nawet własnego istnienia na świecie.

Celesta odgarnia z twarzy wąskie pasmo jasnych włosów:

- Ruch tego świata wymiata ze mnie wszystkie siły, odbiera mi każdą nieśmiałą nadzieję na to, że rzeczywiście na nim jestem. Nigdy nie wiem, czyją twarz zobaczę w miejscu własnego oblicza, nie wiem, czy wiatr, księżyc i woda nie przenicują mnie na drugą, trzecią i którą tam jeszcze stronę.

Jeśli Celesta decyduje się zajrzeć w lustro, robi to niechętnie.

- Czasami sędzę, że składam się tylko z ziaren piasku, jestem jedną z nieważnych wydm, które wiatr układa wedle uznania w nie-trwałe formy, a czasem, że jestem wiatrem, który wpada w górę piasku i traci kształt, bo przylepiają się do niego jego ziarenka. Kiedy indziej znowu wydaje mi się, że jestem podobna do któregoś z ptaków w wielkiej hałastrze, jednak nie wiem, którym z nich mogłabym być.

Zamiast w lustrze, wołałaby móc przeglądać się w wodzie.

- Albo, w chwilach wielkiej arogancji, uważam siebie za morze, na które złożyły się miliony fal, będących z kolei miliardami kropli wody, pełnymi drobinek soli.... Modłę się na nich jak na różańcu, ale różaniec to dziesiątka i dziesiątka różańca to więcej niż dziesięć paciorków. Każdy paciorek jest dziesiątką następnych, które dzielą się na mniejsze.

Celesta nieczęsto się modli. Sięga po różaniec jeszcze rzadziej niż opuszcza *castillo*, aby pójść nad morze.

- A jeśli jestem przygnębiającą pustynią, okrągłą jak okiem sięgnąć, niepoliczalną ilością piasku? Jeśli nie jestem ani istotą żywą, ani martwą, bo nie zauważyłam swego umierania? Czasami nie wiem, kim naprawdę jestem w tej ciągle na nowo odwracanej klepsydrze czasu...

- Jesteś Celesta Juana Isabel i pochodzisz z rodu y Peralta.

Dona Isabel jest spokojna i tylko w niewielkim stopniu pogardliwa, na swój dyskretny sposób, praktykowany w chwilach, gdy pyta się ją o zdanie w sprawach, które wydają się niegodne jej umysłu.

- Jesteś Celesta Juana Isabel Reyes y Peralta Boyer i to powinno ci wystarczyć.

Celesta przetyka ślinę, której musiała długo poszukiwać w wysuszonych mówieniem ustach. Mimowolnie prostuje szyję i z drobiazgową, nerwową stanowczością wygładza rękawy sukni, jakby to one były odpowiedzialne za zaprzątnięcie uwagi Abueli rozmyślaniami o czasie, który, Bogu niech będą dzięki, nie przesiąka przez drzwi portretowej komnaty. Wie, że powinna zająć się ploteczkami albo grą na instrumencie. Jednak nie chce.

- Abuela, czy nawet ty nie potrafisz sprawić, że cokolwiek na tej wyspie zatrzyma się w bezruchu? Choć na chwilę, na małą chwileczkę...

- Przecież ty sama nie przysiądziesz choćby na chwilę, *hija!* Kręcisz się, szukasz, przychodzisz i wychodzisz... Nawet mnie, swojej babce, nie pozwalasz odpocząć. A zasłużyłam sobie na to po tylu stuleciach.

- Stuleciach! - udaje rozbawioną Celesta. - Dona Isabel, czy damie wypada kokietować drugą damę swoim wiekiem?

Celesta, która dokończyła już czesania jedwabistych włosów Abueli szczotką w szykretowo-srebrnej oprawie, zajęta jest teraz makijażem starszej damy. Jest jedyną osobą, której wolno to robić, oraz jedyną strażniczką tajemnicy różowości policzków, koralowego odcienia ust oraz lukrowanej, ciepłej szarości na powiekach doni Isabel. Nikt poza nią nie wie, że są dziełem pędzla i farb ukrytych

w czeluściach szuflady; inni, nawet gdyby zdobyli się na podobne przypuszczenia, przynigdy nie ośmieliliby się do tego przyznać - pod groźbą ognia piekielnego albo samej świętej inkwizycji. Celesta chroni babkę od przejrzystości oblicza, któremu zdarza się blednąć, jakby chciało roztopić się w półmroku. Ponieważ doña Isabel nie może już, niestety, liczyć na własne, delikatne dłonie, ukochana wnuczka i najbliższa sercu kobieta czerni jej brwi, karminuje wargi oraz wyczarowuje różane obłoki na policzkach.

- Jesteś dziś melancholijna, *niña*. Skąd te myśli o przemijaniu, odchodzeniu? Skąd troska o ruchliwość czasu?

Celesta zatrzymuje się w połowie ruchu, na ułamek sekundy, sprawdzając, czyjej pasywność wpłynie na otaczający świat; przestaje oddychać, unieruchamia źrenice i pyta serca, czy nie zechciałoby zaprzestać męczącego kołatania. Jednak jej starania na nic się nie zdają, a próba okazuje się chybiona: doña Isabel zdradziecko mruga powieką i świeży tusz zostawia nierówną linię wzdłuż wyblakłego oka.

- Wszyscy z naszej rodziny podchodzili z szacunkiem do czasu, *hija mia* - mówi z godnością doña Isabel. - Dotrzymywali mu kroku tylko na tyle, ile było to możliwe. Ustępowali, gdy ich wyprzedzał.

Zrezygnowana Celesta opuszcza dłonie wzdłuż ciała. Siedzi na twardym, drewnianym zydelku, który dawno temu wyrzeźbił sławny stolarz, zatrudniony w *castillo* po dokończeniu budowy, kiedy puste, ledwie wybielone ściany dawały dopiero przedsmak tego, czym w przyszłości stanie się siedziba rodu.

- Nigdy nie zastanawialiśmy nad tym, z ilu miliardów gwiazd składa się niebo nad nami, z ilu kropel morze i ile ptaków krąży nad naszymi *castillos*. To nie są nasze myśli, Celestita. Twój *hombre*¹ musiał cię tego nauczyć.

Celesta przyjmuje obelgę z pokorą. Dla doni Isabel Korsarz to tylko *hombre*, nigdy *sposo*² czy chociażby *señor*... Nic w jej oczach nie zmieni obrazu człowieka, którego raz uznała za plebejusza

¹ Mężczyzna.

² Mąż.

i oskarżyła o mierność oraz żalną chęć przelicytowania swego urodzenia.

- On wyjątkowo długo nie wraca tym razem, ten twój... *hombre*.

Kiedy odpływał, księżyc świecił pełnią swej złowieszczej twarzy, zamazany w środku jak pokryty patyną srebrny pieniądz. Odbijał się w nastroszonych żaglach okrętu i wysokich cholewach butów Korsarza, bawiąc się czernią i czerwienią, kolorami, które obce były jego srebrnej, księżycowej naturze. Potem, gdy na maszcie pojawiła się flaga złożona tylko z tych dwóch kolorów, księżyc zamyślił się na chwilę i nawet Celesta mimo swego smutku zauważyła, że wcale nie jest nimi zachwycony.

Nie mówili wiele, ani ona, której żal zasnuwał gardło w kształt zaręczynowego pierścionka, ani on, Korsarz, zajęty liczeniem skrzyń, beczek i żywych zwierząt, na parcianych postronkach prowadzonych parami do ładowni statku. Powtórzył trzykrotnie, że jej, jego małżonce, nie zagrozą niedostatek i choroba, przypomniał o pozostawionej skrzyni złota oraz rozkazach wydanych medykwowi z wyspy, zobowiązanemu do czuwania nad jej wątłym zdrowiem. Celesta, wypełniona pytaniami jak zbyt małe naczynie, nie zadała żadnego z nich Korsarzowi, zmuszając się do rozmowy o sprawach, które w świetle księżycy wyglądały na bezpieczne.

„Twój ciepły surdut jest w skrzyni malowanej w złote smoki” - powiedziała mu w godzinę rozstania. „Nie będę go potrzebował na morzach południowych” - uśmiechnął się niepokojąco. „Przesypałam go kulkami z naftaliny” - dodała ona, ukrywając płacz.

Pocałował ją, porywczco i zachłannie, jakby chciał, by przez wszystkie nadchodzące lata zadawała sobie pytania o naturę ostatniego pocałunku. Był symbolem ulgi czy przepowiednią tęsknoty? Przypomnieniem namiętności, od której, wcale tego nie chcąc, należy się uwolnić? Czy może był tylko zapowiedzią odrzucenia koniecznych czułości, które wpisane są w życie męża, jednak sprzeczne z marzeniami Korsarza? Celesta pozostała sama z pytaniami, którymi nie ośmieliła się podzielić nawet z Abuelą, obdarzaną największym zaufaniem, na jakie może zdobyć się młoda kobieta wobec doświadczonej wiedzą wielu kobiecych pokoleń starszej damy.

Odpłynął szybko, jakby od niej uciekał. Uwierzyła mu, że tak trzeba, gdy żagle wydymają się od niecierpliwości, a wiatr tylko czeka, by za nieposłuszeństwo odwrócić się od okrętu. Zniknął z jej kawałka morza w sposób zakłamanie magiczny, jak zdmuchnięty obcą siłą, pozostawiając w powietrzu opary diabelskiego pyłu, od którego rozkaszały się asystujące scenie pożegnania ptaki. Na początku tego nie zauważyła - była skupiona na utrzymaniu w ryzach swej rozedrganej płaczem dumy; wstrzymywała oddech i bicie serca. Dopiero, gdy największy żagiel okrętu Korsarza skurczył się na horyzoncie do rozmiarów skrzydła, dostrzegła, że cała plaża pokryta jest czarnym dymem. Dym ten, czyniący wysiłki, by wedrzeć się do jej wnętrza, zdążył już pokryć żałobą jej twarz oraz jasne włosy. Niedługo później przemałował na brzydką szarość olbrzymie połacie żółtych ptasich chmur.

Osamotniona Celesta pożałowała tej zółci, pokrewnej kolorowi złota, które ważne jest w świecie zagrożonym pogubieniem się w hierarchiach i ważnościach. A przecież to złoty znak korony pieczętował listy, które przysyłała Korsarzowi Królowa, wysyłając go na podboje obcych ziem, by ochrzcił je jej imieniem... Jakże drżała, kiedy je otwierał, rozdzierał pieczęcie i wdychał zapach królewskiego pergaminu! Ileż siły miały w sobie te ciężkie, złotem szlachetne listy, skoro z ptasią lekkością odbierały Korsarza Celeście?

I jak niewiele znaczyły dla jej babki, dziedziczki rodu y Peralta, skoro jedynym pogardliwym wygięciem ust kwitowała tłumaczenie konieczności podróży jej mężczyzny...

- Łatwiej jest wierzyć w królową niż w metresę, *pavro amor* - oświadczyła z wysokości swego tronu.

Kiedy Korsarz ostatecznie odpłynął, osamotniona Celesta sprawiła sobie nową suknię - brokatową, w srebrnym kolorze księżycy, który tamtego wieczoru zaczął świecić inaczej i odebrał wyspie lwią część życiodajnej poświaty. Celesta podejrzewała, że księżyc podzielił swoje światło: jedna połowa podążyła za okrętem Korsarza, druga pozostała, by w jego imieniu czuwać nad *castillo*. Uznała to

¹ Biedne kochanie.

za wspaniałomyślne i sprawiedliwie wobec dwojga dzieci Celesty i Korsarza: okrętu, czyli syna, z którym ojciec wyrusza na poznawanie świata, oraz *castillo*, pięknej córki, o której urodę winna troszczyć się matka.

Żadnemu z rodziców nie wolno było zaniedbać zaszczytnej opieki. Mogli tylko prześcigać się w trosce o pomyślność rodziny. Obojgu też należała się odpowiednia pomoc: Korsarzowi marynarze i majtkowie trzymający statek w porządku i gotowości, jej, Celeście, oddane służebne, potrafiące należycie zadbać o *castillo*.

Gospodyni marynowała w słoikach kupione wczesnym rankiem na rynku małe, czerwone papryczki.

- Znakomicie wyszły ci dzisiaj *empanadas*, Anico - pochwaliła dziewczynę, która niemal samodzielnie przygotowała cały obiad.

- Dziękuję - odpowiedziała grzecznie dziewczyna. - Dziecko zjadła dwa i niecała.

- Tak, sama widziałam. I to oprócz zupy!

Anica wycierała właśnie ostatni talerz po obiedzie.

- Ja myślę, dziecko niedaleko zdrowa.

Ciągle nie używała imienia chorej dziewczynki, także wtedy, gdy zwracała się do niej bezpośrednio, przy okazji codziennej pielęgnacji, przy myciu, jedzeniu, poprawianiu łóżka, nawet podczas małych wypadów do ogrodu. Gospodyni przypuszczała, że Anica posługuje się terminem „dziecko” z obawy przed uznaniem bliskości, jakby nadanie imienia oznaczało wstąpienie do ścisłej rodzinnej unii. Albo była to zwykła samoobrona, nakazująca Anicy nie wiązać się i udawać, że pielęgnuje jakąś obcą, bezimienną osobę, która tylko przypadkiem trafiła pod ten sam dach.

- Kiedy wrócisz do domu, będziesz mogła pochwalić się przed rodziną - stwierdziła Gospodyni, której bardziej podobałoby się widzieć w niej nie bezosobową pielęgniarkę, lecz starszą siostrę dziewczynki.

Anica spochmurniała i powróciła do osuszania ścierką talerza, który dawno powinna była wstawić do szafki.

- Oczywiście wrócisz tam dopiero wtedy, kiedy sama będziesz chciała.

Anica odwróciła się wolno i dość ponuro spojrzała na nią spod oka. Gospodyni zarejestrowała kolejną odśłonę jej nastroju; cieszył

ją każdy nowy wyraz twarzy dziewczyny, poznanej jako mechaniczna lalka, popsuta podczas destruktywnej wycieczki w dorosłość. Teraz przypominała zwyczajną nastolatkę, boczając się na rodziców za zakaz pójścia do kina.

- Przeszkadzam pani tu - powiedziała Anica mniej wyraźnie niż zwykle, aż trudno było stwierdzić, czy pyta czy stwierdza fakt.

- Nie, nigdy-zaprzeczyła pośpiesznie Gospodyni.-Przeciwnie, bardzo mi pomagasz, zwłaszcza przy niej. Ale przecież o tym wiesz?

Nieokreślonym ruchem głowy na cienkiej szyi Anica pokazała, że nie jest o tym do końca przekonana.

- Chodziło mi tylko o to, że pewnie już tęsknisz za rodziną.

Anica zastanowiła się przez kolejną długą chwilę, z wytartym do sucha obiadowym talerzem w jednej ręce i wilgotną ścierką w drugiej-

- Ale rodzina nie tęsknisz - oświadczyła w końcu, bardzo wolno, z mocniejszym niż zwykle akcentem, jednak starannie, jak przed komisją egzaminacyjną. - Nie potrzebuje.

- Nie potrzebuje twojego powrotu?

- Nie potrzebuje dziecko. Mnie.

- To niemożliwe.

- Tak, to nie niemożliwe.

Była niezwykle starana w swojej pracy. Takich zapraw jak ona nie potrafiła robić żadna z naszych kobiet, które, w przeciwieństwie do niej, od pokoleń zajmowały się gospodarstwem. Czasami jej pedanteria miała w sobie coś niepokojącego, jakby to, co robiła rękami, było tylko przeniesieniem jej skomplikowanego myślenia, które układała jak owoce w słoiki marynaty, by zamknąć je na trwałe i wypasteryzować.

Na rynku kupowała dajmy na to papryczki; choć starała się kupić tanio, musiały być najświeższe i w najlepszym gatunku. W domu myła je i suszyła, układała na stole tak, jak potem miała poukładać je w słoikach, ogonkiem do góry, ciasno jedna przy drugiej. Czekały na zalanie marynatą z oliwy, octu i ocukrzoney wody, w której pływały wybrane zioła, tworząc barwną mieszaninę kulek, łydzynek

i grubo mielonego pieprzu. Marynata musiała mieć odpowiednią temperaturę, a wypasteryzowane słoiki, wraz z ułożonymi równo na płóciennej ścierece nakrętkami, być gotowe do zakręcenia i wstawienia do spiżarni.

Gdyby w trakcie zajęcia zdarzyło się, że byłaby zmuszona odebrać się od niedokończonych prac, zadałaby gwałt sobie samej: oczami wyobraźni oglądałaby popsute, gnijące warzywa w źle zakręconych słoikach, które eksplodują w czystej spiżarni i ciężkim fetorem zarażają inne, prawidłowo przygotowane przetwory. O zawrót głowy przyprowadziłoby ją wspomnienie wysokiej ceny papryczek, niekończącej się drogi z rynku do domu, dźwigania ciężkiej torby, a nawet długiego, niszczącego skórę rąk czyszczenia warzyw pod bieżącą wodą.

Gospodyni mimowolnie popatrzyła na swoje ręce. Były gładkie i ich skóra wcale nie wydawała się zniszczona. Wzdrygnęła się, nie wiedząc, skąd pojawiły się w niej nagłe, bezsensowne troski. Walcząc ze sobą, odeszła od kuchennego blatu i usiadła na krześle przy stole. Ruchem dłoni wskazała drugie Anicy.

- Możesz odstawić już ten talerz, kochana - powiedziała zrezygnowana.

Dziewczyna nie zareagowała.

- Usiądź przy mnie, Anico - poprosiła Gospodyni. - Porozmawiajmy chwilę. Chciałabym, abyś trochę opowiedziała mi o sobie.

Odpowiedziało jej przygnębione westchnienie.

- A co?

- Mogłabyś opowiedzieć mi o twojej rodzinie. Właściwie nic o niej nie wiem.

- Pani nie wie?

- Rozmawiamy o małej, o mnie... Opowiedziałam ci swoją historię, a teraz chętnie usłyszałabym twoją.

Przemawiała cicho, w ten sam sposób, w który namawiała chorą dziewczynkę do wypicia gorzkiego płynu albo gdy tłumaczyła jej, że nic złego nie dzieje się ciemną nocą w domu, więc po co te przerażone oczy i krzyk...

- Moja historia zna pani już.

- Ależ nie... Nie wiem, kim są twoi rodzice, rodzeństwo, nie wiem, dlaczego ci się do nich nie śpieszy. Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie chcesz zobaczyć swojej rodziny.

- Bym chcę zobaczyć, tylko to nie wolno - stwierdziła ponuro Anica.

- Dlaczego nie wolno? Przecież nikt ci tego nie zabrania!

Ciemniejące oczy Anicy, a także nieokreślony ruch jej dłoni, świadczący o tym, że całe ciało zaczyna już drżeć na drewnianym krześle, na którym usiadła z grzeczności lub tylko z obowiązku podobnego do wszystkich innych w tym domu, zbiły z tropu Gospodynię. Było to uczucie kłującej bezradności, powstające w chwili, w której długie starania idą na marne - waży się długo kręcony sos, pracochłonne ciasto opada w piekarniku albo ubijana śmietana zmienia się w niepotrzebne masło. Choć spektakularne niepowodzenia w kuchni zdarzały się Gospodyni niezwykle rzadko, znała cierpki smak porażki.

- Opowiedz mi o swojej mamie - poprosiła łagodnie, próbę rantunku zaczynając od powrotu do pierwszych kroków postępowania.
- Kim jest i jak wygląda. Jest może podobna do mnie?

- Nie podobna jest.

Po długim, chmurnym zastanowieniu, w którym ważyły się zwątpienie i strach, Anica zdecydowała się mówić.

- Mama pielęgniarka w szpitalu dzieci - pod napięciem w jej głosie kryła się ochota na złość. - Dużo pracy, noc, dzień. Mało pieniędzy. Nie zarabiać. Szpital też bieda, medykament nie ma, mleko nie ma. Głodne dzieci często.

- To stąd tyle wiesz o pielęgowaniu chorych! - uśmiechnęła się szeroko Gospodyni, ukrywając wielką ulgę. - Powinnam była się domyślić.

- Siostra pielęgniarka też.

- Masz jedną siostrę?

- Mówiła ja pani już - Anica potrząsnęła głową. - Jedna stara, dwa mały siostra. Cztery dzieci. I trzy dzieci siostra stara.

- Taka duża rodzina? - ostrożnie zdziwiła się Gospodyni, niezupełnie ogarniając matematyczną formułę rodziny Anicy. - Twoja mama miała cztery córki, czy tak?

- Tak, cztery dzieci. Miała pracować ja też, ale nie chciała iść w szpitalu dzieci. Chciała uczyć.

- Ty, Anico, chciałaś się uczyć... - upewniła się Gospodyni.

- J a . Szukała pracy i znalazła w gazecie. Mama mówiła nie, chodź w szpital dzieci, nie za granica, ty zostawasz w Rumunia. Ja chciała zostawać w Rumunia, ale początek pracować pieniądze, potem uczyć. W domu mało miejsca, nie tak u pani. Dom mały bardzo.

- Rzeczywiście, ty, mama i trzy córki...

- I trzy dzieci stara siostra jeszcze. Ale bez mąż.

- Zaczekaj, zaczekaj, nie wiem, czy dobrze rozumiem... Twoja starsza siostra ma troje dzieci?

- Tak. Starsza siostra, co z mama pracować w szpital dzieci. Też pielęgniarka.

- A kto zajmował się jej dziećmi? - spytała pogubiona Gospodyni.

- Ja i mały siostra. Kto był w dom. Nie mąż siostra, nie, nie! On za granica, mówił pracować jechać, potem zapomniał.

O tego jeszcze jednego męża, który o czymś zapomniał, zrobiło się za dużo dla Gospodyni w jej drewnianej, wysprzątananej kuchni. Zapragnęła przeskoczyć jego temat, mimo zadowolenia z coraz dalszych wycieczek Anicy w przeszłość, która nie mogła być całkowicie złą przeszłością, skoro istniała w niej matka oraz siostry, pracujące i dbające o innych.

- Twoja mama nie chciała, żebyś wyjechała za granicę.

- N i e .

- I wyjechałaś wbrew jej woli?

- Wbre... woli?

- Wyjechałaś, chociaż ona tego nie chciała?

Anica uniosła nagle obydwie ręce, gwałtownym, niezwykłym sobie ruchem zaskakując Gospodynię.

- To ogłoszenie było w gazeta. Znalazła. Jak zadzwoniła, to przyjechany mężczyzna, samochodem, do domu. Witał mama i dzieci. Porządny mężczyzna, bogaty, samochód.

- To znaczy, że twoja mama znalazła ci pracę z ogłoszenia?

- Nie - zaprzeczyła względnie cierpliwie Anica, przyzwyczajona do zaburzonego rozumienia jej dłuższych wypowiedzi - ja znalazła ogłoszenie, ja zadzwoniła. Potem mężczyzna przyjechał do domu, przedstawia się mamie i siostry. Ja podpisała kontrakt.

- Więc mama się zgodziła.

- Na koniec zgodziła. Ale nie chciała. Mówi ma strach. Mężczyzna jej zostawał papiery, telefony, przekonał. Pieniądze dał, zaliczka. Dobra praca mówił, ja pomoc może dla domu.

Gospodyni najchętniej wróciłaby już do swoich papryczek, wysychających tymczasem i w równych rzędach oczekujących na zapakowanie w słoiki. Nawet powtórzenie całej procedury od początku wydało się jej łatwiejsze i bardziej wdzięczne od przerabiania historii, która jednak nie mogła być całkowicie szczęśliwa. Ukradkiem spojrzała na przyszcze Anicy, skutecznie gojone wspaniałomyślnym słońcem wyspy: a więc mogły powstać wcześniej niż podczas używania tanich, jednak skutecznych kosmetyków, którymi oblepiano ją w burdelu. Mogły obsypać dziewczynę już w jej własnym, niechętnie wspominanym domu jako naturalna zbroja albo kolce.

- Rozumiem... - skłamała. - Twojej mamie musiało być bardzo ciężko z gromadką dzieci, a może nie zrozumiała wszystkiego. Ale twój ojciec, co on powiedział?

- Nic powiedział - wyjaśniła sucho Anica. - Ojciec stary i chory.

- O - wyrwało się Gospodyni, uklutej jej nieoczekiwaną bezdusznością. - O niego również musiałyście się troszczyć?

- Aż nie tak. On pił dużo zanim.

Anica podniosła się z krzesła; jej ruchy wydały się Gospodyni całkiem nowe, odnalazła w nich automatyzm człowieka poruszającego się na pamięć po znanym pomieszczeniu. Trochę się tym ucieszyła: wcześniej musiała obcować z Anicą-gościem, a to zawsze wydawało się jej trudne. Nie zamierzała dopominać się dokończenia historyjki, z trudem uprzedzonej, zaklinowanej w dziewczynie jak łańcuch w wąskiej przestrzeni. Wyobraziła sobie, że chociaż na jego końcu wisi coś niezwykle ważnego, sam łańcuch również posiada swoją wartość. Jego pęknięcie - pociągniętego zbyt mocno lub

nierozważnie wypuszczonego z dłoni - może spowodować utratę jednego i drugiego.

Nie ustalając niczego, zamieniły się naraz funkcjami. Anica wstała, natomiast Gospodyni, uzbroiwszy się w cierpliwość, dobrowolnie pozostała przy stole. Anica zajęła się papryczkami, jakby jej również zaczęła doskwierać ich beczynność albo wzbudziło litość wysychanie. Zaczęła upychać je w słoiki, z wprawą, która nie mogła być ani zaimprovizowana, ani tylko podpatrzona; pracowała mechanicznie, choć bez szczególnego pośpiechu, jak skuteczna, wprawiona robotnica. Gospodyni obserwowała ją skupiona na słuchaniu, obywając się bez dodatkowych pytań. Dokonująca się na jej oczach kuchenna praca wyzwoliła w niej dodatkową cierpliwość, wspierającą zrozumienie utrudnionej wersji języka. Jak przy pomocy osobistego tłumacza, pojmowała bez kłopotu sens posiekanych zdań Anicy, tłustych od pomyłek i ciężkich od paradoksalnych improwizacji.

Anica pochodziła z dużej rodziny. Jej starsza siostra wcale nie była stara, lecz doświadczona, a poza tym nauczona mądrości na utraconym małżeństwie oraz nieobecności męża, który może nie był zły, jednak na pewno słaby. Zostawiała w domu trójkę własnych maluchów, by za żałosne wynagrodzenie pielęgnować cudze, jeszcze bardziej sieroce dzieci. Pomagała im w zdrowieniu i towarzyszyła w umieraniu, karmiła jak swoje niedostatecznymi porcjami szpitalnego jedzenia, którego ciągle brakowało, i dziękowała Bogu za zagraniczną pomoc dobrych ludzi. Pracowała w szpitalu na trzy zmiany, wstając o tak różnych porach dnia, że zaczynały się jej mylić - dzień z nocą i pora obiadowa z przedświttem. W swoim losie nie widziała jednak nic szczególnego; od chwili, w której została matką, zwyczajnie powtarzała los własnej rodzicielki, nie tracąc czasu na bezproduktywne pytania o sens życia. Jej celem było je przeżyć oraz przepchać przez nie potomstwo.

Matka tej dziewczyny - gdyby nie była biedna i otoczona gromadką dzieci - w pewnym sensie również pasowałaby do domu nad morzem: była istotą, której życie zaduszały obowiązki, oraz żoną, która poniosła porażkę. Zgodziła się na opuszczenie domu przez córkę... Jednak to nie zaliczka przekonała ją do uczciwych zamiarów

pośrednika; ta prosta kobieta przyjęła w dobrej wierze obietnice pracy z dziećmi, bo o magicznym *au-pair* dużo mówiono w jej biednym kraju... Nie, dzięki Bogu, rodzina nie sprzedała tej dziewczyny, nie zdradziła jej i nie pogrzebała pokładanych w niej nadziei. Tak naprawdę na nich wszystkich popełniono zbrodnię, wszyscy padli ofiarą oszustwa: dzielna, choć niezbyt mądra matka, starsza siostra, której nie starczało uwagi dla wszystkich zagrożonych dzieci, młodsze, niepytane o zdanie rodzeństwo, nawet ojciec pijak.

Tak właśnie nazywała go córka, nabierająca odwagi w przepuszczaniu obelg przez usta, pęczniące od pogardy przy każdym następnym użyciu. Słowo to w domu przy plaży zabrzmiało jak najgorsze przekleństwo i uraziło jego gospodynię z całym jej „szanuj ojca i matkę”... Jednak nawet to jej wielkie zażenowanie nie oszczędziło człowieka, który jako jedyny zdobył się na niewiarę i w swym pustym, podziurawionym alkoholem mózgu domyślił się prawdy. Tamta dziewczyna mówiła o nim „pijak”, jakby nie splukane resztki ojcowskiej miłości, a tylko alkoholowe majaki sprowadziły na niego wizję prawdziwej przyszłości córki. „Ma być kurwą?! Kurwą ma być?!” - powtarzał gniewnie, chwiejąc się na nędznym, choć utrzymanym w porządku pośłaniu, a one - matka i wszystkie jego córki - zanadto wstydziły się za niego przed dobrze ubranym pośrednikiem zagranicznej pracy, by przynajmniej spróbować go posłuchać.

Nawet teraz, po latach, podczas których spełniły się jego wcale nie pijackie, lecz kasandryczne wizje, łatwiej im było z niego kpić i gardzić nim właśnie po to, by nie musieć uznać go za mądrzejszego od wszystkich porządnych kobiet w domu, bardziej przewidującego i w gruncie rzeczy uczciwszego od reszty.

W złości Anicy na ojca ukrywało się jednak coś więcej, co Gospodyni zrozumiała nie tylko dzięki dodatkowej porcji błędów w języku Anicy, których w ogólnym zagęszczeniu nawet nie potrafiła policzyć. Stało się tak, ponieważ z rąk dziewczyny nieoczekiwanie wypadł jeden z gotowych, zakręconych już słoików, zbyt gwałtownie, by móc uwierzyć w przypadek. Nie stłukł się przy tym, aż przesądna Gospodyni przeżegnała się ukradkiem: nierozbity słoik

to nieszczęście, chociaż z drugiej strony, nie zmarnowała się taka dobra, gotowa zaprawa...

Anica podniosła słoik pośpiesznie i powróciła do pracy, jakby nie mogła już doczekać się jej zakończenia, natomiast Gospodyni, milcząca i zmartwiona, oceniała jej troski, wraz z warzywami wpychane do słoików. Patrzyła Anicy na palce, przeliczając w myśli proporcje nowej marynaty: ukrywane łyżki w zastępstwie soli, kulki goryczy jako gorczycowe ziarna, długie wąsy wstydu zamiast morskiej trawy... Do tego szczypiący żal, którego aż nazbyt rozrzućta porcja podwoiła moc zwyczajnego octu, pieprz palący jak samotna rozpacz, włoski koper niepotrzebnych perfum, bez których można się było obyć. Na koniec czosnek, jak odór z ust obcych mężczyzn, i wreszcie suchy liść laurowy z wieńca, na który nie zasługuje dziewczyna hańbiąca rodzinny dom.

Dotarłszy do ostatniego słoika, Anica zalała w nim octem temat ojca wraz z jego słabością, nakazującą jej nie wierzyć jego słowom. Zamarynowała w nim ojcowską ucieczkę w pijaństwo, zwalniając go z obowiązków, oraz swoją ucieczkę w pogardę, która ją z kolei zwolniła od miłości i szacunku. Pozostało już tylko udzielenie odpowiedzi na pytanie o powrót do domu, oczekiwane przez Gospodynię, która jak tłumacz kabinowy automatycznie przełożyła ją sobie na domowy hiszpański: nie może wrócić do domu, bo tamci będą jej w nim poszukiwać, fałszywy pośrednik i jego pracodawcy... zawsze grozili, że mogą skrzywdzić jej rodzinę, nie ma powodów im nie wierzyć, o nie, są w tym mistrzami... a mama i siostra... albo dzieci, którymi się opiekowała. Najstarsza bratanica ma już chyba osiem lat... Ojcu pewnie już nic nie zaszkodzi, bo czy do niego coś jeszcze dociera? Pijak jeden... Ale nawet jeśli przydałaby mu się jakaś kara... to nie taka, nie od tych ludzi. Wulgarnie zwyzywał gogusiowatego pośrednika. I ją też... Inaczej nie umiał jej zatrzymać. Szkoda, że nie zatrzymał. Może gdyby nie pił... Ale teraz nawet jego trzeba chronić przed tamtymi. To w końcu chory człowiek.

Ostry trzask rozbijającego się na podłodze nowego słoika zatrzymał Gospodynię w połowie ruchu, akurat w chwili, gdy chciała wstać i objąć Anicę, aby choć trochę wynagrodzić jej utracone przy-

tulenia w domu. Zastygła oniemiała, opryskana marynatą uwolnioną ze słoika, ze stopami w pęczniejącej kałuży pełnej ziół, z czerwoną - jakby ze wstydu - papryczką na końcu domowego pantofla. Przestraszony pies zaskowyczał spod stołu, nie rozumiejąc, że rozbite szkło przynosi szczęście, zwłaszcza teraz, kiedy już wyglądało na to, że naprawdę będą mieli pecha...

- Pani... - wyjąkała Anica, oszalałym wzrokiem przebijając firankę i szybę kuchennego okna - oni znaleźli... tu przychodzą... Po mnie.

Stanąwszy na progu domu, wysoko uniosła głowę. Drzwi wejściowe za jej plecami zatrzasnęły się z hałasem, strasząc psa, który odruchowo podkuilił ogon. Wietrząc niebezpieczeństwo od strony furtki, nie spodziewał się ataku od tyłu; uskokzył o kilka centymetrów, nie odstępując jednak swej pani. Wyczuwając jej napięcie i zdecydowany stanąć w jej obronie, przyczał się u jej boku i doprowadził do porządku ogon, siłą woli zmuszając go do pionowej pozycji jak drzewce proporca przed walką.

- Mamy nadzieję, że nie przeszkadzamy - zawołał zamiast powitania jeden z trzech mężczyzn, którzy - nie czekając na zaproszenie - sami otworzyli sobie furtkę i skrzypiąc butami po piasku, nonszalancko zbliżali się do domu.

- Owszem, *señor* Carillo - odpowiedziała ostro. - Nawet bardzo. Właśnie wychodzę do pracy.

Najwyższy z mężczyzn, jedyny, który w upalny dzień nie założył marynarki, lecz krzykliwą kolorową koszulę, uśmiechnął się do niej szyderczo.

- W kuchennym fartuchu? Zmieniła pani pracę, pani Tino?

- Nie przypominam sobie, że bym upoważniła pana do spoufalania - odpowiedziała lodowato, automatycznie kontrolując kompletność swego stroju. - Pana bezczelność nie ma granic.

Zachowując zimną krew, sięgnęła ręką za plecy i niezręcznie odwiązała węzeł fartucha, o którego istnieniu zapomniała. Odgrywając przed intruzami obojętność, zdjęła go bez pośpiechu i zmieła w kulę materiału, większą od jej dłoni i obcą w dotyku. Miała ochotę rzuć go na ziemię, czego jednak nie zrobiła, by zakłopotaniem nie sprawiać satysfakcji intruzom.

- Czego chcecie?

- Nie odpowiada pani na nasze listy, *señora* - powiedział najstarszy z przybyłych, siwy na skroniach mężczyzna.

Jego sposób mówienia był suchy i dość niewyraźny; gdyby w taki sposób odpowiadał któryś z jej uczniów, natychmiast nakazałaby mu powtórzenie kwestii.

- Odpowiedziałam na pierwszy z nich, panie mecenasie. A ponieważ już w drugim nie było nic nowego, trzeci bez otwierania wrzuciłam do kosza.

- To bardzo nierozsądne, *señora*, nie mówiąc już o tym, że niegrzeczne.

Skrzyżowała ramiona na piersiach, przesuwając wzrokiem po całej trójce. Estén Carillo zachowywał swój arogancki uśmiech, jego adwokat patrzył jej prosto w oczy, prezentując zawodową troskę, natomiast trzeci, pozostający kilka kroków z tyłu szatyn w przyciasnym garniturze, bez pardonowo rozglądał się po obejściu. Był masywny, niski, miał okrągłą twarz o wysokich kościach policzkowych i nie musiała przyglądać się dokładnie, aby wiedzieć, że nie pochodzi z wyspy. Znała natomiast rodzaj butów, które miał na sobie.

- W tym wypadku naprawdę nie widzę powodów do grzeczności, *señor* - oświadczyła, nie odmawiając sobie ironicznego akcentu na końcu zdania.

Trzeci z mężczyzn poruszył się na miejscu i zachrząścił podniszczonymi butami na piasku pokrywającym ścieżkę. Nauczycielka usłyszała stłumione warknięcie psa, który, coraz bardziej przerażony, niedwuznacznie odstłonił zęby.

- Idźcie stąd - powiedziała, ze względu na zwierzę zmuszając się do spokoju - denerwujecie psa. I na drugi raz nie otwierajcie furtki bez mojego pozwolenia.

Adwokat nie zwracał jednak uwagi ani na psa, ani na prowokację ochroniarza. Na jego twarzy pojawiło się dodatkowe skupienie, które wyczarował jak z rękawa, sprawnie i niemal przekonująco. Zaczął mówić odrobinę wyraźniej, jednak wciąż niewystarczająco głośno, jak ktoś nieprzyzwyczajony do plenerów huczących ptasim krzykiem. Nauczycielka ironicznie zacięła usta: polem jego działania

były wytłumione gabinety.

- *Senora* - adwokat starannie modulował głos - zaproponowaliśmy pani znakomite warunki. Nie powinna pani lekceważyć takiej oferty.

- Nie zamierzam sprzedawać mojego domu.

- Przecież potrzebuje pani pieniędzy... Słyszeliśmy, że zalega pani z podatkami. Nie wie pani, że za coś takiego grozi licytacja?

- Nie zalegam z podatkami! Poza tym termin płatności jeszcze nie minął! - mimowolnie podniosła głos, jednak ze względu na psa dość szybko się opanowała. - I skąd w ogóle pan o tym wie, panie mecenasie, jeśli wolno spytać? Sprawy urzędowe obywateli to przecież rzecz poufna?

W chwilach zagrożenia ona i jej pies obsadzali przyczółek proguswymi niepokąznymi sylwetkami. Gdyby zobaczył ich jakiś przechadający się po plaży turysta, jeden z wielu zagranicznych leni niezorientowanych w napięciach tutejszego podziału sił, nie zrozumiałby nic ze zdeterminowanej wojowniczości obojga. Uznałby ich za kolejny malowniczy, warty sfotografowania obrazek z wakacji: smukłą, jasnowłosą kobietę z rasowym, wyjątkowo pięknym psem płowej maści, wyprężonych na tle domu w wysmakowanym hiszpańskim stylu, jednym z ostatnich tego typu na wyspie.

Zwierzę reagowało na podniesiony głos; nawet głośny śmiech obcego człowieka wystarczał, by drżący pies - o jego dygotaniu wiedziała tylko ona, bo dotykał ciałem jej nogi - ostrzegawczo szczekał. Aby go uspokoić, kładła rękę na jego łbie, wściekła na intruzów i pełna współczucia dla zwierzęcia, którego nic prócz grożącego jej niebezpieczeństwa nie zmusiłoby do konfrontacji z innym człowiekiem. Czuła jego przerażenie i gotowa była rzucić się z pięściami na ludzi, którzy byli temu winni. Nienawidziła chwil, podczas których szły na marne jej starania przywracające psu zaufanie do ludzi - miesiące jej pracy okazywały się niczym wobec krótkiej obecności typków w przyciasnych garniturach. Nienawidziła ich, oraz tych, których ze sobą przyprawdzali.

W umyśle psa wszelkie zło uosabiali mężczyźni silni i milczący - tacy jak ochroniarze naszych hotelowych dyrektorów. Szefowie,

choć to oni realnie zagrożali jego pani, umykali jeszcze jego uwadze. Mimo napiętej czujności nie dostrzegał w nich niebezpieczeństwa, w swym psim umyśle nieświadomy ludzkiej skomplikowanej zdolności do czynienia zła oraz niewidzialnego potencjału szkodliwości, która obywa się bez pałki, kija albo stryczka. Po zwierzęcemu reagował tylko na sygnały prostej fizycznej agresji u człowieka, z którym łączyły go porównywalne funkcje - służenie, pilnowanie, ochrona oraz, kiedy trzeba, gotowość do rzucenia się na rozkaz do walki. Z wszystkich niebezpiecznych mężczyzn, którzy przełamywali granice jego terytorium, ochroniarz zawsze był tym, którego pies demaskował jako swego przeciwnika.

- Dosyć tego! - powiedziała Nauczycielka głośno, zła na siebie za niezdolność wepchnięcia z powrotem do gardła intruzom śmiechu panoszącego się po jej ogrodzie i straszącego jej zwierzęta.
- Wyoście się stąd.

Esten Carillo teatralnie wzniosł do góry ramiona, pod cienką koszulą napinając mięśnie, które pracowicie trenował w siłowni największego z podległych mu hoteli.

- Dlaczego rozmawia pani z nami w taki sposób? - zapytał ze złości odegranym wyrzutem, wymownie spoglądając na swego adwokata.
- Przecież jest pani wykształconą kobietą, z porządnej rodziny. Od uczniów wymaga pani dobrego wychowania, a do nas zwraca się pani słowami „wyoście się stąd”. Tak nie traktuje się gości!

- Nie jesteście moimi gośćmi.

- Nie powinna pani prowokować nas do tego, byśmy przestali zachowywać się jak goście.

- Bardzo ciekawi goście: diabeł, jego adwokat oraz jego goryl.

Nowy wybuch śmiechu zasyczał nad nią w powietrzu jak zapowiedź piaskowej burzy.

- Aż tak to po nim widać? - rozbawiony Carillo poklepał po ramieniu ochroniarza, który mierzył się wzrokiem z najeżonym do granic napięcia psem. - Oj, Ilja, Ilja, chyba popełniasz jakiś błąd...

- Wyoście się stąd - powtórzyła głośniej Nauczycielka.

Już od pewnego czasu wydawało się jej, że słyszy odgłosy dochodzące z wnętrza domu. Szybko zerknęła na psa, stały czujnik

i barometr spraw dziejących się w obrębie murów, ostrzegający ją zawsze wtedy, gdy była zbyt zajęta, by reagować w porę. Jednak zwierzę było skoncentrowane tylko na ochroniarzu i trzeba było pożaru, aby zmienić obiekt jego uwagi. W niej samej nie było już miejsca na strach; czuła złość, była wściekła na intruzów, na okoliczności, na przeszłość oraz przede wszystkim na siebie za brak pomysłów na najbliższe minuty. Wolałaby mieć dokładne wyobrażenie tego, co powinna uczynić z ludźmi, którzy uważając ją - może słusznie - za niegroźną, pyskującą kobietę, wkroczyli do jej domu z żądaniem, by go opuściła. Czuła się boleśnie bezradna i z bezradnością tą, gorszą od braku realnych środków do walki, nie potrafiła sobie poradzić.

- Chyba ktoś panią woła, *senora* - powiedział z udawanym współczuciem Esten Carillo. - Czy to nie przypadkiem pani chora podopieczna? Biedna, mała Eola?

- Możliwe - rzuciła wyzywająco. - Zaczekam, aż znikniecie, i zaraz do niej pójdę.

- Świetnie znam jej ojca - powiedział Carillo, uśmiechając się szeroko. - Oraz jej najstarszego brata, bo obydwaj pracują w moim hotelu. Przyprawdzali ją czasami, kiedy była jeszcze małą dziewczynką.

Poczuła, że brakuje jej oddechu, a zamiast niego pęcznieje w ustach chmura palącego powietrza, wpuszczonego prosto w nią z olbrzymiego, kosmicznego balonu po to, by ją rozerwać - najpierw usta, potem gardło i głowę, na sam koniec ją całą. Na krótką chwilę przestała widzieć, jednak już wkrótce znienawidzona, roześmiana twarz pojawiła się przed nią na nowo zza parawanu czarnej złości.

- Ty... - zacisnęła pięści, sprężona cała w sobie - ty...

Pies pierwszy skoczył do przodu, jeszcze zanim zdążyła się poruszyć. Szybki, jakby od prędkości tego ruchu zależało życie ich obojga, wyrzucił swe płowe ciało, jak skacze się z kładki pękającej nad kipiącą wodą. Celem jego lotu był jednak nie dyrektor hotelowej sieci, lecz goryl, którego całym przewinieniem był mały krok w kierunku Nauczycielki. Być może wcale nie miał złych zamiarów; pilnował się przecież tego dnia, kiedy nie nakazano mu nic poza prezentowaniem tępawej złourogości. Był zaledwie demonstracją

siły, jej potencjalną nadwyżką, do pokonania Nauczycielki wcale niepotrzebną. Gdyby nie pies, zapewne tak by pozostało.

Wolałyby poranić sobie pięści, dokładnie tak, jak w snach mściła się na wrogach, i uszczęśliwiły ją widok krwi spływającej po barwnej koszuli dyrektora Carillo, jednak nie podarowano jej takiej możliwości. Musiała ratować zagrożonego psa; okazało się, że goryl przyniósł ze sobą broń - „tak wiele zachodu z powodu jednej nieznaczej osoby!” - i chyba zamierzał z niej skorzystać. Nadgorliwość dyrektorskiego sługusa wywołała w niej nową nienawiść, gdyż i bez pistoletu świetnie poradziłby sobie z delikatnym chartem, którego cała siła tkwiła tylko w szybkich nogach. Błąd jej imitującego psa obronnego przyjaciela polegał na tym, że użył ich niezgodnie z przeznaczeniem. Powinna była zamknąć go w domu wraz z pozostałymi, o których wiedziała, że natychmiast skaczą obcym do gardła.

Śmiech Estena Carillo łomotał w jej uszach jak błazeńska muzyka wrogiej wojskowej orkiestry, kiedy zamiast na wroga, rzuciła się na własnego psa i siłą odrywała go od człowieka, któremu życzyła nagłej śmierci. Podczas nierównej walki, w której opowiedziała się po niewłaściwej stronie, myślała już tylko o tym, że tchórz oraz dopuszcza do tego, by jej pies również uznał się za tchórze. Ze zdrazca najwierniejszego z wiernych przyjaciela, który - nie potrafiąc nawet ugryźć człowieka - zaatakował go w jej obronie.

W końcu udało się jej go odciągnąć; w rozpacz bliska była już proszenia o litość dla psa na widok pięści, która, gdyby nie jej zbyt bliska obecność, dawno spadłaby na wąski psi kark. Objęła za szyję zięjącego, nieprzytomnego z emocji charta obydwoma rękami i, uznając ostateczną porażkę, schowała twarz w jego zjeżonej sierści.

- Pani Tino - z daleka dobiegł do niej zadyszany głos - pani Tino, czy wszystko w porządku?

Nie przestając trzymać psa za skórę na karku, uniosła się gwałtownie i butnie zadarła podbródek ku niebu.

- Nic nie jest w porządku! - zawołała głośno, pilnując siły uchwytu.

Następny niespodziewany gość pośpiesznie przechodził przez wejściową furtkę.

- Pański parafianin napada na mój dom w towarzystwie goryla, który chce zabić mojego psa!

Rysunek przedstawiający tę scenkę należałoby wykonać ostrą kreską: odchodzili jak złe powietrze, unosząc ze sobą swe osobne charaktery. Jak przesadnie zróżnicowane postaci z komiksów wracali tą samą drogą przez plażę ku asfaltowej szosie, przy której musieli zaparkować samochód. Nie znali przejścia za prawym skrzydłem rogu, skąd prowadził skrót, prywatne, przez wydmnę wydeptane przejście dla zaproszonych gości. Było ono wystarczająco szerokie, by od biedy zmieściły się dwa rowery, jednak już nie samochód. Przejście przeznaczone było dla jej przyjaciół, a ci rzadko posiadali samochody.

W komiksach najgroźniejszy z wrogów zawsze idzie pośrodku; także jej wróg był najwyższy i swobodnie poruszał się po plaży w sandałach nonszalacko założonych na bose stopy. Po jego obu stronach przedzierali się przez piasek adwokat oraz goryl, jeden i drugi w skórzanych półbutach i w garniturach, krzykliwie kontrastujący z otoczeniem. Łatwo było wyobrazić sobie ich nastrój: sarkastyczne rozbawienie szefa, podbarwione wstydem rozczarowanie adwokata - na pewno układał już w głowie projekty dalszego postępowania - oraz ochroniarza, który w swej kwadratowej głowie rozważał niedokończony pojedynek z psem i zachowanie jego histerycznej właścicielki.

Wielu z nas przeżyło już podobne demonstracje: ostentacyjnie nieskrępowany odwrót dyrektorskiej desantowej grupy należał do programu wizyty. Był to nieproszony, zaplanowany bis, odgrywany po to, aby po spektaklu ironicznych próśb, perswazji i kpiny, przyszli właściciele domu mogli pokazać nam swe szerokie, niedostępne plecy.

- To niebezpieczni ludzie.

Niechętnie odwróciła się do księdza, który z zaniepokojonym wyrazem twarzy śledził tę samą scenę.

- Mówi ksiądz o swoich parafianach?

- Nie o to chodzi...

- A o co? - przerwała mu niegrzecznie. - O co, jak nie o ludzi, którym ksiądz podaje co niedziela komunię? Obsługuje ksiądz rozbójników.

Patrzył na nią smutno i trochę bezradnie.

- Nie mogę z panią rozmawiać na temat sakramentów udzielanych innym.

- Jak szkoda!

Westchnął, w jej zielonych oczach nie odkrywając śladu dobrej woli.

- Chciałbym pani pomóc...

- Więc niech ksiądz to zrobi! Wypędzi tych ludzi z wyspy...

- Nawet gdybym chciał, nie mam takiej mocy.

- Nawet gdyby ksiądz chciał?

- Tu nie chodzi o moje osobiste sympatie czy antypatie. Jestem na służbie i mam swoje obowiązki.

- Jak ten goryl dyrektora Carillo?

- Oj, proszę pani...

Był od niej niewiele starszy. Miał krótko obcięte, wypłowiałe od słońca włosy i skórę ciemniejszą niż większość mieszkańców wyspy. Także jego akcent zdradzał obce pochodzenie i była to jedyna rzecz, która czyniła go podobnym do niej, kiedy zdenerwowana przestała zadawać sobie trud maskowania swego francuskiego „r”.

- Dyrektor Carillo łoży spore sumy na kościół, prawda?

Ksiądz Emilio przesunął wzrokiem po nogawkach swych mocno wypłowiałych sukiennych spodni. Pomyślała, że kiedyś musiały być czarne jak sutanna, którą zapewne zakładał tylko do niedzielnej mszy, jednak obecnie przypominały kolorem beton, którym na potrzeby budowanych hoteli zalewane były coraz rozleglejsze fragmenty plaży. Natomiast koszula księdza, spod kołnierzyka której wyglądała praktyczna plastikowa koloratka, była błękitno-szara, z przewagą tej samej szarości, którą uporczywie przykrywały niebo małe, krzykliwe ptaszki.

- Starca na świece, jednak już nie na remont dachu - odpowiedział jej niemal pogodnie. - Dyrektor Carillo stara się być użyteczny w inny sposób, na przykład urządzając kaplice w dwóch swoich hotelach. Dzięki temu wielu turystów nie opuszcza niedzielnej mszy, na którą zapewne nie wybrałoby się do naszego kościoła.

- Przekupuje księdza. Poza tym wcale nie robi tego ze względów religijnych. To zwykły marketing, proszę księdza.

Ksiądz Emilio nie pozwalał wyprowadzić się z równowagi:

- Dlaczego miałby to robić?

- Nie wiem dokładnie - wzruszyła teatralnie ramionami. - Aby go ksiądz nie przeklął? Nie ekskomunikował? Aby nadal udzielał mu tych wszystkich sakramentów, które są tak niesamowicie ważne dla każdego Hiszpana...

- Dla pani też są ważne - przypomniał jej łagodnie.

- Mnie niech lepiej ksiądz zostawi w spokoju! Nie o mnie trzeba się martwić, ale o innych parafian! O tych, co są wykorzystywani jako tania siła robocza, pracują dwanaście godzin z rzędu za osiem dolarów dziennie i nawet nie mają prawa usiąść w obecności hotelowych gości... Bo tamci słono płacą.

Kręcił głową, protestując w ten sposób od chwili, w której zaczęła przemawiać, nie dopuszczając go do słowa.

- Stała praca to wielka szansa dla tych ludzi i... - spróbował się wtrącić, jednak bezskutecznie.

- A l b o kobietom z Domu Schronienia, proszę księdza, dlaczego ksiądz się nie martwi o nie?

- To nieprawda i doskonale pani o tym wie...

- Albo ta mała Eola! Chce ksiądz usłyszeć, co ten łajdak na jej temat powiedział?

- Nie wiem - odparł poważnie, korzystając z okazji, by zabrać głos. - Jednak była u mnie jej matka...

- Jej matka?! - zawołała Nauczycielka z oburzeniem, które z nową gwałtownością ścisnęło ją za gardło. - Jak ona śmie iść do kogokolwiek i mieć coś do powiedzenia na temat tego dziecka? Powinna gnić w więzieniu!

- Wciąż jest jej matką.

- Tylko ją urodziła! Potem przez lata pozwołała systematycznie ją mordować!

- Przyszła do mnie po mszy - ksiądz pilnował swojego wątku - bo chciałaby zobaczyć córkę. Nie rozumie, dlaczego nie wolno jej pożegnać się z dzieckiem. Powiedziała mi, że gdyby Eola była

w szpitalu, pozwolono by jej ją odwiedzić.

- W umieralni, proszę księdza. To dziecko było przeznaczone do hospicjum.

Nazwę instytucji wypowiedziała pogardliwie, mimo że chodziło o miejsce, które, choć każde z nich z innych przesłanek, wspólnie organizowali.

- Być może Eola również chciałaby zobaczyć się z matką.

- Mam gdzieś jej matkę - oświadczyła głucho Nauczycielka. - Nie... to nieprawda. W rzeczywistości wołałabym ją zabić.

- Proszę pani!

- Co? Co, proszę księdza? - krzyknęła, uwalniając z gardła głos, którego nie wyrzuciła z siebie kilkanaście minut wcześniej, mimo że sprawiedliwiej byłoby użyć go przeciwko dyrektorowi Carillo i jego podwładnym. - Czego ksiądz ode mnie chce? Po co ksiądz mnie nachodzi?

Splótł bezradnie ręce, co robił często w kościele podczas kazania, poruszającego problemy, które mimo jego duszpasterskiej wiedzy wcale nie wydawało mu się jednoznaczne. Miał proste, chłopskie dłonie o spracowanej, popękanej skórze, która nie pasowała do jego zajęcia. Nauczycielce wydało się nagle, że dobrze zna jego bezsilny gest, używany wyłącznie w kontekście religijnych kazań z ambony.

- Mało ma ksiądz wdzięcznych parafian? - wysyczała z podwójną jadowitością, którą rozłożyła jednolicie na wszystkich chodzących do kościoła ludzi.

Myśl o dołączeniu do ich grona budziła w niej złość i obrzydzenie.

Patrzyli sobie prosto w oczy - ona, do której dotarł już chłód wiatru, przyklejający do skóry mokrą od potu białą bluzkę, oraz on, nie mniej od niej spocony po wyczerpującym biegu na pomoc. Opuścił ręce i zacisnął palce, chowając w nich wszystkie słowa przyniesione z kościoła kobietom, z których jedna właśnie przed nim stała i zamiast wdzięczności wyrzucała z siebie nienawiść. Nic nie wskazywało na możliwość spotkania którejś z innych mieszkank tego domu.

- Proszę pozdrowić ode mnie dziewczynkę. Chciałem się z nią zobaczyć, ale dziś nie będę już przeszkadzał. Przyjdę innego dnia.

Skinęła gwałtownie głową, jak wartownik odprawiający petenta bez ważnej przepustki.

- Chciałbym też porozmawiać kiedyś z tą młodą dziewczyną, która u pani mieszka. Czy może sądzi pani, że ona sama przyjdzie wkrótce do naszego kościoła?

- Bardzo by mnie to zdziwiło, proszę księdza!

Spojrzał w jej wrogię, zielone oczy i ostatecznie utracił całą nadzieję na porozumienie się z nią tego dnia.

- Może czegoś pani potrzebuje? - zapytał jeszcze ciszej niż poprzednio.

- Naprawdę nie wiem, w czym ksiądz mógłby mi pomóc. Kościół na pewno ma dość własnych kłopotów.

- To prawda... Mimo to... Proszę powiedzieć swoim podopiecznym, że o nie pytałem i że jeszcze przyjdę.

- Wszyscy mamy dość własnych kłopotów. Do widzenia, proszę księdza.

- Z Bogiem, pani Tino.

- Do widzenia.

31.

Był już naprawdę zmęczony - lekcją oraz długim oczekiwaniem jej na dziedzińcu. Poza tym bardzo chciało mu się pić.

- Czekasz pan na mnie, panie Rosa? - zapytała szorstko, dostrzegłszy go w końcu przed szkołą i uporawszy się z zamknięciem wejściowych drzwi za pomocą klucza, który długo wybierała z ciężkiego pęku.

- Chciałem powiedzieć, że nie będę miał czasu przeczytać pani książki - skłamał w przygotowany uprzednio sposób. - Chciałbym ją oddać, bo może ktoś na nią czeka.

Usiłował przeczytać powieść, którą mu pożyczyła, jednak była za trudna, mimo że przez pierwsze rozdziały sprawdzał mniej więcej co trzecie słowo. Wielu i tak nie znalazł w wiekowym słowniku, który kupił bezpośrednio od niej na wyprzedaży ze szkolnej biblioteki, zbyt ciasnej i niezwłocznie wymagającej miejsca na nowe książki. Podobno jacyś przyjaciele przysłali jej z kontynentu nowe podręczniki oraz aktualne słowniki. Udostępniała je uczniom nie tylko podczas zajęć w szkole, ale też przez dwie godziny w tygodniu, które spędzała, bawiąc się w bibliotekarkę. Zupełnie tak, jakby brakowało jej innych zajęć.

- Nie sądzę, by ktoś na nią czekał - jej odpowiedź brzmiała cierpko. - Wie pan równie dobrze jak ja, że wbrew waszej woli wciskam je wam do przeczytania. Bierzecie, bo boicie się odmówić.

Jak zwykle była bezlitośnie szczera.

- Chciałem przeczytać, naprawdę. To na pewno bardzo ciekawa powieść.

Wzruszyła ramionami.

- Niech pan się zgłosi, kiedy będzie pan miał czas. Chociaż zapewne nieprędko to nastąpi.

- Mam dużo pracy...

-Wiem, wiem... Wszyscy mamy dużo pracy.

- Idzie pani do autobusu? - zapytał niezręcznie, widząc, jak wciśka powieść do płóciennej siatki wypchanej podręcznikami. Mogła zostawić ją w szkole, jednak nie miała ochoty ponownie walczyć z zamkiem w drzwiach. - Pomogę pani to nieść, jeśli pani chce.

Podawała mu siatkę powypychaną rogami niedbale upakowanych książek.

- Proszę. Właściwie pan sam dołożył mi ciężaru. Mógł pan wcześniej oddać mi tę nieszczęsną powieść. Teraz nie mam już czasu wracać do biblioteki.

Wiedział, że jej autobus odchodzi dopiero za czterdzieści minut.

- A właściwie mi się nie chce - dodała, jakby czytając w jego myślach.

Wyglądała na potwornie znużoną. Była blada, jednak chociaż bardzo dokładnie przyglądałem się jej twarzy, nie dostrzegłem niczego niepokojącego. Kamień spadł mi z serca, tym bardziej, że gdy obserwowałem ją z mojej przedostatniej ławki, wydawało mi się, że widzę siniak w okolicy jej prawej brwi. Myśl o nim kompletnie mnie rozpraszała, tak bardzo, że zostałem trzykrotnie obrugany za podstawowe błędy gramatyczne. Chociaż ten trzeci raz był naciągany: świadomie ją sprowokowałem, licząc na to, że podejdzie bliżej. Jednak ona wołała zjechać mnie, nie ruszając się od stołu... Najwyraźniej oboje byliśmy zmęczeni - ja pracą na wieczorne zmiany, ona wybuchami swego niebezpiecznego pieniactwa. Zdecydowałem się więc zagadnąć ją po zajęciach pod pretekstem książki, którą równie dobrze mogłem oddać podczas lekcji.

Patrzyła na mnie w sposób, którego nie cierpiałem. Było ogólnie wiadomo, że traktuje uczniów z wyższością, której, szczególnie kiedy jest zdenerwowana, nawet nie stara się ukrywać. I że robi to najczęściej w stosunku do uczniów słabszych. Ja byłem jednym z tych słabszych; wiedziałem o tym nie tylko dzięki jej spojrzeń i ocenom z testów, ale głównie dlatego, że sam się za takiego uważałem. Jakby francuski był czymś trudniejszym od łowienia ryb.

Manuel wiedział, że usiłuje z nim rozmawiać tylko dlatego, by zagłuszyć ciszę wspólnej drogi.

- Gra pan na loterii? - zapytała go, gdy mijali stolik z rozłożonymi biletami loterii narodowej, pilnowany przez sennego mężczyznę, którego tusza była dobrą reklamą prowadzonego przez niego interesu.

- Nie, ale matka czasami kupuje parę losów.

- A h a .

Nie podejrzewał jej o jakiegokolwiek zakłopotanie, tym bardziej o ukrywaną nieśmiałość, w rodzaju tych, jakie dostrzegał czasami u niektórych gości w hotelu. Wiedział, że jest osobą, która lubi mówić i prawdziwie tego potrzebuje, odwrotnie niż on, po rozgardiaszu panującym w domu i w pracy najbardziej ceniący ciszę. Była nauczycielką języka, wybrała zajęcie, którego nie wykonuje się w milczeniu, trzeba mieć predyspozycje i pasję... Kiedy była mała, musiała być przerażająco gadatliwą dziewczynką, taką, jak jego najmłodsza siostra i jej koleżanki, dojrzewające w kobiety, jednak nadal pozostające piskliwymi i męczącymi dziećmi.

On, choć wolałby być artystą, został młodszym kelnerem, bo tylko taką pracę dano mu w ramach pozornego wyboru: ta albo żadna. I co? Okazało się, że to zajęcie nieźle do niego pasuje.

- A j a k pańska praca, panie Rosa? Przydaje się panu znajomość francuskiego?

Znajomość francuskiego... Jakby zapomniała o ocenach, które sama postawiła mu z dwóch ostatnich sprawdzianów. Jednak miała rację, francuski okazywał się całkiem użyteczny, a pojedyncze, starannie wybrane słowa, dobrze brzmiały w eleganckiej restauracji. W każdym razie były lepsze niż jego znoszone buty, wytrzymałość w prezentowaniu uśmiechu oraz zamiłowanie do milczenia. Mówił „Madame”, „Mademoiselle” i „Monsieur”, dziękował, witał i żegnał się po francusku, a na koniec, sam śmiertelnie zmęczony, życzył w tym języku spokojnej nocy. Chociaż zdarzały się też dość komiczne rozmowy z gośćmi, takimi, którzy chcieli popisać się znajomością miejscowego języka... Wówczas krzyżowały się przy stoliku lingwistyczne szpady: gościa ze złym hiszpańskim i Manuela, szermującego wybiórczo francuskimi formami grzecznościowymi.

W gruncie rzeczy nikt nie wymagał od kelnera - młodszego kelnera - który wykonuje proste czynności: zbiera zamówienia, przynosi i odnosi talerze, dziękuje i przeprasza za wszystko dłuższych konwersacji. Jednak, terminując jako kelner francuskojęzyczny, Manuel rozszerzył nawet swoje kelnerskie prawo do milczenia, zwłaszcza przy gościach z Francji i Kanady: przybysze ci, odkrywszy jego umiejętność rozumienia ich języka, z przyjemnością dzielili się z nim wrażeniami z wyspy. Zwalniali go przy tym od odpowiedzi, zadowoleni, że ich słucha, milczy i potakuje. *Vous avez raison, monsieur, mais bien sûr. Voulez-vous encore un verre de vin rouge? Tout de suite, monsieur, je vous remercie**.

- Staram się o pracę w recepcji - odpowiedział. - Tam na pewno mi się przyda.

Recepcja była celem, który wytyczył sobie w chwili, gdy przekroczył szklane drzwi hotelu i zobaczył jej królującego za marmurową ladą szefa. Wbił sobie wówczas do głowy, że recepcjonista to ktoś, kto nikogo się nie boi.

- Francuski w recepcji to za mało - stwierdziła jakby z żalem.

Gdy Manuel zaczął starać się o pracę, nie uczył się jeszcze żadnego obcego języka. Nie był wyjątkiem; w tamtych czasach ludzie z wyspy niezwykle rzadko pojawiali się w hotelach, a jeśli już, to jako ogrodnicy albo sprzątacze. Miejscowe pokojówki zaczynały od pomieszczeń ogólnych, a do pokoi gości dopuszczano je dopiero po specjalistycznym przeszkoleniu przez inne, ściągnięte z kontynentu, pracownice. Manuel znał kucharkę z wyspy, słynną z najlepszych potraw, w młodości właścicielkę własnej, znanej wszystkim garkuchni. Kiedy rodzina namówiła ją do podreperowania domowego budżetu u zagranicznych pracodawców, doceniono jej talenty i przyjęto do pracy na okres próbny jako podkuchenną.

- Zna pan dobrze angielski?

Kiedy przyjęto go na etat młodszego kelnera, Manuel rozpoczął trzy kursy jednocześnie.

¹ Ma pan rację, naturalnie. Ma pan ochotę na jeszcze jeden kieliszek czerwonego wina? Natychmiast, proszę pana, i dziękuję.

- Wystarczająco - uśmiechnął się pod nosem, pierwszy raz podczas tego popołudnia. - To znaczy mam taką nadzieję, że mój angielski mi wystarczy.

Kiedy pierwszy raz przyszedłem do hotelu w poszukiwaniu pracy, nie wiedziałem oczywiście, do kogo się zwrócić. Jak głupi wszedłem od razu głównym wejściem, akurat po to, by trafić na największego snoba - szefa recepcji. Był postawny, arogancki i wydawało się, że ma elastyczną twarz kukielki z teatrzyku. I miał kaprys powitać mnie po angielsku.

Kpił ze mnie w żywe oczy, posyłając mi ufryzowane brytyjskim akcentem formułki, kiedy stanąłem przed nim w moich wypastowanych na trupa biel adidasach. Wiedział od początku, z kim ma do czynienia, bo nie istniała najmniejsza możliwość pomylenia mnie z którymś z gości - synem zamożnej zagranicznej rodziny lub młodym studentem, któremu podczas wakacji wolno snuć się w podobnych, choć nowszych i mniej zużytych butach. Ja jednak wcale nie czułem się szczególnie obrażony, wydawało mi się wręcz, że go rozumiem. Może tamten po prostu chciał zostać aktorem i już szkolił się w tym kierunku? Zwyczajnie trenował, nie inaczej niż ja teraz, kelner, który szykuje się na szefa recepcji.

Zostałem odesłany do tylnego wejścia, jednak nie od razu. Najpierw musiałem wysłuchać całej serii ćwiczeń z angielskiej wymowy recepcjonisty, który przy okazji nie omieszkiał zaprezentować mi palety uczuć odmalowywanych na jego bladej, odróżniającej go od nas, miejscowych, twarzy. CZEGO tu chcesz? KTO cię tu przysłał? NIE widzisz, że tu jest GŁÓWNE wejście? Dla GOŚCI? PRACA? Nie wiem, nic mi O TYM nie wiadomo. W jego przemowie do czasu do czasu pojawiały również hiszpańskie słowa, jednak sposób, w jaki je akcentował, sprawiał, że brzmiały dość pogardliwie. Idź do budynku na tyłach ośrodka. Tam jest biuro szefa personelu. PERSONALNY. Na murze są małe strzałki, powinieneś znaleźć.

Znalazłem. Idąc do biura szefa personelu na tyłach ośrodka, nadal miałem przed oczami twarz recepcjonisty wypowiadającego ostatnie słowa. Mógł już zetrzeć z niej resztki uprzejmego i serdecznego uśmiechu, w który ustroił się na pierwsze chwile, potrzebne

mi na sforsowanie drogi do recepcyjnego ołtarza. Właściwie byłem z siebie zadowolony. Umożliwiłem mu jego przedstawionko, którego odegranie sprawiło mu tyle radości.

Wiedziałem już, że nadaję się na wdzięcznego widza cudzego widowiska.

- Domyślam się, że recepcjonista lepiej zarabia - powiedziała.

„O tak”. Dostaje nawet napiwki, które dla kelnerów w hotelu działającym systemem *all inclusive* są rzadkie i raczej symboliczne. Przed recepcjonistą, nawet młodszym, czyli pracującym głównie na nocnej zmianie, otwierają się możliwości wyświadczania przysług gościom, którzy w swoich krajach przywykli do wyrażania wdzięczności w formie pieniężnej. Najpierw są to drobne rzeczy w rodzaju podestania dodatkowego koca czy użyczenia wtyczki-adaptora do zagranicznej lokówki lub golarki. Po paru latach, już na stanowisku samodzielnego recepcjonisty, uzyskuje się wpływ na przydział pokoi i kasuje grube banknoty, którymi goście dziękują za udostępnienie widoku na morze.

Manuel nie zamierzał wprowadzać jej w najbardziej intratną sferę usług hotelowych, zarezerwowaną dla ścisłej elity recepcjonistów obeznanych w swoim fachu. Sam odłożył sobie ten problem na później, jako rzecz odleglejszą od ukończenia kursu francuskiego, angielskiego oraz hotelarstwa. Na razie zajmowali się tym inni, wprawni w zaspokajaniu zainteresowań gości, zwłaszcza mężczyzn przyjeżdżających na wyspę samotnie, bez żony i krzyczących dzieci. Nawet najlepsi ojcowie opuszczali czasem hotel na kilka godzin, pod pozorem jakiegokolwiek wiarygodnie brzmiącej czynności... Doświadczony personel godziwie zarabiał na dyskretnym transporcie do konkretnego przybytku. Albo, co nie było dużo trudniejsze, na dostawie młodego towaru bezpośrednio do pokoju.

- Tak mówią - odpowiedział.

Obserwował ją spod oka. Zapewne nie miała o tym wszystkim pojęcia, ona, o której mówiono, że trzyma w domu dziwkę z kontynentu. Koledzy z pracy, ci, którzy wiedzieli, że chodzi na jej kursy, już od dłuższego czasu męczyli go o szczegóły. Jakby mógł ją o to tak po prostu zapytać... Ktoś rozgłosił plotkę, która rozniosła się

powoli nie tylko wśród jej uczniów, ale także w miasteczku. Manuel wystraszył się nie na żarty, gdy o potwierdzenie pogłoski poprosił go w hotelu jeden ze zwierzchników.

- Nie nadaję się na kelnera - powiedział w nierozważny sposób szczerze, ujawniając Nauczycielce tajemnicę, której się wstydził. - Bołą mnie plecy.

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

- W recepcji wolno siedzieć, kiedy nie ma nikogo w holu - wyjaśnił jej jeszcze, uprzejmie trzymając się jednego tematu, którym odganiał myśli o prostytutce, mieszkającej z nią pod jednym dachem. - Zwłaszcza w nocy, po drugiej, trzeciej godzinie, gdy w zasadzie ruch ustaje.

Uśmiechnęła się lekko, bez wesołości.

- Natomiast w restauracji, choćby była pusta, nigdy. Słyszałam o tym. A wszystko za kilka dolarów dziennie.

Pomyślał o strachu nachodzącym go za każdym razem, kiedy choć na parę sekund przykucał w kącie, by odciążyć plecy. Rzykował, bo starsi kelnerzy mieli - według słów podległych im kolegów - oczy dookoła głowy.

Nie oznaczało to wcale, że dawali temu dowód sprawnym obsługiwaniem gości: nie, na tym polu woleli zachować funkcję kontrolną **1** do pracy posyłali młodszych.

Droga wiodąca do przystanku autobusowego zbudowana została w czasach, kiedy na wyspie nie kursowały jeszcze autokary rozwożące gości po hotelach. Była wąska i miała porozjeżdżane chodniki. Tylko gdzieniegdzie zachowały się krawężniki, o które zahaczały ciężarówki niedające rady z zakrętami i wymijaniem. Kiedy powstawała, myślano raczej o konnych wozach, z których wiele nadal kołatało się po wyspie, wyciąganych w dni targowe przez biednych wieśniaków, zbyt upartych, by poddać się wymogom cywilizacji, albo mieszkających zbyt daleko od wybrzeża, by móc lepiej zarabiać w branży turystycznej.

Konie i muły, nawet te, które urodziły się już w dobie swych mechanicznych braci, ciągle nie przyzwyczyły się do nowego porządku na drogach. Bały się hałasu i swym zwierzęcym szóstym

zmysłem nie dowierzały pojazdom; na drodze często toczyły się prawdziwe boje, jednak nie o dominację, gdyż żadne zwierzę nie było tak głupie, by chcieć konkurować z metalowymi, obco cuchnącymi potworami. Czworonogom pozostawało jedynie stawianie rozpaczliwego oporu właścicielom, których zaklinały o powrót do domu, do stajni, do paszy...

Robiły to wciąż na nowo, choć jedyne, co udawało im się osiągnąć, to następne uderzenia batem, często spadającym na otwarte rany.

Manuel i Nauczycielka dotarli tymczasem do przystanku autobusowego, oznaczonego jedynie tablicą oraz znakiem koperty namalowanej na popękany asfalcie, bez wiaty czy zadaszenia. Na autobus czekała tylko jedna kobieta, tak jak Nauczycielka jasnowłosa i nawet nieco do niej podobna, z wypakowanym po brzegi koszem, odstawionym tuż przy nogach, jakby obawiała się kradzieży.

- Wciąż nie chce mi się wierzyć w to, że uczę młodych ludzi języka po to, by obcokrajowcy wysługiwali się nimi za marne grosze - powiedziała Nauczycielka cicho, jakby wstydziła się wyznania przed obcą kobietą. - A jednak robię to, wmawiając sobie, że daję im podstawę egzystencji.

- Bo tak jest - odpowiedział. - Bez tego w ogóle nie miałbym szans.

- Szans... Właściwie na co, panie Rosa? Musiałabym sama śmiać się z siebie, gdyby powiedział mi pan, że zyskuje pan szansę czytania Dumasa w oryginale.

Książka, którą jej oddał, była jedną z jego powieści - *Czterej Muszkieterowie*, nic trudnego, gdyby się postarał, zdołałby zapewne ją przeczytać, tym bardziej, że oglądał film nakręcony na jej podstawie. Pamiętał, że wówczas najbardziej polubił Atosa.

- Chodzi o stały zarobek, wie pani.

Nie został rybakiem, bo bał się ryb, nie sprzedawał ryb na rynku z powodu ich zapachu i nie nosił skrzynek z rybami ze strachu przed tym, że ostatecznie zniszczy sobie plecy. W gruncie rzeczy uważał się za tchórza, który tylko dlatego dąży do jakiegoś celu, bo każde zatrzymanie się w drodze oznacza strach przed ponownym ruszeniem do przodu.

„Marsz odbiera lęk przed dojściem do celu” - przeczyta! kiedyś. Sam dopisał sobie dalszy ciąg: A rzeczy oglądane przelotnie są mniej straszne niż gdyby trzeba było przed nimi stanąć i dokładnie się im przyjrzeć.

- Mógłbym chodzić po plaży i sprzedawać coś turystom. Ale wtedy też przydałaby mi się znajomość języków.

Odkąd całe wybrzeże zapełniło się hotelami oferującymi całodzienne wyżywienie albo sławetne *all inclusive*, padła większość restauracyjek i barów prowadzonych przez miejscowych ludzi. Przeżyły tylko knajpki skupione w centrum wyspy, tak mało atrakcyjnym turystycznie, że przywożeni autokarami turyści ledwo wytrzymywali w nim dwie obowiązkowe godziny. Po zwiedzeniu kościoła z dzwonicą, ruin starego klasztoru oraz po zajrzeniu do opuszczonego domu starej czarownicy (bajka wymyślona przez przewodników) nikt nawet nie zdążył zgłodnieć. W okolicznych barach, które trzymały się jako tako dzięki miejscowej ludności, turyści kupowali co najwyżej colę albo butelkowaną wodę mineralną.

- Ma pan rację, to nie jest żadne wyjście.

Jej zielone oczy patrzyły na niego pochmurnie, więc spróbował się uśmiechnąć w naiwnej próbie pocieszenia. Przyszło mu do głowy, że chciałby znać jej wiek. W pełnym słońcu, z rozwianymi włosami, które uwolniły się z jej koka, wcale nie wyglądała aż tak staro. I, Bogu oraz ojcu Emilio niech będą dzięki, na pewno nikt jej nie uderzył.

- Kiedyś zostaniemy menedżerami, tak jak pani chce - odwołał się do jej zaleceń, powtarzanych zbyt często i frustrujących większość uczniów. - Przejmiemy stanowiska tych z zagranicy.

- Może mi pan to obiecać?

Choć spodziewał się po niej zwykłej, irytującej powagi, nagle zabawnie wygięła w dół kąciki ust, zupełnie jak jego najmłodsza siostra, kiedy prosiła, by przyniósł jej coś z restauracji. A on, choć ryzykował w ten sposób bardziej niż przykucaniem pod ścianą w kącie sali, spełniał czasami jej płaczliwe prośby.

- To może potrwać jeszcze parę lat - przestrzegł ją, z całej siły starając się mówić żartobliwie. - Dyrektorzy tacy jak Soriano czy Carillo łatwo nie zrezygnują.

- Niestety.

- Oni... - zawahał się. - Pani o tym wie, prawda? Są cholernie uparci.

Jej twarz zmieniła się w przeciągu sekundy, jak wtedy, gdy coś przerywało jej czytanie francuskiego tekstu. Niemal pożałował, że się odezwał, jednak nie miał wyboru. Nie po to czekał na nią przed szkołą, dźwigał jej książki, nie po to stał teraz w pełnym słońcu, grzejącym jego czarnowłosą głowę silniej niż jej jasną. Na pewno nie dlatego narażał się na śmiechy kolegów tym, że się o nią troszczy.

- Co pan ma na myśli?

- Słyszałem, że wybierają się do pani - nie SŁYSZAŁ, lecz z prze-
rażającą dokładnością WIEDZIAŁ. Znał godzinę oraz ich zamiary.

- Naprawdę przyszli do pani domu?

- To nie pana sprawa, panie Rosa.

- Przepraszam.

- A właściwie skąd pan o tym wie? - Zaczynała wyglądać na wściekłą. - Znowu podsłuchał pan rozmowę?

Nie moja sprawa, rzeczywiście... Ani moja, ani niezadowolonego księdza, którego jakoś udało mi wysłać do niej z pomocą, choć twierdził, że ma mnóstwo spraw na głowie i tylko z niektórych wolno mu było zrezygnować. Kiedy wpadłem do niego, zaraz po ciągnącej się jak ciasto popołudniowej zmianie, spryskiwał akurat jabłka na swoich trzech chuderlawych jabłonkach... Wywarem z czosnku **1** gorczycy, co może odstraszało w jakimś stopniu robactwo, jednak na pewno nie robiło wrażenia na ptakach.

Ależ one na mnie patrzyły! Obydwie, ona oraz podobna do niej gospodyni z koszem. Ich spojrzenia były wyczekujące i pełne pretensji. I co miałem powiedzieć? Wyjaśniać im, że wcale nie muszę uciekać się do czegoś takiego jak podsłuchiwanie, skoro jestem postacią tak nieważną, że osoby w randze dyrektorów nie tylko mnie nie zauważają, ale nawet nie ściszą przy mnie głosu? To tak, jakbym był palmą ustawioną w holu lub małpką czy papugą utrzymaną w klatce dla rozrywki gości. Już prędzej zwróciliby na mnie uwagę, gdybym poplamiał sosem marynarkę mego kelnerskiego zakiecika...

Ale i w tym wypadku ich zainteresowanie byłoby równe złości na papugę za to, że zbyt głośno krzyczy, albo na palmę, że zwiędła.

- Ksiądz Emilio mi powiedział.

Pod jej nieugiętym wzrokiem zdecydował się rozbudować swoje kłamstwa:

- Spotkałem go na drodze i zapytałem co się stało, bo był bardzo zdenerwowany.

Tak naprawdę czekał przerażony w przykościelnym ogrodzie i przy pomocy staroświeckiego urządzenia usiłował opryskiwać czosnkiem księżowskie jabłunki. Wolałby popędzić razem z nim, po drodze wytrząsając z siebie dręczące myśli o tym, co grozi ze strony hotelowych bonzów za jawną pomoc Wariatce z Castillo. Jednak pobiegłby i tak, gdyby tylko ksiądz Emilio mu nie zakazał. I nie wcisnął mu w ręce tej cholernej opryskiwarki, udając, że nie widzi jak drżą.

- Mój pies był bardziej zdenerwowany-wycedziła Nauczycielka, patrząc prosto w twarz kobiecie z koszem, aż tamta zawstydydziła się podsłuchiwania.

Nie mogąc się oddalić, zrobiła dwa kroki do tyłu. Miała niewielkie stopy i całkiem podobne do pantofli Nauczycielki buty na płaskim obcasie. Przyjrzał się im automatycznie, oceniając ich przydatność do długiego chodzenia. Choć nie znał się na kobiecym obuwiu, wyglądały na wygodne i z pewnością oszczędziłyby bólu i pęcherzyjego koleżankom kelnerkom, zmuszanym do chodzenia na obcasach.

Jeszcze raz spojrzął na stopy Nauczycielki i mimowolnie wyobraził ją sobie idącą przez marmurowy hotelowy hol w błyszczących - najlepiej czerwonych - szpilkach. I oblał się rumieńcem, jak wtedy, gdy spowiadał się w kościele z nieczystych myśli i poczynań, na szczęście, pod osłoną mroku.

- Autobus już jedzie - powiedział cicho do obydwu kobiet.

Oddał Nauczycielce siatkę z książkami, której mimo ciężaru nie odstał ani na chwilę na brudny chodnik tak, jak nieznamoma kobieta uczyniła to ze swoim koszem. Chciał pomóc i jej przy wsiadaniu, lecz uprzedzając go, szybko wspięła się na stopnie zdezelowanego

autobusu. Aby uniknąć wzroku Nauczycielki, patrzy! tylko na nią, kiedy podawała bilet czarnoskóremu kierowcy w uniformie.

- Do widzenia, panie Rosa - usłyszał szorstkie pożegnanie, w którym „r” rozpoczynające jego nazwisko zabrzmiało jak rozgniatanie metalowej kuli przez ziarnistą prasę, a ton, który je uformował, był jednoznacznie wrogi.

- *Au revoir* - zrewanżował się tym samym, dotknięty jej niewdzięcznością. - *Au revoir, Madame.*

Być może wcale nie zauważyła tej jego nadgorliwości. Gdy autobus odjeżdżał, głośno i w chmurze duszącego dymu, siedziała już obok drugiej kobiety, tej z koszem. Odprowadzający je wzrokiem Manuel pomyślał, że na całej wyspie znalazłyby się może trzy jasnowłose kobiety, nie licząc, oczywiście, turystek. Oraz że chciałby usłyszeć, o czym rozmawiają, i przekonać się, czy łatwiej przychodzi im porozumienie jako osobom połączonym szczególnym podobieństwem, tak bardzo odróżniającym je od zwyczajnych ludzi.

32.

Jabłka, które okazały się zbyt ciężkie na plastikową, wielokrotnie używaną reklamówkę, rozsypały się po ścieżce. Pręgowana kotka podbiegła do nich z ciekawością, jednak cofnęła się natychmiast, odprawiona krótkim szczeknięciem psa o jasnej sierści, który pojawił się w drzwiach domu, zaledwie o trzy kroki wyprzedzając swoją panią.

- Witaj, Tina - przywitała się dyrektorka Domu Schronienia, pochylając się, by pozbiierać owoce. - Psiakrew. Przywiozłam je od ciotki, a teraz się poobijają.

- To nic - stojąca na progu kobieta wyglądała jakby oderwano ją od ważnego zajęcia, od którego nie powróciły jeszcze wszystkie jej myśli. - Mogą być pobijane.

- Zrobisz z nich jakiś pyszny mus albo kompot?

- Chyba żartujesz!

Nauczycielka roześmiała się głośno, jakby usłyszała jakiś nowy dowcip. Dyrektorka podniosła z ziemi ostatnie jabłko i otarła je o materiał spódnicy. Lubiła śmiech przyjaciółki, nieczęsty i ładnie brzmiący w godzinie gasnącego popołudnia, w które pojawiła się bez uprzedzenia, prócz jabłek przynosząc obawę przyjścia nie w porę. Niezwykle rzadko odwiedzała Nauczycielkę w domu; dla obydwu wygodniejsze były spotkania na neutralnym gruncie plaży lub miasteczka.

- Stało się coś?

- Nie, skądże znowu... Czy nie mogę czasem przyjść do ciebie bez powodu?

- Ależ możesz! Pewnie.

- Nie masz za dużo pracy?

- Nie, właściwie nie. A ty?
- Skończyłam na dzisiaj, jestem zmęczona. Musiałam stamtąd wyjść. A że w kącie gabinetu czekała jeszcze ta torba z jabłkami dla ciebie, pomyślałam, że ci ją przyniosę.
- To świetny pomysł-powiedziała Nauczycielka bez entuzjazmu.
- Dziękuję ci. Byłaś u ciotki... Z jakiejś konkretnej okazji?
- Sześćdziesiąte piąte urodziny.
- Ho, ho.
- Oczywiście zostało pełno jedzenia i ciotka dała mi zapasy na cały tydzień. Jej zdaniem, kobieta, która nie ma męża, nie potrafi także gotować.

- A co z kobietą, która JUZ nie ma męża?

Roześmiały się głośno, wplatając śmiech w ptasi chór, gromadzący się o tej porze na dużej gałęzi drzewa, jak wskazujący palec oskarżycielsko wytkniętej w kierunku morza. W ogrodzie mocno pachniało ziołami, jak zawsze, gdy słabł wiatr i przestawał okradać go z zapachu. Jabłka dyrektorki wzbogaciły powietrze o nową, cytrusową nutę.

- Dla ciebie dała jabłka.
 - Które ty potłukłaś.
 - Właśnie. Nie dość, że nie umiem gotować, to jeszcze niezgraba ze mnie.
 - Nie szkodzi. I tak cię kocham.
- Dyrektorka zamrugała powiekami, niechcący, nerwowo.
- Usiądziemy czy mam sobie zaraz iść? - zapytała.
 - Przepraszam cię, oczywiście, wejdźmy do domu.
 - A nie mogłyśmy zostać tu? Cały dzień przesiedziałam w zamkniętym pomieszczeniu.

Przed jej domem stały drewniane meble ogrodowe, całkiem solidne, jednak aż do przesady proste. Nie wyglądały na nowe, jednak ktoś widział, jak niedawno odświeżała je białą farbą. Krzesła zrobione były z listewek, które pozostały nierówne i z pewnością nie zapewniały komfortu siedzącemu.

Naszym zdaniem, jej dom na wydmie nie został wyposażony w wygodniejsze sprzęty przez czystą przekorę, jedynie po to, aby

podkreślić jego odrębność od zabudowujących go z każdej strony kompleksów hotelowych. Po prostu nie wolno mu ich było w niczym naśladować - a już z całą pewnością nie gryzącą w oczy nowoczesnością, wyrażaną za pośrednictwem leżaków, plastikowych stolików na kółkach, leżanek i dmuchanych materacy. Jej dom miał pozostać inny, na mocy zacieklej konserwatywności rzeczy, które są atakowane od zewnątrz. Dzięki swej osobności dom trzymał świat na odległość i trwał uparty jak ołowiany żołnierz bez munduru, świadomy tego, że upodobnienie do reszty oznacza wtopienie w tło. Wkadrowany w obcą całość stałby się tylko kolejnym, pozbawionym znaczenia elementem syntetycznej dekoracji krajobrazu.

Była to jedyna i ostatnia walka tego domu, daleko ważniejsza od przeciwstawiania się zalewaniu przez morze, zasypywaniu przez piasek czy nawet nieuchronnemu, powolnemu obracaniu się w pył.

Dyrektorka poprawiła się na niewygodnym ogrodowym krześle.

- Eola śpi?

- Tak, dałam jej krople na uspokojenie, bo krzyczała dzisiaj w nocy - powiedziała Nauczycielka. - Rozmawiałam o tym z lekarzem, jednak on nie ma pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Pamiętają ze szpitala jako najcichszą pacjentkę ze wszystkich.

- Wszyscy, którzy o nią pytają, tak właśnie ją zapamiętali...

- Niestety - Nauczycielka siedziała na swoim krześle prosto, jakby chciała stworzyć z nim jedną całość, mimo swojej szczupłości, wobec której siedzenie na twardych deseczkach nie mogło być niczym przyjemnym. - Mam na ten temat swoją teorię, wiesz?

- Jaką?

- To, że ona wykrzykuje teraz wszystkie swoje krzywdy, pozbywa się ich, kiedy nic jej już nie zagraża. Oczyszcza się.

- Masz na myśli zdrowienie?

- Może. Nie patrz na mnie tym twoim sceptycznym wzrokiem. Wiem, że uważasz mnie za największą pesymistkę świata.

Nauczycielka uśmiechała się ciepło, aż przyjaciółka poczuła niepokój, którego nie lubiła. Siedziały blisko, prawie dotykając się kolanami, co dla gospodyni domu nie było niczym ważnym. Jednak drugiej, siedzącej w zasięgu jej zapachu kobiecie, niepotrzebne były

żadne ryzykowne eksperymenty. Ciaśniej złączyła nogi i położyła dłonie na swych okazałych, trochę męskich kolanach.

- A przecież ja jestem tylko bardzo pogodną pesymistką - usłyszała.

Teraz i ona pozwoliła sobie na śmiech, który wypłynął z niej jak przypadkiem odtworzona ścieżka dźwiękowa filmu rejestrującego dawne wydarzenia: Nauczycielki walczącej z radą miasta, Nauczycielki pikietującej pod otwieranym Delfinarium, Nauczycielki wyzywającej od najgorszych zaambarasowanego, Bogu ducha winnego proboszcza miejscowej ubogiej parafii...

- Naprawdę Bogu ducha winni - powiedziała głośno, nie usiłując nawet sklecić myśli w świadomie konstruowane zdanie.

- Kto?

- Ty i ksiądz Emilio. Jesteście do siebie podobni.

- Przestań! - oburzyła się Nauczycielka. - A co ja mam z nim wspólnego? Odważył się przyjść do mnie, wiesz?

- Słyszałam. Podobno cię uratował.

Nauczycielka zachłysnęła się ze złości, jednak zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przyjaciółka uspokajającym gestem położyła jej dłoń na kolanie. Trwało to parę sekund, zbyt długo na nieświadomy gest, zbyt krótko na wstyd z powodu czegoś, co nie powinno się dokonać. Pocieszenie, w założeniu zwyczajne, oparzyło dłoń dyrektorki, która cofnęła ją pośpiesznie. Za chwilę pogładziła jednak, już świadomie i zwyczajnie, chłodne ramię siedzącej obok kobiety.

- To twój przyjaciel, a ty dobrze o tym wiesz - powiedziała.

Tamta potrząsnęła głową, sprawiając, że jej rozłożone promieniami zachodzącego słońca włosy przepłynęły z jednego ramienia na drugie. Gesty i kolorystyka scenki przypomniały dyrektorce bieg charta zaniepokojonego niewyczuwalnym dla ludzi zapachem albo odgłosem czegoś, co dokonało się i nigdy nie powtórzy.

- Nie potrzebuję takich przyjaciół - powiedziała Nauczycielka, patrząc w morze. - Potrzebuję ciebie.

Drgnęła lekko, kiedy dłoń drugiej kobiety powróciła na jej kolano i przesunęła się o kilka centymetrów ku górze. Nie odwróciła się, jedynie jej usta rozchyliły się, by zaczerpnąć powietrza, które

morze nagle uczyniło ostrym, a odchodzące do snu słońce ogrzało, pozostawiając ciepło na czas długiej nocy. Dłoń na udzie była sucha, prawie bolesna, niepewna i jakby pełna wstydu; powzięła nawet próbę ucieczki, jednak cichy sprzeciw zatrzymał ją na miejscu.

Wilgoć pojawiła się znienna, nieproszona, w dawno zapomnianym, nieczynnym miejscu, które nagle obudziło się w impulsie krótkiego pragnienia. Nauczycielka odrzuciła głowę i jej jasne włosy opadły na plecy, kiedy zatopiła wzrok w niebie, które obserwowało ją z ptasią powagą. Poczwała pulsowanie między udami, rosnącą przestrzeń tego miejsca i jego na wpaół przyjemne, na wpaół bolesne znaczenie.

- Brakuje mi go - powiedziała cicho, przytłumionym gardłowo głosem. - Wstyd mi się przyznać, ale brakuje mi go naprawdę. Robię tyle rzeczy, ważnych rzeczy, sensownych, mających znaczenie i przynoszących realne efekty, ale mimo to wciąż mi go brakuje.

Tamtego mężczyzny, za którego sprawą pojawiła się na wyspie - wtedy jeszcze całkiem zwyczajna, nie bardziej niż inne kobiety zatroskana i nie mniej od innych szczęśliwa - nikt z nas naprawdę nie poznał. Widywaliśmy go w kościele, gdzie nie sprawiał wrażenia człowieka szczególnie religijnego, oraz w sklepie, po którym poruszał się z aż zanadto czytelną niechęcią. A także na plaży, którą przemierzał niczym złapane w niewolę zwierzę, w swym zaciętrzeniu niewidzące niczego poza swym strachem i wściekłością. Na pewno nie miał pojęcia o tym, że zazdrościmy mu wielu rzeczy - jemu, który niby to z nami zamieszkał, nawet przebrał się za jednego z nas, jednak zbyt kiepsko udawał, że chce być taki jak my.

To prawda, że przez pewien czas przelewaliśmy na niego niezupełnie sprawiedliwą złość, należącą się obcym, do których on się nie zaliczał. Nie był przecież ani właścicielem hotelu, ani jego menedżerem, ani nawet pracownikiem piekielnej turystycznej maszynerii...

Tak czy inaczej, nie przepadaliśmy za nim. Może chodziło o jego akcent, a może o brak znajomości słów, które były naszymi słowami z wyspy. Albo po prostu - o jego używanie naszych codziennych, hiszpańskich słów tak, że brzmiały całkowicie obcojęzycznie.

Dyrektorka postarała się, by w jej słowach nie było zbyt wiele ironii:

- Wiesz, Tina, może powinnam powiedzieć, że on jest teraz w innym, lepszym świecie?

Znowu siedziała wyprostowana na niewygodnym krześle, a jej suche jak morska trawa dłonie splecione były w bogobojny krzyż. Nauczycielka zajrzała jej w oczy.

- Czy tobie nigdy nie brakuje mężczyzny?

- Nie - dyrektorka pozwoliła sobie na szeroki, rozbrajający uśmiech. - Tej jednej jedynej troski dobry Bóg mi zaoszczędził.

- Szczęściara z ciebie.

- Oj tak.

Wiatr bawił się włosami Nauczycielki.

- On nie czuł się dobrze na wyspie - powiedziała, jakby osiągnęła ją fala niewypowiedzianych myśli gościa.

- Właściwie dlaczego?

Dyrektorka знаła już długą listę usprawiedliwień, które jej przyjaciółka wymyśliła dla swego męża. Żadne z nich nie wydawało się jej wiarygodne, ani z jej osobistego punktu widzenia kobiety, która pozostała samotna, ani z perspektywy jej codziennych kontaktów z tragediami wywoływanymi przez mężczyzn. „Każdy posiada coś na wytłumaczenie swoich przewinień - a wszystko w ramach życiowego lenistwa” - odważyła się powiedzieć kiedyś przyjaciółce na temat jej męża. Uważała, że zanadto cenił sobie swoje nieszczęścia - hołubił je, kiedy dojrzewały, i prawdziwie uwielbiał, gdy rozrosły się do rozmiarów zakaźnej choroby.

- Przeze mnie.

- Co ty pleciesz, Tina! Przez ciebie, rzeczywiście... Miał wszystko, czego mężczyzna mógłby zapragnąć.

- A jednak nie.

- To wygodne, naprawdę. Wiesz, czego my, ludzie z wyspy, najbardziej nienawidzimy w turystach?

- Tego, że sprowadza się dla nich gruboziarnistą sól do drinków swojsko nazywanych Margarita - zażartowała ponuro Nauczycielka.

- Mają czelność uważać miejscową sól za nie dość elegancką.

- Nie, Tina, nam nie chodzi ani o krzyczących turystów, ani o te chude kobiety, które zdejmują staniki na plaży i prowokują nie swoich mężów, zmuszonych do podawania drinków i świeżych kąpielowych ręczników. Nie chodzi o miejsca nad morzem i widoki, które zasłonili, ani nawet o góry śmieci, które trzeba po nich wywozić. My to wszystko potrafimy znieść.

- Więc o co?

- Granicę zrozumienia przekraczają ich dzieci - te, które w pełnej restauracji krzyczą, że nie ma nic do jedzenia. Nie chcą jeść mięsa, nie chcą próbować zupy... Chcą swoich frytek, a kiedy je dostają, mówią, że inaczej smakują. Inaczej niż co, Tina? One nakładają sobie pełne talerze i nie zjadają nic, łyżkę albo dwie, po której plują i wołają, że im nie smakuje. Trzeba to zabrać i wyrzucić. Ich rodzice, ci mądrzy, świadomi europejscy rodzice oburzają się na bezdomne psy na wyspie - tak jak ty się z ich powodu oburzasz, Tina - i litują się nad ich wychudzeniem. Jednak wciąż nie chodzi o ilość jedzenia, które, wyrzucone z powodu dzieci, powinno dostać się psom.

- A niby czemu nie?

Dyrektorka zlekceważyła zaczepkę:

- Jedzenia, które nawet nie dostanie się miejscowym dzieciom - nie wiem, z jakich powodów, ale może właściciele tych niehumanitarnie rozrzutnych kuchni wiedzą, co robią. Tu chodzi o brak szacunku, Tina, oraz o złość na kogoś, kto krzyczy z głodu przed górą jedzenia, która jest dostatecznie wielka, by nakarmić wszystkich. Jest to prawdziwe oburzenie, bunt, który zwyczajnemu człowiekowi trudno jest sformułować.

- Mimo że na wyspie nikt nie głoduje?

- Pomimo tego.

- I to jest rzecz, której nie mogli darować mojemu mężowi? - spytała Nauczycielka, chociaż znała odpowiedź.

- Miał wszystko: przekąski, zupy, mięsa, ryby, desery, wino, wódkę i piwo. I ciągle nie dość mu smakowało. Mógł jeść i pić, ale wolał być głodny.

Tamten facet - jej mąż - naprawdę nie musiał być głodny. Znalazłszy się na wyspie, miał dostęp do wszystkiego starego

i wszystkiego nowego; przywiózł ze sobą wiele cennych rzeczy oraz posiadał środki, by dostać to, co czekało na niego na miejscu. Nawet nie musiał pracować, czego bardzo zazdrościli mu niemal wszyscy miejscowi mężczyźni, również ci, którzy nie wyobrażali sobie życia bez pracy. Do tego, chociaż praca nie była dla niego koniecznością, znalazłby ją dzięki swoim kwalifikacjom bez problemu, gdyby tylko chciał. Posiadał dom, którego nie wybudował, porządny i dość dobry, by obywać się bez napraw. Miał łódź, chociaż nie potrzebował jej w celu zarobkowym. Nie miał dzieci na utrzymaniu, jednak w każdej chwili mógł zostać ojcem - z nią, swoją ładną, jasowłosą żoną, albo z jakąś inną kobietą, z tych oglądających się za nim jak za obcym, interesującym zjawiskiem - importem zza morza, atrakcyjnym niemal tak jak turysta, lecz dostępniejszym, bo w pewnym sensie własnym.

- I miał ciebie, Tina! Tylu mężczyzn oglądało się za tobą, gdy szłaś z twoim koszem z rynku, w jednej z tych pięknych, kwiecistych sukienek... Dlaczego już ich nie nosisz?

Siedziały teraz naprzeciwko siebie, w bliskości domu i czysto umownego płotu, odgradzającego zabudowania od morza, od hotelowych ogrodów i od drogi, z wolna rozrastającej się w główną arterię wzdłuż wybrzeża. A także od ostatniego wolnego terenu po lewej stronie, którego przeznaczeniem również była rychła zamiana w turystyczny kompleks.

- Wdowy nie noszą kolorowych sukienek, droga pani dyrektor - oświadczyła Nauczycielka, przechylając głowę na ramię, aby jej włosy jeszcze raz stopiły się z pomarańczowymi strumieniami słońca. - Wdowy wkładają zupełnie inne stroje.

Była ubrana w coś długiego, przypominającego szlafrok i zakrywającego stopy. Niedokładnie widział górną połowę jej ciała i mógł zaledwie zgadywać zarys ramion, które, ukryte pod szerokimi rękawami z ciężkiej, błyszczącej tkaniny, były rozrzucone bezbrinnie na skotłowanej pościeli. W skulonej pozycji klęczała przed łóżkiem, a on najwyraźniej z wszystkiego widział jej włosy, które fluoryzowały sinoniebieskim blaskiem, jakby były jedynym w pomieszczeniu elementem wartym tego, by kłóciły się o niego dwa światła - liche, chybotliwe, rzucane przez świecę na stoliku przy łóżku oraz księżyc, zagląającego przez niewielkie okno, nie bardziej leniwego niż ona.

W pokoju, przed którego otwartymi na oścież drzwiami stałą, panowała uporczywa, kłująca w uszy cisza. Mimo mroku nie mógł się pomylić: jej obecność była równie oczywista, jak korzenny zapach jej ciała, inny od tego, do którego przyzwyczał się, wachając ją przypadkiem. Teraz pachniała mocno, wieczornie, jakby tkwiła w strumieniu zapachu wylewającego się z łóżka, z którym zdawała się tworzyć jedną plastyczną całość. Była jak obraz pokryty lakierem woni, nierzeczywista, nieruchoma, zabalsamowana w nienaturalnej pozycji. Patrząc na nią, zapomniał o tym, co przyprowadziło go do jej domu. Pragnął się poruszyć, jednak nie robił tego, nie wiedząc, w którą stronę się odwrócić - czy udając, że nic się nie stało, cofnąć się do wpółotwartych drzwi, czy uczyniwszy dwa, najwyżej trzy kroki, dotączyć do niej i przekonać się, że jest prawdziwa.

Rozpoznał ją, choć klęczała zwrócona do niego tyłem, inna od każdego wyobrażenia, które o niej posiadał. Rozpoznał jej plecy, niepodobne do jej pleców za dnia, kiedy nosiła je wyprostowane jak

tarczę obronną, oraz jej włosy, których nigdy przedtem nie widział rozpuszczonych jak teraz, swobodnych i długich, tak że owinięte wokół dłoni wystarczyłyby na dwa silne sznury. Wyciągnął rękę w ich stronę, nie jak zwabiony łkaniem pocieszyciel, lecz jak rozczarowany kamienną ciszą gość. Ciekawy dotyku włosów w zaciśniętej pięści, zapragnął nad nimi zapanować i użyć ich jak zwodzonego mostu. Zrobił krok do przodu, już nie starając się być cicho, nie tłumiąc kroków, lecz potwierdzając nimi swoje prawo do przebywania z nią w tym zimnym pokoju. Zatrzasnął drzwi za plecami, czym zaanon-sował się i zarazem uprzedził o swojej obecności, jakby chciał dać jej ostatnią szansę.

Nie poruszyła się, a jej bezruch i coraz cięższy, duszący zapach przyniósł mu wątpliwości, czy ta, z której widzi tylko włosy i okryte obcym materiałem plecy, rzeczywiście jest znaną mu kobietą. Nie przypominała żadnego z wcieleń, w których dotychczas ją sobie wyobrażał, a całe otoczenie utwierdzało go w niepewności. Mimo to przestał się bać i ostatecznie porzucił myśl o rozsądnym odejściu. Inne pomieszczenia tego domu utraciły dla niego znaczenie, pozostał tylko pokój z dziwną sylwetką kobiety, na którą jednoznacznie zareagowało jego ciało.

Choć pragnął pochwycić ją za włosy, ukarać za brak powitania i ciszę, którą rewanzowała się za jego odwagę pokonania progę, przykląkł przy jej nagiej stopie. Nie zdobył się na nic innego, gdy jej skóra błysnęła trupio w refleksie księżycy, a on przestraszył się, że okaże się lodowato zimna. Dotknął jej końcami palców i pozwolił sobie na westchnienie ulgi, gdyż stopa tętniła życiem. Stawała się coraz cieplejsza, począwszy od smukłych palców, drobnych jak gałązki byliny w cieniu wulkanu, okrągłych, drobnych pięt, aż po kostkę, która drgnęła, gdy zamknął ją w obręczy palców. Wydało mu się, że krew pulsująca w cienkich strumykach żył nagle przyśpieszyła, jakby chciała uciec od jego dotyku, jednak on do tego nie dopuścił. Nadal szukał ciepła, jak ślepiec tęskniący do drogi; zbadawszy stopę, wraz z jej przestrzeniami, zatokami i odpływami, rozgrzawszy chłodne miejsca i ułagodziwszy zbyt gorące, udał się na wspinaczkę po zakrągleniu łydki. Zachłysnął się boleśnie własnym oddechem, kiedy

wnętrze jego spoconej dłoni przylgnęło do zagłębienia zgiętego kolana, które, wciąż nieruchome, tkwiło w niewoli podłogi.

- Jesteś, nareszcie jesteś-wyszeptała przenikliwie, nie podnosząc twarzy.

Ostrość jej głosu utonęła w wirach pomiętej pościeli. Brzmiała tak, jakby i ona próbowała przełknąć ślinę, jednak w jej suchym gardle brakowało wilgoci, jakby wszystko, co było w niej mokrego, sączyło się teraz z oczu i miejsca pomiędzy udami, w którym znalazły się jego palce.

-Jesteś...

Odwróciła się do niego, nieskończenie powoli, uważna w szeleście sztywnej, nieprzychylnej szaty, z której wyzwoliły się jej nogi. Nie odrywał od nich wzroku, zafascynowany objawieniem kolan i smukłych, jasnych w blasku księżyca ud. Kiedyś widział takie zdjęcia - zdjęcia czy może tylko wycinanki - w których jedynym tłem był mrok, a wyłoniłone z niego kontury czerpały z niego aktywną siłę. W ten sam sposób jej ciało było teraz składanką mroku i jasności, ona sama przypominała kontur lalki, nożyczkami pocięty na kawałki. Istniały więc jej nogi, odsłonięte głęboko po puszysty zarys podbrzusza, a chwilę później, po przerwie miejsc zagarniętych przez ciemną chmurę zmroku, błyskał drugi trójkąt na jej ciele, bardziej wysmukły i ostry jak miecz. Rozcięcie sukni było świeżą blizną zadaną ciemności; wyciągnął ku niemu dłoń, zaczarowany jak niewtajemniczony gracz, który w grze prosi o nowe wskazówki.

Sama wsunęła się w jego ręce, skupiona na każdym ruchu, jakby bała się utraty najdrobniejszego z jego dotyków. Jak mucha dobrowolnie wplątująca się w pajęczynę, odrzuciła szansę ucieczki i w nie-realnie zwolnionym czasie wślizgnęła mu się w dłoń. Kradnąc mu ostatnie milimetry gestów, ofiarowała mu się, by przestał martwić się o ranę zadawaną jej rozrywanej sukni.

- Tak bardzo na ciebie czekałam...

Wciąż jeszcze nie pojmował jej słów, zbyt zajęty jej ciałem, oduurzony intensywnością zapachu. Nie dotarł nawet do jej ust, których nie widział i nie dotknął. Językiem i wargami zaledwie zbliżył się do jej szyi.

- Tak długo!

Jej słowa zabrzmiały jak skarga, dotarł do niego jej inny od oczekiwanego głos, więc zdziwił się, porównując go z fragmentami pamięci, które nie opuściły go jeszcze w zdradliwej scenerii sypialni. Spróbował unieść głowę, jednak jego wysiłek spełził na niczym, jakby coś zatrzymywało go u niewielkich piersi, odmiennych od tych, które znał u młodych, bujnych dziewcząt. Pozostał przy nich, nie zdobywając się na rozstanie, ustami chroniąc je od zagarnięcia przez mrok.

- Gdzie byłeś?

W leniwym wysiłku zrozumienia przeszkadzał mu jej obco brzmiący głos, jednak nawet to nie wydawało się groźne wobec rozpartej w pokoju nierzeczywistości. Wszystko przypominało sen, w którym on utknął chętnie, tak jak w jej objęciach, cielesnych i kłamliwych jednocześnie, modląc się, by nie wyrwała go z nich żadna obca siła. Trucizna zapachów i płatanina niezasażonego dotyku wyłączyły mu resztki rozsądku, ofiarując w zamian strumień wygłodzonej siły dla jego ciała.

- Gdzie...

Dotykał palcami jej skóry, sunąc ostrożnie po przełęczy powstałej między nią a ciemnością, do której należała jej szepcząca przekleństwa suknia. Dotarł do podbródka i coś nakazało mu poszukać ust mówiących te dziwne, dalekie rzeczy; choć nie rozumiał ich znaczenia, czuł, że mogłyby zagrażać spełnieniu palącego pożądania. Zakrył je więc palcami, wykonując ostatnie przygotowanie, jak załadowanie pocisku przed najważniejszą salwą, ostatni węzeł na linie potrzebnej do wspięcia się na szczyt.

- Dlaczego...

Pochwyciła jego palce wargami i w tej samej chwili wewnątrz jej ust wypełniło się jak źródło zalewające niepotrzebne słowa. Wyrzuty, pytania i próby wyjaśnień spłynęły wzdłuż jego palców w zagłębienie dłoni, przemierzyły ścieżkę żył we wnętrzu ramion i wróciły na piersi, które przestały należeć tylko do niej. Przestały być jedyną jasnością w mroku, bo ona cała powiększyła się o jego ciało, które również zaczęło wyzwalać się od ciemności. Wyłaniali się z niej oboje, centymetr po centymetrze, coraz jaskrawiej obnażając się w pojedynku z mrokiem pomniejszonym w przestrzeni anektowanej

przez dwa jasne ciała. W końcu stali się kompletni i wyzywająco biali na tle nocy i mrocznej pościeli. Głośni w niemocie zakneblowanych sobą ust, zatopieni w wilgoci dodającej połysku ich wspólnej skórze, przyspieszyli purpurowe umieranie świecy, która zdradliwie zasyczała, żebrząc u nich o litość.

Zdarzają się poranki, podczas których świt za oknem wydaje się ostry jak ukłucie sztyletem. Sprawiają, że otwiera się gwałtownie oczy i próbuje przypomnieć sobie wydarzenia z ostatnich godzin. Otoczenie wydaje się niejednoznaczne i nie pomaga w odnalezieniu się w rzeczywistości. Można obudzić się samotnie w pustym, chłodnym pokoju i na żelaznym twardym łóżku, które, mimo że pachnie jeszcze minioną nocą, wydaje się niegościnne i nieświeże. Samemu też można czuć się niemal brudno; nagość w obcej, zmiętoszonej pościeli nie pomaga w rozpoznaniu siebie i przywołuje jedynie zakłopotanie własnym ciałem. Dłonie, które jak dwie osobne istoty leżą na piersi, zaciśnięte są w pięść, jakby przechowywały coś podstępnie skradzionego. Kiedy przybliży się do twarzy i ostrożnie otwiera, osypują się ze snu i wypuszczają na wolność zapach łamiący szyfr tajemnic nocy.

Najrozsądniej jest wstać i stanąć na wprost wścibskości brzaśku, który wlewa się do pokoju. Nie ukrywać się i nie wstydzić, przyjęć krzyk budzących się wraz ze słońcem ptaków jak powitalną salwę honorową. Dopiero potem poszukać ubrania i, nie śpiesząc się, zebrać je z podłogi, założyć, wsunąć stopy w szerokie buty, nie zawiązując sznurowadeł. Nie trzeba być naszpikowanym obawami gościem; można jak zdobywca rozejrzeć się po pokoju, nie żegnając się na długo. Obrzucić wzrokiem łóżko, jakby sprawdzało się stan posiadania. Nie dać się skusić odruchowi wygładzenia poduszek, aby nie wypędzać z nich znajomej woni, tej samej, która czeka zamknięta w dłoniach... To szczęście posiadać ją podwójnie: zabierać ze sobą jej część i pozostawiać po sobie resztę, aż do rychłego powrotu, być może już przed następnym świtem. Wystarczy poklepać protekcyjalnie poskromione łóżko i uśmiechnąć się do nieskutecznej zbrojności jego żelaznego wezgłowia. Aby czekało - kulminacyjny punkt podboju - jak na drapieżnika, który wróci, by wytarzać się w przelanej krwi.

34.

W swojej szkolnej torbie Manuel Rosa trzymał prócz podręcznika i słownika zeszyt, w którym wzory koniugacji oraz nowe francuskie słówka ginęły w gęstwinie szkiców i karykatur. Rysunki, które układały się w szlaczki obramowujące większość stron, rejestrowały stopień jego skupienia jak szpitalna karta temperatury pacjenta. Oprócz pionowych linii ilustrujących poszczególne lekcje w zeszycie Manuela znajdowało się sporo kartek w całości pokrytych rysunkami, które artysta amator skrzętnie ukrywał przed innymi.

Jego hobby było tajemnicą w klasie, a ostatnią osobą, która powinna się o nich dowiedzieć, była właśnie ona.

Był głodny i chciało mu się pić; nie udało mu się nawet zjeść śniadania i chociaż nie czuł się niewyspany, miniony poranek był dla niego trudny.

Kiedy opuściwszy pokój, nie ukrywając swej obecności zszedł wolno po schodach, zatrzymał go zapach świeżo sparzonej kawy. Rozbrojony jego domowością, zwątpił w słuszność postanowienia ponowienia wizyty późniejszą porą. Nagle obudził się w nim zwyczajny mężczyzna, który potrzebuje kobiety także w jej porannej postaci i pragnie zostać przez nią nakarmiony. Poczul głód i, zapominając o wymagowanym posłannictwie rycerza zdobywcy, poczul naraz ochotę odegrania roli swego ojca, rozpierającego się rano na kuchennym krześle i siorbiącego z kubka kawę. I niewiele brakowało, by przedwczesnym ujawnieniem się zamknął sobie drogę do wszystkich przyszłych powrotów i wykreślił się z listy duchów, które krążyły nocami wśród murów tego domu. Na szczęście powstrzymał go jej widok w głębi kuchni.

Stała odwrócona do niego plecami i była tak nieosiągalna, że jego ciało przeszył ostry, bolesny dreszcz. Jej jasne włosy związane były

do tyłu, a talię przecinały paski kuchennego fartucha, spływające na pośladki. Miała bosc stopy, które lepko oderwały się od kamiennej podłogi, gdy sięgnęła po niedużą miskę, bardzo podobną do jednego z wielu naczyń jego matki. Jej półobrót sprawił, że powróciło do niego ciepłe podniecenie, jak deser odłożone na zapadnięcie nocy; widok jej dobrze poznanych nagich stóp, przyprószonych jasnym meszkiem łydek i dziewczęco wąskich bioder znowu obudził w nim tęsknotę do kobiety - starszej i rozsądnej, takiej, u której dobrze jest odpocząć po nocy. Wyciągnął do niej rękę, nieświadomie ponawiając wypróbowany gest, jednak w tej samej chwili w pomieszczeniu wydarzyło się coś nowego. Pojawił się obcy element obrazu: druga kobieta, na widok której zatrzymał się gwałtownie, jak ktoś przyłapany na przestępstwie.

Wyłoniła się z rogu kuchni, bardzo młoda i kanciasta, zagadując jego kobietę dziwacznym, nieprzyjemnym głosem. Słyszając ją, zapragnął uciec szybciej niż ucieka się od pokus, głodu i pragnienia. Oblany świeżym potem odwrócił się błyskawicznie i bardziej skradając się niż odchodząc, dotarł do wejściowych drzwi. Wypadł przez nie w stronę furtki i zaczął biec, nie oglądając się nawet na zwierzęta, które, zdezorientowane, poderwały się na jego widok.

Rzucił za siebie przygotowane zawczasu kawałki mięsa z restauracji, jakby były kuleczkami magicznego pyłu, dzięki któremu uciekający złodzieje w baśniach stają się niewidzialni.

Czekał na jej przyjsie w stałym gronie kursantów, którzy nigdy się nie spóźniali. Do rozpoczęcia lekcji brakowało jeszcze niecałych pięciu minut i wiadomo było, że ona pojawi się równo z uderzeniem godziny, poprzedzając dwóch lub trzech maruderów. Najpóźniej - bywało, że i po trzydziestu minutach - wchodził do klasy Adam Soriano, konsekwentnie strzegąc swego symbolicznego wizerunku ucznia, który w rzeczywistości piastuje funkcję wizytatora.

- Kto to jest?

Kolega z ławki zaglądał Manuelowi przez ramię i, wysilając krótkowzroczne oczy, usiłował wyłowić konkretne rysy z płataniny kresek w zeszycie.

- Nikt.

Sztywniejszy niż każdego innego dnia Manuel zakrył rysunek swą szeroką, kelnerską dłonią.

- A le kogoś mi to przypominało! - zaprotestował kolega, usiłując wyszarpnąć mu zeszyt. - Pokaż, nie bądź świnia.

- Odwal się.

Drzwi otworzyły się, więc wścibski sąsiad Manuela automatycznie wycofał się na swoje miejsce. Do sali wszedł Soriano, wnosząc do niej swój nieodgadniony, tylko w niewielkim stopniu arogancki wyraz twarzy.

- A co ten tu robi o tej porze? - kolega Manuela określił kiedyś uśmiech Adama Soriano jako regulaminowo pielęgnowane narzędzie pracy. - Zachorował czy co?

- Szefowie kazali mu zintensyfikować przespiegi.

- Eee... Wpadasz w manię prześladowczą.

- Może.

- Ty lepiej rysujesz niż kombinujesz, wiesz?

Widok rozpartego na krześle Adama Soriano był pierwszym, na jaki natknęła się Nauczycielka, wchodząc do klasy. Nie pozwoliła sobie jednak na widoczną reakcję i ignorując go, poszła prosto do katedry, odprowadzona jego ironicznym, pociągłym spojrzeniem, które, niezauważone przez innych, stało się udziałem tylko ich obojga.

Starszy od innych Soriano zawsze siadał samotnie i nikomu nie przyszło do głowy proponować mu sąsiedztwo. Na pierwszy rzut oka niewiele różnił się od pozostałych ubranych po cywilnemu kursantów, nawet jeśli kwiaty jego hawajskiej koszuli były mniej sprane, a włosy zaczesane jakby bardziej zamasyżycie aniżeli charakterystyczne fryzury niższego hotelowego personelu. Jednak wszelkie podobieństwa kończyły się na butach: na tle tanich kłapek, sandałów, rozdeptanych adidasów i tenisówek stopy Adama Soriano wyróżniały się wypastowanymi na błysk trzewikami, wkładanymi jako znak rozpoznawczy człowieka, który nie musi, lecz może nosić dobre obuwie dla własnej przyjemności.

- J e g o narysuj - szepnął sąsiad do Manuela. - Zobacz, jak się rozwalili.

Manuel Rosa zajęty był jednak czym innym: pochłaniało go obserwowanie Nauczycielki oraz monitorowanie jej kielkującej złości, której źródłem były właśnie wycyszczone do połysku buty Adama Soriano. Starła się omijać je wzrokiem, choć sterczały wyzywająco spod uczniowskiego stołu i sprawiały wrażenie dwóch armat wymierzonych bezpośrednio w jej katedrę.

- Jak by zastawił na nią wnyki - zachichotał kolega Manuela. - Dobrze, że się nie potknęła.

Manuel otworzył zeszyt i na chybił trafił przerzucił kilka kartek. Nie zdoławszy pochwycić jej spojrzenia i zawstydzony palącym ciepłem na policzkach, skulił się nad stołem. W ciszy szczerlnie wypełniającej klasę wystraszył się, że wszyscy odgadują jego zakłopotanie.

- Podobny! - pochwalił sąsiad, dyskretnie taksując dawno gotową karykaturę prominenckiego kursanta, uwiecznionego w pozycji przesadnie usłużnego, zgiętego w pół kelnera.

Manuel wskazał palcem na wielkie stopy, skarykaturowane jako monstrualne, wbite w pokreskowaną podłogę stemple. Jednak sąsiad zainteresował się czym innym:

- Mówiłem ci, że masz manię prześladowczą - stwierdził, pukając w rewolwer, który narysowany Soriano dzierżył w swej schowanej za plecami dłoni. Drugą rękę wyciągał do cyncatej blondynki, zapewne po napiwek. - On jest wprawdzie krwio pijąca, ale przecież nie dosłownie.

- Jeszcze się przekonasz - odpowiedział Manuel, odważając się ponownie podnieść wzrok w stronę katedry.

Była zajęta sprawdzaniem obecności i zapewne tylko on, poświęcający wiele czasu na rozszyfrowywanie jej nastrojów, pojmował wysiłek, który kosztowała ją obojętność wobec prowokacji Soriano. Wyczytała nazwiska z zeszytu pełniącego funkcję dziennika; według jej deklaracji, był to niepotrzebny obowiązek, który spełniała wyłącznie dla bezpieczeństwa większości kursantów. Wielu pracodawców wymagało nie tylko świadectw ukończenia kursu, ale także dowodów pilnego uczestnictwa przez personel, któremu szli czasem na rękę, uwzględniając go w grafiku pracy na zmiany. „Podnoszenie zawodowych kwalifikacji jest czymś więcej, niż tylko prywatną sprawą

pracownika" - powiedział kiedyś najbardziej ironiczny z uczniów Nauczycielki, Adam Soriano.

- Jestem.

Manuel Rosa był ponury i ledwo podniósł głowę, gdy w końcu wymieniła także jego nazwisko. Nie ułowił w jej głosie żadnej osobistej nuty i życzył jej jak najgorzej przez następne minuty, które poświęciła na dalszą wyliczankę obecnych. Był bliski zazdrości o Adama Soriano i najchętniej postąpiłby tak jak on: rozwalił się beczelnie przed jej katedrą i jak dwie kotwice wyrzucił przed siebie nogi w rozdeptanych adidasach. Jednak wiedział, że i tak nie zwróciłaby na to uwagi.

Zamiast zająć się kolejnym dialogiem lub czytanką z podręcznika, przeczytała wiersz, który grupa wysłuchiwała z typowym dla siebie spokojem.

- *Est-ce que vous avez aimé ce poème, Monsieur?* Czy podobał się panu ten wiersz?

Jej zadane grzecznym tonem pytanie skierowane było do jednego ze starszych - czyli będących po czterdziestce - uczestników kursu. Uważny Manuel dostrzegł zniecierpliwienie na twarzy człowieka, o którym było wiadomo, że zamknąwszy własne biuro turystyczne, zatrudnił się jako przewodnik w jednym z hoteli.

- Owszem - odpowiedział zapytany. - Ładny, ale...

- Ale?

- Nie zrozumiałem większości słów.

Choć nie oczekiwał niczyjego wsparcia i tak otrzymał je ze strony wielu przeciwników metodycznych eksperymentów. W niemej dezaprobacie wobec francuskiej poezji nie wzięli udziału nieliczni - wśród nich Manuel oraz konsekwentnie spokojny Adam Soriano.

- To nie szkodzi - Nauczycielka zdawała się nie zauważać niezadowolenia. - Zaraz je sobie wyjaśnimy. Czy wszystkim państwu ten wiersz wydał się trudny?

I tym razem nie wywołała entuzjazmu wśród kursantów, przyzwyczajonych do standardowej pracy z podręcznikiem. Kiedy kilkoro z nich otworzyło zeszyty i nieco demonstracyjnie ujęło długopisy, kursant Soriano uśmiechnął się pod nosem.

- To jest piosenka - zdecydował się Manuel, podnosząc głowę i otwarcie spoglądając w jej zielone oczy. - Dość znana.

- Brawo, panie Rosa.

Zdoławszy ściągnąć na siebie jej wzrok, odmówił krótką mantrę, prosząc, by nie dostrzegła rumieńca zalewającego mu twarz. Mocno uchwycił się jej spojrzenia.

- Potrafi pan też podać nazwisko autora tej piosenki-wiersza?

Zacisnął zęby, gdyż jej głos był po staremu oficjalny, z francuskim „r”, które brzmiało jak laskowe orzeszki miażdżone w tytanowym dziadku do orzechów.

- Nie - odparł ponuro. - Ale piosenkarka w naszym hotelu śpiewa ją dość często.

Uśmiechnęła się do niego, jednak tak bezosobowo, że potrafiłby ją za to uderzyć.

- Mógł ją pan zapytać o autora...

„Jasne” - odszczeknął jej w duchu. Pytać o repertuar obcą dziewczynę, której nie znał nawet z imienia... A niby do czego miałyby służyć mu ta wiedza tajemna osobnej hotelowej kasty? Piosenkarka była artystką; zajrzenie do jej świata było równie odległe jak jego awans na szefa recepcji.

- A u t o r i odtwórca tej piosenki nazywa się Jacques Brel - wytłumaczyła grupie Nauczycielka. - Francuz z wyboru, urodzony w Belgii, konkretnie we Flandrii. Krainę, z której pochodził, nazwał „płaskim krajem” - *le plat pays*.

Dłoń Manuela rysowała coś machinalnie, pokrywając kartkę galimatiasem kresek, którym nie udawało się skrzyżować się ze sobą w żaden logiczny sposób.

- Tytuł piosenki brzmi *Ne me quitte pas*, czyli... pani Mendes?

Wyrwana kursantka zmarszczyła gęste brwi:

- Nie zostawiaj mnie?

- Właśnie. „Nie opuszczaj mnie”. Moim zamiarem było zaprezentować ją państwu z kasety, jednak niestety, ostatni czynny magnetofon w tej szkole właśnie się popsuł.

Ktoś w klasie się zaśmiał, ktoś inny dyskretnie wzruszył ramionami.

- Musimy więc zadowolić się tekstem, bo nawet dla Brela nie zamierzam reklamować hotelowych restauracji.

W pierwszej ławce Adam Soriano przeciągnął się szeroko, aż krzesło zatrzeszczało pod ciężarem jego muskularnego ciała. Wielu obecnych odwróciło się automatycznie, jakby śledzenie i interpretowanie jego reakcji należało do zbiorowych odruchów grupy. Wiedział o tym i cieszył się jako kolejnym dowodem skuteczności swojej władzy. Był to przywilej odróżniający go od pozostałych: nikt inny nie wzbudziłby porównywalnego zainteresowania, upadając na podłogę.

- Nie będę też jej śpiewać - dorzuciła jeszcze Nauczycielka.

Była już zajęta rozdawaniem tekstu piosenki *Ne me quitte pas*, z oszczędności po jednej kopii dla dwóch osób, a jej wysilony żart zabrzmiał słabo, jak zawsze, kiedy próbowała rozluźnić atmosferę środkami, które niezbyt do niej pasowały. Jednak nie wyglądała na rozczarowaną, kiedy nikt się nie zaśmiał, także Manuel, który, widząc ją zbliżającą się do swego rzędu, zasłonił zabazgraną kartkę w zeszyce.

- Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy wszyscy zaśpiewali sobie piosenkę - rzucił leniwie z ławki prymusa Adam Soriano.
- Skoro nie zależy nam na potrzebniejszych rzeczach, możemy zająć się śpiewaniem.

Nauczycielka wręczała właśnie kartkę parze kursantów spod otwartego okna, zza którego wlewał się do sali codzienny ptasi krzyk.

- J a k i e potrzebniejsze rzeczy ma pan na myśli, panie Soriano?
- zapytała, nie odwracając głowy.

- Och, drobiazgi, jak chociażby gramatyka czy nowe słówka...
To, czego oczekiwaliśmy po kursie języka, aby przydało się nam w pracy.

Udało mu się ją sprowokować.

- W pańskiej pracy, panie Soriano? - wycodziła powoli, wykonując półobrót w jego stronę. - Czyżby zdecydował się pan porozmawiać ze swoją francuskojęzyczną piosenkarką?

Była nieprawdopodobnie kategoryczna we wszystkich swoich poglądach. Wiedzieliśmy o tym i dawno nauczyliśmy się nie reagować

na jej zacierzewienie i nawet na złość, która ogarniała ją na widok naszej pozornej obojętności. Nie wystarczało jej, że ciepliwie wysłuchujemy jej wykładów, nie sprzeciwiamy się, często potakujemy. Jej zdaniem, powinniśmy iść z nią na barykady: nosić transparenty, rozrzucać ulotki, protestować, a nawet sami organizować manifestacje. Albo, broń nas Panie Boże, strajki.

„Nie uczę was obcego języka po to, byście dokładniej rozumieli rozkazy waszych zagranicznych pracodawców i gości, którzy siewami wystugują!”-oświadczyła kiedyś. Miała zacięty wyraz twarzy, jednak w jej oczach skrzyło się też rozżalenie; poruszyła temat, który mogła rozważać bez końca... Zdarzyło się przynajmniej trzykrotnie, że na wpół świadomie sam ją do tego sprowokowałem. Podobało mi się, że zaczynała mówić szybciej i łapczywie chwytając powietrze w połowie słów, które w uniesieniu przestawały brzmieć jak język ojczysty, jakby francuska część jej krwi odnosiła zwycięstwo nad hiszpańską. Zapewne sama o tym nie wiedząc, unosiła do góry podbródek i nerwowo odgarniała z czoła nieobecne kosmyki włosów, które i tak nigdy nie wymykały się z upięcia nad jej smukłym karkiem. Właśnie w takiej sytuacji pierwszy raz zrozumiałem, że mnie podnieca.

Początkowo próbowałem się z tego wykpić, skupiając się na myśleniu o odpowiedniejszych - przede wszystkim młodszych - obiektach.

Stała tak niedaleko, że gdyby się postarał, zdołałby złapać w nozdrza zapach jej zdenerwowania. Choć jego reakcją winna być spięta koncentracja, jak zawsze wtedy, gdy dostrzegał grożące jej niebezpieczeństwo i chciał jej bronić, boleśnie zatęsknił do rumieńca złości na jej twarzy. Jednak ona zawiodła go - jego oraz całe jego napięte oczekiwanie.

Przeczytała tekst powoli, polecając uczniom śledzić go wzrokiem. Wszyscy solidarnie pochylili się nad nim parami, z wyjątkiem siedzącego samotnie Adama Soriano oraz Manuela, który oddał kartkę sąsiadowi. Powrócił do swoich rysunków; był pewien, że ona go nie zauważy, jak zawsze, gdy pochłaniała ją praca.

Czytała Brela jak czytanekę z podręcznika, systematycznie i dokładnie, dobitnym akcentowaniem słów zagłuszając ptaki zza okna.

Nie było sensu porównywać jej z artystką z restauracji, w wykonaniu której piosenka pęczniała od rozerotyzowanego pragnienia wystarczającego do obdzielenia wszystkich gości, menedżerów, kucharzy i kelnerów. Nauczycielka inaczej skupiała się na zawilóściach wiersza, a jej zawodowa rzeczowość zaprzeczała każdemu domysłowi na temat przyczyny wybrania przez nią tego, a nie innego tekstu.

Szkicował dalej, kiedy zajęła się objaśnianiami znaczeń *s'enfuir*, *creuser* i *couvrir le corps*¹. Nie podniósł pochylonej głowy, gdy ktoś poprosił ją o przetłumaczenie *des mots ensensés*², oraz później, gdy beznamytnie wskazała na różnicę między *brûler* i *flamboyer*³. Zły i rozczarowany siekał ołówkiem kartkę, cienką linią odtwarzając kontur jej twarzy. Nie przestawał jednak słuchać jej łączywie, skupiony na brzmieniu słów jak egzaminator na dyplomowym występie instrumentalisty. Niegorzej od niej znał tekst, wokół którego drobnymi kroczkami tańczyli pozostali uczniowie:

*Et quand vient le soir, pour qu'un ciel flamboie
Le rouge et le noir ne s'épousent-ils pas?*

Uśmiechnął się ponuro na wspomnienie obcojęzycznej piosenkarki, która przy tych słowach szczytowała krzykliwie w światłach reflektorów. W przeciwieństwie do Nauczycielki była wtedy naprawdę podniecająca.

- Proszę zwrócić uwagę na formę pytającą ostatniego zaprzeczenia - powiedziała, zbliżając się do tablicy z kredą w dłoni. - Prawidłowe posługiwanie się zaprzeczeniami jest szczególnie ważne.

Posiadała wiele ulubionych tematów - większość z nich była dla nas naprawdę kłopotliwa - jednak ten był jej pierwszoplanowym hobby. Jakby nie istniało dla niej nic piękniejszego od prywatnych wykładów o słuszności mówienia „nie”.

Gloryfikowała wartość uzasadnionej odmowy. Jej zdaniem, jedną z najwyższych form odwagi było proste zaprzeczanie rzeczom, których

¹ *S'enfuir* - uciekać, zbiec; *creuser* - głębić, drążyć; *couvrir le corps* - pokryć ciało.

² Słowa pozbawione sensu.

³ *Brûler* - palić się, płonąć; *flamboyer* - wybuchać płomieniami.

⁴ „A czy gdy się kończy dzień / Dla pożaru nieb / Nie poślubiają się purpura i czerń?” (tłumaczenie Wojciech Młynarski).

nie uznaje się za słuszne. Nie wierzyła też w sytuacje dopuszczające bierne współuczestnictwo: „Kaźde położenie wymaga jasnego stanowiska: zgody lub odmowy!” - grzmiąła przed nami jak z ambony, a my słuchaliśmy jej z wytężoną uwagą, jednak po swojemu milcząco, nie przejmując się tym, że uzna nas za mruków... Wiedzieliśmy od dawna, że nie warto zdradzać przed nią naszego zamiłowania do trzeciego wariantu, polegającego na zwykłym wstrzymywaniu się od głosu. Jedynym tego efektem byłoby sprowokowanie jej do kolejnego wykładu, tym razem na temat tchórzostwa. Nie mieliśmy nawet szans na to, by spotkać się gdzieś pośrodku, gdyż jej definicje były zbyt odmienne od tych, które wynieśliśmy z domu.

My, tutejsi, nie pochwalaliśmy jej upartego, uniwersalnego negowania. Bardziej ceniliśmy sobie cierpliwość; tu urodzeni, tu wyrosli, zahartowani w wyspiarskiej specyfice pojęć skupionych wokół oczekiwania, uwagi i cierpliwości. Posiadaliśmy swoje wzory: morze, kwintesencję wytrwałości odpływów i przyptywów, czas, mierzony ziarenkami piasku, cierpliwy w walce o przestrzeń, oraz ptaki, umierające i rodzące się nie wiedzieć kiedy i gdzie....

I na co my, ludzie z Ptasich Wysp, mielibyśmy się zgadzać i czego odmawiać w takim świecie? Do czego się śpieszyć? Cierpliwość płynęła nam w żyłach - tak jak w niej mieszanka obcych gatunków krwi.

Sąsiad krótkowidz, który wielokrotnie prosił o pisanie na tablicy większymi literami, tym razem nie skarżył się na długą serię jej zaprzeczonych pytań.

- Czy to aby nie jest pani nauczycielka?

Przechylony przez ramię Manuela podziwiał jego rysunek.

- Zamknij się...

Na szczęście okna w klasie były otwarte. Wlewał się przez nie zwykły rozgardiasz.

- Ale pokaż, pokaż!

Panująca w klasie duchota osiągała południowe apogeum. Wszyscy byli nią zmęczeni, także ona.

- *Mon cher ami* - sąsiad Manuela wyraził swoje uznanie nieskrępowanym gwizdem. - Ona naprawdę niezłe wygląda w tym szlafroku! Wypisz wymaluj nasza dama...

Pokonawszy biegiem niemal całą drogę, zwolnił dopiero przy furtce, którą otworzył, ostrożnie zapobiegając skrzypieniu. Była zamknięta od wewnątrz w sposób czysto symboliczny, gdyż wystarczyło włożyć rękę pomiędzy dwie sztachety i wysunąć rygiel z zapadki. Dokonał tego bez problemu, nawet swymi szerokimi dłońmi, o których matka mawiała, że, dzięki Bogu, los oszczędził podobnych jego siostram.

Rozejrzał się i skierował w stronę kuchennych drzwi; mimo pewności, że będą otwarte, kolana drżały mu przyjemnym niepokojem. Szedł już zupełnie wolno, w oczekiwaniu rosnącym mu na języku jak zapach ciasta. Zanim skręcił za róg domu, podniósł głowę i posłał pozdrowienie migotliwemu światłu w najwyższym oknie, trwającemu w nim jak oliwna lampka przed tabernakulum. Coś delikatnie zaszumiało w wysuszonej trawie tuż przy ziemi, więc obejrzał się machinalnie, choć i tak nie miały szans dostrzec jaszczurki ani nawet kota. Chwilę czekał na psy, które jednak się nie pojawiły, potem bez przeszkód dotarł do kuchennych drzwi.

Tak jak się spodziewał, były otwarte. Wszedł do ciemnej kuchni, jeszcze raz oglądając się za siebie z obawy przed zwierzętami. Podczas gdy jego oczy przyzwyczajały się do zmroku, zmysły zareagowały na znajomy zapach, który nasycony był pokrętnym poczuciem bezpieczeństwa. Nie dał się zwieść - cel jego poszukiwań był zaprzeczeniem wszystkiego, co znajome i bezpieczne.

Bezglóśnie ruszył w stronę schodów, umyślnym spowolnieniem kroków zwiększając bolesność oczekiwania. Bawił się nim, jakby dusząc się odsuwał od siebie butlę z tlenem albo mdlejąc z pragnienia zwlekał z wypiciem ostatniej szklanki wody. Skradał się,

udając drapieżnika, który, skupiony na sobie, jest euforycznie dumny z perfekcji swoich ruchów.

- To znowu ty.

Nie było dokładnie wiadomo, kto wpadł na pomysł tego idiotycznego zakładu. Zobaczenie jej na żywo - główna wygrana - łączyło się ze sporym ryzykiem, na które nie poszedłby jakiś pierwszy lepszy szczeniak. Nikt, kto miałby dość rozsądku, nie wkradałby się jak złodziej do obcego domu. Tym bardziej do tego domu. Jednak okazało się, że głupich nie sieją i znalazł się taki, który dał się sprowokować innym spragnionym rozrywki chłopcom czy mężczyznom.

Jednak dlaczego się na to zgodził? Co skłoniło go, by przyjął wyzwanie wykradzenia z jej domu tajemnicy i ryzykował przy tym tak, jakby chodziło nie o cudzoziemską dziwkę, lecz o jakieś niezwykle cenne, wojenne tajne plany.

Wpadł prosto na nią. Była spokojna i nieświadoma ogólnego zainteresowania. Nie miała pojęcia o tym, że prawdę o niej zna każdy ptak. Oraz wszyscy ludzie, którzy ptaki podsłuchują... Patrząc na nią, pomyślał, że w swej bezpiecznej kryjówce nie ma pojęcia o sile przenoszenia wiadomości na wyspie. Nie wie o plotkach, teoriach, podejrzeniach. Mógłby się założyć, że nikt nie przestrzegł jej przed skutecznością niezawodnej, prastarej poczty, która szeptem dociera w najodleglejsze miejsca. Ktoś chciał, by uwierzyła w swoją nieobecność.

Jej chrapliwy szept spadł na niego jak mokre prześcieradło rzucone na rozgrzaną gałąź. Szybciej od głowy zareagował jego żołądek, w jednej chwili kurcząc się w twardą jak pięść kulę, która zatrasnęła w sobie wszystko prócz paniki, lepko wyciekającej mu spośród palców. Jego plecy spłynęły potem i naraz stały się bezbronne nagie pod pieluchą cienkiej koszuli, która jeszcze przed sekundą posiadała moc lwiej sierści.

Siedziała bez ruchu na ostatnim stopniu schodów, jakby na niego czekała. Chciał ją nawet o to zapytać, jednak słowa zakotwiczyły się w suchości jego gardła. Widział jej kanciastą sylwetkę w białej, zakrywającej kolana koszuli bez rękawów oraz jej bose stopy-jedyny ruchomy element jej ciała - którymi przebierała nerwowo,

jakby usiłowała zatańczyć coś na siedząco. Jej twarz w mroku była tylko szarą tarczą.

- Nie trzymam ciebie - powiedziała, a jej oczy błysnęły ostro w ciemności. - Widziała jak wygląda.

W jakiś sposób udało mu się zebrać siły, więc zdecydował się na pytanie o cokolwiek, sprawdzając swą odzyskaną umiejętność mówienia.

- Co ty tu robisz? - wydawało mu się, że spełnia obowiązek powitania. - J e s t n o c .

Odpowiedziała niedbale:

- Nic. Wstała.

Był niemal pewien, że mu się przygląda, więc i on zajął się tym samym, zadowolony, że jej sylwetka staje się coraz wyrazistsza. Gdyby nie koszula i chude, a jednak kobiece łydki, mógłby wziąć ją za chłopaka, do czego przyczyniał się ten jej kolczasto brzmiący głos... Z trudem rozluźnił napięte mięśnie karku.

- Wstałaś - powtórzył po niej bezmyślnie.

Był pochłonięty grą w odgadywanie jej twarzy.

- T a k .

- Rozumiem.

Pożądanie, z którym tu przyszedł, nadal tkwiło w czeluści jego napiętego ciała, jak w schronie atomowym zaryglowane od wewnątrz.

- Czeka ciebie - usłyszał.

Jej głos brzmiał butnie; wcale nie była zastraszona, aż pomyślał, że wszystko inaczej by wyglądało, gdyby zamiast niego wpadło tu kilku innych. Nawet jeśli to znała, jeśli prawdą było wszystko to, co o niej mówiono, nie siedziałaby tu teraz tak spokojnie. Tymczasem ona zagradzała mu drogę... Nie wiedział, czy robi to specjalnie, bo jej słowa, dziwne i sztucznie brzmiące, brzmiały raczej jak zaproszenie.

- Nie przeszkadza nikt - zapewniła.

Chociaż nikt nigdy jej nie słyszał, krążyły plotki o jej dziwnym sposobie mówienia.

- A ty? - zapytał.

- Ja też - odpowiedziała - i mała nie. Uważam ja.

Wolałem nie czekać, aż plotka rozrośnie się i porozciąga jak przepelniona sieć. Właściwie miałem farta, będąc na miejscu, kiedy tamci uradzili, że do niej pójda. „Wszystkie burdele na wyspie podrożały z powodu turystów - powiedzieli - wypadnie taniej”. Wystraszyłem się w jednej chwili, aż całe wypite piwo wyparowało ze mnie jak gorąca woda. Jednak mój strach nie dotyczył obiektu ich zainteresowania, ale jego opiekunki, zadziornej kobiety, wierzącej ślepo w bezpieczeństwo murów wspólnego domu. Wiedziałem, że nie liczy się z podobnym niebezpieczeństwem i jest bezkrytycznie zadufana wobec rzekomej siły ziemi, piasku i pewnie nawet kilku swoich nędznych drzew. Zawsze zachowywała się tak, jakby ludzie, wśród których żyła od lat, byli przyjaznymi aniołami tylko dlatego, że zdecydowała się zostać ich sąsiadką. Albo, gdyby oni zawiedli, psy, koty i ptaki chroniły ją od złego.

- J a k się nazywasz? - zapytał jeszcze.

Jego ciało wyrывało się do żelaznego łóżka, od nieba odgrodzonego jedynie przesłoną cienkiego baldachimu. Zadał to pytanie tylko po to, by zgrabnie zakończyć wymyśloną dla innych historyjkę. Widział ją już dość wyraźnie i nawet gdyby rozbłysło światło, nie dopełniłoby wiele w kompletności wizerunku: rzeczywiście była tą młodą kobietą, o której plotkowano na całej wyspie. Na rynku, w zadymionych *bodegas*, w barach, sklepach i pod kościołem rozmawiano o jej krótko ostrzyżonych włosach - wcześniej miały być krwistoczerwone - o skrzywionych ustach, o których powiadano, że dopiero wprawiają się w hiszpańskim, oraz jej chudych nogach, między którymi podobno przewalcowały się setki mężczyzn.

I dopiero wtedy poznał jej prawdziwe imię.

- Anica.

Kiedy odchodził, jej słowa nadal drapały mu uszy jak najostrzejsza zaczepka.

Tamten smarkacz wygrał zakład - poszedł do jej domu i przyjrzał się nagim faktom. Potem opowiedział innym niestworzone historie, perorując kwieciście i zapewne samemu nie wiedząc, skąd nagle wzięło się w nim tyle fantazji. Postawił nawet wszystkim piwo, aby dokładniej go słuchali i uwierzyli w jego bajki. Oczywiście kłamał, ale o tym wiedział tylko on oraz parę wtajemniczonych osób. I dobrze, że tak pozostało.

W knajpie, w oparach dymu i parującego z głów piwa wyglądał inaczej niż przed przekroczeniem progu tego niesamowitego domu. Domu, który nie przestał być dla niego jedną kłamliwą zagadką, składanką iluzorycznych ścian, co do których nie było pewności, czy rzeczywiście istnieją. Ten dom go odmienił: dotknięcie i powąchanie tajemnicy uczyniło z niego współnika, który sam niewiele rozumiejąc, musi już go chronić. Poza tym czuł się winny, ponieważ nie wykonał zadania. Kłamał, nie mogąc się przyznać.

Opowiedział innym, że tamta jest chora. Ze starego ciasta sklecił następną historyjkę, aby wszystko pasowało w fałszywej relacji o domu znanym z tego, że jest i szpitalem, i przechowalnią, i schroniskiem. Opisał łóżko chorej dziewczyny - rodzaj choroby wystarczył, by skutecznie wszystkich odstraszyć - zamiast tego, w którym spędził noc aż do świtu, zapominając o prawdziwym celu wizyty. Łóżka, do którego powracał następnej nocy i jeszcze następnej, za każdym razem zaniedbując detektywistyczne zadanie powierzone mu przez kolegów.

Jeśli nawet myślał czasem o tym, by jednak rozejrzeć się po tym domu i - może też dla własnej ciekawości - dowiedzieć się o nim czegoś więcej, ciągle okazywał się zbyt słaby. Ciemny pokój

na piętrze okradał go z woli, z pamięci i z ciekawości... Ona absorbowała go sobą, krępowała więzami, jakby zarzucała na niego sieć, przylepiała do siebie tak skutecznie, że nie potrafił oddalić się od niej bardziej niż na odległość ramienia. Uzależnił się od jej dotyku tak, jakby miał paść martwy w chwili, w której go odtrąci.

Nie leżała w aksamitnej pościeli, nie czekała na niego w łóżku ani nie klęczała jak przed ołtarzem w chwili nocnej modlitwy. Kiedy wszedł, przypominała dużą lalkę, którą ktoś posadził na starym krześle o rzeźbionych oparciach imitujących lwie głowy. Spoczywały na nich jej dłonie, a smukłe, dziewczęce palce zaciśnięte były na rozwartych paszczach, jakby drewniane należało pozbawić mowy.

Na jego widok podniosła się powoli i wyciągnęła ramiona w jego stronę. Jej jasne włosy odrzucone były do tyłu i kadrowały jej twarz z nową, jaskrawą dokładnością. Zrozumiał, że pokój jest inaczej oświetlony, rozejrzał się więc, szukając przyczyny, choć oderwanie od niej wzroku nie przyszło mu z łatwością. Zobaczył trzyramienny kandelabr na parapecie okna, zasłaniający światłem gwiazdziste tło nocy, które teraz służyło mu za zwierciadło albo ekran, potęgując iluminację świec.

Pierwszy raz widział ją tak wyraźnie. Zbliżała się, a on przestraszył się nieoczekiwanej bliskości; choć znał jej rysy i każdy, jak mu się wydawało, zakamarek ciała, we wnętrzu jej domu nigdy nie dotykał jej wzrokiem. Nigdy dotąd nie zetknęli się w tym pokoju spojrzeniami. Uznał ją za kształt i cielesną odpowiedź na swoje fantazje; była nie kobietą, lecz jej zmaterializowanym wyobrażeniem, ofiarująca siebie bez zawahania i spełniająca męskie pragnienia tak, jakby nie posiadała własnych. Pasowała do ciemności, w której dotychczas ją odnajdywał, tak jak do ciemności należało jej magiczne łoże, miejsce spełnienia rzeczy zakazanych. Gdyby nie oszałamiająca fizyczność jej ciała, uważałby ją za ducha przychodzącego we śnie, po którym przebudzenie przypomina zniesienie z pola walki.

Teraz stała przed nim realna i niebezpiecznie przypominała tę, którą znał za dnia. Zbyt późno przyszło mu do głowy, że mógłby zgasić trzy zdradzieckie świece, a także dwie inne, które posyłały dodatkowe, deprymująco ostre światło na jej łóżko; ona już trzymała

go za obydwie dłonie i patrzyła mu prosto w oczy w sposób, o którym czasami marzył. Gryzący lęk wypełnił go całego - przestraszył się końca mistyfikacji, w której wolno mu było bawić się w zdobywcę. Oto przyszedł kres koncertów niezrozumiałych słów, które podsycały namiętność jego podbojów. Jego siła, władza i prawa miały zostać mu odebrane, a on sam odesłany na swoją pozycję i w swoje prawdziwe lata. Następował finał nocnego misterium, które musiało skończyć się poniżeniem.

Ze strachem spojrział jej w twarz, gotowy na ironię, kpinę, wyniosłość, wyrzuty, nawet cios w płonący policzek. Jednak nic takiego nie nastąpiło: kobieta, która przed nim stała, uosobiała nową odmianę snu - wyraźniejszą, jaśniejszą, nie tę, której się obawiał. Jej spojrzenie było uległe i, czego nigdy nie dojrzałby w mroku, wypełnione zachwytem. Zadrżał, gdyż dotychczas żadna dziewczyna nie patrzyła na niego w taki sposób.

Podniosła jego dłonie i położyła je na swoich piersiach; poczuł ich gorąco przez warstwę grubego materiału, pod którym unosiły się w rytm nieregularnego oddechu. W jednej chwili ogarnęło go zwierzęce podniecenie, tak szybko, że poczuł ból w podbrzuszu, jakby własna skóra przybrała niekorzystny, wymagający natychmiastowej zmiany kształt. Jak piramida z kart posypały się w jego głowie domysły i obawy, tańcząc mu przed oczami i obracając się, by zobaczyć je z drugiej strony. „A więc coś nowego, a więc jeszcze więcej”... Jakby tego, co się wydarzyło dotychczas, nadal było za mało, a oblepione mrokiem szaleństwa dawały się przelicytować w jasności światła... Poczuł się silny jak nigdy dotąd: naraz gotowy był stawić czoła całym kordonom jaskrawych świec, więcej, potrafiłby nawet rozpalić baldachim osłaniający jej łóżko i zawładnąć nią w chwili, w której zajęłaby się ta jej przeklęta, twarda jak kolczuga suknia, stawiająca opór jego palcom.

Niecierpliwymi dłońmi rozerwał materię sukni w miejscu, w którym trójkątne wycięcie dopuściło go do jej skóry; szew rozszedł się na boki jak zbyt słabo zaryglowane drzwi. Stała nieruchomo, nie spuszczając z niego oczu, w których nie było niczego prócz uległości i słabej, nieprzytomnej tęsknoty za czymś, czego nie umiał odgadnąć.

Nie wiedział, czy się go boi, nie domyślał się, czego oczekuje, jednak wszystkie pytania stały się dla niego nieważne. Było już za późno: choćby zaczęła krzyczeć, uderzyła go na otrzeźwienie i spróbowała powrócić w swą zwyczajną, władczą postać, on nie potrafiłby już zejść z areny, na którą sama go zaprosiła.

- Zgaś to - powiedział rozkazująco.

Nie posłuchała od razu, zdziwiona, więc sam oblizał szerokim językiem palce i rozkoszując się niebezpieczną władzą, zgasił świecę przy łóżku.

- Zgaś!

Poruszyła się w stronę kandelabru na parapecie, niepewna w rozdartej głęboko sukni, zsuwającej się z ramion i płaczącej się pod bosymi stopami. Gdy stała tak odwrócona plecami, jeszcze raz szarpnęła ją od tyłu za materiał, brutalnie, aż zachwiała się jak lalka, którą podtrzymał i zdzierając z niej suknię, boleśnie ścisnął za ramię. Posłusznie podała mu dłoń - jej ramię wykonało surrealistyczny, okrągły ruch do tyłu - tak drobną, że prawie cała zmieściła się w jego ustach. Palcami mokrymi od jego śliny powoli zgasiła następną świecę.

Jej suknia opadła już na podłogę jak ostatni, ochronny krąg, nieskutecznie strzeżącą przed jego brutalnością. Jeszcze jej z niego nie wyciągał, jeszcze nie zniweczył naiwnej wiary w jego skuteczność, bawiąc się nią jak wilk, który dopadł zdobycz we własnym gnieździe. Doprowadzało go do szaleństwa kąsanie jej powoli, na tysiącach wolnych przestrzeni jej skóry oraz przez białą, ciekłą koszulę, którą jeszcze miała na sobie, choć rozcięcie stało przed nim otworem, obnażając niemal całe piersi. Delikatny materiał łaskotał go i cicho szeleścił, kiedy zaczął dotykać jej za jego pośrednictwem, owijając nim palce i jak cukrową watą zapychając sobie usta. Ostatnia, zasłaniająca noc za oknem świeca zgasła w chwili, kiedy jego dłoń, ubrana w jedwab koszuli jak w rękawiczkę, wdarła się głęboko w ciało kobiety, która nie krzyknęła, jedynie mimowolnie uniosła się w górę, jakby chciała spróbować ucieczki. Jednak on jej na nią nie zezwolił - wpółodwrócona głowa natrafiła na granicę jego zębów, która była silniejsza od magicznego kręgu rzucającej na

podłodze brokatowej sukni, podeptanej jego butami i zbrukaney strzepanym z nich piaskiem.

Jego ciało nakazało mu wziąć ją po raz trzeci, a może czwarty.

- Krzycz.

Stracił rachubę czasu i wszystkie myśli zaplątały się w nim niebezpiecznie. Nie uzyskał żadnej odpowiedzi na pytanie, kim ona jest, i czuł, że z każdą minutą traci resztki wiedzy o sobie. To, co robił, oraz to, co myślał, wydawało mu się obce i diabelskie, jakby ktoś się nim posługiwał, a rzeczy działy się poza nim, aż opuszczał chwilami własne ciało i przyglądał się sobie z odległości. Widziane obrazy szokowały go, jednak były podniecające i dostarczały nowych sił, jakby zewnętrzne źródło ładowało go prądem.

Jej twarz wciśnięta była w poduszkę, mokrą tak jak jej poplątane włosy, a ona, białoszara i słona, drgała pod nim mokra od potu i jego nasienia. Leżała pod nim oblepiona resztkami koszuli jak podartym bandażem, z rozrzuconymi rękami przypominającymi skrzydła rozstraskanego o szybę ptaka i jęczała zbyt cicho i zbyt rzadko, aby złagodził się zanurzania się w jej pośladki. Był jak pijany, kiedy płynął po morzu wilgotności, której wystarczyłoby, aby mógł wdrzeć się w każdą jej szczelinę, bo nic już nie stawiało oporu w jej zbyt dostępnym ciełe.

- Krzycz! - wycharczał, żądając czegoś nowego.

Prawdziwie zły i realnie niebezpieczny szarpnął ją za pęk wilgotnych włosów, aż jej głowa wygięła się do tyłu. Uwolnione od poduszki usta wydały z siebie stłumiony jęk.

- Nie... - sprzeciwiła się po raz pierwszy. - Nie będę krzyczeć...
senor.

Może trzeba było jej jakoś pomóc. Lepiej się nią zajmować, chronić, nie pozwolić, by wszystko to się jej wydarzało. Tymczasem my traktowaliśmy ją jak osobliwego ptaka, który zawitał do nas z przelotną wizytą. Nie łamaliśmy sobie głowy nad tym, że nie udaje mu się uwić u nas bezpiecznego, szczęśliwego gniazda... Ani tym, że nie starczy mu sił na powrót do swego zamorskiego kraju.

A powinniśmy byli troszczyć się o nią tak, by wcale nie wiedziała, że jej pilnujemy i strzeżemy, także przed nią samą. Jakim problemem byłoby spełnianie jej niegroźnych w gruncie rzeczy życzeń,

popieranie naiwnych planów, jakieś drobne współuczestniczenie? Doprawdy, nie byliśmy na to zbyt zajęci; nasze spowolnione życie na wyspie zostawiało nam wystarczającą ilość czasu na to, byśmy mogli towarzyszyć jej w tych zabawnych przedsięwzięciach, maskaradach z pogranicza teatru, muzyki, malarstwa i Bóg jeden wie czego jeszcze... Może wtedy zabrakłoby jej czasu na inne niebezpieczne brednie.

Poza tym, zadając sobie nieco więcej trudu, umielibyśmy zapewne ułagodzić ją naszą prawdziwą muzyką, naszą wspólną kuchnią, naszym tradycyjnym tańcem. Stałaby się bliższa nam, więc mniej samotna. Mniej po swojemu samotna. A już absolutnie należało skończyć z tym ciągłym wymawianiem jej obcości... To nieprawda, że nikt nie wygarnął jej tego bezpośrednio; ona żyła w oparach tej cierpkiej opinii, jakże bolesnej dla jedyne go osobnego człowieka w osiadłej społeczności. O tak... Należało otumanie ją dźwiękami muzyki, zatkać usta dobrym jedzeniem i mocnym winem, a już najlepiej byłoby wepchnąć ją w ramiona jakiegoś silnego, uczciwego mężczyzny.

Potem, kiedy już było za późno, nie było niemal nikogo, kto nie żałowałby naszego zbiorowego zaniedbania. A wystarczyło sięgnąć po prostą, sprawdzoną receptę, starą jak świat lub jak nasze wyspy. Z pewnością okazałyby się skuteczna na nieuzasadnione smutki, które zawsze, ale to zawsze, prowadzą do niebezpiecznych pasji. Wystarczyło dać jej spełnioną miłość.

Musiał zasnąć, bo gdy otworzył oczy, nie było jej obok. Jednak noc się jeszcze nie skończyła i nie musiał jeszcze uciekać ukradkiem z pomieszczeń, o których wiedział, że wraz z nastaniem dnia również odmienia swą postać. Rozejrzał się po niemal widnym pokoju, który rozświetlało jednak nie słońce budzące się za oknem, lecz na powrót świece, palące się spokojnie jak w chwili jego przybycia. Nie wiedział, jak długo spał, nie miał też pojęcia, ile czasu dzieli go od świtu, być może ostatniego dla niego w tej w grze nieznanomych reguł, które, jak się obawiał, ostatecznie złamał. Ogarnął go strach. Poczł się samotny i karygodnie głupi; resztki snu opadły z niego w chwili, w której ją zobaczył.

Stąpając niepewnie, roznosiła świece po pokoju. Otworzyła okno na spokojną noc i lekki wiatr znad morza zakołysał jej białą koszulą, inną niż ta, którą bezrozumnie zniszczył, jednak równie długą i poły-skliwą. Szczęśliwy z powodu jej widoku, starał się, by nie zauważyła jego przebudzenia. W pokoju jaśniało, jakby świt nie zaczynał się wraz z ptakami za oknem, ale tu, w jej domu, zwabiony szelestem jej stroju i kroków, które oszczędnie wyszeptywały posadzce jej bosc stopy. Zmiękczone płynnością koszuli sylwetka wydała mu się niewiarygodnie delikatna; mimo wstydu, który nakazywał mu wstać i prosić ją o przebaczenie, łapczywie śledził jej ruchy. Czuł się tak, jakby tylko dla niego odbywał się w pokoju tradycyjny taniec ze światłami; oglądał go spod współprzymkniętych powiek, mruganiem sprawiając, że obrazy drgały pod jego powiekami.

Kiedy odłożyła pudło ze świecami, w sypialni pozbawionej szansy na powitanie świtu, wszystko jaśniało jak w kościele podczas nabożeństwa. Ze skrzyni pod ścianą wyciągnęła białe płachty materiału, w którym on, zaczarowany wieloznacznością scenerii, złowróźnie dopatrywał się całunu. Odetchnął zbyt głośno, zagłuszając poszum migocących świec, a wtedy ona usłyszała go i odwróciła się w jego stronę. Jej twarz była bielsza od płótna, które trzymała w dłoniach, a jej oczy dorównywały szarością posadzce.

Uklękła przy łóżku i pocałowała go łagodnie, niemal nieśmiało, tak jak całowała go kiedyś pierwsza dziewczyna, dziecko zaledwie, w nieporadny pocałunek wkładające całą powagę pierwszej miłości. Jej usta były suche jak jej włosy, które opadły mu na twarz. Pachniała świeżą wodą i nocnym powietrzem zza okna.

- Sprawilem ci ból...

Niedorzecznie walczył ze łzami spóźnionego żalu.

- To nic - powiedziała.

Kiedy spał, postawiła przy łóżku staroswiecką, porcelanową miskę i dzbanek z wodą. Miętko skłaniając go, by usiadł - dostrzegł, że poruszanie się sprawia jej pewien kłopot - ściągnęła z łóżka poduszkę i przemoczone prześcieradło. W ich miejsce rozesłała nowe, lawendą pachnące płótno i drugi raz w ciągu tej nocy uklękła między jego udami, aż jej koszula rozlała się wokół niej jak zbyt długa

sukienka dziewczynki w świąteczny dzień. Ona również pachniała lawendą i była tak nieskończenie niewinna, że poczuł obrzydzenie do siebie, oblepionego resztkami tej nocy, brudnego barbarzyńcy w klasztornej celi. Chciał jej o tym powiedzieć, jednak łyż zakleły mu gardło.

Myła go kawałkiem płótna maczanym w chłodnej wodzie. Zaczęła od stóp, przez łydki i kolana docierając do ud, do których przykleiły się jej włosy i plamy zasuszonego nasienia. Zwilżając wciąż na nowo jego skórę, przyglądała mu się, jakby oglądała go po raz pierwszy, a on, rozdarty między wstydem, ulgą i niepokojem, pomyślał, że jej spojrzenie cieplejsze jest od jej dotyku. Potem zajęła się jego podbrzuszem; pozostawiwszy ścierkę w misce, obmyła go dłońmi, powoli i trochę lękliwie, jakby nie ona, lecz on odniósł rany.

Drgnął między jej palcami, a wtedy zastygła na chwilę, nie przerywając jednak zajęcia. Nanosząc dłońmi wciąż nowe zapasy wody, spłukała wszystkie brudy z jego pachwin i podbrzusza, które budziło się powoli, niepewne między chłodem kąpieli i jej uważnym dotykiem. Kiedy na nowo zmoczyła płótno, aby umyć mu brzuch i piersi, podniósł ją do góry. Zmusił ją, by usiadła na jego kolanach, jednak uczynił to łagodnie, gotowy zaprzestać na drobny gest protestu, czuły jak dla dziecka, któremu wolno zachować się nieufnie. Obmyła mu czoło; kiedy pochylała się do miski z wodą, czuł na nagich udach jej pośladki, oddzielone jedynie nieistotną warstwą materiału, który drażnił go aplikacją ze srebrnej nici. Przyrzekł sobie opanowanie; nie chciał jej wystraszyć i gotowy był zrezygnować z wszystkiego, czego ona nie zechciałaby pierwsza. Poddawał się jej biernie, aż do chwili, w której woda ze ścierki spłynęła po jej ramieniu na koszulę i rozczapierzyła się w mokrą plamę, jak męska dłoń obejmująca jej pierś.

37.

Mimo że starała się iść bardzo cicho, jej safianowe pantofle zaszurały po podłodze akurat w pobliżu komnaty doni Isabel.

- Celestita?

Zatrzymała się, wstrzymując oddech, wciąż jeszcze nie tracąc nadziei, że uda jej się przejść niezauważoną.

- Celestita - powtórzył głos osoby, która nie znosi sprzeciwu - czy to ty?

Weszła do komnaty z opuszczoną głową, jednak podniosła ją natychmiast, gdy tylko stanęła przed sztywno siedzącą w fotelu babką. Nikt lepiej od niej nie wiedział, jak dalece dona Isabel nie tolerowała widoku wnuczki kulącej się w sobie jak zastraszone służebna.

- Dobry wieczór, Abuela - Celesta dygnęła uprzejmie i podeszła bliżej, by ucałować suchy jak irchowa rękawiczka policzek doni Isabel. - Nie możesz spać?

- Nie, rzeczywiście nie udaje mi się spać. Docierają do mnie różne hałasy, które przeszkadzają mi w wypoczynku.

- Bardzo mi przykro, Abuela...

- Doprawdy?

Celesta zagryzła wargi.

- Ależ tak! Jak możesz w to wątpić?

Pomieszczenie było jak zwykle wysprzątane, jednak dona Isabel, choć wyprostowana i królewska w swych tradycyjnych szatach, wydała się dziwnie zaniedbana wnuczce, którą ogarnęło poczucie winy. Babka od dawna nie dopuszczała do siebie służących i tylko ona jedna upoważniona była do zajmowania się strojami oraz do podawania różanej wody do obmycia twarzy. Celesta powątpiewała w sens staromodnej toalety, dokonywanej nieskutecznie wiotkimi dłońmi

babki, które od przegubu aż po palce dawno zaatakowała artroza. Z powodu tej wstydlwej przypadłości - temat ten przemilczany był w pokoju portretowym - dona Isabel już od dziesięcioleci nie grywała na szpiniecie ani na lutni.

- Czy mogę cię uczesać, Abuela? Przyniosłabym też miseczkę koziego mleka, aby odświeżyć ci twarz...

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, *hija*.

- To dla mnie przyjemość, Abuela, nie wyraz uprzejmości.

Czesząc długie, jedwabiste włosy babki, Celesta uspokajała się powoli. Ze szczotką z końskiego włosia w dłoni przycupnięta na taborecie, który służył jej do zabawy, gdy była małą, odziewaną w niewygodne stroje dziewczynką, powracała w znajomą przyjemność nocnych spotkań z panią na *castillo*.

- Wyobraź sobie, Celestita, że wczoraj nocny ptak uderzył o szybę okna... Zupełnie tak, jakby chciał schronić się u mnie przed mrokiem nocy. Albo jakby chciał złożyć mi wizytę, zachęcony płomieniem świecy.

- To był duży ptak czy mały, doña Isabel? Ostatnio widziałam sporo wielkich ptaków na wyspie. Niektóre z daleka wydają się mieć wielkość człowieka.

- Przypuszczam, że był duży, Celesto, choć z pewnością nie miał ludzkich rozmiarów. Zasłonił jednak sobą całe okno, a poza tym hałas, który uczynił, był raczej jak uderzenie sporego zwierzęcia.

- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało... Nikt nie zameldował mi znalezienia ptaka pod twoim oknem.

- Może rozszarpały go zwierzęta?

- Oby nie! Ty wiesz, Abuela, że nie przepadam za zwierzętami mojego małżonka, kiedy płaczą się po domu, ale gdyby jeszcze miały pożerać inne stworzenia, nie potrafiłabym już dotknąć żadnego z nich.

- Przecież one służą do tego, Celestita. On zabierał je na polowanie, aby pomagały mu w zabijaniu.

- Tylko jednego, Abuela, złotego charta, który jest jego ulubieńcem. Pozostałe nie opuszczają domu.

Uniesieniem dłoni dona Isabel powstrzymała wnuczkę, która

natychmiast zaprzestała czesania i, niespokojna pod badawczym wzrokiem babki, zajęła się wyplątywaniem srebrnych nitek zaplątanych w szczotkę. Mimo że za każdym razem było ich sporo, włosy doni Isabel nie traciły gęstości; były silne i puszyste jak wówczas, gdy pozowała zamorskiemu malarzowi do portretu, który uczynił ją nieśmiertelną.

- Więc on naprawdę powrócił - rzekła powoli dona Isabel.

Jej nocne czary odprowadzane przy pomocy chłodnej wody z miski i kawałka płótna miały pozostać tylko pożegnalnymi pieszczotami. Jednak kiedy była tak blisko, dotykała mnie pachnąca tuż przy mojej twarzy, cały mój spokój nagle uleciał.

Poczuła to i zastygła z mokrymi dłońmi w moich włosach. Nie uciekła; wydawała się czekać, więc zmuszając się do powolności, ująłem ją w tali. Rozszerzyła uda tak, że przylgnąłem do jej podbrzusza. Nie oczekiwałem niczego, wystarczyłoby mi, by pozwoliła wtulić twarz między piersi i dotknąć ud, które były chłodne jak woda w jej porcelanowym naczyniu. Kiedy jednak odsunąłem z nich koszulę, przeraziłem się na widok sinych miejsc.

- Wybacz mi!...

Lecz ona już pochylała się do mnie i całowała ulegle jak niewolnica. Uniosła się, bym pokierował jej biodrami. Zmusiłem się do ostatniej uważności.

- Nie będzie cię bolało?

- N i e .

Nasunąłem ją na siebie powoli, starając się łagodzić opór jej ciała; była bezwolna, aż znalazłem się w niej cały. Szczęśliwy z zespolenia, chciałem tak w niej pozostać, bez ruchu, zatopiony w jej ciepłe, jednak ona nie uznała swego oddania za wystarczające i unoszeniem bioder sprawiła, że miejsce czułości znów zajęła niecierpliwość. Poddałem się tak, jak porywa się do biegu.

Uniosłem głowę, aby poszukać jej warg językiem i dostrzegłem, że zagryza je z bólu.

- Zaczekaj... - poprosiłem.

Przeżony zatrzymałem jej woltyżerkę:

- Nie musimy.

- Tak!

Zamknęła mi usta, wypełniając je swoim językiem. Choć próbowałem ją powstrzymać, jeszcze silniej nabiła się na mnie, aż podzieliłem jej skrywany ból. Walcząc z nią i ze sobą, wybrałem inną drogę - razem z nią przewróciłem się na łóżko i, nie opuszczając jej, wsunąłem jej ciało pod siebie.

Nareszcie mogłem kochać ją powoli, w łagodnym rytmie, który wygładził jej rysy i sprawił, że rozchyliła usta. Pilnowałem się, cały akt przeznaczając już tylko dla niej, aby zapomniała o bólu, suchości i urażonych miejscach na ciele. Gdyby pozwoliła, zadowolilibym się dotykaniem jej językiem, dzięki któremu wiedziałem, że uśmiecha się pod moimi wargami. Odetchnąłem z ulgą, czując nową falę ciepła między jej udami, ostatecznie szczęśliwy ponad nią, rozkołysaną w blasku świec i coraz spokojniejszą. Uwierzyłem, że zniknął z niej cały lęk i w końcu mogłem kochać się z nią zwyczajnie, jak chłopak z dziewczyną na wydmie przy plaży.

Zamarłem w przeciągu sekundy, ujrawszy własną dłoń, która powróciła od pieszczot jej ciała. Cała była powalana świeżą krwią.

Upokorzona Celesta siłą powstrzymała się od skulenia ramion w geście obrony. Nie miała wątpliwości, że prędzej czy później dojdzie do tej chwili... Nagle ogarnął ją przejmujący chłód, bolesny, jakby nagim ciałem dotykała zimnego muru i była bezradna jak przykuty łańcuchem niewolnik.

Naiwne unikanie rozmowy i odwlekanie wyznania prawdy było tylko żalonym, naiwnym manewrem małego dziecka, które wierzy, że rzeczy pozostają niewidzialne tak długo, jak nikt o nich głośno nie mówi. Kiedy była dziewczynką, zakazane cukierki bardziej smakowały jej od tych, którymi mogła otwarcie częstować się z bombonierki, wołała też zmożyć pantofle podczas samotnego spaceru nad morze niż pod ochroną służących przechadzać się z rodziną.

- Bardzo chciałam go do ciebie przyprowadzić, doña Isabel - mówi Celesta cicho, zmuszając się do spokojnego, pełnego godności tonu. - Tak jak on sam pragnie złożyć ci wyrazy uszanowania.

- I cóż tak niezwykle ważnego was w tym powstrzymało?

- Sądzę, że jego statek nie jest jeszcze rozpakowany, Abuela - Celesta z całych sił stara się, by wysilone wyznanie nie brzmiało zbyt żałośnie. - On jeszcze pracuje na nim całe dnie, nie wracając nawet na wieczerzę... Nie chcieliśmy niepokoić cię późnym wieczorem.

- Nie chcieliście czy on nie chciał?

- On nie chce, byś uważała go za człowieka pozbawionego manier, dona Isabel. Zamierza złożyć ci wizytę w odpowiedniej porze.

- A czy pora jego wizyt jest odpowiednia dla ciebie?

Celesta zalewa się krwistym rumieńcem.

- Nie rozumiem, Abuela...

- Te hałasy, *hija*, szuranie drzwi, kroki i wibrujące szepty... Nie odowiedziałas mnie od tak dawna. Czy on bywa u ciebie każdej nocy?

Przerażona Celesta milczy.

- Odpowiedz mi! Pozwalasz mu, by co noc wchodził do twojej sypialni? Bywał w niej jak u siebie?

Ileż gorzkiej prawdy znalazło się w tych słowach! A ona, Celesta... Zapomniała o ważności tradycyjnie osobnego pomieszczenia kobiety, ona, która sama nigdy nie zniżyła się do pójścia do sypialni męża. Szanowała nienaruszalność lądowej jaskini Korsarza, w której przebywał tak rzadko, że można było zwątpić w jej istnienie...

- Obmyję ci twarz, dona Isabel.

- Pozwalasz mu, by traktował cię jak dziewczkę.

- Dona Isabel, proszę...

Suchość i bladość dopadły policzków starej damy, przed którą drżały osobistości tyleż ważniejsze od niesłusznie faworyzowanej wnuczki... Celesta obwinia się o zaniedbywanie Abueli, o jej zakurzony włosy i poszarzałą cerę. Wie, że nadużyła zaufania i dopuściła się niewybaczalnego przewinienia.

- Jesteś obrazą dla pokoleń kobiet z twojej rodziny.

Gdyby to było możliwe, Celesta zapadłaby się ze wstydu pod ziemię. Słowa doni Isabel mają siłę otwartego uderzenia w twarz, do którego wcale nie musi posuwać się najważniejsza kobieta z rodu. Wystarczy, że uosobią najważniejsze zasady, z których od pokoleń czerpały niezachwianą moc wszystkie damy noszące nazwisko y Peralta.

- Przychodzi do ciebie, kiedy chce, zostaje do rana, sapiąc w twoje poduszki. Wchodzi bez zaproszenia, bez pozwolenia, nawet bez pukania, posiada cię...

Kiedy kobiety z rodu dopuszczały do siebie mężów, spełniały swym ciałem obowiązek wobec rodziny i, jeśli sobie tego życzyły, poświęcały się w imię przyszłego macierzyństwa. Czyniły z siebie prezent lub nagradzały małżonka za wierną służbę. Czasami - dona Isabel mówiła o tym z odrobiną zakłopotanego rozbawienia - rewanżowały się za miłość, bo i taka zdarzała się niekiedy między małżonkami. Ona sama posługiwała się jeszcze kalendarzem przygotowanym dla niej przez spowiednika; w jej czasach był to powszechny proceder, w nieodżałowany sposób utracony w małżeństwie jedynej wnuczki, która zdecydowała się poślubić plebejusza...

- Bardzo mnie to martwi, Celestita.

Żaden z arystokratycznych małżonków nie odważyłby się pogwałcić porządku nocnych wizyt w sypialni pani domu - tak jak żadna arystokratyczna żona nie zadawała sobie pytań o to, dlaczego tak łatwo się bez nich obywa.

- Tak traktuje się nie żonę, lecz kurtyzanę, utrzymankę lub służącą.

Ręka Celesty odrywa się w rozpaczliwym geście od wykwintnej twarzy doni Isabel. Po starym policzku w kolorze poszarzałej moreli splywa strużka koziego mleka, rozlanego przez drżące palce, które zbyt silne ścisnęły flanelową myjkę.

- Byłoby lepiej, gdyby nadal odwiedzał kurtyzany? - woła ze łzami Celesta, dziedziczka rodu y Peralta. - Trzymał kochankę? Naprawdę pragniesz tego dla mnie, Abuela?

- A cóż to, *hija* jak śmiesz podnosić na mnie głos?

- J a k ty możesz życzyć mi tak źle, Abuela! Wolałabyś, by wszystkie ściany tego domu śmiały się ze mnie i tej mojej małżeńskiej koszuli, w której oczekiwałam go w puste noce, choć on wcale nie wiedział, że na niego czekam... Nie prosił mnie o wizyty, o nie, był zbyt dumny, by czekać na terminy w tym dziwnym kalendarzu! **1** ja tego nie robiłam, bo wolałam gryźć palce z rozpaczy, kiedy zatrzaśkiwały się za nim drzwi...

- Teraz wolisz, by trzaskało pod tobą twoje łóżko, kiedy bierze cię jak barbarzyńca, jak zwierzę! Z pewnością dawniej brał tak twoje służące!

- Doña Isabel!

Celesta czerwienieje ze wstydu - za siebie, za nocne wspomnienia pełne hałasów i trzasków maltretowanego łoża, za to, że przeniknęły żelazne ściany sypialni aż do starych uszu babki - oraz za donie Isabel, która nagle, nieoczekiwanie stała się cyniczna i niemal po chłopsku wulgarna. Przeżaszona Celesta nie wierzy własnym oczom i uszom: dama będąca synonimem godności najlepszej hiszpańskiej arystokracji wykrzywia teraz szkaradnie usta i marszczy brwi jak niezadowolona gospodyni, jak guwernantka, jak podstarzała nauczycielka salonowych tańców! Jej zwiędły policzek przecina strużka zastygającego powoli białego płynu, który spływa w kierunku jej sztucznie wyprostowanej szyi, jednak ona, zajęta rozsiewaniem jadu i ironii, nic sobie z tego nie robi!

- To jest nasze małżeńskie łożo, Abuela - mówi cicho Celesta, w przeżaszaniu prosząc o zlitowanie i nie pragnąc już niczego więcej poza udobruchaniem starej kobiety, której istnienie jest jedyną racją przetrwania, jedyną podporą i kierunkowskazem.

- W małżeńskim łożu dama dopuszcza do siebie męża po to, aby spłodził z nią dziecko, Celestita. Jej ciało nie służy do tego, by zaspokoić męską lubieżność. Kobieta musi zachować jego szacunek, być tajemnicą, strzeżoną jak skarbiec *castillo*.

„Tylko dziewczki odślaniają się przed mężczyzną, odkrywają przed nim swoją nagość i dopuszczają do rzeczy, na które żadnej damie nie wolno jest pozwolić”... Czyż nie te prawdy niegdyś odegnały od niej Korsarza, który wsiadł na swój statek i na długie lata odpłynął? Nawet odżegnując się od natrętnych wyobrażeń, które kołowały jej w głowie jak szare ptaki w gałęziach wysuszonego drzewa, Celesta tysiące razy wyobrażała go sobie w ramionach portowych dziewcząt! Jak duch towarzyszący mu w podróży, widziała je zadzierające bezwstydnie spódnice, mrużące oczy w chwili, w której jej Korsarz wsuwał dłoń w nieosłonięte miejsce między udami albo dotykał piersi, wylewających się usłużnie z nieskutecznych dekolców...Jakże

śmiesznie wobec tych zmysłowych samic wyglądała ona, wyblakła blondynka w staromodnej hiszpańskiej koszuli poślubnej ze wstydliwym rozcięciem z przodu, zasnurowana po szyję w grubym materiale, prócz obaw osłaniającym tylko nieapetyczną kośćistość jej ciała? Jak żałosne musiały wydawać się jej pocałunki komuś, kto opływając świat, poznał krwiste, wilgotne usta dziewcząt potrafiących wiele więcej niż tylko nimi całować...

- Małżeńskie łóżko nie powinno być puste, Abuela.

Przyrzekła sobie, że go w nim zatrzyma. Modląc się o jego powrót, wymyślała tysiące sposobów na to, by po powrocie nigdy nie zechciał już spędzić nocy w innym łóżku i w innych ramionach. Postanowiła dać mu wszystko to, co miały do zaoferowania nieznanne, proste kobiety. Gdyby mogła, chętnie poprosiłaby je o naukę miłości, wiedzę tajemną, której nie mogła i nie chciała dać jej antenatka rodu; terminowałaby u nich jak uciepiona ostatniej deski ratunku najpilniejsza uczennica.

- Nikt tak nie twierdzi.

Podczas nocnych przechadzek nad brzegiem morza Celesta wymyślała opowieści o sobie i powracającym Korsarzu - mężczyźnie przywróconym nie tylko *castillo*, ludziom i zwierzętom, ale także jej, jego kobiecie, która wysychała bez niego jak niepodlewana roślina lub ogród wystawiony na palące słońce. Niejednokrotnie przyglądała się parom szukającym schronienia na wydmach i w świetle księżyca czyniącym rzeczy, których brzydziłaby się dona Isabel, nazywając je zwierzęcymi... Jednak jej wnuczka, Celesta, chętnie wsłuchiwała się w jęki i oddechy, przetykała krzyki, aż spływały w nią głęboko jak rozgrzany strumień wina. Rozwartymi oczyma chłonęła ruchy i gwałtowność nieokiełznanych ciał, pragnąc nie tylko zrozumieć, ale także nauczyć się rzeczy, które sprawiają, że mężczyzna na długo pozostaje w kobiecie, a po wykołysaniu z niej najgłębszego jęku, tuli ją długo i coś jej o sobie opowiada. Czuła najboleśniej tęsknotę, gdy objęci obcy kochankowie odchodzili od niej w zapiaszczoną ciemność.

Miłość nagich par w świetle księżyca fascynowała ją tak bardzo, że zdarzały się noce, w których opuszczała *castillo* tylko po to, by

odnaleźć którąś z nich. Poznała miejsca częściej od innych uczęszczone przez kochanków; w jednym z nich natknęła się kiedyś na samotnego mężczyznę. Najpierw przemawiał do niej niezrozumiale, później, zasłoniwszy jej usta szeroką, chłopską ręką, przewrócił ją na piasek. Wcale nie zamierzała krzyczeć, kiedy zadął do góry brzeg jej sztywnej sukni, i zamknęła oczy, aby łatwiej wyobrazić sobie Korsarza, poczynającego tak z gorącą, portową dziewczką. Była nią, kiedy obcy wdarł się w nią brutalnie, nie zadając jej jednak bólu, gdyż sama myśl o spełnieniu kotłujących się od dawna w głowie obrazów wystarczyła, by ciało w mgnieniu oka przygotowało się na spotkanie. Kiedy mężczyzna się nią nasycił, Celesta chciała odgrywać z nim następne sceny, jednak on wystraszył się i uciekł przed nią przerażony.

- Zetrzyj to ze mnie, *hija* - mówi wreszcie dona Isabel, jakby w końcu poczuła litość nad ulubioną wnuczką. - Uporządkuj moją suknię i zepnij mi włosy.

Tamtej nocy, kiedy Celesta wróciła do domu oblepiona obcą wonią parwenuusza, z jego śladami na ubraniu i odciskami prostackich uścisków na udach i ramionach, zajrzała na chwilę do Abueli. Babka akurat drzemała, co zwolniło Celeste z wymyślania usprawiedliwień dla swojego stanu. Jednak ona wcale nie czuła się ani winna, ani też pohąbiona - patrząc na wyniośle zarysowane brwi śpiącej doni Isabel Vaca y Peralta, przypomniała sobie jej żartobliwą historyjkę o jednej z ciotek, która po każdym balu, przetańczonym w ramionach swego arystokratycznego męża, wzywała do sypialni koniuszego.

„Męża ma się jedynie po to, by spłodził dzieci, *mi amor...*”

Silne bóle brzucha w połączeniu z nieprzyjemnym napięciem w skroniach doprowadzały ją do szaleństwa. Próbowwała sobie pomóc, jednak lekarstwo znalezione w kuchennej szufladzie nie pomogło.

- Tina! Witaj, miło cię widzieć - zawołała dyrektorka Domu Schronienia, zaskoczona jej widokiem w drzwiach apteki.

Przyszła tu bezpośrednio po zakończonych zajęciach w szkole, przepuszczając autobus do domu.

- Dzień dobry - zmusiła się do uśmiechu.

Dyrektorka pertraktowała właśnie zniżkę przy zakupie odżywek dla niemowląt. Tym razem chodziło o wczesniaki mające trudności z osiągnięciem przepisowej wagi ciała.

- Co cię tu sprowadza, potrzebujesz czegoś dla Eoli?

- Nie, z Eolą wszystko w porządku - Nauczycielka uściskała ją lekko zakłopotana. - Powinnaś nas odwiedzić, wygląda coraz lepiej.

Była blada, co nie umknęło uwadze drugiej kobiety.

- Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy. A co z tobą, Tina?

- Och, nic takiego...

Za firanki, w maleńkiej aptece odgradzającej pomieszczenie główne od zaplecza, wróciła pracownica, która jeszcze raz zatelefonowała do hurtowni sprowadzającej na wyspę produkty Nestle, Humany oraz kilku ich konkurentów. Jej działanie było czysto symboliczne - tak jak się spodziewała, nie uzyskała odpowiedzi satysfakcjonującej dyrektorkę, która była stałą klientką apteki i prywatnie dobrą znajomą. Jej frustrację pogorszył dodatkowo widok Nauczycielki, której nastrojów zawsze się obawiała.

- Przykro mi - powiedziała dzielnie, starając się patrzeć wyłącznie na dyrektorkę, którą znała jeszcze jako małą dziewczynka. -

Spróbowałam uzyskać rabat z hurtowni. Nie udało się. Powiedzieli, że to za małe zamówienie.

Dyrektorka głośno westchnęła.

- Chodzi o odżywki dla dzieci Carmen i Benedicty - wyjaśniła Nauczycielce. - Jedna nie ma pokarmu, a druga ma go za mało. Podobnie jak, rzecz jasna, pieniędzy.

- Takie drogie?

- Nie aż TAKIE drogie, jednak wciąż za drogie dla nas...

- A nic się nie da zrobić?

Nauczycielka patrzyła na młodą aptekarkę w sposób, który tamta odczytała jako wyrzut. Dziewczyna zmartwiała: podobne spojrzenia zwykle zapowiadały wybuchy złości.

- Nie, *señora*. Szef powiedział, że Dom i tak ma stały rabat w naszej aptece. Gdyby chciała pani kupić przynajmniej dziesięć opakowań...

Nauczycielka przerwała jej w pół zdania:

- Niestety, nawet turyści nie przywożą na wyspę tylu wcześnieaków. A jeśli pani dyrektor kupi trzy opakowania i ja trzy, to wystarczy?

Wbrew obawom aptekarki nie wyglądało na to, że Nauczycielka się rozzłości; raczej wydawała się nienaturalnie roztargniona.

- Za mało! - jęknęła przepraszająco pracownica apteki. - Nie mogę dać rabatu, ale dołożę kilka opakowań reklamowych po dwieście gramów. To będzie prawie cała dodatkowa paczka. I jeszcze plastikową butelkę ze smoczką.

Bezpłatny drobiazg zamierzała podarować kuzynce, ale było jej już wszystko jedno i oddałaby więcej, byle tylko nie narażać się ważnym klientkom. Odetchnęła z ulgą, kiedy dyrektorka Domu Schronienia zrezygnowana kiwnęła głową. Dziewczyna natychmiast zabrała się za zdejmowanie odżywek z półki.

Regał, na którym znajdowały się produkty dla niemowląt, wyglądał mniej imponująco niż drugi, ustawiony na wprost wejścia i przeznaczony na środki przeciwsłoneczne. Prezentował też mniejszy wybór, ponieważ ani specjalistyczne mieszanki, ani słoiczki z gotowymi obiadekami dla niemowląt nie należały na wyspie do artykułów

pierwszej potrzeby. Młode matki rzadko je kupowały, natomiast po jednorazowe pieluchy-wygoda, którą doceniały-jeździły na rynek do miasteczka, gdzie było taniej.

- Nie są przeterminowane?

- Ależ skąd! - Aptekarka przymilnie uśmiechnęła się do dyrektorki. - Kontrolujemy każde opakowanie, tym bardziej, że sprowadzamy małe ilości.

Turyści, którzy przywozili ze sobą małe dzieci, zjeżdżali do nas świetnie wyposażeni w rzeczy zaufanych marek. Byli rodzicami wychowanymi na poradnikach dla dobrych matek i ojców oraz katalogach firm rozpieszczających ich dzieci. Rzadko przeliczali się w potrzebach swoich pociech i byli zmuszeni do kupowania na miejscu; raczej było odwrotnie, przywozili za dużo i pozostawiali nadmiar w hotelowym pokoju. Robili to dyskretnie - w przejrzystej reklamówce, razem ze zużytym T-shirtem bądź kostiumem kąpielowym nie nadającym się już na następny urlop. Był to zwyczaj, który cenil sobie obdarowany w ten sposób personel.

Znacznie gorzej goście sprawdzali się w przewidywaniu własnych potrzeb, zwłaszcza w kwestii kosmetyków i środków przeciwsłonecznych. Nie doceniali siły słońca, wysuszającego skórę wiatru oraz słonej wody, do której spłukania nie wystarczał zwykły krótki prysznic. Kąpiącym się kilka razy dziennie w morzu mężczyznom kończyły się antyłupieżowe szampony, natomiast ich paniom waciki i płyny do demakijażu oczu. Obydwu płciom nie wystarczało przywiezionego mydła - w płynie czy w kawałku - które nieufni goście rzadko zastępowali hotelowymi produktami wyłożonymi w łazienkach. Poza tym wszyscy bez wyjątku używali niewiarygodne ilości specyfików przeciwsłonecznych i posłonecznych; kupowali je w aptece, starannie sprawdzając wysokość faktorów na kremach, mleczkach, emulsjach i szminkach ochronnych do ust. Kiedy gubili na plaży ciemne okulary, po następne również woleli przyjść do apteki niż kupować zagrażające oczom szkła *no-name* od sprzedawców krążących po plaży.

- Chociaż muszę powiedzieć - dodała aptekarka, z odrobiną żalu dokładając do zapakowanej odżywkami torby plastikową bu-

telkę ze smoczkiem - że i wśród naszych kobiet mleko w proszku staje się coraz bardziej popularne. Z roku na rok sprzedajemy coraz więcej.

- To żaden powód do radości - stwierdziła sucho dyrektorka.

- Ale wielka pomoc dla pracujących matek! - zaproponowała żywo aptekarka. - Nie każda ma matkę czy rodzeństwo, które przyniesie jej niemowlaka do nakarmienia podczas pracy w hotelu.

- I rzadko który hotel zapewnia przerwy na karmienie.

Dyrektorka odliczyła pieniądze, które wyjęła z dużego, męskiego portfela. Panował w nim typowy dla niej porządek, jakby uczyniła z niego miniaturkę swego biurka lub całego gabinetu, w którym wszystko miało wydzielone miejsce. Banknoty, ułożone nominałami, znajdowały się w jednej przegródce, w innych spoczywały dowody zapłaty za ostatnie zakupy oraz dokumenty właścicielki, a wśród nich oznaczenie grupy krwi, zgoda na wykorzystanie organów po śmierci oraz odmowa sztucznego podtrzymywania życia w przypadku śmierci klinicznej. Dwa ostatnie oświadczenia miały znaczenie czysto ideowe - na Ptasich Wyspach nie było ani szpitala, w którym przeprowadzano przeszczepy, ani odpowiedniej techniki, zdolnej zatrzymać czyjeś uchodzące życie.

- A co dla ciebie, kochana? Na razie kupiłaś trzy opakowania mleka, za które Carmen albo Benedicta będą ci bardzo wdzięczne - dyrektorka uśmiechnęła się do przyjaciółki, która bezradnym wzrokiem przeszukiwała regały. - Czego właściwie szukasz? Ale pamiętaj, nie bierz nic zagranicznego, niech turyści mają swoje Vichy, Bayera i Johnsson & Johnsson. Ty wspieraj rodzimą produkcję, jeśli oczywiście, prawdą jest, że nadal należymy do Hiszpanii.

Nauczycielka zmusiła się do pełnego zakłopotania uśmiechu, który pasował odcieniem do jej bladej twarzy.

- Potrzebuję podpasek - powiedziała. - I, chyba... tamponów.

- W takim razie... - dyrektorka ukryła zadowolone niedowierzanie. - Niestety, tylko Always. Wiem od moich dziewczyn: są droższe, ale skuteczniejsze. W sumie się opłaca.

Odciągnęła Nauczycielkę w kąt ciasnej apteki.

- Naprawdę? Ta biedna dziewczyna zaczęła miesiączkować? -

zapytała uradowanym szeptem. - To znaczy, że nie zabili jej tak naprawdę... To znaczy, że wszystko jeszcze przed nią!

Nauczycielka potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Bogu niech będą dzięki. Dokonałaś czegoś ważnego, Tina - uradowana dyrektorka zgarnęła paczkę podpasek ze znajomego miejsca na regale i położyła ją na ladzie. - Bardzo ważnego.

- Jeszcze tampony - cicho przypomniwała Nauczycielka. - A podpasek... poproszę dwie paczki.

Ponieważ do następnego autobusu pozostała prawie godzina, siedzieli na tarasie kawiarenki uczęszczanej niemal wyłącznie przez miejscowych, jednak ulokowanej przy parkingu dla autokarów tak korzystnie, że także turyści odbywający rundę po miasteczku kupowali w niej czasem napoje na wynos.

- Czytałam o czymś takim, Tina - wyjaśniała z namaszczeniem dyrektorka. - To nic niezwykłego.

- Przeciwnie, ja uważam to za bardzo niezwykle... Dawno pogodziłam się z tym, że te rzeczy już mnie nie dotyczą.

- Pogodziłaś się?

- Powiedzmy, że nie łamałam sobie nad nimi głowy. Miałam dość innych problemów. I mam nadal.

Jadły wodniste, szybko rozplywające się w miseczkach lody. Mimo parasoli czuło się na tarasie-podobnie jak na całym głównym placu miasteczka - trudny do zniesienia upał.

- Tak było mniej więcej od czasu, gdy odszedł twój mąż, prawda? - zapytała ostrożnie dyrektorka.

- Owszem, przynajmniej ja zapamiętałam to jako jedną z konsekwencji jego odejścia. Najpierw myślałam, że wszystko powróci do normy, jednak tak się nie stało. W sumie było mi wygodnie.

Dyrektorka zaśmiała się gardłowo, trochę ordynarnie:

- Bo to jest wygodne, nie da się ukryć... Miesiączka nie należy do najlepszych stron kobiecości.

- A t e r a z mam to na nowo, ni z tego, ni z owego. Wszystko mnie boli, podbrzusze, brzuch, właściwie całe ciało.

- J e s t e ś bardzo blada.

- Dziwisz się? Tak intensywnie nie było nawet wtedy, gdy byłam młodsza.

- E tam... Po prostu zapomniałaś, jak to jest.

- Może.

Przez plac przemknęła się para kotów, nieprzestraszona upałem, jednak ostrożna wobec ludzi. Jeden z kotów, szaro-czarny, miał bardzo krótki ogon, przez co wydawał się mniejszy. Nauczycielka mimowolnie zmarszczyła brwi: na wyspie wciąż wyznawany był pogląd, że koty, którym kuchennym nożem obetnie się za karę kawałek ogona, przestają podkraść ludziom jedzenie.

Wyskrobawszy resztkę lodów łyżeczką, dyrektorka odsunęła naczynie. Ponieważ woda, którą podano w karafce, zdążyła już osiągnąć temperaturę otoczenia, kobieta rozejrzała się w poszukiwaniu kelnera. Jednak oprócz niej i Nauczycielki nie było na tarasie innych gości i nic nie wskazywało na rychłe pojawienie się obsługi.

- Strasznie słodkie, prawda? - uśmiechnęła się do Nauczycielki.
- Chociaż trochę cukru ci nie zaszkodzi, bo teraz jesteś nie tylko szczupła, ale jeszcze blada. Nie to, co ja.

- Pleciesz. Lepiej powiedz, co ciekawego czytałaś na temat takich jak ja. **1** dlaczego to ma być naturalne.

Dyrektorka poprawiła się na niewygodnym, plastikowym krześle.

- Zaobserwowano, że kobiety żyjące w jednym domu miesięczkują mniej więcej w tym samym czasie.

- „Amerykańscy badacze udowodnili...” - zakpiła Nauczycielka, nadal zmagając się z lodami, które przypominały już nieapetyczną, zastygającą breję.

- Patrz, zapomniałam, o jakich naukowców chodziło, ale skoro już o tym mówisz... Rzeczywiście, to byli Amerykanie.

- I Amerykanki, które mieszkając razem, mają podobny cykl miesięczkowy.

- Właśnie. Zachowują go, rozstając się i - uwaga - zmieniają, kiedy w ich bliskim otoczeniu pojawia się nowa kobieta. Tak jak u ciebie tamta dziewczyna. Im bliższy związek, na przykład między matką a córką lub między siostrami, tym bardziej się do siebie upodobniają. Nie wiadomo, dlaczego!

Nauczycielka prychnęła ironicznie:

- Coś takiego, amerykańskim naukowcom zabrakło odpowiedzi?
- Postawili natomiast kilka teorii - uśmiechnęła się dyrektorka - na przykład taką, że rzecz ma początki w czasach, w których kilka samic dzieliło między siebie tego samego samca. Chodziło o rywalizację: były równocześnie płodne i równocześnie wypadały na kilka dni z obiegu.

Głośny śmiech Nauczycielki poniósł się po pustym, rozgrzanym tarasie.

- Rzeczywiście - zakpiła, trzymając się za bolące podbrzusze.
- Naprawdę wierzysz w to, że taki samiec odpuściłby którejś z powodu kilku kropel krwi?

Powinna była wiedzieć o chwili, w której wznowił się cykl fizjologiczny jej młodej podopiecznej. W pewnym sensie należało to do jej obowiązków - trzeba było ją obserwować, wypytywać, konsultować zmiany z lekarzem... Wiadomo było, że dziewczyna nie miesiączkowała, kiedy pracownicy organizacji Help! przywieźli ją do domu przy plaży oraz przez wiele następnycy miesięcy, podczas których przyzwyczajała się do nowego otoczenia. Świadczyły o tym opinie lekarzy, którzy badali ją po uwolnieniu z burdelu. Była wówczas kompletnie oszołomiona i przyjmowała wszystko biernie, czasem tylko usiłując bronić się przed dotykiem obcych rąk w sposób czysto odruchowy, tak, jak robią to opatrywane przez weterynarza zwierzęta.

- Nie wiem, kiedy to się stało - powiedziała przepaszająco Nauczycielka. - Jestem złą opiekunką, ale naprawdę nie wiem!

Bezradnie rozłożyła ręce, jakby mogło to wystarczyć za usprawiedliwienie karygodnego zaniedbania.

- Ostatnio bardzo się zmieniła, jej skóra nabrała blasku, jej oczy...
- powtórzyła z ukrywaniem wstydem. - Jednak przede wszystkim sama szuka kontaktu.

- Czy mówi, co chciałaby dalej robić? Myśli o powrocie do swojego kraju?

- Kiedy ja nie wiem, o czym ona myśli! Jakoś ciągle nie znajduję dość czasu, by z nią porozmawiać, ciągle mam coś innego na głowie.

Wiem, że miałam jej pomagać, po to ją przecież przyjął, jednak odwlekam to z dnia na dzień, obiecując sobie, że wkrótce się nią zajmę. Chcę usiąść z nią do długiej rozmowy, mogłybyśmy razem przygotować posiłek, zagrać w coś, sama nie wiem... Nic się nie udaje. To aż cud, że ona jakoś sama zdrowieje, bez mojego udziału... Zapytałam ją, czy chciałaby pójść ze mną do szkoły, na moje lekcje. Wiesz, co odpowiedziała?

- N i e .

- Że nie podobają się jej moi uczniowie. Wyobrażasz sobie? Jakby mogła mieć pojęcie o którymkolwiek z moich uczniów!

- Nie wiem... - dyrektorka zmarszczyła czoło w udawanym skupieniu. - Może w ukryciu czytuje wypracowania, które przynosisz do domu?

Roześmiały się obie, rozbawione abstrakcyjnością obrazu. Wyobrażenie rumuńskiej dziewczyny oceniającej francuskie wypracowania hiszpańskiego personelu amerykańskich i niemieckich hoteli wydało im się bardzo zabawne.

- Mimo wszystko powinnaś była wiedzieć, że odzyskała miesiąckę. Lekarz prosił cię, byś zwróciła na to uwagę.

- Wiem, wiem... Tyle tylko, że dowiedziałam się dopiero, kiedy sama zaczęłam krwawić; nie miałam nic w domu i akurat zamierzałam pociąć jakiś stary ręcznik, kiedy ona pojawiła się w łazience i bez słowa dała mi wateę. Taką najtańszą, zwyczajną, sprzedawaną na rynku w rolkach... Nie mam pojęcia, skąd ją wzięła.

- Dziwne.

- Dziwne. W każdym razie podziękowałam i zapytałam, czy kiedy będę kupować coś wygodniejszego, mam wziąć także dla niej. Powiedziała „Tak, też poproszę ja”. Jak to ona, słyszałaś ją przecież.

- Słyszałam - uśmiechnęła się dyrektorka. - Coraz lepiej mówi. Nadal zabawnie, ale coraz lepiej.

- Fakt.

- I do tego, jak się okazuje, jest zdrowa - dyrektorka westchnęła chyba setny raz podczas tego popołudnia. - Bogu niech będą dzięki.

Na jej stole zawsze piętrzył się stos papierów. Były to prace do sprawdzenia, tłumaczenia urzędowych pism oraz jakieś prywatne listy. Oraz korespondencja z europejskimi organizacjami walczącymi o prawa zwierząt, po francusku, lecz wysyłana również do Niemiec. Podobno Francja nie dorównywała jeszcze bezkonkurencyjnym w tej dziedzinie Niemcom... Ona, zagorzała romanistka, musiała żałować swej nieznajomości niemieckiego, który, nawet jeśli niezbyt się jej podobał, byłby przydatny do nawiązywania nowych kontaktów.

Dotychczas poznała dwie niemieckie organizacje; jedna z nich zajmowała się edukowaniem turystów podróżujących poza Europę, między innymi na wyspy takie jak nasza. Robiła to we własnym kraju oraz bezpośrednio w siedliskach turystycznych. Słuchy o tym dotarły do nas wcześniej od przedstawicieli tej poważnej organizacji, której pole działania obejmowało niestety nasze sprawy tak, że... Jakby to powiedzieć. Tak, że często musieliśmy wchodzić sobie w drogę.

Oczywiście, zawdzięczaliśmy to jej, naszej damie z domu przy plaży. To właśnie ona ich zaprosiła, a raczej ściągnęła tu do nas, **1** kiedy przyjechali, przyjęła ich we własnym obejściu, dziwacznych, naiwnych aktywistów, których interesowały wyłącznie newralgiczne miejsca wyspy. Najbardziej upierali się przy tak zwanych zakazanych souvenirach... Robili wszystko, by turyści przestali kupować od nas korale i rzadkie gatunki muszli, wyroby z krokodylowej skóry i szylkretu, słowem, wszystkie te rzeczy, na których najlepiej się zarabiało.

Poza tym uderzali w interes ulicznych fotografów, których nakazywali bojkotować, gdyby ośmielili się przynieść ze sobą małpkę, legwana, węża, a w ostateczności nawet psa, jako rekwizyt do wa-

kacyjnego zdjęcia znad morza.

Zrobiło się późno, kompletna ciemność i cisza za oknem gabinetu kazały jej spojrzeć na zegar, automatycznie, jak zawsze w porze, w której dopadało ją zmęczenie dniem. Nadchodził czas zmiany, powietrze nabierało ciężaru i niewidoczny kurz garnął się do oczu, aby wszystko wokół stało się mniej widoczne. Kształty przedmiotów wydawały się cięższe, bardziej mroczne i jakby starsze. Poczuła, że ogarnia ją typowa dla tej pory senność.

Powinna była wstać, odsunąć krzesło, odłożyć na biurko papiery, ołówki i słowniki, odwrócić się plecami do pokoju, w którym zarabiała na życie czy też - wedle własnych słów - troszczyła się o rzeczy gwarantujące przetrwanie. Powinna była pójść schodami na górę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi gabinetu, jakby wcale nie był jej pokojem, ale należał do kogoś, kto wykonuje za nią wszystkie te ważne, a męczące czynności po to, by ona, Tina, mogła w końcu odpocząć, przypomnieć sobie, kim jest i co naprawdę sprawia jej przyjemność. Powinna przebrać się, głęboko odetchnąć, poczuć, jak oddech staje się głębszy i wolniejszy, powinna pójść poszukać świeżego powietrza poza murami tego pokoju, który jest tylko bezlitosnym przedłużeniem innych miejsc stworzonych do pracy i obowiązków, punktem dowodzenia akcji ratowania siebie i pozostałego świata.

Jednak ten wieczór był inny i Nauczycielka nie uległa pokusie opuszczenia zawalonego ważnymi dokumentami gabinetu. Odchyliła się na krzesło w znajomym męskim geście, typowym dla jej przyjaciółki dyrektorki oraz zapamiętanym jako denerwujące przyzwyczajenie nieżyjącego męża. Z uwolnioną od konkretnych myśli głową przysłuchiwała się ciszy, która rozwlekła się po pokoju, moszcząc się przed nocą na przepelnionych regałach i wijąc sobie gniazdo wokół zakurzonej butelki z małym żaglowcem, kopią renesansowego galeonu. Nie zdziwiła się, kiedy z kłującym w uszy skrzypieniem zawiasów uchyliły się drzwi do jej gabinetu.

- O! - wystraszyła się postać, która pojawiła się na progu. - Być tu pani? Ja przeprasza, nie chciała. Tylko po książka, czytać próbować chciała.

- Nic nie szkodzi, Anico, wejdź, proszę.

- Nie, nie, ja myślała. Pani nie gabinet. Nie.

Dziewczyna sprawiała wrażenie zaskoczonej i cofała się, jakby zobaczyła ducha.

- Nie bój się, pomyślałby ktoś, że jestem smokiem w pieczarze!

- Nie, nie smok pani.

Nauczycielka spróbowała się roześmiać, jednak powstrzymało ją ostre ukłucie w podbrzuszu. Ograniczyła się do zachęcającego gestu, wskazując gościowi krzesło naprzeciw siebie. Ponieważ tak jak inne meble gabinetu zarzucone było papierami, pośpiesznie zrobiła na nim miejsce, zrzucając na podłogę stos starych gazet.

- Nigdy tu ze sobą nie rozmawialiśmy, prawda? - powiedziała do dziewczyny, która nadal stała niepewnie przy drzwiach i nic nie wskazywało na to, by zamierzała skorzystać z zaproszenia. - Nie chcesz mi przeszkadzać, kiedy pracuję, zauważyłam to. To świadczy o twoim poczuciu taktu.

- Taktu?

- O tym, że jesteś dobrze wychowana. Uważasz na innych.

Anica podniosła nerwowo obie ręce, jakby spotkał ją jakiś niesprawiedliwy zarzut. Jednak zbliżyła się do biurka i usiadła na wskazanym krześle.

- Ja uważam na dziecko.

- Tak, wiem. Jesteś bardzo odpowiedzialna i ogromnie mi pomagasz. Kiedy przychodzę po pracy, wszystko jest zrobione. Eola wykąpana, spokojna, a cały jej pokój wygląda tak, jakby wykwalifikowana pielęgniarka pełniła w nim dyżur przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na pewno dzięki tej opiece mała tak dobrze się czuje.

Dziewczyna nie odpowiedziała, wyprostowana na krześle, z którego oparcia z jakiegoś powodu nie zamierzała korzystać. Nie rozglądała się po pokoju i nie patrzyła w twarz Nauczycielce; wydawała się skrupowana sytuacją i gdyby jej pozwolono, wolałaby opuścić już mroczny pokój i zakończyć tę rozmowę.

- Ty też ładnie wyglądasz - po chwili milczenia stwierdziła szczerze Nauczycielka. - Zupełnie nie przypominasz tego żabie-

dzionego stworzenia, które kiedyś się tu zjawilo. Ile to już minęło miesięcy?

Po upływie tak długiego czasu na pewno zdążyła już przyzwyczać się do obecności tej dziewczyny. I wszystko wskazywało na to, że naprawdę ją polubiła.

Tamta też jakby przyłgnęła do domu, z którego nadal wcale nie chciała wychodzić, jakby pokazywała, że dobrze się w nim czuje. Przytyła o kilka bezpiecznych kilogramów, a jej włosy, na powitanie ostrzyżone krótko jak na pobyt w poprawczaku, odrosły teraz i ładnie podwijały się za uszami i na karku. Jej oczy rzeczywiście nabrały blasku, a ich nowo nabyta uważność świadczyła o aktywnym uczestniczeniu w życiu domu, schronieniu, w którym dołączyła do grona uratowanych nieszczęśliwców - psów, kotów i Eoli.

Nie można było mieć wątpliwości - wszyscy mieszkańcy dobrze czuli się w tym domu i odnajdowali w nim swoje miejsce. Nabierali sił, jakby był wystarczającym powodem do rehabilitacji; przydzieleni temu miejscu, zabierali się za zdrowienie, jedzenie i spanie, nawet za odzywanie się jedno do drugiego. Po jakimś czasie zaczęli rozmawiać ze sobą i w końcu koegzystowali zgodnie w domowej społeczności - pod jej egidą.

Zapewne najbardziej pomagała im także świadomość tego, że kiedy przyjmowała kogoś pod swój dach, jej zaproszenie miało dożywną wagę.

- Dobrze się u nas czujesz? Nie pytam, czy dobrze czujesz się na naszej wyspie, ponieważ wiem, że jeszcze nie zdecydowałaś się wyjść z domu...

Nauczycielka opiera się łokciami o blat zagraconego stołu, a w jej zielonych oczach odbija się dużo ciepła.

„Jeśli nie będziesz chciała wrócić do tej swojej Rumunii, której już może wcale nie uważasz za swoją, mogłabyś tu zostać - myśli. - Dom chętnie cię pomieści, tak jak pomieściłby Eolę, gdyby wobec jej maleńkiej osoby rzeczywiście dokonał się jakiś cud, quasi-katolicka nagroda za wiarę i nadzieję, które głosi ksiądz Emilio”.

- Dobrze się czuje - odpowiada Anica. - W domu.

- Polubiłaś trochę nasze zwierzęta?

Jasny chart drzemiący pod stołem unosi głowę i uważnie nasłuchuje, jakby także był zainteresowany odpowiedzią dziewczyny, która najlepiej zrobiłaby, pozostając na dobre w tym domu i nieodwołalnie zaprzyjaźniając się ze zwierzęcą częścią jego lokatorów.

- Ja lubiła zwierzęta.

Uśmiechają się oboje, Nauczycielka i jej pies; nie do końca udaje się im uwierzyć w jej słowa.

- To świetnie, Anico... - mówi jasnowłosa kobieta. - My bardzo się z tego cieszymy.

Druga z jej zaprzyjaźnionych charytatywnych organizacji sprowadzała do Niemiec bezdomne psy i koty z wyspy. Odbywało się to za pośrednictwem schroniska dla zwierząt, przepelnionego przybytku, którego gryząca w oczy nędza przekraczała zakres wyobraźni wrażliwych psich panius z kontynentu.

To miejsce - oczywiście ona była jedną z jego założycielek i poświęcała mu nie mniej uwagi niż Domowi Schronienia czy Hospicjum - było praktycznie jedyną instytucją, dzięki której część czworonogów opuszczała wyspę żywa. Ona cieszyła się każdą zwierzęcą emigracją, choć wypalony słońcem, pełen zwierzęcego jazgotu teren był i tak ziemią obiecaną dla psów oraz kotów, które uchronione zostały od powieszenia, zagłodzenia lub zatłuczenia pałką. Dzięki organizacji wiele zwierząt znajdowało w Niemczech dom; Nauczycielka słyszała o towarzyskich kręgach, w których do dobrego tonu należało posiadanie wykupionego od śmierci zwierzaka. Marzyła o tym, by modę tę przeflancować do swej ulubionej Francji.

Napisała notatkę do francuskiej gazety, która zgodziła się bezpłatnie wydrukować apel o pomoc dla schroniska dla psów i kotów z naszej wyspy. Mówiła kiedyś, że formułowanie krótkich wiadomości jest trudniejsze od komponowania długich materiałów, które pozostawiają autorowi spory margines wolności. Skondensowana forma nie zezwala na błędy: tekst musi być spójny, lecz nie suchy, informatywny, ale nie przesadnie rzeczowy, przekonujący, lecz nie agresywny, chwytający za serce, jednak nigdy ckliwy.

Poznałem w hotelu kobietę, która przyjechała na naszą wyspę tylko dlatego, że po przeczytaniu jej apelu postanowiła zabrać do siebie aż trzy psy naraz.

Dla Nauczycielki najważniejsze były podstawowe obowiązki.

- Nadal nie masz ochoty pójść kiedyś ze mną do szkoły?

- N i e !

Ostry głos dziewczyny działa jak uderzenie na psa, który odruchowo kuli się pod stołem.

- W porządku, w porządku, nie musisz! Anico, to było tylko pytanie - Nauczycielka spokojnie się wycofuje. - Chodziło mi o to, że prędzej czy później będziemy musiały pomyśleć o twojej przyszłości.

Chciałaby skutecznie odgonić nawracający niepokój dziewczyny:

- Mamy wiele możliwości.

- Chce pani ja pojechać!

Nauczycielka stanowczo kręci głową:

- Nie, Anico, przecież powiedziałam ci już, że możesz tu zostać, jak długo chcesz. Lubię cię mieć w domu i jesteś mi potrzebna.

- Ale nie do szkoły. Nie chce widzieć uczni! Mężczyźni. Tu być, pomagać, bo uważam dobrze. Nawet zwierzęta.

Dziewczyna nagle przypomina Nauczycielce osaczonego starego psa, który będąc na granicy wycieńczenia, ucieka od ludzi idących mu z pomocą; wabią go kielbasą, za którą oddałby duszę, ale on przeczuwa w tym jeszcze większe niebezpieczeństwo. Nie ulegając, wybiera głód, który przeraża go mniej niż śmierć. Nawet jeśli wie, że obcy ludzie i tak go złapią, nie oddaje się im dobrowolnie.

- W porządku! - mówi z naciskiem Nauczycielka, korzystając z autorytetu osoby, która kieruje ludźmi, uczy ich wielu rzeczy i w wielu sprawach jest od nich mądrzejsza. - Nie będziemy już o tym rozmawiały. Nigdy więcej, dopóki sama nie zechcesz. Zgoda?

Anica nie odpowiada, zaciska lekko wargi, jakby na przekór, co dodatkowo denerwuje Nauczycielkę, nienawykłą do braku zaufania. W swoim domu jest jednak cierpliwa; każdemu, kto w nim mieszka, oferuje solidny zapas wyrozumiałości i dobrej woli.

- Zajrzyj do Eoli, dobrze, Anico? Pewnie już śpi, jednak tak na wszelki wypadek...Ja popracuję tu jeszcze trochę, nie chcę odkładać obowiązków na jutro.

- Nie idzie na górę pani? - zdziwienie w głosie dziewczyny brzmi prawie niegrzecznie. - Tak późno jest, już wieczór ciemny.

- Nie, jakoś nie jestem ani senna, ani zmęczona. Tylko te głupie bóle. Ty też masz bóle miesiączkowe?

- Niedużo.

- To masz szczęście... U mnie wszystko się poprzestawiało, zupełnie nie wiem, jak to rozumieć. Cały rytm dnia mi się poodwracał. Nie mam ochoty wstawać rano, natomiast teraz chce mi się pracować długo w noc, wydaje mi się, że mogłabym zacząć pisanie sztuk, które odkładałam na emeryturę... Wszystko stało się jakieś dziwaczne. I to przez hormony! W moim wieku - Nauczycielka śmieje się skrępowana - i w mojej sytuacji wdowy, której jedyną namiętnością jest zwalczanie obcego kapitału i ochrona zwierząt. Żałosne, prawda?

- Kłopot to?

Zaniepokojona Anica okazuje zainteresowanie po swojemu, chciałaby również posiadać dar pocieszania, jednak niedokładnie wie, w którym z problemów mogłaby okazać się pomocna.

- O j , kłopot, moja miła, kłopot-śmieje się otwarcie Nauczycielka, tym razem lekceważąc szarpanie w dolnej części brzucha. - Ale nie martw się o mnie. Zostanę tu jeszcze jakiś czas, a ty, proszę, nie zapomnij o Eoli.

- Dobrze - kiwa posłusznie głową Anica. - Przyniosę herbata rumianek? Dobrze na choroba.

- Nie, bardzo ci dziękuję, ale nie lubię ziołowych napojów.

Anica unosi z niedowierzaniem brwi i typie na nią spod oka.

- Nie lubię teraz rumianek?

- Zmykaj już - odpowiada Nauczycielka.

Dziewczyna podnosi się niechętnie i odchodzi w stronę drzwi. Wjej spowolnionych ruchach nie ma już niechęci, którą przyniosła do pokoju przed zaledwie kilkunastoma minutami.

- Anico?

- Słucha?

- Skoro już jesteś tak miła... Przyniosłabyś mi może szklaneczkę pernodu? Z lodem, powinien jeszcze być w zamrażalniku. A pernod, pernod...

- Wiem, pernod w salonie. Szafa barek od butelek - odpowiada Anica ze zmarszczonym czołem i rzuca Nauczycielce jedno ze swoich bardzo chmurnych spojrzeń. - Przyniesie ja. Jak lubi pernod.

- Dziękuję ci bardzo! Jesteś po prostu nieoceniona.

Przyniesiona przez Anicę porcja pernodu okazała się tak mała, że po jej wysączeniu niezwłocznie trzeba było pofatygować się po następną.

Bardzo rzadko kupowała alkohol i nigdy nie przechowywała go w kuchni. Miała jednak prawdziwy barek - stał w salonie i był pamiątką po mężu.

Salon, od czasu odejścia jej męża najrzadziej używane pomieszczenie w całym domu nad morzem, świecił pustkami i, nawet oglądany z daleka przez otwarte okno, sprawiał niegościnne wrażenie. Nie mógł tego zmienić fakt, że zawsze był wysprzątnany i wywietrzony porannym powietrzem, wpuszczanym przez szeroko otwierane okna codziennie o tej samej porze, o godzinie, w której wiatr budził się ze snu w jakimś odległym zakątku wyspy.

Ten wiatr, potrzebny skądinąd w naszym uporczywie suchym zakątku świata, nie był mile widzianym gościem w domach, hotelach i w sklepach. Dla nas był czymś zwyczajnym, jednak przyjezdni - a także ona, urodzona na kontynencie - nie kochali go, przede wszystkim z powodu jego najbliższego, wlokącego się za nim krok w krok przyjaciela, którym był piasek. Tego łatwo było nienawidzić: raz wpuszczony do domu, natychmiast rozsiadał się w gościnie jak zmora i nie dawał się wypędzić z okiennic, parapetów, lamp, dywanów i mebli.

W jej domu upodobał sobie miejsce w fotelu, który ciągle jeszcze stał naprzeciwko największego, wychodzącego wprost na morze okna. Kiedyś - dobrze zapamiętaliśmy ten widok - okno to przez całe dnie było otwarte na oścież, ponieważ ani wiatr, ani piasek nie przeszkadzały siadającemu w nim mężczyźnie.

Z kieliszkiem w ręku zatrzymała się w bezpiecznej odległości od powycieranego na brzegach fotela, wcale nie dlatego, że obawiała

się starego mebla albo nawet ducha człowieka, do którego kiedyś należał. Przyjrzała mu się bacznie, jakby był czymś więcej niż tylko sprzętem, w przeszłości dzień po dniu obdarzanym ludzkim ciepłem, a potem, nagle - zbyt nagle - opustoszałym i pozostawionym samemu sobie.

Był czas, kiedy sama siebie uważała za porzucony sprzęt, wystawiony na chłostę wiatru i cierpki widok nieosiągalnego horyzontu. Czuła się jak fotel pusta i podobnie odczuwała własne ciało: kończyły jako automatyczne wypustki martwego tułowia i wypatroszonej głowy, wewnątrz niezdolne do podstawowych czynności, a usta do komunikacji ze światem. W tamtym czasie wszystkie uchodzące z jej ust słowa były tylko echem słów zasłyszanych u innych ludzi.

- Kpiłeś ze mnie, kiedy mówiłam ci, że chciałabym napisać sztukę - powiedziała półgłosem w kierunku odwróconego plecami fotela. - Taką małą sztuczkę, jak nasze małe nieszczęścia na wyspie... Teraz wydaje mi się, że w samym tylko naszym domu nagromadziło się dość ciekawych pomysłów na całkiem pokazną sztukę. Na przykład o tym, że nadal żyjesz i czujesz pociąg do tej dziewczyny. I, proszę, nie mów mi, że to banalne. Wiem to bez ciebie: my, ludzie wyjątkowi, nie powinniśmy bawić się w banalne historie.

Z kieliszka pernoda, którego przeznaczeniem było pomagać jej w tłumaczeniach na francuski, ubywają kolejne anyżowe krople.

- Przyszedł mi lepszy pomysł do głowy, dopiero co, wyobrażasz sobie? Wszystko przez te głupie wybryki natury, której zachciało się na nowo uczynić ze mnie pełnowartościową, czyli cykliczną kobietę... Znowu krwawię, wiesz? Nie mam mężczyzny, nie będę miała dzieci, a przypominano mi, że mogę je mieć. Jednak ciebie to nie interesuje, prawda? Kobiece sprawy, kobiece problemy, kobiece historie... Dzieci. Rozumiem to. Przecież zawsze rozumiałam, czyż nie? Tak... Doleję sobie kropelkę. To twój ulubiony pernod, mój drogi. Popijałeś go sobie w tym fotelu...

Zbliża się do barku, dolewa sobie alkoholu, niewielką porcję, gdyż nie lubi stanu zamroczenia - lepsze jest lekkie, perliste napięcie - i rezygnując z wyjścia do kuchni po lód, uśmiecha się pod nosem na wspomnienie dyskusji o tym, jak należy pić pernoda.

- *Ala sante!*

Milczy chwilę, czekając na reakcję postaci w fotelu albo na swoją, jakby ona była brakiem postaci w fotelu i lekceważyła siebie, osobę, która kręci się po pokoju, hałasuje butelkami i nalewa sobie ostatniego drinka.

- Przepraszam, już jestem. Miałam opowiedzieć ci o moim pomysśle na sztukę teatralną. Będzie jak każda z moich sztuk - cholernie kameralna. Dwoje, maksymalnie troje bohaterów. W tym jeden mężczyzna, jednak martwy.

Nic nie zmienia się w jej otoczeniu - salon nadal spowija skąpiona cisza.

- Tak, to ty, domyśliłeś się, prawda? - oddalona o kilka kroków od pustego fotela, uśmiecha się złośliwie do wnętrza opróżnianej szklanki. - Martwy, ale szlachetny, czyż to nie gest zadośćuczynienia z mojej strony? Będziesz duchem tego domu i będziesz troszczył się o obecnych. Zwłaszcza o tę dziewczynę, która bardzo potrzebowałaby twojej pomocy.

Robi kilka brakujących kroków, zbliża się do fotela i siada na poręczy, jakby chciała przytulić się do zajmującej go osoby.

- Dlaczego mnie opuściłeś? - pyta odrobinę smutno. - Mógłbyś zrobić ze mną tyle mądrych rzeczy. Dałbyś sobie radę z tymi łajdakami, którzy chcą mi odebrać nasz dom, doglądałbyś zwierząt, może nawet nauczylibyśmy się w końcu rozmawiać ze sobą wieczorami. A tak... Spędzam czas jak nowoczesna robotnica, która chodzi wcześniej spać, aby wypocząć przed następnym dniem. Skazana na samotne noce bez snów.

Odstawia pustą szklankę i znowu się śmieje.

- A jednak czas posiada genialne właściwości. Już prawie zapomniałam, że wcale nie lubiłeś rozmawiać ze mną wieczorami, zapomniałam, że kompletnie nie interesowało cię to, co dzieje się na wyspie. Ale to nic. To nic - mówi prawie pogodnie. - Opiszę cię jako pozytywnego ducha. Pomożesz mi w sprawie młodej dziewczyny, która nienawidzi mężczyzn, ponieważ ją zranili. Będziesz martwy, więc niegroźny, zastąpisz jej ojca i pana Boga, co ty na to? Bo wiesz, ojciec Emilio niby się za to zabiera, ale on wskazuje

jej wyłącznie duchową drogę. Co oczywiście nie jest złe, jednak ja chciałabym, żeby ona przypomniała sobie, że nadal jest kobietą. Że jej powołaniem jest bycie kobietą w przyszłości, w której powinna kogoś pokochać i mieć dzieci. Jako duch mężczyzny świetnie jej to wytłumaczysz. Przemyśl to...

Klepie protekcyjnie pusty fotel i odwraca się na pięcie. Oddycha z ulgą, zauważając, że ból podbrzusza złagodniał, jakby w połączeniu z pernodem zadziałały w końcu przeciwbólowe tabletki.

- I jeszcze jedno - mówi z zastanowieniem, zbliżając się do progu. - Ksiądz Emilio wcale nie wie, że cię zabiłam, możesz to sobie wyobrazić?

A potem, nie wiadomo dlaczego, stała się wroga wobec wszystkich mężczyzn. Jakby chciała ich ukarać. Oczywiście nie przyznała się do tego głośno, nie pozwalając sobie na okazanie słabości. Albo dowodu niewiary.

Nazywała nas mężczyznami głupich kobiet. Jakbyśmy wszyscy byli z tych, co tylko udają wiernych, a tak naprawdę rzucają się na każdą - miejscową, turystkę, obojętnie. I chętnie rzuciliby się także na nią, Wariatkę z wyspy... Uważała, że oddalibyśmy wiele za to, by móc jej dotknąć - jej jasnych włosów, bioder. Jej biodra były wąskie jak u dziewczynki. Oskarżała nas, że i my... Jakbyśmy wszyscy mieli pociąg do dziewczynek.

Nic dziwnego, że zgadała się z tą drugą, swoją przyjaciółką, z którą naprawdę trudno było wytrzymać. Na pewno między sobą mówiły, że śmierdzimy i mamy zbyt wielkie łapska, takie... Jakby ona je nazwała? Plebejskie. Oraz że siorbiemy, jemy rękami, a tłuszcz pozostaje nam na wargach jak miejscowa męska szminka.

Darowaliśmy jej to. My oraz nasze kobiety, zazdrosne o nasze spojrzenia w jej stronę, śniące sny, w których ona z nami... Bo mogła mieć nas wszystkich, prawie wszystkich, może nawet i ojca Emilio, mimo że rozstrajała go zakresami swojego wariactwa. Bo przecież to on najrozpaczliwiej jej bronił i chwalił ją za wszystko, także za pomoc kobietom i walkę o ich prawa. Jakby popierał jej przykrojony do wyspiarskich wymiarów feminizm.

Tymczasem ona zachowywała się tak, jakby chciała ukarać także kobiety. Za plotki, niesprawiedliwe słowa, nielubienie, podejrzania. Jakby wszystkie oskarżały ją o prowokowanie nas, mężczyzn niedomytych z ryb. Mówiły głośno, że jak sterowany magnes ściąga nasze spojrzenia i zmusza nas do nieczystych myśli.

Czasami zachowywała się tak, jakby za karę mogła zrobić to naprawdę - z nami wszystkimi.

Tym razem nie zdziwił się, widząc ją na progu domu, na którym nie siedziała, lecz krążyła przed nim niespokojnie, jakby niecałe dwa metry drewna, jak kładka łącząca dom z ogrodem, paliły ją w bosc stopy. Widząc, że nie zamierza go przepuścić, zatrzymał się, także z lęku przed psami, które czujnie przywarły do ziemi.

Nie uważała za stosowne bawić się w długie powitania.

- Nie może wejść - oświadczyła natychmiast.

- Słucham?

- Ty nie może wejść! - powtórzyła głośniej.

Udając obojętność, włożył ręce do kieszeni.

- Dlaczego nie mogę?

- Ona nie jest.

Uśmiechnął się z wymuszonym spokojem.

- Nie ma jej w domu?

Wiedział, że nieokazywanie strachu jest najskuteczniejszą metodą obrony przed psami: nie wolno przed nimi uciekać, nie wolno krzyżeć - zwłaszcza wysokim głosem, co oznacza, że przestraszone kobiety zawsze są bardziej zagrożone od mężczyzn. Nie wolno także nawiązywać kontaktu wzrokowego z psami, ponieważ odbierają to jako wyzwanie do walki.

- Kiedy wróci? - zapytał, opuszczając wzrok na czubki swych rozdeptanych sportowych butów.

Mimo późnej pory wszystko było jasne w blasku księżyca, którego pyzata tarcza zamieniła się w policyjny reflektor.

- Nie wiem, bo pracuje ona.

- Po nocy? - zaniepokoił się. - Gdzie?

- W pokój na książki. Pisce francusko i lekcje ze szkoła.

Pozwolił sobie na spojrzenie jej w oczy; przyglądała mu się uważnie, bez strachu, jednak czujna jak jeden z przyczajonych psów. Niedaleko od niej błysnęły fosforyczne oczy kolejnego zwierzęcia. „Kot, dobrze, że nie tygrys - pomyślał. - Bawią się w komitet powitalny czy w nocną straż? Swoją drogą szkoda, że moje wizyty przestały być tajemnicą”.

- Powiedziała ci coś?

Nie był pewien, czy rzeczywiście zależało mu na dokładniejszej odpowiedzi. Denerwowała go ta dziewczyna, która zdawała się wiedzieć wszystko, w przeciwieństwie do niego, zorientowanego tylko w niewielkich fragmentach prawdy. Jednak wolał, by tak pozostało: odkrycie całości groziło mu utratą przyjemnego napięcia.

- Nie, ale wiem ja, że ona nie spać z tobą teraz.

Poraziła go jej obcesowość.

- Ona pracuje, nie jest w jej pokój, nie czeka, nie seks! - zniecierpliwiła się, widząc jego osłupienie. - Nie chce ona teraz mężczyzna u niej!

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć? - patrzył na nią otwarcie, ogłupiały. Żadna dziewczyna na wyspie nie zdobyłaby się na podobną bezpośredniość.

- Wiem ja. Znam ona i wiem, kiedy. Zawsze w noc tak, dziś nie. Inaczej dziś.

- Puść mnie! - teraz on z kolei zaczął tracić cierpliwość. - Chcę tam wejść.

- Nie!

Dwa psy poderwały się, trzeci przysiadł na zadzie i zaczął wolno poruszać po ziemi ogonem, jakby nauczył się tego od swych kocich kumpli. Albo jakby z góry cieszył się na pozwolenie rozszarpania brzucha nielubianego gościa.

- Czemu się wtrącasz? - jego schowane w kieszeni palce miały nerwowo zapakowaną w folię kiełbasę, którą jak każdego razu przyniósł ze sobą na wypadek ryzykownego spotkania; jednak teraz nie zdałaby się na nic: przeciwko trzem psom, dwóm albo trzem kotom oraz młodocianej cerberce. - Co tobie do tego?

Suka - pamiętał, że miała na imię Donna - stała już dokładnie między nim a dziewczyną, rozdzielając dystans na dwie części, drugi z psów, jasny chart wyścigowy, zajął pozycję tuż przy drzwiach.

- Idź ty na twój dom.

Trzeci pies, z powodu wieku wolniejszy od pozostałych, również znajdował się już bardzo blisko. Choć był stary, to jego należało oba-

wiać się najbardziej: był wychowanym na wyspie *bardino*, w obronie swego stada nie cofającym się przed walką z wilkami.

- Inny raz tu chodź do niej, nie dziś - ostatni raz poprosiła go dziewczyna.

Widziano ich razem, kiedy przechadzali się nad morzem... Chłopak z wyspy oraz cudzoziemska, choć podobno będąca już w stanie spoczynku, dziwka. Widziano ich, jak wychodzili z domu, który, choć wcale nie wyróżniał się przesadną wielkością, został kiedyś ochrzczony jako Castillo. Świadczyła o tym drewniana tabliczka, na której wypalono tę przesadzoną, bezpodstawnie szumną nazwę. Castillo... Ilu miejscowych podśmiewało się z tego ukradkiem, a ilu turystów, zagląających tu przy okazji spacerów ze swoich hoteli, którym rzeczywiście należały się nazwy Royal Palast albo Royal Beach Resort!

Najpierw zabroniła mu dostępu, wyprężona jak żandarm przed wejściem do tego domu. Dyskutował z nią przez jakiś czas, cicho, jednak chyba nie ze względu na późną porę czy wypoczynek pozostałych mieszkanek. Raczej bał się psów, co było zasadne zwłaszcza odnośnie do posępnego *bardino*, który, chociaż stary, zwykle był zamykany na czas wizyt obcych. Czasami nawet zbyt pochopnie.

Potem poszli na spacer. Wyglądali całkiem zgodnie - chłopak z dziewczyną idący na wydmy, para, jakich wiele, udająca się tam w wiadomym celu, albo dwoje przyjaciół, którzy idą nad morze, by w spokoju porozmawiać. Oddalili się w kierunku plaży, pożegnani przez charta Tatu, który pozostał na stałej pozycji na progu, i odprowadzeni do furtki przez starego pasterza Leo.

Jedynie Donna zdecydowała się towarzyszyć im w spacerze, kolejna ciekawsza kobieta, która nie chce, by coś umknęło jej uwadze.

- Wszyscy na wyspie to pamiętają - jak tu przyjechali, jak urządzali dom, jak potem zginął jej mąż. Mówią, że bardzo się zmieniła, zaczęła pracować, robić tysiące rzeczy, którymi nie zajmowała się wcześniej. Przedtem prawie nie wychodziła z domu, chyba że na zakupy czy z nim na spacer... Teraz jest inna, wszędzie jej pełno, wszyscy ją znają. Jedni ją lubią, inni nie, niby należy do wyspy, ale ciągle jest obca. Jeśli zapraszają ją na rodzinne święta, robią to

głównie dlatego, że nie wiedzą, jak z nią postępować. Jest przecież Wariatką z wyspy.

- Ty też myślisz, ona wariatka?

- Nie wiem.

Miała dziecinnie zaniepokojone spojrzenie, które kazało mu powątpiewać w to, co o niej mówiono.

- J e s t dziwna - odpowiedział niepewnie.

Przyglądał się jej, usiłując odgadnąć jej wiek; w końcu uznał, że jest o kilka lat od niego młodsza.

- Nie znałem jej wcześniej. Wszystko, co o niej wiem, to opowieści.

- J a k mnie - powiedziała poważnie. - Ja też opowieści.

Znowu jej nie zrozumiał. Był niewprawiony w jej dialekcie i miał poważne problemy z rozróżnieniem zależności. Najtrudniejsze było jednak rozeznanie się w osobach i nawet pilne śledzenie jej wypowiedzi nie przynosiło mu pewności co do tego, o kim akurat mówi. Ciągle myliły mu się jej bohaterki.

Jednak nie zapytał o nic więcej. Cała ta niejasność należała do gry, która sama w sobie była fascynującym warkoczem niejasności. Teraz, gdy sam poczuł się w niej tak nieważny, jakby tylko rozmiar odróżniał go od drobin martwej skały potocznie zwanych piaskiem, był zadowolony ze swej niewiedzy. Uznał ją za jedyną logiczność upoważniającą go do dalszego uczestnictwa.

- Tak - odpowiedział. - Ja poznałem ją jako nauczycielkę. Jestem prostym chłopakiem i nie wszystko potrafię zrozumieć.

41.

Na nasze płaskie, szare plaże zaplątuję się czasem pasmo wiatru, tylko jedno, smukłe, prawie nierealne. Bawi się i coś udaje, jak chochlik albo wspomnienie po prawdziwym wietrze. Dmuchając wąskimi ustami, przegania piasek, tworząc na nim kręgi szerokości dużej plażowej piłki albo niewielkiego koca, precyzyjnie, jak za pomocą słomki. Oczywiście nie służy to niczemu - zdmuchnięte z jednego miejsca ziarenka piasku natychmiast przenoszą się gdzie indziej i przysiadają całkiem niedaleko w formie nieważnego obłoczka. Nie zakłócają porządku otoczenia.

Na naszej wyspie jest to tylko jedna z wielu zabaw. Tak jak piaskowe miniburze, piaskowe zmiatanie, otwieranie i zamykanie piaskowego wachlarza. Jak nasze niegroźne czary.

- Próbuję trzymać się tych wszystkich dobrych zasad, z których ojciec Emilio jest taki dumny - powiedziała zamyślona i trochę zła.
- Walczę uczciwymi metodami przeciwko ludziom, którym wszelka uczciwość jest obojętna, wybieram legalne drogi, z góry wiedząc, że są przegrane. Wszystko, co robię, jest rozpaczliwą walką o nadzieję na to, że uczciwość jest przyszłością, a przyszłość oprze się na uczciwości.

I tym razem nie zaprosiła przyjaciółki do domu. Stały przed furtką, od strony opustoszałej plaży.

- Jestem obrzydliwa w całej mojej politycznej poprawności.
- Gdybyś tak nie postępowała, dawno by cię tu nie było - stwierdziła dyrektorka Domu Schonienia. - Masz zbyt wielu wrogów, moja droga. Jedynym, co ich zatrzymuje, jest to, że jeszcze cię na niczym nie przyłapali. A możesz mi wierzyć, że czekają na twój najmniejszy błąd.

- Czy sądzisz, że postępuję tak ze strachu? Że jestem nieskuteczna, ponieważ boję się ich metod postępowania?

- Nie.

- A jednak tak jest. Powinam robić to, co sama uważam za najskuteczniejsze.

- Czyli co?

- Powinam się ich pozbywać.

- Tina, ty znowu zaczynasz...

Kiedyś powiedziała dyrektorze, że kiedy zmęczona pracą zapada czasem podczas dnia w krótką drzemkę, śni o sobie jako o kobiecie z wydm, zrosniętej z piaskiem jak część nawałnicy. Nienawidzi tego piasku - w sobie i w obejściu, więc wymiata go z plaży, posługując się zbyt długą miotłą, tańcząc i śpiewając. Zaklina deszcz i wiatr, aby zamiast niej wykonały całą pracę.

- Wołałabym być czarownicą umiejącą rzucać uroki. Chciałabym być demonem, który zabija spojrzeniem. Chciałabym umieć zasypać piaskiem paskudne zamczyska moich wrogów, pozamieniać w kamień ich samochody, a ich samych zdmuchnąć z wyspy jak smok ziejący ogniem. Zamiast cicho nienawidzić i dusić się własną nienawiścią, wołałabym potrafić ich unicestwić!

Dyrektorka lekko wzrusza ramionami.

- Nie jesteś w tym odosobniona. Każdy marzy o tym, by umieć strzelić palcami i - hop! - pozbyć się problemu. Wyprawić w kosmos brutalnego męża, dyrektora banku, który żąda spłaty pożyczki, sąsiada, który zatruwa życie... i na szczęście nie da się tego zrobić. Legalność to jedyny sposób na realne załatwienie takich spraw.

Nauczycielka pochyla się i podnosi garstkę piasku, jak przynętę potrzebną do zwabienia hulającej smugi wiatru.

- Jednak ja boję się, że naprawdę posiadam takie siły - mówi powoli. - Czuję, że drzemię we mnie i jeśli tylko pozwolę im się ujawnić, dadzą o sobie znać. To może być groźne.

- Masz na myśli rzucenie uroku na Adama Soriano?

- Na przykład.

Dyrektorka Domu Schronienia teatralnie kreśli znak krzyża.

- Albo na matkę Eoli?

- T e ż . Jednak z większą radością raziałabym piorunem jej ojca oraz trzech braci.

- Rozumiem, że byłby to dopiero początek...

- Owszem, bo to nie jest jedyna rodzina, w której miłość do córki i siostry wyraża się regularnym gwałceniem. Zresztą świetnie o tym wiesz.

- Mężowie moich podopiecznych? Wystarczy rzucenie uroku?

- Musiałabyś dokładniej opowiedzieć mi ich historie.

Nauczycielka przesuwa wzrokiem po swym zastygłym w milczeniu domu.

- Dobrze jest być domem, którego nie kusi przemiana w pałac - mówi, uśmiechając się do czuwających przed nim zwierząt. - Albo psem, który nie zaprzęta sobie głowy metamorfozą w lwa. Pójdę już, kochana. Popatrz, one już na mnie czekają.

- Pa, Tina. Uważaj na siebie.

- A l e ż zawsze - odpowiada jej przyjaciółka, zamykając za sobą furtkę.

Psy sekundują jej krokom coraz żywszym wachlowaniem ogonami.

42.

A jeśli ona rzeczywiście była morderczynią? Nie chcieliśmy w to wierzyć i nie było żadnych dowodów. Zresztą, nawet gdyby istniały, odrzucilibyśmy je i tak, podobnie jak niebezpieczne domysły, które czasem w nas powstawały. Jednak co, jeśli ona sama uważała się za morderczynię? Znalazła sobie taką myśl, oswoiła ją i na koniec polubiła? Uznała za powód do dumy: potrafiła zabić.

Jeśli tak było, wciąż na nowo wdrapywała się na skałę kuszenia. Uprawiała osobisty ogród Getsemani. Jak długo mogła tak wytrzymać? Z wątpliwościami, które wrzynają się w ciało, z kurczącą się z dnia na dzień tarczą cierpliwości i rozsądku.

Równie dobrze mogła uważać się za czarownicę. Wierzyć w swój potencjał w przekonaniu, że jest pod kontrolą, jak w wyścigu zbrojeń, gdzie dobrze jest posiadać śmiercionośną broń nie tylko dlatego, by przewagą odstraszać innych, ale także w celu utwierdzenia się we własnej sile. Jak mogłaby tego nie chcieć... Jako prawdziwa czarownica nie musiałaby już wojować na kartki papieru, ulotki, na słowa, tracić energii na czasochłonne i niewdzięczne urabianie ludzi jak placków z przestarzałej mąki. Wystarczyłoby kilka zaklęć: Giń! Znikaj! Umieraj w cierpieniu! O ile praktyczniej byłoby, gdyby potrafiła wykonać wyrok na każdym wrogu, którego w głębi swej skomplikowanej duszy skazała już na potępienie!

To nie były tylko nasze podejrzenia. Ona sama kiedyś nam o tym opowiedziała: „Chciałabym jednym dmuchnięciem wyrzucić wrogów z wyspy, tak jak strzepuje się okruchy z wykrochmalonego obrusa na stole, by zastawić go prostym jedzeniem i wodą odmienioną z wina. Chciałabym zamknąć oczy i zdecydować się na odprawienie jednej, nieodwracalnej mszy, podczas której wszyscy źli rozsypią się w proch”.

Trzymała swoje siły w zamknięciu, jednak na jak długo? I po co? Nie było wiadomo, czy nie skorzysta z nich w palącej potrzebie... Powstrzymywał ją tylko rozsądek czy może chodziło po prostu o tchórzostwo, ucieczkę strażnika przed więźniem? Jej moc była skomplikowana i płynna. Tkwiła w niej, gotowa do użytku.

- Zabrałaś piwo, Tina?

Zareagowała głuchą, stłumioną złością. Było to jego pierwsze pytanie i dotyczyło najważniejszej sprawy, o którą postanowił zatroszczyć się w majestacie tego jedyne w swoim rodzaju, oszałamiającego urodą dnia. Przełknęła je z trudem; podawszy mu butelkę, zamknęła oczy i wystawiła twarz na ciepło słonecznych promieni. Spróbowała sobie przypomnieć, od jak dawna denerwuje ją jego zwyczaj picia wprost z butelki. Zwykle chroniła się przed irytacją, podając mu szklanekę, jednak nie tym razem, kiedy o wszystkim zapomniała albo może tylko chciała zapomnieć. Skręcony na najniższe obrony silnik pracował cicho, podczas gdy on prowadził łódź niechlujnie, trzymając ster jedną ręką. Kiedy zanurzyła dłoń w sunące wzdłuż burty morze, woda nie wydawała się już jej przesadnie zimna.

- Żadna wiosna na świecie nie zaczyna się w podobny sposób - powiedziała łagodnie, kiedy cisza stała się głośniejsza od furkotania fal rozcinanych brzuchem łodzi.

- Masz na myśli to, że i tak nic z niej nie pozostanie?

Tak wiele kobiet skarżyło się na brak zrozumienia ze strony mężczyzny... Pomyślała, że właściwie powinna czuć się wyróżniona, skoro nie jest to jej udziałem.

- Tak, właśnie to. Tyle nadziei, tyle pracy... Tyle nieprawdopodobnej energii włożonej w coś, co jak co roku spełnia na niczym.

- Daj spokój - odpowiedział swoim zwyczajnym, zmęczonym głosem. - Jakie nadzieje może mieć ta przez Boga zapomniana wyspa?

Poczuła się tak, jakby uderzył ją pięścią prosto w krtań.

- Przez Boga... zapomniana? Co ty pleciesz? To najpiękniejsza wyspa, jaką udało mu się stworzyć. Jest tak doskonała, że nawet gdyby chciał, nie potrafiłby o niej zapomnieć!

- Rozejrzyj się dokoła - wymamrotał niechętnie.

- Rozglądam się!

- Morze. Niewiarygodnie piękne morze.
- I co? - miała ochotę zacząć krzyczeć.
- Czy naprawdę uważasz, że zabrakłoby czegokolwiek w krajobrazie, gdyby zabrakło w nim tej wyspy?
- Gdyby... - zawahała się. - Gdyby teraz zalało ją morze? Czy gdyby nigdy jej tu, na tym pięknym morzu, nie było?

Wzruszył ramionami. Odkąd opuścili Madryt, zgubił kilka kilogramów, chociaż nie za sprawą sportów, które zawsze obiecywał sobie uprawiać. Stało się tak, ponieważ jadł mniej, ze zwyczajnego braku ochoty najedzenie, będącego częścią jego ogólnego braku apetytu na życie. Zauważyła, że wszystkie jego ochoty i apetyty kurczą się na nim nieładnie jak skóra starego człowieka, wolno przekształcająca się w płątaninę zmarszczek.

- J e d n o albo drugie - odpowiedział. - Obojętnie.

To wydarzyło się przed laty wczesną wiosną, w porze najłaskawszej dla wyspy, która budziła się do życia na niedługi czas zielenienia roślin. Jak co roku wydarzał się cud, któremu ulegaliśmy wszyscy, nawet najstarsi urodzeni na wyspie ludzie, niechętnie poddawający się złudzeniu zachowania trwałości tego stanu. Wszystko się zmieniło: z wilgotnej ziemi wystrzeliwały kwiaty, gałęzie pokrywały się liśćmi i wydawało się, że więcej jest tej zieleni niż piasku, który zaniepokojony tracił jakby swój codzienny, żółtoszary animusz. Była to pora, w której morze przybierało szafirową barwę i rozkwitało soczyscie jak łąka. Wyplnęli na morze, widzieliśmy ich, gdy przy wsiadaniu do łodzi starali się nie pomoczyć nóg.

Przyglądała mu się z namysłem.

- Obojętnie - powtórzyła po nim. - Znam jeszcze trzecią, prostszą wersję. Chcesz wiedzieć, jaką?

- Nie wiem, czy chcę, ale mimo to zaraz ją usłyszę.

- Wyspa pozostaje tam, gdzie jest. W spokoju, bez pasożytniczych niewdzięczników, którzy nie umieją jej docenić. Pozostaje dla siebie i dla Boga, którego byłeś łaskawy wspomnieć. Bo on z całą pewnością o niej nie zapomniał, chociaż być może pozostawił ją sobie na boku. Na deser.

Skrzywił się.

- Znowu się denerwujesz - powiedział tonem wyrzutu, za który potrafiła go nienawidzić. - J u ż podnosisz głos.

- Nie podnoszę głosu!

Rozłożył teatralnie ramiona, nieumiejętnie naśladowując umęczonego Chrystusa. Wypuszczony z ręki ster wdał się w krótką potyczkę z nadchodzącą falą, a łódź zakolysała się niebezpiecznie.

- To tylko jedna z wysp - powiedział pojednawczo.

- Przecież o niej marzyłeś.

- Inaczej ją sobie wyobrażałem.

Pomyślała, że dla niego wszystko okazywało się inne niż sobie wcześniej wyobrażał. Prędzej czy później to, co osiągnął, wykonał, zrobił, kupił, zamówił albo dostał w prezencie, przestawało być dla niego atrakcyjne. Kiedyś wykrzyczała mu w twarz: „Twoje życie jest wchodzeniem na złote schody, w których każdy stopień zmienia się w brukową kostkę w chwili, w której stawiasz na nim stopę”.

- Tak jak inaczej wyobrażałeś sobie mnie?

- Przestań.

Był rozczarowany pracą, którą podejmował, ludźmi, z którymi się zaprzyjaźniał, oraz każdym nowym hobby, w które początkowo wkładał sporo wysiłku. Podobnie jak wszystkimi innymi rzeczami, których pragnął się nauczyć i zostać w ich dziedzinie mistrzem.

- I życie ze mną?

Nietrudno było domyślić się przyczyn rozczarowania, które stało się jej udziałem. Przecież ożenił się z nią z miłości, z nadzieją wstąpił do jej rodziny, chętnie przyjął to, co się z nią wiązało... Zgodził się na rodzinne święta, rodzinne przyzwyczajenia, rytuały, zabobony i uprzedzenia, odmiany złości i miłości. Dostał rodzinny majątek. I nic z tego nie wyszło.

Patrzyła, jak jeden po drugim rozpakowuje kartony z darami od losu. Narzeka na ich zawartość. Ani wielkość kartonu, ani jego opakowanie, ani nawet realna wartość wnętrza nie miały dla niego znaczenia. Czas jego zabawy był krótkim wstępem do rozczarowania.

Obserwowała go uważnie, kiedy najpierw cieszył się jak mały chłopiec, a potem tracił zainteresowanie niczym kogut gubiący pióra. Czasami sądziła, że jest po prostu rozpieszczony. Jednak musiała być

sprawiedliwa: wcale nie oczekiwał życia przypominającego rzymską, na leżąco spożywaną ucztę. Wcale nie wymagał tych prezentów i właściwie wolał rzeczy, na które sam zapracował. W ich wspólnym nieszczęściu nie było jego winy. Ani jej. Było tak, jak w przypadku przydomowego drzewa, które niszczało albo z powodu wiatru, który obdzierał mu gałęzie z kwiecica, albo ptaków, które pustoszyły ledwie rozkwitłe owoce.

Reszty dopełniał brak wody albo ona sama, kiedy podczas podlewania lub wiązania szmatek odstrasżających ptaki niechący łamała mu gałęzie.

- Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o tym, jak chciałbyś żyć? - powiedziała cicho, by go nie prowokować. - Gdzie, w jaki sposób... Miałeś tyle pomysłów.

- Nadal mam pomysły.
- Zrealizuj w końcu któryś z nich.
- Miałem zamiar...

Wiedziała, że kłamie. Jego malejąca ochota na nowe poszukiwania była wprost proporcjonalna do czasu, który spędzali na wyspie we dwoje, w domu na dwoje zbyt dużym, w enklawie samotności obcokrajowców, którzy uparli się udawać, że nie są turystami.

- Zamiar to początek, start - powiedziała. - Tylko punkt wyjścia.

- A co ja mogę tu robić? Na tej wyspie?

Gdyby choć w jego głosie schowało się malkontenctwo, bezpodstawne marudzenie dziecka... Mogłaby to znieść. On jednak brzmiał jak mężczyzna. Jak człowiek prawdziwie nieszczęśliwy.

- Co można tu robić? - powtórzyła po nim tępo.

Nic nie mogło się powieść - na tej wyspie... Jakby wszystko, czego potrzebował, znajdowało się daleko stąd: wylęgarnie genialnych, życiowych pomysłów, laboratoria, w których wystarczy je dopracować, oraz sceny, na których można zaprezentować je zachwyconej publiczności.

- Na tej wyspie.

Przecież wiedziała to już wcześniej: nie frustracja go zabija, lecz odległość.

Popatrzyła w jego twarz spojrzeniem, na które wcale nie zwrócił uwagi. Zapewne było dla niego zbyt codzienne, banalne jak bezkresne kilometry wody dookoła, zielono-niebieskiej jak jej oczy, jak to, że na horyzoncie nie ukaże się żaden stały ląd. Tylko ich wyspa. Miał dość jej spojrzeń, licznych jak piasek, jak on upartych, natarczywych, wszechobecnych, niby nieważnych, niby pozbawionych pojedynczej wagi, a jednak w połączeniu z innymi, jak po wymieszanu z wodą, ciężkich i kleistych jak błoto... Miał dość jej słów, zlewających się w jedno z krzykiem ptaków, który rozszarpał mu głowę. Słyszał go w nocy, kiedy ptaki dawno spały, słyszał w łodzi, nad którą z rzadka wirowały milczące kormorany. W ten sam sposób słyszał ją - nie chcąc jej ani słuchać, ani słyszeć.

Otworzył następną, trzecią butelkę piwa. Pił prosto z butelki, smutny, bezradny i obojętny wobec własnego smutku. Chciała go żałować i nie potrafiła, nawet nie dlatego, że ją sobą zamęczał, albo że lista jego przewinień wobec jej nadziei i dobrej woli zapisała się do końca jak stary pamiętnik. Nie potrafiła mu współczuć, ponieważ złorzeczył jej wyspie i niczego z niej nie rozumiał. Nie pasował do tej wyspy, niesłusznie się przed nią bronił, niesprawiedliwie oskarżał i bezpodstawnie nienawidził. Obrażał.

- Może już wrócimy? To kołysanie mnie wykańcza.

Jego smutek był czarną plamą psującą krajobraz. Był groźniejszy od wulkanu, który kiedyś niemal w całości zniweczył jego harmonię.

- Na lądzie wykańcza cię skrzywienie piasku.

- Przestań...

Jego apatyczny opór był niewiarygodnie destrukcyjny; nagle ujrzała go jako realną materię, w plastyczności swojej przypominającą olej, który, wylany z łódki do morza, zdołałby swym ciężarem wygładzić fale. Krwista barwa tej apatii kłóciła się z szafirami i zielenią otoczenia.

- Pytałeś, czy naprawdę uważam, że ten krajobraz straciłby cokolwiek na tym, że nie byłoby wyspy.

Ograniczył się do wzruszenia ramionami.

- Ta wyspa jest kompletnym krajobrazem - powiedziała stanowczo. - Nikt by nic nie stracił, gdyby to nas w nim zabrakło.

Można uderzyć butelką w taki sposób, że szkło nie rozpada się i nadal tkwi w dłoni jak zminiaturyzowana maczuga. Nie pojawia się żadna krew, jakby żarliwie proszony niewidzialny reżyser widowiska - który jak ona musiał kochać łagodne, szafirowe migotanie - chciał uszanować niechęć do czerwieni.

Po takim ciosie głowa powinna odskoczyć jak piłka, na jedno ramię, przez chwilę sprawiając wrażenie, że osunie się w dół wzdłuż tułowia. Jeśli jednak tak się nie dzieje i jakiś odruch odbijają z powrotem, głowa i tak nie powraca już do poprzedniej, względnie prostej pozycji. Uderzony drga wówczas jak wprawiona w ruch wańka-wstańka i kołysze się, wykonując coraz większe odchylenia od pionu, jakimś cudem nadal siedząc na drewnianej ławce łodzi i - co wygląda dość tragikomicznie - bez wypuszczenia steru z jednej ręki i butelki piwa z drugiej.

Ta druga butelka sprawia wtedy wrażenie, jakby mrugała szelmowsko do swej siostry bliźniaczki, tej, która mistrzowsko wykonała wyrok na rozkołysanym mężczyźnie, nie tłucząc się przy tym i nie kalecząc konwulsyjnie zaciśniętej kobiecej dłoni.

Choć ruchy jego ciała musiały ją denerwować, zamierzała czekać, aż się uspokoi. Czekala, aż usiądzie prosto, upije kolejną porcję piwa z butelki, powie coś, co nie będzie niczym nowym. Fale wcale nie były groźne, a łódź jakby przyzwyczaiła się do samodzielnego tańca. Jednak on kiwał się na jej oczach - coraz bardziej chaotycznie, coraz mniej elegancko, niemęsko, jak pijana kobieta na barowym stołku. A potem uczynił coś jeszcze gorszego - otworzył oczy, które były tak mętne, że przypomniały jej brudną wodę sadzawki w miejskim parku w Madrycie. Zapewne wtedy, chcąc jak najszybciej uwolnić się od zniechęcającego koloru, poderwała się na chybotliwej łódce i całą siłą wypchnęła go za burtę.

Potem sama straciła równowagę i zachwiała się do tyłu. Głucho piasnęła plecami o fale, które czekały już na nią po drugiej stronie łodzi. Były falami morza, które ożenione jest z naszą wyspą - jego woda jest orzeźwiająca i smaczna.

43.

Pozostawiła kosz przy drzwiach, jakby wnoszenie jedzenia do kościoła było czymś niewłaściwym - lekkim przewinieniem wobec wypasionych świętych, którzy uroczystymi minami strzegą bożego przybytku, i niewybaczalnym nietaktem wobec wychudzonego Jezusa, na dobre przykutego do krzyża. Nie oglądając się za siebie, poszła do trzeciej ławki - nigdy nie siadała w pierwszej i nigdy w ostatniej - bez strachu o pozostawiony dobytek, bezpieczny pod ochroną uświęconych spojrzeń. Była jedyną żywą postacią w kościele, tylko ona i gospodarze tego miejsca: Jezus, jego Ojciec - Ten, który zakazując sporządzania swego wizerunku, skazał się na niebezpieczeństwo symboli - jego uczniowie oraz dwie jego Marie, z Nazaretu i z Magdali.

- Dziękuję ci za zdrowienie Eoli, święta Panienko - powiedziała półgłosem do najważniejszego z portretów. - Wydaje mi się, że każdego dnia wygląda lepiej. I czuje się lepiej, naprawdę. Czasami nie rozumiem, dlaczego traktuje się ją tak, jakby miała umrzeć. A przecież ona nabiera sił, jestem tego pewna, święta Panienko.

Zwykle klękała już na początku modlitwy, nawet w dni targowe, kiedy przychodziła do kościoła zmęczona marszem, kupowaniem, targami o cenę i noszeniem wypakowanego po brzegi kosza. Tego dnia jednak usiadła tylko na twardej ławce i, starając się nie myśleć o niezwykajnie obolałym ciele, cieszyła się chwilą wytchnienia.

- Oby tylko dalej tak zdrowiała, święta Panienko... To nie szkodzi, że jeszcze trzeba nosić ją po schodach, boja nie boję się wysiłku. Za wszystko wystarczy jej zdrowienie. To, że jej buźka różowieje czasem, oczy jej trochę błyszczą i wygląda tak, jakby już, już miała się odezwać. To zresztą nic nie szkodzi, że się nie odzywa. W naszym domu jest teraz dość paplaniny.

Poprawiła się na ławce, przeżegnała i odwróciła do Marii Magdaleny:

- Za to drugie zdrowienie też muszę podziękować. Nie wierzyłam już, proszę mi wybaczyć, ale naprawdę traciłam nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Gdyby ktoś mnie o to wcześniej zapytał, pewnie byłabym przeciwna przyjęciu tej dziewczyny pod opiekę. Myślałam, że to przerośnie moje siły. Prawie dorosła panna, co poznała więcej niż ja przez całe moje życie, bałam się, jak to będzie między nami dwiema pod jednym dachem...

Rudowłosa Magdalena na portrecie jest doskonałą syntezą wyspiarskiego mariażu kultu i sztuki. Jest ulubioną świętą wyspy, obdarzaną głęboką, choć ambiwaletną miłością, którą rezerwuje się dla najbliższej rodziny; prawdziwa, bo grzeszna, symbol darowania win. O tym, że wyspa niezupełnie uwierzyła w jej nawrócenie, świadczy strój, pod którym ukryto jej wdzięki: w kontraście do niebieskiej szaty Matki Boskiej siermiężna suknia Magdaleny przypomina włosiennicę, a pyszne, miedziane loki wciśnięte są niestarannie pod najgorszą szarą chustę - zupełnie tak, jakby ktoś w ostatniej chwili powstrzymał się od ścięcia ich do gołej skóry.

- To dobra dziewczyna, nie jest winna temu, co się z nią stało.

Patrzą sobie w oczy: zbyt szczupła i zbyt blada Gospodyni, w prostej spódnicy i butach bez obcasów, o twarzy bez makijażu, niebieskich, naiwnych oczach i bladych ustach, oraz piękna Magdalena, której urodę trzeba było zamalować, by móc umiejscowić ją w firmamencie świętych. Maria Magdalena wygląda tak, jakby do portretu rozpalonego artysty pozowała nago, osłonięta jedynie długimi włosami. „Nigdy więcej nie dotknie mnie żaden śmiertelnik...” Nie mogąc jej posiąść, malarz obsypał jej rudą głowę popiołem, ciężkim strojem zasłonił grzeszną doskonałość, zmył węgiel z kapryśnych brwi i barwiczkę z ust przyprawiających go o szaleństwo. Uporawszy się z grzesznicą, pomodlił się o zbawienie przed obrazem świętej.

- Martwię się tylko, że ona nie chce wracać do domu. Przecież powinna. Zaczynam myśleć, że ona wolałaby zostać na wyspie. To nie jest dobry pomysł, wcale nie dlatego, że przeszkadza mi w domu, o nie, ona dużo mi pomaga... Chodzi mi o to, że nie znajdzie tu do-

brego męża. Nikt stąd się z nią nie ożeni... Nie przyjmie do rodziny. Nie wiem, jak do tego doszło, ale wszyscy o niej wiedzą. Szepcą o niej na rynku, czasami nawet ośmielają się zadawać pytania... Ona jeszcze o tym nie wie, ale dowie się prędzej czy później, zwłaszcza kiedy zacznie wychodzić z domu. Bo przecież kiedyś zacznie wychodzić z domu.

W myślach Gospodyni zwraca się przez „ty” do Marii Magdaleny, która ze zrozumieniem wysłuchuje jej z bogobojnego portretu. To stary nawyk, przyzwyczajenie jednej i drugiej: Gospodyni zwraca się do niej w sprawach, które mogłyby urazić nieskalane uszy świętej Panienki, a druga Maria, powierniczka kobiet zbaczających niekiedy z prostej drogi, nastawia chętnie swoje.

- Widziałam młodego chłopaka kręcącego się przed domem, chłopaka z wyspy. Możliwe, że nawet ze sobą rozmawiali, ale co z tego? Kto to wie, w jakich zamiarach do niej przychodzi... Może spodziewa się, że można się zabawić? Chociaż dobrze patrzyło mu z oczu. To byłaby prawdziwa łaska boska, gdyby zainteresował się nią jakiś porządny chłopak! Tylko że... Nawet gdyby miał uczciwe zamiary, jego rodzina nigdy nie zgodzi się na taką dziewczynę. To źle, że o jej przeszłości trąbi każde suche drzewo. I kto tam uwierzy, że wszystko wydarzyło się bez jej winy! To źle, że nic nigdy nie ukryje się na tej naszej wyspie.

Słynny obraz przedstawiający Marię Magdalenę nie jest dobrym obrazem. W całym naszym starym kościele nie ma tak naprawdę ani jednego prawdziwego dzieła sztuki - czy to obrazu, czy rzeźby. Ani Matka Boska, pyszna w odpustnym, błękitnym kolorze i ciężkiej od kosztowności koronie nie nadawałaby się do poważnego muzeum, ani żaden ze świętych patronów wyspy, których pędzel naiwnego nieznanego malarza wprowadził w religijną ekstazę.

Jednak z całą pewnością doskonale pasują tutaj, w eklektycznym, kolorowym miejscu, które od wieków żyje wotami rybaków szczęśliwie wracających z morza, uschłymi bukietami zakochanych panien i sztucznymi kwiatami mężatek. Pełno w nim dziękczynnych tabliczek, różańców, medalików, haftowanych poduszeczek i malowanych kamieni. Wśród kościelnego rozgardiaszu wizerunek Marii

Magdaleny jawi się jako esencja ducha naszej wyspy: zastygły wulkan i ogień zasypany prochem.

- Miej ją w opiece, święta Panienko - pożegnała się pokornie Gospodyni, jakby chciała przeprosić najświętszą Marię za nazbyt wielką poufałość z jej imienniczką z Magdali. - I strzeż jej w naszym domu. Boję się, że coś jej zagraża... Nie potrafię tego określić, jednak czuję. Nie tylko tamten chłopak kręci się koło naszego domu, Panienko, ale i inni ludzie, którym wcale nie patrzy dobrze z oczu. Nie wiem, czego chcą, i nie wiem, w czym mogłyśmy im uchybić.

W chwili, w której zabierając się do odejścia, podnosiła już z podłogi wypakowany warzywami, mlekiem i serem kosz, drzwi kościoła otworzyły się. Stał w nich ksiądz Emilio, w cywilu bardziej niż proboszcza przypominający gorliwego parafianina, który lubi modlić się w dzień powszedni.

- Ach, szczęść Boże! - powitał ją serdecznie. - Widzę, że wraca pani z rynku.

- Tak, proszę księdza. Tyle razy sobie myślałam, jak to dobrze, że nasz kościół jest zawsze otwarty... Wie ksiądz, że w Europie zamyka się kościoły, kiedy nie ma nabożeństwa? A już zawsze wtedy, kiedy ksiądz nie ma na miejscu.

Ksiądz Emilio parsknął szczerym, wyspiarskim śmiechem.

- Czyli że u nas ciągle powinno być zamknięte, co? Boja aż za często jestem w drodze, taki zły ze mnie kapłan.

- Co też ksiądz mówi! Zły to ksiądz byłby, siedząc sobie w zakrystii i czekając, aż kto do niego zajrzy. Wystarczy, że pan Bóg mieszka tu na stałe.

- Jak zwykle ma pani rację.

Gospodyni uśmiechnęła się nieśmiało; kosz ciążył jej na przedramieniu.

- Z Bogiem, proszę księdza. Pora już na mnie, czekają na mnie w domu.

- Tak, tak... - ksiądz Emilio zawahał się z ręką na kłamce kościelnych drzwi. - Jak pani sądzi, kiedy mógłbym odwiedzić pani podopieczne?

- Ma ksiądz na myśli Eolę czy Anicę?

- Obie. Mimo że mała wcale na mnie nie reaguje, choć jednocześnie boi się mnie i...

- Ale ż ona na pewno czuje, że ksiądz się za nią modli! - przerwała mu z przejściem Gospodyni. - Proszę się tym nie zniechęcać!

- Ja się nigdy nie zniechęcam - upokoił ją - i wiem, że jestem potrzebny także tej dziewczynce. Bardziej martwię się o starszą.

- Tak, wiem... Ja też się o nią martwię, proszę księdza.

Głośno wzdychając, Gospodyni zrezygnowała z pośpiechu i odstawiła kosz na podłogę.

- Pytałam ją, czy nie chciałyby pójść kiedyś ze mną do kościoła albo porozmawiać z księdzem, ale od razu odmówiła. Ona jest... dość płochliwa, proszę księdza. Nie chciałabym jej przestraszyć. To tak długo trwało, zanim zaczęła mi trochę ufać i mówić o sobie.

- Wiem, ile pracy pani w to włożyła.

- To nieważne, proszę księdza, nie chodzi o żadną pracę! Chodzi tylko o nią, żeby wszystko jakoś dobrze się poukładało.

Ksiądz Emilio wcale nie po kapłańsku podrapał się po głowie. Był spocony i głodny po długiej wędrówce w ważnych sprawach kościoła i parafian. W biednej parafii, której dobrobytu nie powiększyła turystyczna koniunktura wyspy, nie miał nikogo do pomocy w gospodarstwie i w kuchni. Z żalem zerknął na barwną płataninę jarzyn w koszu Gospodyni.

- Czy udało się pani chociaż dowiedzieć, czy ta dziewczyna w ogóle jest wierząca? - zapytał, przywołując się do porządku. - I jakiego jest wyznania?

- Nie, proszę księdza. Bardzo żałuję...

- Nie próbowała pani postawić krzyżyka na jej nocny stolik? - ksiądz Emilio był zdecydowany do końca wykorzystać sytuację. - A co ze świętymi obrazkami, które ostatnio zostawiłem?

- Leżą u niej, proszę księdza. Ona trzyma wszystko razem - z ptasimi piórami, które znajdzie przed domem, starym gniazdem, ze skorupą marwego żółwia i z muszlami. Nawet nie wiem, skąd je ma, bo przecież nigdy jeszcze nie wyszła za płot.

- Tak?

- A wszystko - Gospodyni uniosła na księdza zakłopotane oczy - wygląda naprawdę tak, jakby zbudowała sobie własny ołtarzyk. Nie powinnam mówić tego księdzu, na dodatek w kościele, ale tak to właśnie wygląda: z krzyżykiem od księdza w rągu.

W kościele księdza Emilio krzyż znajdował się dokładnie tam, gdzie być powinien: na honorowym miejscu pośrodku ołtarza.

- Może powinno się jej wytłumaczyć - powiedział wolno, pozwalając sobie na nieznaczny nutę pretensji - że muszle i ptasie gniazda nie są odpowiednim sąsiedztwem dla krzyża i poświęconych obrazków.

Gospodyni przestąpiła z nogi na nogę. Wyglądała tak samo jak zawsze, gdy przychodziła do miasteczka i po zakupach zaglądała do kościoła. Ksiądz Emilio przyzwyczał się do regularności jej wizyt, tak jak do tego, że są jedyną okazją do rozsądnej rozmowy. Czasami -jednak dość rzadko - przychodziła również na niedzielne msze, jednak wówczas oboje zajmowali się własnymi obowiązkami: on duszparsterstwem, ona swą skomplikowaną modlitwą.

- Nie wiem, proszę księdza... A jeśli ona właśnie tak się modli? To chyba lepiej niż gdyby wcale nie zwracała się do pana Boga.

Ksiądz Emilio zachnął się odruchowo:

- Modli się do muszli i pustej skorupy?

I natychmiast pożałował odpowiedzi; podniósł oczy, oczekując ostrej reakcji, którą sam sprowokował. Pamiętał jednak, że nigdy dotąd nie pozwoliła sobie na złość w obrębie kościoła.

- Ludzie robią sobie relikwie z różnych rzeczy... - Gospodyni nie zamierzała się z nikim kłócić. - Tak słyszałam. Przepraszam księdza, przecież ja nawet nie wiem, po co ona to wszystko trzyma. Może się myślę, może to tylko głupie skojarzenie z ołtarzykiem. Musiałam przedtem widzieć coś takiego, więc... Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy.

- Oczywiście - nie uspokoiła go, jednak potaknął jej na zgodę. - Kiedy więc mogę przyjść?

- A l e ż kiedy ksiądz uważa...

Tylko przez niewielką chwilę wytrzymała jego spojrzenie. Już stała w drzwiach, z koszem obciążającym jej szczupłe przedramię,

przypominając trochę niecierpliwego psa, któremu śpieszy się na dwór. Czuł, że napieranie na nią nie ma sensu.

- Dobrze - powiedział, poddając się. - Może rzeczywiście przyjdę, kiedy zdarzy się jakaś dobra okazja.

Odetchnęła z ulgą, kiedy otworzył przed nią drzwi i pozwolił wyjść na rozpalony słońcem kamienny próg.

- Oczywiście! Dziękuję księdzu - powiedziała grzecznie, pośpiesznie pokonując trzy prowadzące do kościoła schodki. - I z Bogiem!

- Z panem Bogiem...

Odchodziła coraz szybciej, już zajęta innymi myślami, uciekając od trudnych rzeczy, których i tak nie potrafiłaby nikomu wyjaśnić. Wołała znaleźć się już w domu, z dziećmi i ze zwierzętami, z ich wspólnym głodem... Szybko zdecydowała się wrócić autobusem; myśl ta sprawiła, że jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku, oddalając się od kościoła i nieruchomego na progu księdza Emilio, który sprawiał wrażenie kogoś, kto ma jeszcze setki pytań...

Głośno odetchnęła z ulgą, słysząc za plecami jego wołanie:

- Pani Tino!

Ucieszyła się, że zamiast zawracać ją z drogi, woła kogoś innego. „Jak to dobrze, że miły i cierpliwy ksiądz Emilio spotkał odpowiedniego rozmówcę!” Miała wyrzuty sumienia z powodu niedorzeczności, które opowiedziała mu na temat ołtarzyka Anicy. Co on też musiał sobie o nich obydwu pomyśleć...

Przekładając kosz do drugiej ręki, przyspieszyła kroku na widok żółtego autobusu, który jakby specjalnie czekał tylko na to, by zawieźć ją do domu.

I w końcu stało się to, co prędzej czy później musiało się wydarzyć. Coś, przed czym przestrzegali ją wszyscy dookoła, a ona lekceważyła ich albo wyśmiewała. Udawała nieustraszoną...

Zawsze denerwowała nas tym i martwiła jednocześnie; próbowaliśmy walczyć z jej brakiem rozważli, jednak ona albo naprawdę niczego się nie bała, albo zanadto przyzwyczała się do pogroźek, które docierały do niej ze wszystkich możliwych źródeł oraz kierunków świata. Zamiast się uzbroić, zlekceważyła wszelkie możliwości obrony. Nie była przygotowana do odparcia ataku, pomimo obecności psów, które traktowała jak dzieci w sanatorium, pomimo zamykania bramy i drzwi, nie mogących stanowić wielkiej przeszkody dla przygotowanego napastnika. Gdyby choć - z czystego rozsądku! - miała w zanadrzu cokolwiek: broń, namiastkę broni lub telefon... Gdyby zadała sobie trud dodatkowego zabezpieczenia domu na wypadek spełnienia się choćby jednej z licznych gróźb.

Teraz zmuszono ją, by uświadomiła sobie powagę sytuacji.

Drzwi z hukiem wyleciały z futryny, chociaż założone w nich zamki były solidne i ustąpiły dopiero po kilku uderzeniach łomem. Nie były jednak niezniszczalne i w końcu gruchnęły ciężko na podłogę, podnosząc gęsty obłok pyłu jak oddech czarnoksiężnika, w rzeczywistości składający się z mieszanki wnoszonego do domu piasku, niewymieconego do końca kurzu oraz sierści zwierząt, które, choć teoretycznie żyły na zewnątrz, i tak przekradały się do środka.

Tego jednak nie mogły dokonać tym razem: gdy diabelski obłoczek dymu opadł i ukazał sylwetki sprawców katastrofy, stało się jasne, że zwierzęta nie będą już mogły przekroczyć progu domu. Leżały nieruchome, być może martwe, bez możliwości pomyłki

w przypadku jednego z nich, który, w przeciwieństwie do dwóch sprawiających wrażenie uspionych psów, rozciągnięty był na progu jak poplamiona futrzana wycieraczka. Roztrzaskana łomem głowa młodego charta tonęła w kałuży świeżej krwi, a z mroku, do którego nie docierało słabe światło lampy znad wejściowych drzwi, dobiegało na w pół przerażone i na w pół wściekłe syczenie kota.

Było ich tylko dwóch: kanciasty, tępawy ochroniarz, który odwiedził ją kiedyś w towarzystwie dyrektora Carillo i jego adwokata, oraz drugi, nigdy przez nią wcześniej niewidziany. Obydwaj trzymali w rękach łomy, jednak tylko jeden, ten należący do dyrektorskiego goryla, został użyty do zabicia Tatu. Jej wzrok zamarł na narzędziu i choć bardzo się starała, nie potrafiła oderwać go od ściekającej czerwonej i śliskiej masy, do której przylepiały się pojedyncze złote włosy jej psa. Stała przed nimi gwałtownie rozbudzona, w nocnym stroju, z rozpuszczonymi, nieuważnie odgarniętymi włosami. Zamrugała szybko powiekami, przeganiając łzy, za które była na siebie wściekła.

Była zupełnie sama - niepozorna, osamotniona kobieta, do której domu wdarł się zastęp wrogów: rzekomi uczniowie, skuteczni szpie-dzy-prześadowcy, finansiści, widzący w niej przeszkodę w rozkwicie interesów, przedsiębiorcy spragnieni jej ziemi pod budowę hotelu, ojcowie-gwałciciele, niezadowoleni z publicznego rozprowadania o tym, co powinno być załatwiane w domu, pobudliwi, a brutalni mężowie, organizatorzy psich wyścigów i walk kogutów, właściciele katowanych zwierząt oraz wielu, wielu innych...

- Zapłacicie za to - powiedziała z ostrym francuskim akcentem.

Oraz sutenerzy, jedyni na liście jej wrogów, fatygujący się ze sprawą, która nie wiązała się z wyspą.

- Ale nam chodzi o to, że już raz zapłaciliśmy - odpowiedział towarzysz goryla, drobniejszy od niego, lecz z pewnością niewiele mniej silny. - Teraz przychodzimy po swoją własność. Wakacje Tamary, przepraszam, Anicy, dobiegły końca.

Nie potrafiła zlokalizować jego akcentu, który trochę przypominał sposób mówienia Anicy, jednak brzmiał bardziej twardo.

Poza tym, w przeciwieństwie do dziewczyny, intruz poprawnie mówił po hiszpańsku i właśnie ta perfekcja przydawała mu okrucieństwa.

- Gdzie ona jest? - zapytał cichym, szeleszczącym głosem.

- Spadaj!

Nie zdążyła nawet zezłościć się na siebie za nerwową, wcale nie nauczycielską odzywkę, o której przetłumaczenie na francuski często prosili ją uczniowie. Ciężko padła na podłogę, pokonana jednym tylko uderzeniem pięści, które od niechcienia wymierzył jej wyprostowany, starannie ubrany napastnik.

- *Espece de eon...**

Spróbowała pozbierać się z podłogi, podczas gdy on, rozglądał się po korytarzu. Jego kumpel - przypomniała sobie, jak się nazywał - nie ruszał się z miejsca i przyglądał się jej z dziecięcą satysfakcją, rozlaną po płaskiej, bezrozumnej twarzy.

- Twój dyrektor zajmuje się także sutenerstwem, Ilja? - ze wszystkich sił starała się, by jej głos brzmiał normalnie. - Już całkiem otwarcie przyznaje się, że zwykły z niego bandyta?

Goryl kołysał zakrwawiony łom, niemal czule, jakby trzymał w rękach niemowlę.

- Ja nie pracuję już dla dyrektor Carillo - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Ja mam własna firma.

Jakoś udało się jej podnieść na kolana i dokonywała wielkiego wysiłku, by wyprostować się z upokarzającej pozycji przed osiłkiem, któremu jej niezdarne ruchy sprawiały wyraźną przyjemność. Czują palenie w prawej skroni i wydawało się jej, że niewyraźnie widzi - duża sylwetka Ilji chwilami zamazywała się przed jej oczami i mylił się jej kierunek ruchów drugiego napastnika kontrolującego się. Zrozumiała jednak, że na razie zadowala się parterem i zamiast wspinać się na schody, zamierza spenetrować kuchnię. Ponieważ jego uderzenie posłało ją pod ścianę, musiał przejść obok niej i zrobił to z tą samą obojętnością, z którą wcześniej wyminął w drzwiach wejściowych jej zabitego psa.

¹ Ty sukinsynu.

Prostowała się powoli, podpierając się plecami o ścianę i całą się czerpiąc ze ślepej nienawiści, którą generował w niej jego widok. Sutener starannie wykonywał swoją pracę, ze spokojem sprawdzając kąty, i tylko sporadycznie, jakby z nudów, urozmaicał ją sobie przewracaniem krzesel i rzucaniem sprzętów na podłogę. Zakończywszy kontrolę, ponownie przeszedł obok niej, jakby omijał nic nieznaczącą przeszkodę i skierował się w stronę schodów. W końcu udało się jej osiągnąć niemal wyprostowaną pozycję ciała; bolesną gimnastykę odbyła pod uradowanym wzrokiem Ilji, o którym wiedziała, że nie jej powstanie go cieszy, lecz wyobrażenie łatwego przywrócenia jej do poprzedniego stanu. Wiedziała, że jest zdana tylko na siebie w swym samotnym, wypełnionym łatwo zapalną mieszanką zagranicznych akcentów, domu. Stała prosto i nawet rozglądała się już wokół siebie w poszukiwaniu broni, kiedy dotarły do niej ciche, zbliżające się z piętra kroki, których bojaźliwość dodała jej nowych sił.

- Anica, uciekaj! - krzyknęła w kierunku schodów.

Rzuciła się w bok, umykając Ilji, który odruchowo spróbował złapać ją za ramię, jednak zatoczyła się i znalazła się na progu między kuchnią a schodami, dokładnie pomiędzy dwoma napastnikami.

Nie działała racjonalnie, szukając ratunku. Powodowana śmiertelnym strachem, podsycanym przez wibrujący, przeraźliwy krzyk, który zdawał się przebijać bębenek jej nadwyrężonego ucha, przesunęła się wzdłuż ściany. Gdyby mogła, pobiegłaby na pomoc w stronę tego rozpaczliwego, nie po człowieczemu ostrego krzyku, zablokowała sobą schody jak własne Termopile, jednak migające resztki rozsądku podpowiedziały jej, że pilniejszą potrzebą jest znalezienie jakiegokolwiek broni. Sprzed kuchennego kominka, przed którym zawsze leżały ciężkie kawałki drewna i stalowe pogrzebacze, chwyciła najcięższy metalowy pręt. Była szybsza od flegmatycznie wchodzącego po schodach sutenera, który pogardliwie odwrócił się w jej kierunku. Ugodzony ostrzem osunął się w dół jak pozbawiony kości manekin, mniej spiesznie niż jego krew, która malowniczo spłynęła po jego beznamiętnej zaciętej twarzy.

- Za Tatù, ty gnoju! - krzyknęła dziko, nie pamiętając, że nie on, lecz Ilja zamordował jej psa. Ten sam Ilja, który, niezrażony

deszczem ostrego jak miliony nieszlifowanych diamentów krzyku, stał już obok niej.

Dochodzące hałasy obudziły Eolę z głębokiego snu, w którym znowu uciekała daleko, jakby mieszkała gdzieś w bezkresnej przestrzeni, tam, gdzie istnieją drogi prowadzące do horyzontu. Gdzie można iść i iść, ciągle mając ziemię pod nogami. Gdzie woda nie istnieje inaczej, jak w postaci cichych fontann, które czuwają nad uciekinierem na wzór przydrożnych aniołów, a kiedy trzeba, przemieniają się o zmierzchu w przydrożne latarnie. Jest to sen z czasów, w których nie istniały wyspy, ziemia była wielką całością tysiąca dróg, a woda nie spełniała jeszcze funkcji żelaznego ogrodzenia złych miejsc, od których ucieczka kończy się nieprzychylną słoń ścianą. Albo przynajmniej - bo i takie skromniejsze sny miewa Eola - wszystko odbywa się w czasie, w którym wysp nie podzielił jeszcze wybuch wulkanu i nadal istnieje ogromna wyspa-matka, wyspa-ziemia, wyspa-archipelag, zjednoczony, nieporozbijany na pojedyncze ogniwa kontynent. Jest wystarczającą przestrzenią dla małej dziewczynki, z dostateczną ilością miejsca i drogi, którą może odejść, uciec i schować się w oddali.

Jak rozbudzony duch Eola usiadła na łóżku. Na parapecie okna paliła się blada lampa, niegaszona nigdy jako świadectwo życia jej maleńkiej osoby w tym pokoju i domu. Lampka, ważna przyjaciółka Eoli, była jej wartownikiem i wskazywała każdego, komu przyszłoby do głowy zakraść się do niej o zmroku. Dawała fory Eoli, która mogła dostrzec zło, zanim zmaterializuje się w postaci dotyku. To dzięki lampce Eola nauczyła się zasypiać i śnić swoje krajobrazy. Pokój jest bezpieczny - nie ma w nim nikogo i zamknięte są jego grube, z solidnego drewna wyciosane drzwi. Jednak coś niedobrego dzieje się całkiem niedaleko: najpierw skowyt zwierzęcia, potem przerażony tętent maleńkich kocich łap, huk, wiele innych złych głosów. I znowu huk, trzaski i szurania. Jak wiotka lalka posadzona na łóżku Eola opuściła już bezpieczne granice snu i wie dokładnie, że znalazła się w sąsiedztwie niebezpieczeństwa. Jest to jednak inne zagrożenie niż to, które dawniej jej dotyczyło. Tamto działało w ciszy, tamto było ciemnością: szuraniem nóg, skrzypieniem

starych drzwi, popychaniem, mokrym dotykiem, ciężkim do nieprzytomności oddechem, ciężarem i bólem.

Teraz, podczas tej przerwanej, gwiazdzistej nocy, nic nie jest ukradkowe. Zło na dole panoszy się otwarcie, jak wojna, w której nikt nie ścisza głosu i nie zadaje sobie trudu kneblowania ust dłonią. Ktoś uciszył psy, ciepłe, miękkie stworzenia, których wierny wzrok mówi więcej niż tysiące słów zdradliwych, fałszywych matek. Ktoś sprawił, że uciekły nieopuszczające nigdy swego miejsca koty.

Ktoś zagraża temu wszystkiemu, dzięki czemu Eola spała spokojnie przez wiele ostatnich miesięcy. Dzięki czemu nauczyła się jeść i pić bez strachu, a także zaufać dotykowi dłoni, które podtrzymują, uspokajają i głaszczą. Poprawiają, nie zdzierają ubranie, czeszą, nie szarpną za włosy, zmywają pot, rozumiejąc, jak straszny bywa ciężar jego cuchnącej kąpieli. Ktoś zagraża domowi, kobietom, zwierzętom i wszystkim następnym dniom, w których Eola mogłaby znowu zasnąć i obudzić się w tej samej postaci.

Eola jest słaba, jest małą dziewczynką, która chwieje się na swoim łóżku; pierwszy raz bez wsparcia kogoś, kto przychodził pomagać jej żyć dalej, podtrzymywał, podawał, czasem wynosił na słońce. Teraz nikt do niej nie przyjdzie - Eola czuje to w swojej przejrzystej, kruchej głowie - bo na dom napadło nieszczęście i właśnie go sobie zagarnia. Eola otwiera szeroko oczy, jakby dziwiła się, że nieszczęście nie ją, lecz kogo innego upatrzyło sobie na tę spokojną, gwiazdami oświetloną noc.

Ma na sobie piżamę w misie - flanelową, pachnącą ziołami jak wszystko inne w tym pokoju i domu. To dobre ubranie, bezpieczne. Miękkie od setek prań, doprowadzających do łagodnej szarości kolorowe niegdyś futerka misiów, z rękawami wytartymi na obrzeżach, rozciągnięte, szerokie. Jednak ten strój nie wystarczy Eoli, która potrzebuje więcej niż okrycia. Odgłosy z dołu nasilają się - choć nadal nie podchodzą bliżej - aż lampa na parapecie drży ze strachu, jakby prosiła o pozwolenie rozbłyśnięcia pełną siłą. Wolnymi ruchami, które i tak są niecodziennie pośpieszne, Eola sięga do szuflady, tej, która na szczęście zawsze jest wpółotwarta, na szczęście nigdy się nie zacina, i cienką jak gałązka rączką chwyta za schowaną w niej

magiczną koszulę. Ciągnie ją długo, aż pot znowu pojawia się na jej czole, a słabowite ramię omdlewa z wysiłku. Koszula jest długa i potrzeba wiele czasu, by w całości wydobyć ją z czeluści szuflady; Eola ciągnie ją cierpliwie, jak początkujący magik sznurjedwabnych chustek z czarodziejskiego kapelusza. Kiedy jej to się udaje, zazdrosna szuflada pustoszeje jak karton gwiazdkowej paczki z biura pomocy ubogim, a umęczona Eola ściska koszulę w swoich małych dłoniach. Sekundę później kolejny huk z dołu taranuje granicę bezpiecznych drzwi jej pokoju.

Eola wie, że szalejąca wojna wcale do niej nie dotrze. To walczą inni, ofiarą padają inne małe dziewczynki i inne kobiety. Mogłaby zakryć głowę podartym kocem tej nocy i zasłonić uszy rękami, aby nie słyszeć ich płaczu, jęków, wycia i prośb o zmiłowanie. Ta noc by się jej upiekła.

Drżącymi rękami Eola wciąga magiczną koszulę na piżamę zamieszkaną przez poszarzałe misie i staje na drżących nogach, podtrzymując się o krawędź łóżka i czepiając ścian pokoju, które, chybotaliwe pod niepewnymi spojrzeniami lampy, starają się jak mogą, by się jej przysłużyć. Zbliży się do drzwi, otwiera je sama, trochę obawiając się klamki, która jednak usłużnie ustępuje, i wychodzi na długi, mroczny korytarz.

Poza pokojem wszystko jest jeszcze głośniejsze, zło jak dym unosi się ponad polem walki, a odgłosy uderzeń i krzyki ofiar osiągnęły już poziom piętra i jak węże czyhają na okazję, by owinąć się wokół kostek bosych stóp Eoli. Jednak ona nie czuje lęku, nie cofa się, nie zamierza powracać w bezpieczny krąg światła lampy przyjaciółki. Jest przecież niewidzialna w długiej, magicznej koszuli, która osłania w całości jej niewielkie, niezabliźnionym bólem pokreślone ciało. Chwiejąc się na drżących od słabości nogach, niepewnie powoząc wzburzonym obłokiem nieokreślonej siły, Eola osiąga urwisko schodów, na którym kończy się bezpieczna część domu.

W dole odbywa się sąd ostateczny: podobna do niej nieszczęśliwa istota kuli się na podłodze między dwoma potworami; nawet magiczny strój tamtej na nic się nie zdaje; jest doskonale widoczna

i tamci zrobią z nią, co zechcą - zniszczą, rozbiją i rozkrwawią, tak, jak rozprawili się już z drzwiami, z psem i wazonem, z mokrych skorup którego wypływają na ziemię poranione kwiaty.

Niewidzialna Eola unosi w górę ręce w rękawach jak szerokie skrzydła, jednak wcale nie próbuje odlecieć jak wielkie ptaki, o których myśli, że tak naprawdę są tylko zazdrosnymi o sztukę latania ludźmi. Nie zamierza też bezszelestnie spłynąć w dół na napastników, jak duch tego domu, srebrna dama *castillo*, która nocami przemierza sienie i krużganki, potężna dzięki stojącym za nią zastępom żołnierzy na lądzie i armadzie pirackich statków w porcie.

Mała, nieustraszona Eola unosi ramiona i swym najwyższym krzykiem, ostrym, jakby z jej najgłębszego wnętrza wycinał go na nowo chirurgiczny nóż, opętańczo wzywa pomocy. Metalowa struna jej krzyku rozcina podzieloną wyspę na jeszcze mniejsze wysepki, po czym, roztapiając się w powietrzu, na nowo skleja je ze sobą.

Dona Isabel Vaca y Peralta powstrzymała dłoń wnuczki, która umoczoną w kozim mleku chusteczką łagodnie obmywała jej twarz. Dotknięcie wiotkiej, suchej jak pergamin ręki spłoszyło zamyśloną Celeste.

- Wydaje się - powiedziała wyniośle stara dama - że twój *hombre* zdecydował się wrócić do domu.

Od drzwi wejściowych dochodziły hałasy, wśród których zaniepokojona Celesta rozróżniła głośne stukanie obutych butów o marmurową posadzkę i szcęk broni. Oraz huczący wśród murów szyderczy śmiech.

- I to nie sam... Niepotrzebnie cierpiałaś z powodu samotności, Celestita. Teraz znowu będzie jak dawniej: wraz z twoim korsarzem powróciło do nas prawdziwe życie.

Czując jak jej twarz zalewa rumieniec wstydu, Celesta wstała z taboretu. W komnacie z portretem panował zwykły półmrok, sprawdzony sprzymierzeniec w chwilach zakłopotania dręczącego ostatnio Celeste podczas niełatwych spotkań z Abuelą.

- Wybacz mi, dona Isabel - powiedziała, składając lekki ukłon przed pogardliwie uśmiechniętą babką. - Pójdę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Abuela machnęła niedbale dłonią, sprawiając, że płomień świecy zachwiał się i rzucił jaśniejsze światło na jej woskową twarz.

- Ale ż wszystko jest w porządku, *hija mia* - oświadczyła, ostentacyjnie ziewając. - Gdyby jednak tak się stało, że twój *hombre* akurat dzisiaj zapragnął złożyć mi uszanowanie, powiedz mu, proszę, że nie zamierzam już nikogo przyjmować.

- Oczywiście, dona Isabel.

- Nie chodzi mi przy tym o jego stan, Celestita. Ani o jego... gości.

- Dona Isabel...

- Po prostu powiedz mu, że udałam się już na spoczynek.

Salwa wulgarnego śmiechu wystrzelona z głównej sieni przeto-czyła się po dolnych częściach domu i podjęła próbę wspięcia się na wysokie schody. Zmuszając się do zachowania spokoju, Celesta pochyliła się nad babką i ucałowała jej policzek.

- Naturalnie, Abuela - powiedziała. - Życzę ci spokojnej nocy.

- To raczej ja tobie życzę spokojnej nocy, *mi amor*.

Drżąc na całym ciele, Celesta cicho zamknęła za sobą drzwi, o których wiedziała, że i tak nie będą wystarczająco skuteczne w oddzieleniu babki od niepożądanych hałasów domu. Ciężkie uczucie wstydu i obawy sprawiło, że długo ślizgała palcami po materiale sukni, zanim udało się jej uszczknąć ją w dwóch miejscach i unieść do góry. Wśród nawałnicy nieprzyjemnych, wrogich odgłosów uniosła głowę i z zadartym podbródkiem skierowała się ku schodom. Dotarła zaledwie do półpiętra, kiedy jej oczom ukazały się sylwetki mężczyzn rozpanoszonych w jej domu. Jej przerażenie podwoiło się w jednej chwili, gdy pojęła, że żaden z nich nie był Korsarzem.

By nie zaszczycać obcych widokiem czubków swych safianowych pantofli, opuściła rąbek sukni. Już ją zauważyli, wyprostowaną na przedostatnim stopniu, wyniosłą Celeste, wnuczkę doni Isabel Vaca y Peralta. W ich cudzoziemskich twarzach było coś, co powstrzymało ją od powitania i sprawiło, że w aureoli obrażonej godności milcząco czekała na wyjaśnienia.

-- Witamy panią domu! - odezwał się jeden z przybyszów, arogancko patrząc jej w oczy. Jego wymowa brzmiała dość prostacko, jednak on z pewnością się tym nie kłopotał. - Nie mogliśmy już

doczekać się spotkania. Wiele o pani słyszeliśmy.

Zadarta podbródek o następne kilka milimetrów, jakby w ten sposób mogła stać się jeszcze wyższa wobec niewystarczającej różnicy kilku stopni schodów i odległości wielu metrów marmurowej sieni. Nadal milczała.

- Przyszliśmy po naszą własność.

Poczuła, że błędnie. Kto ośmielał się szukać swojej własności u rodziny y Peralta? Albo... u Korsarza? Spróbowała uspokoić samą siebie: „Nie, to tylko jakaś pożałowania godna pomyłka...”

- Własność?

Uśmiezek intruza przypomniał jej wszystkie wzdardliwe uwagi Abueli na temat Korsarza. O jego podejrzanym pochodzeniu, podejrzanym podróżach... Doña Isabel nigdy nie uwierzyła w jego służbę dla królowej, co łamało serce Celesty, niechętnie przyznającej monarchini prawo do zabierania małżonka. Cóż znaczyli wobec niej dziwni, na wskroś niekrólewscy ludzie, których nie zdobyły herby, uniformy, nawet biała broń... Z pewnością przy płynęli z daleka. Jednak... Celesta poczuła zimne ukłucie w okolicach serca: ci źle wychowani, arogancy mężczyźni nie mogli przecież być żołnierzami Korsarza, jego żeglarzami, przyjaciółmi, nawet jego służbą! Dlaczego więc weszli tak po prostu do jego domu, jakby udzielił im pozwolenia... Kto wymyślił dla niej te tragiczne żarty?

- Ukryła pani coś, co należy do nas.

Nuestra Señora, czyżby chodziło o złoto? O, temat skrzyń ze złotem również był powodem irytacji Abueli, powątpiewającej w uczciwość źródła, z którego czerpał Korsarz, mąż troszczący się o utrzymanie *castillo* i należyty poziom życia Celesty...

- Powinniśmy panią ukarać, z czego jednak zrezygnujemy, jeśli nie sprawi nam pani kłopotu.

Jawna impertynencja zatrzymała oddech w piersiach Celesty, jakby służąca zbyt mocno ściągnęła na niej gorset pod balową suknię.

- U... ukarać? Mnie?

Wzburzenie Celesty zaczęło rozrywać jej klatkę piersiową. Dlaczego wciąż nie ma tu Korsarza, gdzie jest jego służba, która

dawno już powinna była powalić na kolana tych pomyłonych prostaków, którzy zdają się nie wiedzieć, przed kim stoją i ośmielają się odzywać jak do równej sobie!

- Nie powinna pani przyjmować do domu kogoś, kto ucieka ze służby.

Ucieka ze służby... Korsarz! Jego nieoczekiwany powrót, cichy, bez fanfar, bez hucznego powitania w porcie, bez pochodu obładowanych łupem marynarzy, bez kilkudniowego świętowania przy pochodniach i muzyce, bez mszy dziękczynnej za szczęśliwy powrót...

I jego nocne wizyty, ukradkowe, ciche, jakby się ich wstydził. A jego znikanie przed świtem, milczenie i niezrozumiała nieśmiałość - och, dlaczego, mimo że czuła zmiany, które zaszły w nim podczas tej ostatniej, najdłuższej podróży, nie zapytała go o to wszystko? I dlaczego - o *Dios!* - zwątpiła w przezorność Abueli?

- Nikt, kto znajduje się w tym domu, nie opuścił niczyjej służby - odpowiedziała dumnie Celesta żołdakom królowej, zdradliwej i niewdzięcznej monarchini, która nawet nie zadała sobie trudu wysłania po Korsarza godnej jego zasług, umundurowanej eskorty.

Naraz stało się jej obojętne, ilu obdartych rzezimieszków zebrało się przed wejściem do jej *castillo*. Za otwartymi na oścież drzwiami czaiło się wiele cieni, jednak ona nie zamierzała ich liczyć, wypatrując księżycą ponad nienawistnymi głowami i odliczając czas dzielący ją od chwili, w której Korsarz pojawi się z odsieczą.

- Odejdźcie stąd, bo wezwę ludzi!

Odpowiedziała jej salwa obelżywego śmiechu.

- Jakich ludzi, *señora?* - rzezimieszek drwił z niej całą swoją plugawą osobą. - Skąd weźmie pani ludzi w tym żalonym domu kobiet?

Jego obco brzmiący głos i zimny wzrok, który zsunął się z jej twarzy w dół ciała i zatrzymał na wysokości piersi, sprawiły, że poczuła strach. Odruchowo spojrzała na drugiego bandytę, który nonszalancko podparty na czymś, co przypomniało jej maczugę, milcząco tkwił w ciągle tym samym miejscu. Z przerażeniem dostrzegła, że dół jego ubrania upstrzyły jaskrawe krople krwi.

- Zaraz nadejdą - wyrzuciła z siebie głosem, który drżał niegodnie.

Oszalałym, przerażonym wzrokiem przeszukiwała sień i pogrążoną w ciemności przestrzeń za progiem domu. Korsarz! A jeśli już go zabili, nie rozpoznając go, kiedy skradał się do *castillo* z nocną wizytą do niej, bez munduru i trójgraniastego kapelusza, może ugodził go ten wielki bandyta, bezwstydnie oparty na śmiercionośnym narzędziu, z którego spływa jeszcze czyjaś świeża niewinna krew? Może wzięli go za kogoś ze służby, jednak... za kogo? Czy rzeczywiście istniał jeszcze ktokolwiek, kto naprawdę mógłby teraz przyjąć jej z pomocą?

- Kto? - drwiąco powtórzył wlepiony wzrokiem w jej suknię bandyta. - Mówi pani o ludziach z wyspy?

Nie odpowiedziała - nie z pogardy, nie z zaskoczenia, nawet nie ze strachu. Zaciśnęła palce na sukni, nagle przerażona pęczniejącą pustką w głowie. Spróbowała przypomnieć sobie sąsiadów, służbę, wojsko, odpowiedzialne za porządek na wyspie władze... Jednak nic, prócz obrazu kołyszącego się na kotwicy okrętu Korsarza, nie wykluło się z jej pamięci.

- Precz stąd! - powtórzyła tylko po to, by nie dopuścić do siebie strasznej prawdy.

Człowiek, który wdarł się do jej domu, leniwie postawił nogę na pierwszym stopniu schodów. W pomniejszonej ponownie różnicy wysokości bezczelnie zaglądał jej w oczy.

- Zawołaj ją.

Źrenice Celesty rozszerzyły się, jakby znieacka błysnął przed nimi pochodnią. Oburzenie, ciasno splecione z nieokreślonym strachem, w jednej chwili odebrało jej mowę. Obcy żołdak nie trudził się już dodawaniem słowa *señora*", zbliżył się do niej tak, że prawie czuła na sobie jego cuchnący czosnkiem i alkoholem oddech, nawet jego ramiona nie były spokojne, jakby lada chwila miały sięgnąć po Celeste...

- Nie słyszysz mnie? Zawołaj ją, niech tu przyjdzie!

Z galerii nieobecnych, może nigdy nieistniejących postaci zamieszkujących *castillo*, Abuela jest jedyną osobą, która w tej chwili przychodzi na myśl Celeście. „Dom kobiet, rzeczywiście...” Zaledwie

one dwie oraz jakaś służba, tak niezdarna, że trzeba przemilczać jej istnienie, służące, które to ukrywanie uczyniło bezimiennymi i nieobecnymi. Dom kobiet, w którym obcy rzezimieszek orientował się lepiej od jego właścicielki.

Obraz doni Isabel jawi się Celeście jako jedyna ucieczka od zbyt wielu ciężkich myśli.

- Ona nigdy tu nie przyjdzie - mówi z pogardą, siwymi oczyma wytrzymując niebezpieczne spojrzenie intruza.

- Czyżby?

Opryszek rzeczywiście wyciąga po nią rękę - jego plebejska, brudna, żołdacka łapa chce dotknąć ramienia Celesty, która broni się odruchowo, przez co wszystko staje się jeszcze gorsze, bo gdy ona odskakuje jak przed uderzeniem rozpalonego żelaza, palce tamtego prześlizgują się po jej piersi. Głośny krzyk wyrwa się z jej sinych ze strachu ust; Celesta wzywa Korsarza wraz z jego wiernymi marynarzami, przywołuje niewidzialną służbę, która musi przecież gdzieś przebywać... I z całej duszy ostrzega Abuelę, do której, nie wiadomo dlaczego, chcą dotrzeć dwaj niebezpieczni bandyci.

Krzyk jej drobnego ciała nie pozostaje odosobniony - nagle rozdziela się na dwie srebrne nici, dwie ścieżki strachu, podwójne *vibrato* śmiertelnego przerażenia. Mezzosopranowy lęk Celesty zostaje nagle wsparty ostrą koloraturą, która jest dość wysoka, by zasłużyć sobie na solowy występ w Teatro Buen Retiro w Madrycie, przed wyszukaną publicznością oraz królową, gdyby była tego godna i nie zdradzała swoich sług...

Celesta pada w dół z niewielkiej wysokości paru stopni, nie wiedząc nawet, co spowodowało, że zaplątana w długą, sztywną suknię toczy się ze schodów jak niezgrabna marionetka lub kokon owinięty sznurkami. Towarzyszy jej wibrujący krzyk dochodzący z wysoka, tak wysoka, że wcale nie wiadomo, skąd się wziął: z suchych ust Abueli czy może którejś innej nieszczęśnicy z Domu Kobiet, do niedawna uważanego za bezpieczne *castillo*...

Zimna i szorstka posadzka sieni wcale nie zamierza przynieść Celeście ukojenia. Nie chce jej utulić, pocieszyć, zachęcić do mięk-

kiego snu, w który można pogrążyć się jak w aromatycznej kąpeli, odpędzając bolesną realność. Kamienie w sieni, ułożone równo jak armatnie kule w zbrojowni, odpychają od siebie Celestę: wstań, *senora* y Peralta, nie okazuj bezbronności wobec parszywego plebsu...

Drobna niewiasta zbiera siły na podłodze swego zamku, czerpie je z kamieni jak Anteusz z ziemi, delikatnymi dłońmi sprawdza porządek swej brokatowej zbroi, która zawsze pilnowała jej godności i chroniła od wszelkiego złego. Podnosi się powoli, na obolałe kolana, staje i prostuje sztywne plecy. Z uniesioną głową ogarnia przestrzeń swego domu: widzi pierwszego z bandytów, który oparty o okrwawioną broń śmieje się głośno śmiechem smagającym ją po twarzy. Celesta podąża wzrokiem za wąską strużką krwi spływającą z jego morderczego narzędzia, dociera po niej do rozciągniętego na progu ciała - człowieka czy też dużego zwierzęcia - i wydaje się jej, że w martwej istocie rozpoznaje kogoś, kogo bardzo kochała. W tej jednej chwili nie chce już dowiadywać się niczego więcej.

Pod szyderyczym spojrzeniem jednego i za szerokimi pogardą plecami drugiego, wspinającego się na schody napastnika, Celesta osiąga zimną, wysoką ścianę. Wiszą na niej kusze, lance i szable jej przodków, a także, najniżej, najbardziej na wyciągnięcie ręki, rapier należący do Korsarza. Jego *espada ropera*¹, która tak pięknie harmonizowała z jego wykwintnym strojem... Celesta chwyta broń, jakby ta nic nie ważyła, i, wspierana siłą wszystkich pokoleń rodu y Peralta, wymierza ją w rozpanoszonego bandytę, który jak najbardziej natrętny, pijany gość wdziera się po schodach i w swej niezmierzonej bezczelności zmierza do najintymniejszych miejsc *castillo* - komnaty portretowej doni Isabel, gabinetu Korsarza oraz do jej tajemnej sypialni...

Jedno jedyne pchnięcie wystarczy, by podły kształt osunął się ze schodów jak szmaciana kukła przeznaczona na spalenie. Celesta prostuje się i odrywa dłoń od rapiera, który pozostaje w ciele bandyty jak rozeń w prosięciu obracany nad ogniem, powoli, w rytm muzyki stukoczących uderzeń ciała spadającego z kolejnych stopni schodów.

¹ Szpada noszona do uroczystego stroju.

W chwili, w której martwy napastnik osiąga poziom posadzki, miejsce w sieni, od którego wszystko w *castillo* naprawdę się zaczyna, upada także Celesta. Dosięgnięta wściekłością drugiego napastnika, osuwa się na kamienie z opóźnieniem, jakby sztywny, brokatowy gorset jej nocnego stroju próbował jeszcze jej bronić i wspierał ostatnim wysiłkiem jak rusztowanie albo podpórka, -do której podwiązuje się róże. Dumna Celesta zapada w ciemność bez jęku, jakby zasypiała, i nic nie zakłóca harmonii jej nieskazitelnego wizerunku, nawet bladość, odrobinę bielsza od zwyczajnej bladości, którą zawsze przywdziewała wieczorami do swej najbardziej uroczystej sukni.

Pędziłem tak szybko, jak można śpieszyć się do kogoś na niewielkiej wyspie, bardziej okrągłej niż podłużnej, gdzie wszystkie odległości nie są może szczególnie wielkie, a jednak ciężko jest dotrzeć tam, gdzie naprawdę chciałoby się znaleźć. Gnałem przez piasek, nad morzem, które złośliwie zalewało mi nogi jakby chciało mnie zatrzymać, przeklinając każdy kolejny pomysł skrócenia drogi. Nie postarałem się o samochód, nie liczyłem na autobus, omijałem ścieżki, wiedząc, że w gruncie rzeczy i tak wszystko odbywa się zbyt późno. Krew pulsowała mi w skroniach jak jakiś durny, nadgorliwy muzyk jedynej na wyspie orkiestry. Biegłem; w chwilach takich jak ta, gdybym mógł, gdybym był zdolny do jasnego myślenia, pojąłbym jasno moją przynależność do tego miejsca, w którym ludzie oddychają, płaczą i biegną w rytm fal i ptasiego turkotu na niebie. Zapadają się w piach, na przypomnienie ograniczoności czasu, który jest im dany na poruszanie się w przestrzeni.

Łzy ściekały mi po twarzy, biegnąc, ocierałem je nerwowo i wiedziałem już, że i tak przybędę za późno, bez szans na uratowanie czegokolwiek. A przecież byłem taki czujny! Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, przez wiele miesięcy. Nasłuchiwałem, węszyłem, dowiadywałem się, byłem przekonany, że jeżeli cokolwiek będzie miało się wydarzyć, będę tym, który dowie się o tym pierwszy. I na nic zdały się moje małe szpiegostwa, a ja okazałem się nic niewart. Nie byłem obrońcą, szpiegiem królowej, żadnym agentem 007.

Ku podupadłemu domowi o przekornej nazwie Castillo pędził ze spóźnioną pomocą przez plażę tylko młodszy kelner z hotelowej

restauracji. Nieszczególnie zdolny i nieprzesadnie ambitny, zwyczajny chłopak w rozczłapanych butach. Nikt inny, jak tylko ja, Manuel Rosa, smarkacz, któremu wydawało się, że się zakochał.

Jednak, żeby nie było za prosto - dla mnie oraz dla zagmatwanych żywołów rządzących Ptasią Wyspą-jeśli rzeczywiście była to miłość, przydarzyła mi się tak niefortunnie, że nawet w tym szalonym, zakopanym w piasku i zalanym wodą niebezpieczeństwie nie potrafiłem określić jej obiektu.

Wiadomość o tym, że obcy pojawili się na wyspie, pochodziła od jednej z dziewcząt. Usłyszawszy ją, dyrektorka pobladała i, aby zebrać siły, przysiadła na chwilę na swym twardym dyrektorskim krześle. A przecież spodziewała się podobnej chwili, gdyż zagrożenie istniało od początku i trzeba by nieprawdopodobnego szczęścia, żeby któregoś dnia nie zmaterializowało się na wyspie. Wszyscy o tym wiedzieli, przeczuwali i, tak naprawdę, nikt nie próbował zapobiec, mimo sygnałów pojawiających się w ostatnich tygodniach jak zapowiedzi zbliżającego się kataklizmu, huraganu albo suszy... Jednak nie ucieka się z wyspy. Każdy, kto się na nią schronił, najczęściej myli ją z niedostępną twierdzą otoczoną murem, za którym wszystko wydaje się nieskończenie odległe. Wyobraźnia uciekiniera przypisuje potencjalnemu pościgowi własne braki i odmawia mu prawa do komunikacji oraz broni... Ktoś, kto żyje na wyspie, wierzy, że skoro niełatwo ją opuścić, jeszcze trudniej jest ją zdobyć.

Dyrektorka drżącymi rękoma chwyciła notatnik z ważnymi numerami telefonów. Podczas przerzucania wytartych kartek natrafiła na zapisek o organizacji Help! i zaklęła głośno, nie przerywając poszukiwań. Dopiero dotarłszy do litery P, uświadomiła sobie, że szuka w ciemno, bez wyobrażenia pożądanego abonenta. Zawiadomieniem policji zajęła się już przecież mieszkanka domu, ta sama, która przyniosła jej alarmującą wiadomość. Któryś z umundurowanych powinien być już w drodze do domu Tiny... Powinien.

Skłócona z większością męskiej populacji wyspy dyrektorka Domu Schronienia dla Kobiet wykręca po kolei numery sąsiadów domu nad morzem: Jorge, trenera kitesurfingu z dopiero powstającej stacji sportów wodnych, doktora Teresino, który przy odrobinie

szczęścia jest właśnie w drodze do któregoś ze swoich pacjentów, oraz do księdza Emilio, który wprawdzie nie jest ani rosty, ani zdolny przeciwstawić się przemocy, jednak być może dysponuje jakimiś innymi cudownymi środkami do ratowania zagrożonych kobiet.

Uruchomiwszy niejednolity system wyspiarskich dzwonek alarmowych, dyrektorka wybiega z gabinetu. Klnie po męsku i modli się na przemian. Nienawidzi mechanika, który nie naprawił dostawczego samochodu, jej najszybszego środka transportu. Nienawidzi policjantów, których jest tylko dwóch na służbie i, nawet gdyby chcieli podjąć natychmiastową akcję, i tak nie dojadą w porę z centrum wyspy. Nienawidzi Tiny Reyes za nieposiadanie telefonu oraz za jej ośli upór.

Dźwięk rozbijanego szkła sparaliżował Gospodynię. Z niedowierzaniem rozejrzała się po kuchni, która z uporządkowanego, świeżością pachnącego miejsca, na jej oczach przekształcała się w pobojowisko. Z blatu kredensu ściekały na wypastowaną podłogę marynaty, a wypuszczone z niewoli słoików papryki i pomidory ślizgały się po białych deskach jak rozbawione dzieci na lodowisku. Rozpryski szkła rozpieczęły się w panice, mieszając się z wiązkami kopru i kuleczkami angielskiego ziela.

- Co panowie robią? - przerażona wydusiła z siebie w stronę nieznanym mężczyznom, jakby to, czego przed chwilą dokonali, było wynikiem nieszczęśliwego przypadku.

Za całą odpowiedź poleciały na podłogę kolejne naczynia, tym razem butelki ziołowego octu oraz jedna z oliwą, której aromatu nadawała gałązka rozmarynu. Dopiero co ściśnięta w wąską spiralę, rozkwitła na podłodze jak model żaglowca, zapakowany do butelki dzięki trikowi mocowania masztów na sprężynce, a Gospodyni jęknęła głośno na widok plamy, która jak wielopalczysta dłoń odcisnęła się na wyszorowanych do piaskowej białości deskach.

- Ależ... Przestańcie natychmiast, proszę!

Ubrany w ciemny garnitur i jaskrawą koszulę mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach.

- Powtarzam ostatni raz: zawołaj ją.

Na podłodze leżało już zmasakrowane drewniane krzesło, które przed oddaniem na służbę kuchni Gospodyni przeżyło kilka poko-

leń ludzi na wyspie. Roztrzaskawszy je o ścianę - przy okazji padł ofiarą zniszczenia obraz z kołysanym przez fale pirackim statkiem - jego resztki rzucił na podłogę drugi z mężczyzn, ten, który dotychczas jeszcze się nie odezwał. Wybrał inną aktywność, polegającą na niszczeniu i zastraszeniu, skuteczniej niż naprawdę wymagała tego sytuacja w kuchni osamotnionej, przestraszonej kobiety. Jak sfrustrowany sportowiec, który nazbyt długo pozostaje bez zajęcia, rozkoszował się meczem sparingowym z niegroźnym przeciwnikiem. Hałas rozbijanego drewna sprawiał mu jawną przyjemność, podobnie jak bombardowanie metalem ścian i podłogi, wzmocnione efektami światła łapanego przez eksplodujące na posadzce szkło. Dzieła zniszczenia dokonywał z wprawą, jednak z bezpiecznej odległości, jak gracz, który z powodu wolnego dnia nie przebrał się w dres treningowy. Kiedy znużyło mu się demolowanie kuchni, otrzepał się i wrócił do sieni, w której uplasował się na starannie wybranym miejscu przy schodach, jakby oczekiwał na rozdanie medali.

- Tu jej nie ma - odpowiedziała Gospodyni, której drżały usta, a zęby boleśnie uderzały jedne o drugie.

Jej niebieskie oczy nie odrywały się od kuchennej podłogi, której nienaruszona część powierzchni zmniejszała się jak dno wyczyszczonego basenu, zalewanego pomyłkowo wodą ze ścieku. Była jednak kiepskim kłamcą, a jej daru przekonywania nie mogło poprawić śmiertelne przerażenie.

Jeden posuwisty ruch dłoni odpowiedzialnego za stawianie pytań napastnika wystarczył, by z otwartej półki kredensu posypały się kolejne szklanki i kieliszki. Przejeżdżał po nich długimi palcami jak wyluzowany jazzowy pianista, ciesząc się dźwięcznym *legato* spadających płynnie na podłogę naczyń. Kiedy skończyły się jak klawisze w wymyślnym fortepianie, rozczarowany odwrócił się do Gospodyni i zrobił kilka kroków w jej stronę. Dźwięk, wydawany przez miażdżone obcasami szkło, był złowieszco wysoki, jednak szybko się zmienił, kiedy jego sztywne buty osiągnęły mokre plamy na środku kuchni. Rozległ się hałas przypominający mlaskanie starca, jednak wbrew nadziejom Gospodyni, która modliła się o haniebny upadek w kałużę rozmarynowej oliwy, nic nie zakłóciło pewności ruchów obcego.

- Zostawcie ją w spokoju - zaczęła prosić, nagle godząc się pokornie na spustoszenie najpiękniejszej części domu. - To jeszcze dziecko i tyle wycierpiała... Prawie nie umarła, jeszcze dziś nie do końca żyje i pewnie nigdy już nie będzie całkiem normalna. Zlitujcie się nad tym biednym stworzeniem i odejdźcie stąd!

Szyderczy śmiech intruza wybuchł jej prosto w twarz, opryskując ją zapachem czosnku i starego mięsa.

- Na pewno macie dość innych kobiet... nawet dziewcząt - powiedziała, w rozpaczę posuwając się do ostateczności. - Na pewno są takie, których nie musicie do niczego zmuszać, bo same chętnie robią to za pieniądze...

- I są takie, których nikt nie chciałby za darmo - usłyszała, a wraz ze śmiechem poleciały na nią kropelki śliny tamtego, jakby specjalnie pluł na nią i jej żalosne próby odwrócenia losu. - Chociaż wszystko należałoby sprawdzić.

Ściana, o którą oparła się, cofając się o pół kroku, nie była jej sprzymierzeńcem. Drugi obraz z żaglowcem zakotłosał się od dotknięcia jej drobnego ciała.

- Ale nie bój się, my jesteśmy profesjonalistami. Teraz przyjechalśmy tylko po nią - obcy chciał już opuścić kuchnię, jednak mijając ją, zatrzymał się nagle w ostentacyjnej, scenicznej pozycji. - Ale wiesz, coś sobie przypomniałem. Parę osób poprosiło mnie o przypomnienie ci, że także ciebie może spotkać coś złego. Wchodzisz w drogę ważnym ludziom, wiesz o tym?

- Co jeszcze może mnie spotkać złego... - szepnęła nieprzytomnie w obłoku jego cuchnącego oddechu, z którego spróbowała się wyrwać, rzucając jeszcze jedno spojrzenie na kuchnię, do niedawna swój azyl.

- A wierz mi, że może - zapewnił ją znacząco świszczącym głosem i, odwracając się, krzyknął w głąb domu: - Anica! Koniec wakacji, wracamy do pracy.

Gwałtowne uderzenie krwi w skroniach sprawiło, że Gospodyni zachwiała się na nogach. Odbiła się jednak od ściany i desperacko zastawiła sobą drzwi.

- Ona nigdzie stąd nie pójdzie!

Pozbył się jej jakby nic nie znacząca, czym zasłużył sobie na

hałaśliwą nagrodę w postaci krótkiej salwy śmiechu swego nierozmownego towarzysza.

Pozbierała się z podłogi jak mogła najszybciej, a szukając podparcia, trafiła na kosz wypełniony kupionymi niedawno warzywami. Walcząc z napadami mdłości, chwyciła dwa duże selery.

- Ona nigdzie stąd nie pójdzie! - krzyknęła histerycznie i rzuciła jednym z nich, chybiąc, w plecy wychodzącego napastnika, ponownie rozbawiając drugiego, który stał na pierwszym stopniu schodów jak na podium i przyglądał się jej z sieni.

Także drugi seler uderzył głucho o ścianę. W końcu udało się jej stanąć prosto na nogach i sięgnęła po kolejny pocisk, którym tym razem miała zostać ciężka rzepa zajmująca niemal pół koszyka. Jednak jej wzrok padł na pogrzebacz zawieszony nieopodal paleniska. Chwyciwszy go, poprawiła go w dłoniach i pewna jego kuchennej skuteczności, rzuciła się do sieni. Drżenie nóg spróbowała nadrobić krzykiem, który zlał się w jeden strumień z wołaniem innych kobiet, spływającym ze ścian *castillo* jak woda z wielu otworów podziurawionej tamy, zalewając schody i kamienny przedsionek utraconego bezpieczeństwa. Po przekroczeniu otwartych drzwi jej krzyk osiągnął okolice progu, gdzie w żalonym tremolo zamarł na chwilę nad zamordowanym złotym chartem i jego uspiętymi przyjaciółmi, ze słabą nadzieją rozejrzał się za zaginioną parą przerażonych kotów i obudził stado ptaków, które zdążyły już umościć się do snu.

I na tym się skończyło. Wylany na bezmiar płaskiego wybrzeża krzyk zamarł powoli, starty na miazgę w trybach milionów i miliardów ziarenek ciepłego piasku, do nieistnienia rozcieńczył się w morzu jak upuszczona do studni pojedyncza kropla krwi. Wyspa wchłonęła ten krzyk bez emocji; od wieków nawykła do każdego rodzaju wołania, nie przejmowała się losem tej czy innej kobiety - ani też mężczyzny, dziecka, zwierzęcia lub rośliny. Była przecież wyspą, pozbawioną znaczenia płamą lądu na oceanie, sierocą siostrą innych, równie obojętnych, wypalonych miejsc, których istnienie nie posiada jasnej przyczyny.

Żaden Bóg nie obiecał jej dostatecznie długiego przetrwania, aby zdążyła przywiązać się do kogokolwiek.

45.A

Utworzyli wielki krąg, w środku którego leżała jak uśpione jądro wielopromienistej gwiazdy.

Kłęcząca dyrektorka Domu Schronienia, wciąż na nowo obmywająca jej czoło chustką moczoną w zimnej wodzie, jakby w domu było zbyt gorąco albo jakby z uderzonej głowy nadal sączyła się krew.

Mała, płochliwa Eola, przycupnięta nieśmiało, jednak jako równoprawny członek kręgu po porzuceniu rozedrganego krzyku, który wsunął się w nią z powrotem jak żółw chowający się w głąb skorupy.

Anica, milcząca, z ustami zaciętymi w siną kreskę, siłą powstrzymująca nierówne drganie ciała, wyprostowana sztywno jak do przysięgi, której nigdy dotąd nie zamierzała składać.

Zatroskany doktor Teresino, który obwiązał jej głowę, osłuchał i zbadał ją dokładnie, po czym rozłożył bezradnie ręce, nie rozumiejąc natury jej głębokiego, spokojnego snu. Ojciec Emilio, skupiony na modlitwie, przerzucający kulki zniszczonego różańca metodycznie i fachowo, jakby zamiast jednostek modlitwy liczył węzły ratowniczej liny. Kelner Manuel Rosa, blady jak najbielszy z obrusów w zatrudniającej go restauracji, kłęczący pilniej od księdza, lecz w obecności innych nie ośmielający się wyciągnąć ręki po bezwładną dłoń kobiety, którą kochał. Jorge, kitesurfer, najślabiej ze wszystkich wprowadzony w sytuację, po raz pierwszy z - natychmiast brutalną - wizytą w tym dziwnym domu, niepewny i przestraszony wszystkim, co przydarzyło się kobiecie, którą znał zaledwie przelotnie. Policjant, jeden z nielicznych na wyspie, tylko od czasu do czasu zerkający na skutego w kącie kajdankami Iłję Wieranskiego, którego pamiętał jeszcze jako pracownika ochrony hotelowego dyrektora Carillo.

Oraz sam Ilja, w oczekiwaniu na przyjazd policyjnego samochodu, skulony w niewygodnej pozycji, przegrany w wyrównanej walce, w której wystąpił przeciwko trzem kobietom, kelnerowi, trenerowi sportów wodnych oraz księdzu, który zamiast wzywać wszystkich do pojednania, własnoręcznie skrępował go sznurem do bielizny.

Leżała między nimi, śpiąc.

Była nieprzytomna, jednak, jak powiedział doktor Teresino, niezagrożona.

Śpiąca, jak powiedziała Eola, gdyby zechciała zdobyć się na mówienie.

Pokonana i pobita, jak myślała Anica, pełna nienawiści do siebie za tchórzowskie schowanie się w pokoju, zaryglowanie drzwi i próbę ucieczki przez okno albo raczej ślad próby, wyperswadowanej sobie w chwili osiągnięcia parapetu.

W niebezpieczeństwie, według przyjaciółki, dyrektorki Domu Schronienia, nagle pozbawionej odporności i siły, wspierających dotychczas całe populacje kobiet z wyspy, tworzących mniej wartościowy drugi szereg za plecami kobiet szczęśliwych.

Nieobecna dla młodego sportowca. Żywa, więc uratowana dzięki łasce bożej, za którą z różańcem w dłoni dziękował ojciec Emilio. Niewiadoma dla Manuela Rosy, jej ucznia, opiekuna i kochanka.

- Karetka już jedzie - powiedział cicho Jorge w stronę doktora Teresino, jednak tak, by mogli usłyszeć go także wszyscy pozostali.

- Tu nie zaparkują - odezwał się policjant. - Trzeba będzie donieść ją na noszach do drogi.

Układał już sobie w głowie porządek ponurego konduktu, który należało wyprowadzić z nieprzystosowanego dla zmotoryzowanych gości domu. Tego krytycznego dnia zdecydowanie brakowało w nim podjazdu dla przynajmniej trzech samochodów: karetki potrzebnej jego nieprzytomnej właścicielce, radiowozu do przetransportowania więźnia do aresztu oraz dla karawanu wysyłanego z zakładu pogrzebowego po ciało sutenera, którego w jakiś sposób udało się jej zabić.

- Pojadę razem z nią do szpitala - powiedziała półgłosem dyrektorka Domu Schronienia. - Ktoś powinien być przy niej, kiedy się obudzi.

Usiłowałem pojąć ten jej sen. Pierwszy raz oglądałem ją bierną i wystawioną na bezkarne spojrzenia innych. Jej bezruch przerażał mnie bardziej niż opaska z bandaża, w sztywną koronę zaciskająca jej miękkie włosy. Nie widziałem jej oczu - niebieskich, zielonych albo siwych - które były zamknięte, zaryglowane, może martwe. Jej usta nie poruszały się i nie mogła przemówić w żadnym z języków, które były jej językami - hiszpańskim, francuskim bądź niezrozumiałym starym dialektem, którym podniecała mnie do szaleństwa, gdy się kochaliśmy. Nie mogła się podnieść, wyprostować i zwymyślać mnie jako swojego ucznia za kiepską koniugację słowa o/mer'. Nie mogła skulić się i udać, że mnie nie dostrzega, dźwigając swój kosz dziwacznej gospodyni powracającej z rynku. Nie mogła sama zdjąć z siebie swojej staroświeckiej brokatowej sukni.

Nie mogła objąć mnie za szyję i pociągnąć mnie na siebie, abym w jej ciele oszalał razem z nią.

Zmuszając się do najwyższego wysiłku, Manuel Rosa wyrwał się z milczenia:

- Ja chciałbym pojechać z nią do szpitala.

Dyrektorka Domu Schronienia ocknęła się z ciężkiego milczenia.

- Pan? - zapytała, nie kryjąc niesmaku.

Skinął tylko głową, trochę zbyt po kelnersku. Przygnębienie odebrało mu wolę walki, także wobec tamtej kobiety o stanowczym głosie.

Jednak nawet w tym nierównym, z wymuszonego powodu zjednoczonym towarzystwie znalazł się ktoś, kto zdecydował się wziąć go w obronę.

- By pojechał - powiedziała Anica. - Oni byli przyjaciele.

46.

Pozostały w domu we trzy, trzy kobiety w *castillo*.

- Ja zostawam tu.

Anica była nieodwołalnie stanowcza, kiedy zapytano ją, czy chciałaby wrócić do domu. Nie reagowała histerycznie, nie obrażała się, po prostu odmówiła. Powrót do Rumunii nie wchodził dla niej w grę - na razie, jak wyjaśniła w swym nie do końca jasnym slangu, może później, kiedy Celestina - dla przyjaciół Tina - Reyes Boyer, po kądzieli podobno y Peralta, wyzdrowieje.

o Domu Schronienia nie mogło być mowy. Anica postawiła się narowicie: „Żaden nie zaciągnie mnie na siła tam”. Jest potrzebna na miejscu, a jak na poparcie jej słów zgromadziły się wokół niej dwie pary osowiałych, smutnych zwierząt: psy Donna i Leo oraz koty - Lili z Piratem. Trzymały się blisko niej, uległe i oddane, jakby zapomniały, że przedtem nie zwracała na nie uwagi i nigdy nie karmiła.

- Ja gotuje i sprzątam, dbam zwierzęta i pilnuje dziecko. Nie zostawam dom.

Zdążyła już wbić krzyż w kopiec, który usypała nad pochowanym psem w ogrodzie, ogarniętym przez zmrok rozlewający się po plaży. Psu, któremu nie udało się ponownie wywinąć od śmierci z rąk człowieka, poświęciła krzyżyk подарowany jej niegdyś przez ojca Emilio, bez żalu i skomplikowanych religijnych skrupułów. Jednak i tak nie było obawy, że długo tam postoi - nazajutrz, a najpóźniej za dwa dni, kiedy zbudzi się wiatr rodem z Ptasiej Wyspy, nie pozostanie śladu ani po krzyżu, ani po wzniesieniu uformowanym z piasku.

1 nagle wszystko stało się jasne. Okropnie proste. Takie... wybebeszone.

Naszą tajemnicę wywleczono na światło dzienne. Bez uprzedzenia i bez pytania kogokolwiek z nas o zdanie, bez szacunku dla naszych przyzwyczajzeń w obchodzeniu się z tą historią. Nasze uprzednie szept, przypuszczenia, ściszone lub zbyt głośne rozmowy przy winie oraz plotki przez telefon, okazały się po prostu śmieszne w porównaniu z tym, co nagle rozhuczało na wyspie, nakręcone przez nie wiedzieć kogo, jednak z pewnością przez nikogo z nas.

My wcale nie potrzebowaliśmy niezdrowego krzyku. Oraz tych, którzy go narobili, najeźdźców jeszcze gorszych od tych zwyczajnych, codziennych, mieszkających sobie grzecznie w hotelach i kupujących od nas regionalne, umowne pamiątki. Ci nowi okazali się prawdziwą plagą - jak owady rozleźli się po wyspie, węsząc po domach i kościołach, fotografując i filmując miejsca zastrzeżone tylko dla nas, zniemacka wypytyując o sprawy tylko nas dotyczące. Zachowywali się tak, jakby wszystko było im wolno.

To, co się wydarzyło, zostało niemal z dnia na dzień podane do publicznej wiadomości. Wszystko opisano ze szczegółami w gazetach i nawet omówiono w miejscowym radiu. Zrobiło się z tego prawdziwe zamieszanie, w porównaniu z którym nasze małe, miejscowe rewelacje wydawały się zaledwie nędzną przygrywką do błyskotliwej *story*, która ściągnęła na Ptasie Wyspy dziennikarzy, ważnych urzędników wymiaru sprawiedliwości oraz - ku niezastudzonej uciechu bossów miejscowej turystyki - wielu zainspirowanych nią ciekawskich. Pojawiła się cała rzesza fotografów i nawet jakaś średnio znana pisarka, która zdecydowała się spisać całą historię. Z dalekiego kraju - podobno z Rumunii, a może tylko z jej ambasady - przyjechali przedstawiciele władz, którym przypomniało się, że należy dbać o interesy wszystkich, także tych najmniej ważnych, obywateli swojego kraju.

Ludzie ci okradli nas z tajemnicy, którą Ptasie Wyspy mogłyby karmić się przez kolejne długie lata. Wszystko pozostałoby tak, jak dawniej, może nawet stałoby się jeszcze lepsze, ciekawsze, wzbogacone o wieloznaczne zakończenie historii... Historii, która naprawdę wcale się nie zakończyła.

Bo przecież ona... Ona wcale od nas nie odeszła. Nie opuściła nas, nie zniknęła, nie odjechała. I na pewno nie umarła. Mogliśmy czekać na nią, wyglądać dnia, w którym się obudzi i znowu nas czymś zaskoczy, sprawi, że oniemiemy z zachwyconego przerażenia i zbiorowo pokiwamy głowami: „Tak, tak, to znowu ona!” Niepotrzebnie nas uświadomiono, zgwałcono prawniczo-medycznymi wyjaśnieniami... Gdyby nie one, otoczylibyśmy opieką ten jej sen, jak zbyt liczne krasnoludki zgromadzone wokół swojej królowy.

Oczywiście, nie przestalibyśmy rozglądać się, czy podczas tego snu ona nie pojawi się gdzieś w innej postaci... Nadal szukalibyśmy zarysu jej sylwetki nad morzem albo w chmurze ptaków krążących nad jej domem. Odkładalibyśmy dla niej na rynku najświeższe ryby, kurczęta i warzywa, tak, jakby miała pojawić się, czwartkowo nieśmiała, w targowy dzień. Czekalibyśmy na nią, by ukłonić się jej, przemykającej z kościoła do autobusu. Kiwalibyśmy przed nią głowami, udając, że zgadzamy się pójść z nią na barykady i wyrzucić z wyspy wszystkich obcych... A gdyby ten jej sen miał wydłużać się w nieskończoność, zaczęlibyśmy może zbierać dla niej francuskie książki, które zostawiali czasem w hotelach obcojęzyczni turyści, aby miała co czytać, kiedy wreszcie do nas powróci.

W naszych staraniach podzielilibyśmy się na grupy, małe wysepki na ciele zespolonych Ptasich Wysp. Nikt z nas nie miałby problemu z wyborem przynależności, gdyż wszystko zostałoby po staremu: jedną grupę stanowiliby ci, którzy widzieli w niej cowieczorną panią z *castillo*, drudzy nadal obdarzaliby przyjaźnią sympatyczną, cichą gospodynię, natomiast ostatni kontynuowaliby burzliwą przygodę kontaktów z najbardziej zaangażowaną działaczką na wyspie. I nadal moglibyśmy bez końca dyskutować o tym, która z nich jest prawdziwa. Czy objawia się nam w dobrej wierze, czy też odgrywa tylko przed nami swe nieobecne siostry bliźniaczki. Oraz o tym, co jeszcze, prócz swej prawdziwej, co najmniej trzykrotną mistyfikacją zamazanej przeszłości, ukrywa przed nami za murami swego domu, który również, jakby się do niej upodabniając, przyjmuje kształty wielu różnych domów.

My nigdy nie wtargnęlibyśmy do niego tak, jak zrobili to obcy. Wizja lokalna... Jak okrutnie zabrzmiało to w naszych uszach, jak

zabolało nas wyobrażenie o tym, że do odgrywania jej roli - jej wszystkich ról! - zaangażowano jakąś obcą, zwyczajną kobietę po to, by odtworzyć minione wydarzenia, jakby chodziło o napad na sklep... Wystarczająco trudne było dla nas to, że ona sama musiała rozprawić się z napastnikami, co jednak przełknęliśmy, bo, choć z pewnym opóźnieniem, to jednak pojawił się u niej z pomocą nasz desant ratunkowy; był ksiądz Emilio, był Jorge, przyleciała ta lesbijska szefowa i chłopak od Rosów, ten średni, kelner z restauracji... Oraz doktor Teresino, do którego mieliśmy potem najwięcej żalu.

Nie musiał im wszystkiego tłumaczyć. Opisywać jej zawilej natury pismakom, wyjaśniać, dlaczego mówiła różnymi językami, ubierała się dziwnie i przedstawiała jako różna osoba. Tłumaczyć, dlaczego jej walka z bandytami ogłupiła ich do tego stopnia, że w końcu sami nie wiedzieli, kogo naprawdę mają przeciwko sobie - jedną, bezbronną kobietę czy trzy wariatki z różnych wieków... Zdradził nas on, nasz miejscowy doktor. Zrobił to, na co nie ważyła się nawet obca dziewczucha, podobno dziwka, a jednak lojalna aż do bólu, jak my wierna i trzymająca buzię na kłódkę. A on... Przez jego głupią gadaninę gazety na pierwszych stronach ogłosiły wyrok. Zamieścili duże zdjęcie naszej damy, naszej barwnookiej blondynki, naszej szalonej nauczycielki i podpisali je „DID”. Jak bardzo nie podobały się nam te obce słowa! Nawet jeśli, zdaniem niektórych, wyglądały jak tytuł filmu albo piosenki z listy przebojów.

Tak wiele nam odebrano. My wszyscy, którzy żyliśmy z nią na Ptasiej Wyspie, poczuliliśmy się tak, jakby do gołej skały odarto z za-

Multiple personality, dissociative identity disorder, DID (ang.) - „Osobowość mnoga” - jest zaburzeniem dysocjacyjnym polegającym na występowaniu u jednej osoby kilku (przynajmniej dwóch) osobowości, zwykle o sobie nie wiedzących, często zdolnych do względnie normalnego funkcjonowania w społeczeństwie. Podczas badań aktywności mózgu osób dotkniętych DID obserwuje się rozróżnienie ośrodków poszczególnych osobowości. Współistniejące w jednej osobie poszczególne osobowości posiadają odrębną tożsamość, wspomnienia i wzorce zachowań. Różnią się od siebie inteligencją, temperamentem, sposobem mówienia, charakterem pisma, preferencjami seksualnymi, ciśnieniem krwi, alergiami, nawet przynależnością do danej płci. DID powstaje najczęściej w wyniku przeżytej traumy, a jego objawy to niekontrolowane zmiany emocjonalne, wrażenie „gubionego czasu”, zaburzenia snu, stany lękowe, depresje. Występuje częściej u kobiet niż u mężczyzn.

schniętej lawy nasz najpiękniejszy wulkan, napełniono go farbowaną wodą i opatrzono podpisem WSTĘP WOLNY.

- Przecież nie mogę was tu tak zostawić, ciebie samej z Eolą, nawet jeśli nic ci już nie zagraża - powiedziała dyrektorka Domu Schronienia, zrezygnowana i wypłukana z sił. - Nie dasz sobie z wszystkim rady.

Miała przeciwko sobie dwie dziewczyny i czworo zwierząt.

- Ja da rady, wszystko nauczyła - we wspólnym imieniu oświadczyła nieustraszenie Anica. - Dobra gospodyni.

- A co z Eolą?

Anica po chłopsku wzruszyła ramionami:

- Ma co być?

Eola wolno przechadzała się po domu. Miała na sobie zbyt długą koszulę, która ciągnęła się za nią jak suknia z trenem i sprawiała, że jej sylwetka wydłużyla się i nabrała powagi. Dziewczynka, która powoli zbliżała się do swoich czternastych urodzin, wieku, w którym na wyspie niedawno jeszcze wydawano panny za mąż, nagle zaczęła wyglądać na swoje lata. Jednak nie jej niespodziewana dorosłość była najważniejszym z jej przeobrażeń.

- Eola wszystko dobrze - powiedziała ze spokojnym przekonaniem Anica.

Na dziewczynkę spłynęły skądś nowe siły, jakby z krzykiem, który niczym latający dywan sprowadził ją na miejsce walki i nie ucichł aż do chwili uratowania domu przez zjednoczone siły ludzi sprawiedliwych, dokonała się w niej przemiana chorej na nową, rozbudzoną Eolę. Być może stała się podmiotem jednorazowego i choćby krótkotrwałego cudu, jednak przydarzał się on naprawdę, z tak bezbrzeżną pewnością, że pytania o jego naturę wydawały się niepotrzebne. Być może ofiarowano Eoli czas kwiatu paproci, po którego rozkwicie nie zostanie nawet ślad dla następnego poranka, jednak teraz z pewnością żyła, poruszała się i czuła.

Przeglądała się ścianom, oknom, meblom i obrazom. Ze zdziwieniem zajrzała do przypominającej miejsce wybuchu kuchni, trzymając się balustrady schodów, zadarła głowę, by z innej perspektywy zobaczyć, jak wysoko i daleko schował się jej strzeżony, spokojny pokój.

Podtrzymywała się ścian i mebli, jednak nie gubiła się w stawianiu swych nowo nabytych, drobnych jak u damy, kroków.

- W takim razie zostaną tu z wami przez jakiś czas, Anico - powiedziała dyrektorka Domu Schronienia. - Wprawdzie będę musiała wychodzić do pracy, ale zamiast wracać do siebie, przyjdę do was. Ktoś musi zająć się tym wszystkim, czego Tina nie zdążyła zrobić.

Najpierw chciała zakwaterować się w sypialni przyjaciółki, jednak po skomplikowanej naradzie z Anicą zdecydowała się na inny pokój - na pierwszym piętrze, narożny i prawie pusty, jeśli nie liczyć wąskiego łóżka, toaletki z lustrem, taboretu i dużego, antycznego portretu nieznannej damy na ścianie.

- Przypominam sobie... Ten obraz wisiał kiedyś w sieni. Zdaje się, że mąż Tiny bardzo go nie lubił.

- On wołał o żagłaniu... Żeglowaniu - mówi spokojnie Anica.

- Tak... To on namalował te dwa marynistyczne obrazki w kuchni. Jeden z nich jest zniszczony, trzeba go będzie na nowo oprawić, zanim Tina się obudzi. I dobrze byłoby, gdyby ktoś go jakoś poprawił... Część rysunku rozmazała się, w occie chyba czy w oliwie. Spróbuję poszukać kogoś, kto ma o tym pojęcie. Zanim Tina się obudzi.

Już tylko we dwie stoją przed portretem renesansowej doni, przyglądającej się im wyniośle ze swej złotej ramy; przed chwilą odprowadziły do łóżka Eolę, której pycha bijąca z portretu zdawała się nie przestraszać. Przeciwnie; ponieważ nie miała ochoty odchodzić, musiały jej obiecać, że do komnaty portretowej zawsze wolno jej będzie powracać.

- Popatrz tylko, Anico - mówi zdziwiona dyrektorka, która, sprawdzając możliwości rozgoszczenia się w nowym miejscu, wysunęła szufladę rzeźbionej toaletki.

- Co, pani?

Dyrektorka trzyma w ręku srebrną, szylkretem zdobioną szczotkę, w którą zaplątały się czyjeś długie, białe włosy.

- Przecież Tina nie jest siwa - mówi trochę zdenerwowana.

- Nie - potwierdza z niezakłóconą pewnością siebie Anica. - Włosy jasne ma, zawsze blondynka. Tylko oczy siwe. Albo czasem zielone, albo niebieskie.